

Karyn Monk

*Namiętным
szeptem*

Tytuł oryginalny:

Every Whispered Word

I

Głos serca

1

Londyn, Anglia

Marzec 1885

Gdyby tylko miała przy sobie czekan, zrobiłaby z niego dobry użytek.

Kopnęła ze złością pomalowane na czarno drzwi i stłumiła przekleństwo, kiedy ból przeszył jej stopę.

Nienawidzę tego paskudnego domu, pomyślała.

Drzwi jęknęły i uchyliły się nieznacznie, ukazując korytarz. Wpatrywała się przez chwilę w szczelinę, rozważając, co zrobić.

Niewątpliwie należałoby je zamknąć. Mieszkańcy Londynu nie byli zapewne przyzwyczajeni, żeby otwierano im drzwi kopniakiem w biały dzień. A co, jeśli pan Kent jest w domu i po prostu nie słyszał pukania? Być może zaszył się gdzieś w głębi mieszkania, dokąd nie dociera walenie w drzwi. Jednak z drugiej strony, człowiek z jego pozycją społeczną zatrudniał zapewne służbę. Dlaczego zatem służący nie zareagował na jej pukanie?

Bo jest stary i głuchy jak pień, zdecydowała pospiesznie. A może popijał w ukryciu i spity do nieprzytomności, zwałił się na łóżko. Albo doznał nagłego ataku jakiejś straszliwej choroby i leży na **podłodze**, nie będąc w stanie wezwać pomocy. Gdyby, nieczuła na nieszczęście, zamknęła drzwi i odeszła, zostawiając biednego, głuchego, umierającego staruszka, do jakiej tragedii mogłaby doprowadzić!

– Halo – zawołała, otwierając drzwi na całą szerokość. – Panie Kent? Jest pan tam?

Z głębi dobiegł głośny łomot. Stało się jasne, dlaczego jej pukanie pozostało niezauważone. Ktoś musiał być w domu, skoro robił tyle hałasu, choć nie miała pojęcia, jakim zajęciem mógł się parać.

– Panie Kent? – Weszła do holu. – Czy mogę wejść?

Hol był oszczędnie umeblowany, jakby właściciel dopiero się wprowadził. Z boku przy ścianie stał sfatygowany stół na giętych nóżkach, na którym starannie ustawiono piramidę książek i papierzyk. Stosy byle jak rzuconych oprawnych w skórę woluminów poniewierały się wszędzie na podłodze i na schodach; zmuszały ją, aby stąpała ostrożnie, idąc w głąb korytarza.

–Panie Kent – zawołała ponownie, starając się przekrzyknąć zgiełk – czy nic się panu nie stało?

–No właśnie! – krzyknął triumfalnie jakiś głos. – Wiedziałem! Wiedziałem!

Głos dobiegał z kuchni na dole; należał zatem zapewne nie do pana Kenta, ale do jakiegoś służącego. Świetnie się składa. Służący powie jej, czy pan Kent jest w domu. Jeśli tak, to ktoś zaprowadzi Camelię do salonu. Tam poczeka, podczas gdy służący ją zapowie. Lepiej, żeby sławny pan Kent został wcześniej powiadomiony o jej przybyciu, aniżeli natknął się niespodziewanie na obcą, młodą kobietę, stojącą pośród jego książek i papierów.

Utwierdzając się w przekonaniu, że postępuje właściwie, zamknęła za sobą drzwi. Poprawiła kapelusz i wygładziła spódnicę w pasy koloru morskiej wody i kości słoniowej. Nie było lustro, żeby sprawdzić fryzurę, ale dziesiątki szpilek, którymi upięła niezdarnie kok, zaczynały się wysuwać i pasma włosów wymykały się, opadając jej na kark. Zareb prawdopodobnie miał rację, uświadomiła sobie zgnębiona. Jeśli zostanie dłużej w Londynie, będzie musiała zatrudnić pokojówkę. Myśl o tak bezsensownym wydatku wywoływała w niej rozdrażnienie. Wsunęła gniewnie parę szpilek na miejsce i przeszła przez kolejne drzwi, schodząc po schodach, do kuchni.

– Tak, tak, o to chodzi, teraz lepiej! – krzyknął w ekstazie głęboki męski głos. – Do diabła, udało się!

Mężczyzna słusznego wzrostu stał tyłem do niej pośrodku kuchni. Miał na sobie zwykłe czarne spodnie i prostą białą płócienną koszulę o rękawach niedbale podwiniętych do łokci. Koszula częściowo przemokła i przylepiła się do ciała. Nie było w tym niczego dziwnego, zważywszy wyjątkowe gorąco i wilgoć panujące w kuchni. Wokół unosiła się srebrzysta mgielka, nadając pomieszczeniu nieco nieziemski wygląd. Trochę jak dżungla latem po ulewnym deszczu, pomyślała Camelia, żałując, że ma na sobie tyle warstw szybko nasiąkającego wilgocią damskiego stroju.

Z ogromnego urządzenia ustawionego obok mężczyzny dobiegło łomotanie i rżenie. Maszyna parowa, uświadomiła sobie podniecona Camelia. Obracała potężne koło zębate, które wprawiało w ruch szereg kółek. Owe kółka stanowiły część skomplikowanej konstrukcji połączonej z drewnianą balią. Jednak Camelia nie potrafiła się domyślić, do czego owa maszyneria miała służyć.

– Poczekaj, spokojnie, powoli, nie za szybko, musisz utrzymywać stały rytm! – przemawiał pieszczotliwie mężczyzna do maszyny, jakby uczył nowej umiejętności małe dziecko.

Oparł szczupłe silne ramiona o brzeg balii, wpatrując się w skupieniu w to, co się tam działo.

– Jeszcze trochę, troszeczkę, tak jest, tak, tak właśnie, genialnie!

Camelia, zaintrygowana, podeszła bliżej, pokonując labirynt długich drewnianych stołów, na których stały dziwne urządzenia, wszędzie piętrzyły się stosy książek, a na ścianach wisiały szkice i notatki.

– Trochę szybciej – zachęcał podniecony mężczyzna. – Nie, nie, nie – zawołał z irytacją, przeczesując palcami wilgotne miedziane włosy. Zaczął pospiesznie poprawiać szereg drążków i zaworów.

Jeszcze troszkę, troszeczkę, teraz, już prawie skończyliśmy, tak jest...

Z maszyny buchnęła gorąca para. Koło zębate zaczęło wirować w szalonym tempie, sprawiając, że pozostałe części także obracały się znacznie szybciej.

– Tak jest! – zawołał uradowany. – Doskonale! Genialnie! Cudownie!

Drewniana beczka zadrżała i zatrzęsła się. Woda chlusnęła na podłogę.

– Za szybko. – Kręcąc głową, gorączkowo zmieniał ustawienia części maszyny parowej. – Zwolnij teraz, powoli, zwolnij, powiadam, słyszysz?

Camelia patrzyła ze wzrastającym niepokojem, jak wielka beczka, trzęsąc się, rozchlapuje na wszystkie strony pieniającą się wodę. Jakikolwiek miało być przeznaczenie owego urządzenia, z pewnością nie mogło służyć do tego, aby zmoczyć tego, kto je obsługiwał, od stóp do głów.

– Zatrzymaj się, dość, przestań, słyszysz? – mówił mężczyzna rozkazującym tonem, ścierając wodę z powiek i usiłując wprowadzić poprawki w maszynie.

Koło zębate i pozostałe kółka obracały się teraz z wściekłą prędkością, a beczka trzęsła się, jakby miała się za chwilę rozpaść na kawałki.

– Dość, powiadam! – wrzasnął mężczyzna, uderzając oporną maszynę kluczem francuskim. – Przestań wreszcie albo wezmę siekierę!

Nagle z beczki wyleciały na wszystkie strony mokre, namydlone ubrania. Para męskich kalesonów spadła Camelii na twarz, oślepiając ją na chwilę. Stół za jej plecami przewrócił się z hałasem, potracając kolejny. Potworny łoskot wypełnił kuchnię, a Camelia upadła na siedzenie.

– Przestań, ty nędzny kawałku złomu! – ryknął mężczyzna, który wciąż rozpaczliwie starał się odzyskać panowanie nad maszyną. – Dostyc tego!

Camelia ściągnęła z twarzy mokre kalesony akurat w porę, żeby zobaczyć, jak maszyna wydaje ostatnie, wyzywające sapnięcie. Mężczyzna, ociekając wodą, stał na rozstawionych nogach, trzymając klucz jak gotowy do zadania ciosu miecz. Koszula, rozpięta niemal do pasa, odsłaniała jego twardą pierś i brzuch; szerokie ramiona rysowały się wyraźnie pod praktycznie przezroczystym od wody materiałem. Camelia uznała, że wygląda jak potężny wojownik przygotowujący się do walki – jeśli nie liczyć zwisającej z jego głowy pończochy.

Czekał dłuższą chwilę, oddychając ciężko, zaniepokojony, czy maszyna nie sprawi mu dalszych kłopotów. Najwyraźniej uspokojony powoli opuścił klucz i odwrócił się, kręcąc z niesmakiem głową. Zmarszczył się gniewnie na widok przewróconych stołów, połamanych przyrządów oraz książek i notatek zaścielających mokrą **podłogę**.

W końcu jego wzrok spoczął na Camelii.

– A co pani tu robi? – zapytał niedowierzająco.

– Usiłuję wstać – odparła, pospiesznie obciążając mokre spódnice. Próbując odzyskać nieco godności, wyciągnęła rękę, patrząc na niego wyczekująco.

– To znaczy, co, do diabła, robi pani w moim domu? – wyjaśnił, nie przejmując się wyciągniętą dłonią. – Czy ma pani zwyczaj wchodzenia nieproszona do cudzego domu?

Walczyła ze sobą, żeby zachować uprzejmie obojętny wyraz twarzy, co było niezwykle trudne, zważywszy, że leżała na podłodze, i obcy mężczyzna patrzył na nią jak na pospolitą złodziejkę.

– Pukałam – zaczęła wyniośle – ale nikt nie podszedł do drzwi...

– Zatem postanowiła pani wdrzeć się do środka?

– Z całą pewnością nie wdarłam się do środka. – Nieznajomemu obce były choćby elementarne zasady wychowania, jakie wykazałby nawet najmniej doświadczony lokaj, więc Camelia uznała, że ma przed sobą jednego ze współpracowników pana Kenta. Jakkolwiek trudno zapewne znaleźć godnych zaufania asystentów, do tego biegłych w matematyce i innych naukach ścisłych, nic nie usprawiedliwiło nieuprzejmości. – Drzwi były otwarte.

Zerwał z głowy mokrą pończochę i odrzucił ją na bok.

– A więc uznała pani, że w związku z tym może się wślizgnąć do domu, żeby mnie szpiegować?

Jako że wyraźnie nie zamierzał pomóc jej podnieść się z podłogi, wstała sama, starając się zachować tyle godności, ile to było możliwe, podczas gdy musiała dojść do ładu z turniurą, halkami, torebką i przekrzywionym kapeluszem. Stanąwszy na nogach, spojrzała mu w oczy z chłodną pogardą.

– Zapewniam pana, że nie zakradłam się do domu, ale po prostu weszłam, pukając przedtem przez parę minut, potem zaś głośno oznajmiłam, że jestem. Drzwi, jak już wspomniałam, były otwarte, pański chlebobawca z pewnością nie będzie zachwycony takim niedbalstwem, kiedy o tym usłyszy.

Mężczyzna otworzył szerzej niebieskie oczy.

Dobrze, pomyślała Camelia. Widzę, że słuchasz uważnie.

– Tak się składa, że mam dziś po południu wyznaczone spotkanie z panem Kentem – ciągnęła cierpkim tonem, przybierając wyniosły wyraz twarzy.

Tylko trochę upiększała rzeczywistość, zapewniła się w duchu. W istocie pisała do pana Kenta pięciokrotnie z prośbą o spotkanie. Niestety, nie odpowiedział na żaden z jej listów. Jednakże pewne osoby z towarzystwa uprzedziły ją, że szacowny wynalazca jest dziwakiem i zdarza mu się niekiedy tygodniami nie pokazywać w mieście ani nie odpowiadać na korespondencję. Tak więc, zamiast czekać na zaproszenie od pana Kenta, wzięła sprawy w swoje ręce, zawiadamiając go listownie, że złoży mu wizytę tego właśnie dnia o tej porze.

– Ma pani spotkanie z panem Kentem? – Mężczyzna uniósł brew z wyrazem powątpiewania, co tylko ją zirytowało.

– W rzeczy samej – zapewniła stanowczo Camelia. Pan Kent musiał, co oczywiste, przebywać poza domem, inaczej wpadłby już dawno do kuchni, chcąc sprawdzić przyczynę strasznego hałasu. – W sprawie wielkiej wagi.

– Doprawdy? – Skrzyżował ręce na piersi, bynajmniej nie zmieszany. – Jakież to?

– Pan wybaczy, ale to nie pańska sprawa. Jeśli zechce mi pan powiedzieć, kiedy można się spodziewać pana Kenta, to przyjdę jutro.

Postanowiła nie czekać na pojawienie się wynalazcy. Chociaż w kuchni nie było lustra, przypuszczała, że jej wygląd ucierpiał na skutek upadku i zetknięcia się twarzy z parą mokrych, męskich kalesonów. Czowała, że jej wielki kapelusz przekrzywił się niebezpiecznie w jedną stronę, a włosy opadły na kark, podobne do wilgotnego, splątanego gniazda. Co do jej starannie dobranego stroju, który oboje z Zarebem wytrwale prasowali poprzedniego dnia, aby przywrócić go do stanu świetności, był teraz przemoczony i pognieciony. Żeby pan Kent potraktował ją poważnie, raczej nie powinna zjawiać się u niego ubrana jak sierota z przytułku.

– Simon Kent to ja – poinformował mężczyzna zwięźle.

Camelia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nieprawda.

– Jestem inny, niż się pani spodziewała?

– Po pierwsze, jest pan za młody.

Zmarszczył czoło.

– Nie jestem pewien, czy powinienem czuć się pochlebiony, czy urażony. Za młody na co?

Leciutki błysk rozbawienia w jego oczach przekonał ją, że trochę z niej pokpiwa. Cóż, nie była taka naiwna.

– Za młody, żeby zyskać szereg tytułów w dziedzinie matematyki i nauk ścisłych na Uniwersytecie St. Andrews i w College'u St. John w Cambridge – stwierdziła Camelia. – I żeby wykładać w wielu instytucjach naukowych na temat maszyn i mechaniki stosowanej, a także żeby napisać ze dwa tuziny albo więcej rozpraw naukowych opublikowanych przez Państwową Akademię Nauk i żeby zarejestrować w urzędzie patentowym jakieś dwieście siedemdziesiąt wynalazków I, rzecz jasna, zbyt młody, żeby ponosić odpowiedzialność za to wszystko – dokończyła, wskazując ręką na pomieszczenie pełne dowodów intensywnej pracy naukowej.

Wyraz twarzy miał opanowany, widziała jednak, że zaskoczyła go jej wiedza na temat osiągnięć pracodawcy. Dobrze, pomyślała ze złośliwą satysfakcją, że udało jej się ustawić go na właściwym miejscu.

– Biorąc pod uwagę katastrofalne skutki eksperymentu, jakiego była pani świadkiem, obawiam się, że na zawsze zniszczyłem tę zbyt pochlebną opinię na mój temat. Jednakże, jako że wtargnęła pani do mojego laboratorium nieproszona i niezapowiedziana, nie sądzę, abym ponosił

za to odpowiedzialność. Zazwyczaj nie pozwalałam nikomu patrzeć, nad czym pracuję, póki nie uzyskam względnej pewności, że to coś nie wybuchnie i nie zacznie rozrzucać wokół bielizny.

Camelia nie była w stanie wydusić słowa. Zauważyła, że jednak nie był aż taki młody; zmarszczki na czole wskazywały na wiele godzin spędzonych na studiowaniu naukowych zagadnień. Miał z pewnością trzydzieści pięć lat albo rok czy dwa więcej. Podczas gdy był rzeczywiście stosunkowo młody, jak na takie osiągnięcia, to jednak geniusz, dyscyplina i zapał mogły mu je zapewnić. Ogarnęło ją przygnębienie, kiedy uświadomiła sobie, że właśnie obraziła człowieka, którego tak rozpaczliwie pragnęła pozyskać dla swoich planów.

– Proszę wybaczyć – zdołała wykrztusić, marząc, aby podłoga się rozstała i pochłonęła ją całą. – Nie zamierzałam się narzucać. Ja tylko bardzo chciałam pana poznać.

Przechylił głowę na bok, patrząc nieufnie.

– Dlaczego? Czy chce pani przeprowadzić ze mną wywiad dla jednego z tych irytujących piśmideł, którym sprawia taką przyjemność opisywanie mnie jako szalonego wynalazcy?

Mówił z ironią, ale Camelia wyczuła, że nie są mu obojętne opinie na jego temat.

– Nie, zupełnie nie – zapewniła. – Nie zajmuję się pisaniem.

– Ani pisaniem, ani szpiegowaniem. Dwa punkty na pani korzyść. Kim zatem pani jest?

– Jestem lady Camelia Marshall – odparła, chwytając ześlizgujący się z głowy kapelusz. – Ogromnie podziwiam pańską pracę, panie Kent – dodała z zapałem, trzymając kurczowo ciężkie od kwiatów nakrycie głowy, tak żeby nie spadło jej na twarz. – Przeczytałam kilka pana prac, są intrygujące.

– Doprawdy?

Jeśli był pod wrażeniem faktu, że kobieta przeczytała jego rozprawy naukowe, uznając je w dodatku za intrygujące, nie dał tego po sobie poznać. Zamiast tego minął ją i podniósł pierwszy ze stołów, które przewróciła, upadając.

– Co za paskudny bałagan – mruknął, schylając się, żeby podnieść jakieś narzędzia, części maszyn i pliki notatek rozsypanych po wilgotnej podłodze.

– Ogromnie mi przykro z powodu przewróconych stołów – powiedziała Camelia. – Mam nadzieję, że nic się nie zniszczyło – dodała, również schylając się, żeby mu pomóc.

Simon patrzył, jak niezręcznie chwytła małe metalowe pudełko. Trzymała je jedną dłonią w brudnej rękawiczce, podczas gdy drugą poprawiała monstrualny, opadający kapelusz. Zaczęła się prostować, jednak mokra tiurniura zakłóciła jej równowagę. Puściła kapelusz, machając rozpaczliwie ręką, z przerażeniem na twarzy, przyciskając jednak do piersi wynalazek Simona.

Simon złapał ją w chwili, gdy kapelusz z masą róż zasłonił jej oczy. Owionął go zapach, jakiego nie znał. Egzotyczny, ale lekko znajomy słoneczny zapach, który przypomniał mu spacer w lesie w posiadłości ojca podczas letniego deszczu. Trzymał ją mocno, upajając się tą wonią,

czując pod palcami jej delikatne plecy, ciepło oddechu. Jej pierś wznosiła się i opadała przy jego osłoniętej mokrym płótnem piersi.

– Tak mi przykro. – Straszliwie zmieszana, zrzuciła kapelusz. Zdradzieckie nakrycie głowy, nareszcie uwolnione od szpilek, spadło na podłogę, rujnując do reszty fryzurę.

Simon napawał się jej widokiem, zachwycony wielkimi, zasnutymi lekką mgiełką, zmartwionymi oczami. Były, jak stwierdził, koloru szaławii, dzięki leśnej szaławii, która rosła na suchych, cienistych wrzosowiskach Szkocji. Delikatny wachlarz zmarszczek rozchodził się przy jej dolnych powiekach, świadcząc o tym, że dawno już wyrosła z wieku dziewczęcego. Wbrew modzie jej cerę pokrywała opalenizna i rzadkie piegi, a we włosach barwy miodu przewijały się złote pasemka, wskazujące na to, że zwykła przebywać na słońcu. To go zdziwiło, w zestawieniu z kosztownym ubraniem. W jego przekonaniu większość Angielek z wyższych sfer wołała kryć się w czterech ścianach albo w cieniu. Jednakże, zreflektował się, większość kobiet z wyższych sfer nie wchodziła śmiało, bez zaproszenia czy eskorty, do domu obcego mężczyzny. Zdawał sobie niejasno sprawę, że nie potrzebuje już jego pomocy żeby utrzymać się na nogach, jednak myśl o wypuszczeniu jej z objęć budziła w nim dziwną niechęć.

– Już nic mi nie jest, dziękuję. – Camelia zastanawiała się, czy jego zdaniem nie była zdolna stać prosto dłużej niż trzy minuty. Nie dała mu, jak pomyślała zgnębiona, powodu, żeby sądził inaczej. – Obawiam się, że nie jestem przyzwyczajona do takich wielkich kapeluszy – dodała, czując, że musi jakoś wytłumaczyć swoją nieudolność w noszeniu kłopotliwej części garderoby. Powstrzymała się od wyjaśnienia, że mokra para kalesonów, które wylądowały na jej twarzy, nadwerżyła misterną sieć szpilek do włosów.

Simon nie wiedział, co odpowiedzieć. Przypuszczał, że dżentelmen powinien zapewnić, że w kapeluszu bardzo jej do twarzy, uważał jednak, że wygląda groteskowo. Niewątpliwie bez niego prezentowała się dużo lepiej, zwłaszcza z włosami opadającymi luźno na ramiona.

– Proszę. – Podniósł kapelusz i podał go dziewczynie.

– Dziękuję.

Odwrócił się, czując nagle potrzebę oddalenia się od niej.

– A więc proszę mi powiedzieć, lady Camelio – zaczął, starając się skupić na katastrofie, jaka dotknęła jego pracownię – czy mamy umówione spotkanie, którego jestem nieświadomy?

– Tak, oczywiście – odparła Camelia z naciskiem. – Bez cienia wątpliwości. – Zakasłała lekko. – W pewnym sensie.

Simon ściągnął brwi.

–To znaczy?

–To znaczy, że nasze spotkanie nie zostało potwierdzone. Byliśmy jednak umówieni, to absolutnie pewne.

–Rozumiem. – Nie miał pojęcia, o czym mówiła. – Proszę wybaczyć, jeśli wydają się nierozgarnięty ale jak właściwie doszło do umówienia nas na dzisiaj?

–Wysłałam do pana kilka listów, prosząc o spotkanie, ale niestety, nie doczekałam się odpowiedzi – wyjaśniła Camelia. – W ostatnim liście pozwoliłam sobie poinformować pana, że odwiedzę pana dzisiaj o tej porze. Przypuszczam, że to było raczej śmiałe posunięcie z mojej strony.

–Sądzę, że jego śmiałość błędnie w porównaniu z odwagą konieczną do wkroczenia do domu obcego mężczyzny bez zapowiedzi i opieki – zauważył Simon, kładąc plik przemoczonych kartek na stole. – Czy pani rodzice są świadomi, że wędruje pani po Londynie bez przyzwoitki?

–Nie potrzebuję przyzwoitki, panie Kent.

–Proszę wybaczyć. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest pani zamężna.

–Nie jestem. Ale w wieku dwudziestu ośmiu lat dawno już zapomniałam o debiucie w towarzystwie i nie mam ochoty na stałą **obecność** jakiejś starszej, rozplotkowanej matrony. Woźnica mi wystarcza.

–Nie boi się pani o swoją reputację?

–Nieszczególnie.

–A to dlaczego?

–Bo gdybym żyła zgodnie z zasadami londyńskiego towarzystwa, nigdy bym niczego nie osiągnęła.

–Rozumiem. – Rzucił na stół drewniany drąg z przyczepioną metalową częścią.

–Co to jest? – zapytała ciekawie Camelia.

–To nowy rodzaj zmywaka, nad którym pracuję – powiedział obojętnie, schylając się, żeby podnieść coś innego.

Podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się dziwnemu urządzeniu.

– Jak to działa?

Simon spojrzał na nią niepewnie, nieprzekonany, że rzeczywiście ją to interesuje. Niewiele kobiet gościło dotąd w jego pracowni. A spośród tych, które to zrobiły, tylko kobiety z jego rodziny okazały szczerą podziw dla jego często bulwersujących pomysłów. Jednak coś w wyrazie twarzy lady Camelii nie pozwoliło mu po prostu wykręcić się od odpowiedzi. W jej zielonych oczach kryło się pragnienie rozwiązania zagadki tajemniczego przedmiotu.

–Przyczepiłem szeroką klamrę na końcu kija. Porusza nią ta dźwigienka – zaczął, podnosząc drąg. – Dźwigienka naciska na ten pręt, dzięki czemu sprężyna mocniej zaciska klamrę. Chodzi o to, żeby wyżywać sznurki bez ich dotykania. Nie trzeba nawet się schylać.

–To bardzo pomysłowe.

–Wymaga dopracowania – stwierdził, wzruszając ramionami. – Muszę uzyskać taki nacisk na sprężynę, żeby wyżywanie nie uszkadzało dźwigienki. – Odłożył przedmiot na stół.

–A to? – Camelia wskazała metalowe pudełko, które trzymała.

–Wyciskacz do cytryn.

Przyjrzała się przedmiotowi z ciekawością.

– Nie przypomina żadnego z wyciskaczy, jakie widziałam. – Otworzyła skrzyneczkę, odsłaniając drewniany, wydłużony guziczek otoczony pierścieniem dziurek. – Jak to działa?

–Kładzie się połówkę cytryny na tym guziczku i opuszcza wieczko, naciskając mocno i używając rączek, żeby uzyskać jeszcze silniejszy nacisk – wyjaśnił Simon. – Wieczko zgniatą cytrynę, wydobywając sok bez potrzeby kręcenia owocem. Sok spływa przez otwory do pojemnika niżej, pozostawiając pestki i miąższ na górze. Potem wyciąga się tę małą szufladkę i sok gotowy.

–To wspaniałe. Czy zamierza pan to produkować na większą skalę?

Zaprzeczył.

–Zrobiłem to dla rodziny, zawsze staram się coś wymyślić, żeby ulżyć im w pracy w domu. Sądzę, że ktoś inny nie uznałby tego za rzecz wartą zachodu.

–Przypuszczam, że większość kobiet ucieszyłaby się ze wszystkiego, co ułatwiłoby pracę w domu – stwierdziła Camelia. – Czy opatentował pan to przynajmniej? Albo zmywak?

–Gdybym zajmował się rejestracją patentów na każdy drobiazg, jaki wymyślę, spędziłbym życie zagrzebany w papierach.

–Ale ma pan około dwustu siedemdziesięciu patentów.

–Tylko dlatego, że pewni życzliwi członkowie mojej rodziny zdecydowali się wziąć rysunki i opisy tych wynalazków, aby przedłożyć je wraz z wymaganymi dokumentami i opłatami w urzędzie patentowym. Nie mam pojęcia, co zarejestrowano, a czego nie. Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

Przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

–Nie interesuje pana, czy pańskie wynalazki zostały właściwie zarejestrowane, tak aby osoba wynalazcy nie budziła wątpliwości?

–Nie wymyślam różnych rzeczy po to, żeby zdobyć poklask, lady Camelio. Jeśli ktoś chce skorzystać z mojego pomysłu, popracować nad nim, aby go ulepszyć, a potem zainwestować czas i pieniądze w produkcję, niech tak będzie. Nauka i technologia nigdy nie posunęłyby się naprzód, gdyby naukowcy ukrywali swoje teorie i wynalazki, jakby to było złoto.

Postawił drugi stół na nogach i zaczął układać na nim mokre papiery, narzędzia, drobne rzeczy, które spadły na podłogę.

– Proszę mi zatem powiedzieć, lady Camelio – powiedział, otrząsając z wody zwój drutu – co takiego skłoniło panią do napisania tych wszystkich listów z prośbą o spotkanie ze mną?

Camelia zawahała się. Wyobrażała sobie, że spotkanie z panem Kentem odbędzie się w bogato obwieszonym aksamitem salonie, gdzie mogłaby, nie spiesząc się, wygłosić wykład o wadze badań nad archeologią i ewolucją człowieka, być może popijając herbatę ze srebrnej filiżanki podanej przez usłużnego lokaja. Do tej pory stało się dla niej oczywiste, że pan Kent nie zatrudniał służby. Dowodziły tego stosy brudnych naczyń na kuchni i w zlewie w drugim końcu pomieszczenia. Rozważała przez chwilę, czy nie umówić się na jakiś inny dzień, kiedy wynalazca nie będzie zajęty doprowadzaniem swojej pracowni do stanu używalności, ale szybko odrzuciła tę myśl.

Czas płynął.

– Interesuje mnie pańska praca nad pompami parowymi – zaczęła, podnosząc kilka przedmiotów z podłogi. – Czytałam jedną z rozpraw na ten temat, w której omawiał pan ogromne korzyści z zastosowania siły parowej w górnictwie węglowym. Uważam, że teza, jakoby siła parowa powinna doczekać się właściwego zastosowania, jest niezmiernie interesująca.

Simon nie mógł uwierzyć, że ona mówi poważnie. Ze wszystkich powodów, jakie mogły ją skłonić do złożenia wizyty, pompy parowe i wydobywanie węgla uznałby za najmniej prawdopodobne.

–Interesują panią silniki parowe?

–W zastosowaniu do wykopalisk i odpompowywania wody – wyjaśniła Camelia. – Jestem archeologiem, panie Kent, podobnie jak mój ojciec, zmarły hrabia Stamford. Z pewnością słyszał pan o nim?

W jej oczach błysnęła nadzieja, którą Simon z jakiegoś powodu wzdragał się zgasić. Jednakże nie chciał jej okłamywać.

– Niestety, lady Camelio, dziedzina archeologii jest mi raczej obca i zazwyczaj nie bywam w miejscach, gdzie mógłbym mieć przyjemność poznać pani ojca. – Mówił przeproszającym tonem.

Camelia skinęła głową. Raczej nie powinna się spodziewać, by znał jej ojca. Biorąc pod uwagę wszystko, co słyszała o panu Kencie, wydawało się jasne, że większość czasu spędzał zamknięty w swojej pracowni.

–Mój ojciec poświęcił życie badaniu archeologicznych bogactw Afryki w czasach, kiedy świat interesuje się niemal wyłącznie sztuką i zabytkami starożytnego Egiptu, Rzymu i Grecji. Bardzo niewiele dokonano, jeśli chodzi o opisanie historii ludów Afryki.

–Obawiam się, że wiem niewiele o Afryce, lady Camelio. Z tego, co pamiętam, Afrykę zamieszkują głównie plemiona nomadów, którzy od tysięcy lat prowadzą bardzo proste życie. Nie sądziłem, że może tam być coś wartościowego, z wyjątkiem, rzecz jasna, diamentów.

–Afryka nie obfituje w starożytne budowle i dzieła sztuki, jakie odkryto gdzie indziej na świecie – przyznała Camelia. – A jeśli je ma, to jeszcze nie zostały odnalezione. Jednak zdaniem mojego ojca Afryka stanowiła kolebkę cywilizacji dużo starszych niż te, które istniały gdziekolwiek indziej na świecie. Kiedy Karol Darwin przedstawił teorię o pochodzeniu

człowieka od małpy, większość naukowców go wykipła, zaś mój ojciec upewnił się jeszcze bardziej co do wyjątkowego znaczenia Afryki w ewolucji gatunku ludzkiego.

–A jak to się ma do mojej pracy nad silnikami parowymi?

–Dwadzieścia lat temu mój ojciec odkrył w Afryce Południowej tereny, na których mogło niegdyś mieszkać starożytne plemię. Zakupił jakieś sto pięćdziesiąt hektarów ziemi i rozpoczął wykopaliska, które zaowocowały wieloma podniecającymi znaleziskami. Kontynuuję dzieło ojca i potrzebuję pańskiej pompy parowej.

–Sądziłem, że wykopaliska archeologiczne prowadzi się głównie za pomocą łopat, wiader i pędzli.

–W istocie. Jednak wykopaliska w Afryce stawiają szczególne wyzwania. Kiedy zdejmie się pierwszą warstwę stosunkowo miękkiego gruntu, ziemia staje się wyjątkowo twarda i trudna do przebicia. Ponadto otwory wypełnia woda, jeśli kopie się w pobliżu łożyska wody. Do tego dochodzi pora deszczowa, która może trwać od grudnia do końca marca. W tej chwili teren wykopów jest całkowicie zalany wodą, tak że robotnicy nie mogą prowadzić prac.

–Z pewnością w Afryce Południowej są napędzane parą pompy – powiedział Simon.

–Trudno je dostać.

Camelia starała się mówić lekkim tonem. Nie chciała zdradzać Simonowi, jakie trudności napotkała, chcąc zdobyć pompę. Gdyby wiedział, że jej sprzęt został celowo zniszczony albo że jej zdaniem De Beers Company poleciła firmom zajmującym się pompami nie wynajmować jej żadnych maszyn, mógłby uznać, że spółka z nią jest przedsięwzięciem zbyt ryzykownym.

– Istnieje tam monopol, kontrolowany przez De Beers Company – ciągnęła – a jego głównym zadaniem jest, oczywiście, świadczenie usług kopalniom diamentów. W tej chwili nie jestem w stanie ani kupić, ani wynająć pompy, co powoduje zastój w pracach wykopaliskowych. Przeczytawszy jednak pański artykuł, doszłam do wniosku, że pańska pompa znacznie przewyższa wszelkie urządzenia używane w Afryce Południowej. Dlatego przyszedłam do pana.

– A co skłania panią do twierdzenia, że moja pompa jest lepsza?

– Pisze pan o tym, że obecnie używane turbiny są skrajnie nieskuteczne. Dowodzi pan, że dużo więcej energii można uzyskać, jeśli siła pary rozłoży się na kilka etapów, dzięki czemu turbina osiągnie wyjątkową prędkość, powodując, że akcja pompowania będzie przebiegać szybciej i skuteczniej. Jako że przedmioty, które wydobywam, mogą ulec zniszczeniu na skutek długotrwałego zetknięcia z wodą i ogromnie mi zależy, aby prace posuwały się naprzód, sędzę, że pańska pompa jest dla mnie najlepszym rozwiązaniem.

A więc przeczytała artykuł, stwierdził Simon. Co jeszcze bardziej zdumiewające, wydawało się, że go zrozumiała. Przeczesał palcami włosy i rozejrzał się po pokoju, usiłując sobie przypomnieć, gdzie położył notatki i szkice dotyczące pomp parowych. Zaczął grzebać w stosach papierów rozrzuconych po podłodze, po czym podszedł do jednego ze stołów, które nie ucierpiały na skutek zderzenia z lady Camelią, i kontynuował poszukiwania.

–Dlaczego silnik miał wprawić w drżenie tę balię? – zapytała Camelia.

–Silnik nie powinien wywołać wstrząsów. Miał obracać łopatkami wewnątrz, które z kolei przepuszczałyby wodę przez ubrania. Niestety mechanizm nie zadziałał tak, jak się spodziewałem.

Camelia ze zdumieniem popatrzyła na ogromne urządzenie.

–To znaczy, że to jest gigantyczne urządzenie do prania?

–To wczesny prototyp – odparł *Simon*. – W obecnych maszynach stosuje się drewnianą balię i łopatki obracane turbiną. Próbuję stworzyć maszynę poruszaną siłą pary, aby uwolnić kobiety od męczącego kręcenia korbą.

Chociaż jej doświadczenie z praniem ubrań było dość skromne, Camelia rozumiała, że dla kobiety, dbającej o ubrania wszystkich domowników, urządzenie napędzane parą wodną stanowiłoby ogromne ułatwienie.

–To wspaniały pomysł.

– Wymaga wiele pracy – stwierdził, rzucając zirytowane spojrzenie na mokre ubrania leżące w różnych miejscach na podłodze.

–Bardzo trudno jest uzyskać stałe obroty o odpowiedniej prędkości. Poza tym silnik jest za duży i zbyt drogi. Inną możliwością jest wykorzystanie gazu, ale nieliczne gospodarstwa mają do niego dostęp. Elektryczność to kolejna ewentualność, ale większość domów jeszcze jej nie ma. – Zaczął grzebać pod stosem brudnych naczyń, które sprawiały wrażenie, jakby mogły lada moment zwalić mu się na głowę. – O, jest – powiedział, wydobywając pognieciony rysunek spod patelni. Zrobił miejsce na stole, usiłując wygładzić pogniecioną, poplamioną kartkę. – Podstawą działania silnika parowego jest to, że parę poddaje się ogromnemu ciśnieniu, następnie uwalnia i tworzy w ten sposób siłę, którą można przekształcić w ruch – zaczął *Simon*. – Używając tłoka i cylindra, osiągamy efekt pompowania, co można wykorzystać w wielu dziedzinach, w tym w kopalniach węgla. Starłem się zwiększyć moc silnika, rozkładając uwalnianie pary na etapy.

– Czy osiągnął pan cel?

– Zdołałem podzielić uchodzenie pary i w ten sposób zwiększyć ciśnienie. To, niestety, nie wystarczyło, żeby znacząco podwyższyć wydajność pompy.

Camelia zaniepokoiła się.

–Czy pompa działa na tyle dobrze, żeby osuszyć wykop z wody?

–Oczywiście – zapewnił *Simon*. – Udoskonaliłem ją w ten sposób, że pracuje lepiej niż większość pomp. To jednak za mało, żeby zacząć ją produkować na masową skalę. Materiały, które zastosowałem, są droższe niż te, z jakich na ogół się korzysta, i samo urządzenie montuje się dłużej, więc żaden przedsiębiorca nie uzna produkcji tych urządzeń za opłacalną.

Camelia sądziła, że nieco udoskonalona pompa to lepsze niż nic.

–Czy zechciałby pan mi ją wypożyczyć?

–Niestety, nie mam niczego do wypożyczenia. Rozmontowałem większość maszyny, ponieważ potrzebowałem części do innych rzeczy.

Patrzyła na niego przerażona.

–Ile czasu zajęłoby panu zbudowanie kolejnej?

–Więcej niż mogę teraz na to poświęcić – odparł Simon. – Pracuję aktualnie nad zbyt wieloma projektami. Poza tym ta maszyna stwarza więcej problemów, których na razie nie rozwiązałem.

–Ale to właśnie powinno pana dopingować – powiedziała Camelia. – Jest pan naukowcem, wyzwania z pewnością pana motywują.

–Proszę się rozejrzeć, lady Camelio. Czy naprawdę sądzi pani, że stawiam sobie za mało wyzwań?

–Nie twierdzę, że inne wynalazki, nad którymi pan pracuje, nie są ważne – zapewniła. – Jednakże nie można porównywać wyciskaczy soku z cytryny czy balii do urządzenia, które pozwoli mi wydobyć na światło dzienne istotny fragment historii ludzkości.

–To zależy od punktu widzenia – odparł Simon. – Dla ludzi, którzy co wieczór padają na łóżko, wyczerpani codzienną pracą ponad siły, każdy wynalazek ułatwiający tę pracę ma ogromne znaczenie. Poprawienie jakości życia tysięcy ludzi wydaje mi się jakoś istotniejsze niż wykopanie paru rozkładających się kości i połamanych przedmiotów w afrykańskiej dżicy

–Te rozkładające się kości i przedmioty świadczą o tym, kim jesteśmy i skąd się wzięliśmy – odparowała Camelia, rozwścieczona okazanym lekceważeniem. – Odkrycie naszej historii ma decydujące znaczenie dla nas wszystkich.

–Obawiam się, że bardziej zajmują mnie wynalazki, które wpływają na teraźniejszość i przyszłość. Szanuję archeologię, lady Camelio, jest to jednak dziedzina akademicka, nieinteresująca większości zwykłych śmiertelników. Nie wierzę, żeby miała pani dokonać odkrycia, które ułatwi życie tysiącom ludzi. Ponieważ mam bardzo mało czasu i pracuję nad większą liczbą projektów, niż jestem w stanie podołać, obawiam się, że nie mogę pani pomóc. – Ponownie zabrał się do porządkowania bałaganu na podłodze.

– Zapłacę panu.

Zerknął na nią ciekawie. Twarz miała opanowaną, ale ręce zaciskała tak mocno na torebce, że jej przybrudzone rękawiczki napięły się na kostkach dłoni. Kontynuowanie dzieła ojca miało dla niej najwidoczniej ogromną wagę.

–Naprawdę? Ile?

–Dużo – stwierdziła pewnym łonem. – Zadowolająco.

–Proszę wybaczyć, jeśli wydam się nieuprzejmy, ale wolałbym, aby wyraziła się pani nieco bardziej precyzyjnie. Ile, ściśle rzecz ujmując, wynosi „zadowolająco”?

Camelia zawahała się. Jej zasoby finansowe kurczyły się żałośnie. Miała na koncie ledwie tyle, by powstrzymać przed odejściem garstkę lojalnych pracowników przez kolejne dwa miesiące. Ale pan Kent nie powinien się o tym dowiedzieć. Stojący przed nią rozczochrany mężczyzna wydawał się zmagać z własnymi kłopotami finansowymi, o czym świadczył skromny, nędznie umeblowany dom oraz brak asystenta czy nawet służby.

– Jeśli zbuduje pan pompę natychmiast, panie Kent, gotowa jestem dać panu pięć procent moich zysków przez następne dwa lata. Przyzna pan, mam nadzieję, że to hojna oferta.

Simon zmarszczył brwi.

–Przykro mi, lady Camelio, ale nie jest to dla mnie jasne. O jakich, dokładnie, zyskach mowa?

–Zyskach z tego, co znajdę w miejscu wykopalisk.

–Nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje chłonny rynek na kawałki kości i fragmenty glinianych skorup.

–Istnieje, jeżeli mają wartość historyczną. Kiedy tylko będę miała okazję, aby je zbadać i udokumentować, zostaną sprzedane do kolekcji Muzeum Brytyjskiego z zastrzeżeniem, że zachowam do nich dostęp według własnego życzenia.

–Rozumiem. A jak dużo zarobiła pani w ciągu ostatnich pięciu lat?

–To, ile mój ojciec czy ja zarobiliśmy w przeszłości, nie ma żadnego znaczenia – oznajmiła zdecydowanie. – Sześć miesięcy temu, tuż przed śmiercią, mój ojciec był o krok od odkrycia doniosłej wagi. Na nieszczęście deszcz i pojawienie się wody w wykopie bardzo opóźniły badania.

W gruncie rzeczy wielu robotników uciekło w przekonaniu, że miejsce wykopalisk jest przekłete, nie widziała jednak powodu, żeby podzielić się z nim tą szczególną informacją.

–Dzięki pańskiej pompie parowej – ciągnęła – będę w stanie osuszyć wykopy z wody i błota sto razy szybciej niż przy użyciu siły ludzkiej. Wtedy dopiero znajdę to, czego tyle lat poszukiwał mój ojciec.

–Mianowicie?

Camelia się zmieszała. Cel jej poszukiwań budził bojaźliwe domysły wśród robotników. Kiedy doszło do wypadków, strach przekształcił się w panikę. Simon Kent, naturalnie, był człowiekiem nauki, który zapewne nie wierzył w klątwy i mściwe duchy.

Ale tak czy inaczej, im wiedział mniej, tym lepiej.

– Ojciec szukał artefaktów należących do starożytnego plemienia zamieszkującego te tereny jakieś dwa tysiące lat temu. – To była z pewnością prawda, powiedziała sobie w duchu. Tylko że nie cała.

Na Simonie ta informacja nie wywarła większego wrażenia.

–Jakieś szczątki plemiennych artefaktów? Nie ukryte stopy złota i diamentów? Nie tajemnicze starożytne moce zamknięte w inkrustowanej klejnotami skrzyni?

–Wartość tych szczególnych artefaktów będzie ogromna. – Camelia starała się trzymać temperament na wodzy. – Ojciec spędził ostatnie dwadzieścia lat na próbach dojścia do ważnego odkrycia naukowego, które z pewnością zapoczątkuje nowy dział badań archeologicznych.

– A zatem to, co mi pani oferuje na dziś, to pięć procent niczego – zauważył Simon. – Wziąwszy pod uwagę, że pani ojciec i pani jak dotąd nie dokonaliście owego „naukowego odkrycia”. – Zabrał się do zbierania mokrych ubrań i wrzucania ich z powrotem do balii. – Proszę wybaczyć, jeśli wydam się niewdzięczny, lady Camelio, ale jakkolwiek kusząca byłaby pani propozycja, obawiam się, że muszę odmówić.

Camelia posłała mu spojrzenie pełne gniewu. Simon Kent okazał się zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Oczyma duszy widziała go jako starszego dostojnego pana, człowieka nauki o niezaspokojonym apetycie na wiedzę, jak jej ojciec. Wierzyła, że z chęcią weźmie udział w badaniach, w których jeden z jego wynalazków posłużyłby światu do lepszego zrozumienia własnych korzeni. Wmówiła sobie, że będzie inny niż ci Brytyjczycy spotkani po powrocie, z których większość wydawała się sądzić, że Afryka Południowa to nędzny splacheć suchej ziemi zamieszkały przez barbarzyńców, ląd, który tylko czeka na to, żeby go obrabować z diamentów i złota.

–Zatem dziesięć procent w ciągu dwóch lat – zaproponowała sztywno, podczas gdy on nie przestawał wrzucać ubrań do swojej piekielnej maszyny. Nie zносиła myśli, że jego pomoc jest jej tak rozpaczliwie potrzebna. – Czy to pana satysfakcjonuje?

–To nie tylko kwestia pieniędzy. – Jej determinacja poruszyła Simona. Pragnienie oddania hołdu dziełu życia jej ojca i odniesienia sukcesu tam, gdzie on poniósł porażkę, było godne podziwu. – Nawet jeśli zbuduję dla pani kolejną pompę, co zajęłoby w najlepszym razie kilka tygodni, kto będzie ją obsługiwać, kiedy zostanie przewieziona do Afryki Południowej? Opisała już pani trudne warunki związane z pogodą i klimatem. Moja pompa różniłaby się znacznie od wszystkich pomp będących obecnie w użyciu. Trzeba by ją dostosować do wymogów, które ujawnią się bez wątpienia dopiero na miejscu. Należałoby kogoś przeszkolić, żeby potrafił ją obsługiwać i konserwować, inaczej cała ta maszyna mogłaby okazać się kompletnie bezużyteczna.

Ma rację, przyznała Camelia. Jedyne silnik parowy, jaki udało jej się wynająć zaraz po śmierci ojca, psuł się bez przerwy podczas tych paru dni, kiedy w ogóle działał. Potem przewrócił się w jakiś tajemniczy sposób, ulegając całkowitemu zniszczeniu. Firma zażądała zwrotu pieniędzy za uszkodzenia i odmówiła dalszego wypożyczenia sprzętu.

Urządzenie pana Kenta nie przyniesie pożytku, jeśli nie zatrudnią kogoś z odpowiednimi kwalifikacjami, żeby je obsługiwał.

–Czy pojechałby pan do Afryki, żeby kogoś przeszkolić? Zostałby pan najwyżej tydzień czy dwa – zapewniła pospiesznie. – tylko tak długo, żeby pokazać, jak maszyna działa, i wyjaśnić, jak ją obsługiwać i konserwować.

–W dwa tygodnie można się nauczyć, jak ją obsługiwać, ale potrzeba dalszych tygodni czy nawet miesięcy, żeby dowiedzieć się, jak ją naprawiać i konserwować. Obawiam się, że nie mam ani czasu, ani pieniędzy, żeby w tym celu pożegłować do Afryki, zbyt wiele pracy czeka na miejscu.

–Oczywiście, wynagrodziłabym panu to poświęcenie – dodała Camelia. – Podniosłabym pański udział do dziesięciu procent w ciągu pięciu lat, to z pewnością zadowolające zadośćuczynienie za dodatkowy czas.

–Lady Camelio, niestety nie podzielam pani fascynacji grzebaniem się w afrykańskiej ziemi. Mam nadzieję, że pani to zrozumie.

Camelia zacisnęła usta. Cóż za strata czasu. Spędziła dwa tygodnie, studiując jego artykuły w „The Journal of Science and Mechanics”, pisząc jednocześnie do niego list za listem, uprzejmie prosząc o spotkanie. Zdołała sobie wmówić, że uda jej się przekonać mającego opinię dziwaka, ale obdarzonego geniuszem Simona Kenta, żeby dał jej pompę parową, której tak pilnie potrzebowała. Dwa stracone tygodnie. Wpadła w panikę.

Zerknęła na zatłuszczoną kartkę leżącą przed nią na stole.

– Oczywiście, że rozumiem – powiedziała spokojnie. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pan, że weszłam do pańskiego domu bez zapowiedzi, panie Kent, i dziękuję za rozmowę. – Włożyła ogromny kapelusz na głowę. – Och, mój Boże – wykrzyknęła, przesuwając dłonią z tyłu głowy. – Chyba zgubiłam szpilkę z perłą. Musiała upaść na podłogę, czy gdzieś pan ją widzi?

Simon przebiegł wzrokiem usłaną papierami i różnymi przedmiotami podłogę.

–Tu są jakieś spinki do włosów – powiedział, schylając się, żeby je podnieść – ale nie widzę...

–Och, jest tutaj! Przyczepiła się do kapelusza. – Wbiła szpilkę w luźne włosy i ruszyła w stronę schodów.

– Odprowadzę panią – zaoferował Simon.

–To nie będzie potrzebne – zapewniła wesoło Camelia, wchodząc po schodach na tyle szybko, na ile pozwalały wilgotne, ciężkie spódnice i turniura. Przekroczyła hol i otworzyła drzwi frontowe. – Mam nadzieję, że nie spowodowałam zbyt wiele zamieszania, panie Kent.

Posłała mu swój najśłodszy uśmiech, po czym odwróciła się i zaczęła schodzić po kamiennych schodkach na ulicę.

Simon przyglądał się, jak szeleszcząc ciężkimi spódnicami, z burzą jasnych włosów pod śmiesznym kapeluszem ze zwiędłymi różami, idzie chodnikiem w stronę eleganckiego czarnego powozu. Ciekaw był, dlaczego woźnica nie stanął na wprost drzwi. Może poleciła mu zatrzymać się nieco dalej, żeby sprawić sobie przyjemność krótkim spacerem. Niezależnie od przyczyny, szła szybko i zdecydowanie; ozdobiona koralikami torebka kołysała się na jej nadgarstku. Wieczne niebo przybrało kolor malwy, kiedy doszła do powozu i odwróciła się, żeby mu pomachać.

Otworzyła drzwi i weszła do powozu; śpieszyła się wyraźnie, ponieważ nie zaczęła nawet, aby woźnica zszedł z kozła i podał jej rękę przy wsiadaniu.

Simon stał jeszcze chwilę w holu. W szarawym świetle wieczoru niemal pozbawione mebli pomieszczenie robiło ponure wrażenie. Zastanawiał się, czy nie zapalić lampy gazowej na ścianie, ale tego nie zrobił. I tak rzadko opuszczał pracownię przed północą, a wobec czekających go porządków, z pewnością posiedzi tam do wczesnych godzin porannych. Po drodze do kuchni zauważył, że mokre spodnie oblepiają mu nogi, a przemoczona koszula, rozpięta niemal do pasa, odsłania jego ciało.

Cudownie, pomyślał z ironią. Teraz do opisu jego osoby – pustelnik, roztargniony, wyjątkowo ekscentryczny – dojdzie nowe określenie, a mianowicie ekshibicjonista. Lady Camelia nie wydawała się zwracać uwagi na niedbałość jego stroju, a jeśli było inaczej, niezwykle zręcznie ukryła swoje uczucia. Być może pobyt w Afryce pozbawił ją wrażliwości na reguły panujące w społeczeństwie angielskim. Wątpliwe, aby jej robotnicy w piekącym upale uwijali się w wykrochmalonych koszulach, kamizelkach i marynarkach.

Zdjął ze stołu eksperymentalny zmywak i zaczął ścierać podłogę, usiłując nie myśleć o jej zielonych oczach i o tym, jaka była cudownie miękka i ciepła w tej boleśnie krótkiej chwili, kiedy ją trzymał w ramionach.

– Na Boga, co pani wyprawia? – zapytał dżentelmen o mięsistej twarzy, patrząc na Camelię z drugiego końca powozu. – To nie pani powóz!

– Nie? – Camelia rozglądała się po wnętrzu obitym aksamitem o barwie wina, udając zmieszanie. – Z pewnością wygląda jak mój, poznaję zasłony, jest pan pewien, że nie pomylił się i nie wsiadł do niewłaściwego powozu?

– Całkowicie pewien – odparł stanowczo mężczyzna – jako że właśnie wróciłem ze wsi i ostatnie trzy godziny spędziłem na tym miejscu. Miałem wychodzić, kiedy pani się zjawiała.

Wyjrzała ostrożnie przez okno, obserwując, jak Simon wchodzi do domu i zamyka drzwi.

– Muszę zatem prosić pana o wybaczenie – powiedziała, otwierając drzwiczki powozu. – Kazałam woźnicy czekać tutaj, ale widocznie ustawił się nieco dalej. Najmocniej przepraszam. – Wyskoczyła i ruszyła pospiesznie ulicą, mocno ściskając torebkę.

Serce biło jej gwałtownie; bała się, że pan Kent lada chwila odkryje kradzież rysunku i zacznie ją gonić. Uczucie triumfu zmieszane ze strachem wywołało płytki oddech i szybki krok.

Nie dostała nowoczesnej pompy pana Kenta, ale miała jej niezwykle szczegółowy plan. Znajdzie kogoś, kto ją zbuduje, kogoś, kto będzie dzielił jej wizję rozwoju archeologii. W Londynie nie brakowało innych wynalazców – ludzi stawiających sobie szczytniejsze cele niż wykorzystanie pary do prania bielizny albo wyciskanie ostatniej kropli soku z cytryny

Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła w wąską uliczkę za rzędem domów, zmierzając do miejsca, gdzie zostawiła Zareba z powozem. Jej afrykański przyjaciel gwałtownie protestował, kiedy upierała się, aby nie podwoził jej prosto pod dom pana Kenta, w końcu jednak ustąpił. Nie mogli sobie pozwolić na zwracanie uwagi, a Zareb zawsze przyciągał spojrzenia ciekawskich, dokądkolwiek by się udali.

Trzymała kapelusz jedną ręką, drugą przytulała torebkę do piersi, przeklinając żelazny ucisk gorsetu i niewygodę turniury i halek. Kiedy wreszcie wróci do Afryki, zakopie to wszystko z przyjemnością. Za tysiąc lat jakiś archeolog uzna je z pewnością za narzędzia tortur.

– Witaj, kaczuszeko. – Mocno zbudowany mężczyzna zablokował jej drogę. – Dokąd tak się śpieszysz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ogromna dłoń zamknęła jej usta, tłumiąc okrzyk protestu.

2

– Do diabła, Stanley, możesz ją trzymać nieruchomo?

Niski, okrągły jak pyza mężczyzna, stojący przed Camelią, patrzył z rozpaczą na trzymającego ją olbrzyma.

– Nie mam ochoty, żeby mi podbiła oko.

– Trzymam ją mocno, Bert – odparł przeproszająco Stanley, próbując uwięzić rękę Camelii. – Myślę, że jest przerażona.

– Pewnie, że jest przerażona, ty góro mięsa – warknął Bert. – I tak powinno być – dodał szybko, ściągając czarne, krzaczaste brwi w groźnym grymasie i zbliżając się do Camelii. – Wspaniała dama nie jest przyzwyczajona, żeby mieć do czynienia z dwoma niebezpiecznymi zabijakami, takimi jak my, nieprawdaż, gołąbeczko?

Camelia z całej siły kopnęła go w goleń.

–Cholera! – zaskrzeczał Bert, podskakując na jednej nodze. – Do diabła, widziałeś to? Kopnęła mnie, będę miał szczęście, jeśli niczego nie uszkodziła! – Schylił się, żeby rozmasować bolącą kończynę. – Będziesz trzymał ją mocniej, Stanley, czy mam ci pomóc?

–Przepraszam, Bert – powiedział Stanley, dzielnie walcząc z Camelią, której ogromny kapelusz spadł na ziemię. – Nie mogę trzymać jej rąk i buzi, i jeszcze nóg, czy mam zdjąć rękę z jej twarzy?

–Nie, nie zdejmuj ręki z jej twarzy, ty tępoto, chcesz, żeby zaczęła wrzeszczeć i sprowadziła nam na kark połowę Londynu?

–Może nie będzie krzyczeć, jeśli ją poprosimy

–Oho, to świetny pomysł, nie ma co – parsknął kpiąco Bert, przewracając oczami. – Pewnie, Stanley, po prostu puśćmy ją i poprośmy jaśnie panią, żeby się nie ciskała.

Stanley poruszył dłonią, którą zakrywał usta Camelii.

–Stój, ty wielki ośle! – krzyknął Bert, machając rękami jak spłoszony kurczak. – Nie to miałem na myśli!

–No to dlaczego to powiedziałeś? – zapytał zmieszany Stanley.

–To była ironia, no, wiesz, kiedy się mówi coś, czego się nie ma się myśli.

Stanley, głęboko zdumiony, pokręcił głową.

–Mówisz rzeczy, których nie masz na myśli? To skąd mam wiedzieć, kiedy coś masz na myśli, a kiedy nie?

–Boże, zlituj się, powiem ci, Stanley, w porządku?

– Powiesz mi przed czy po tym, jak będziesz mówił tę ironię? – dociekał zakłopotany Stanley. – Chcę być pewien, kiedy to robisz.

– Na miłość... powiem ci zaraz potem, jasne? Pasuje?

–Lepiej, żebyś mi mówił przedtem – stwierdził Stanley – Wtedy będę wiedział, żeby nie zrobić czegoś, co powiedziałeś, ale nie miałeś na myśli.

–Dobrze więc, powiem ci przedtem, powiem: „Stanley, zaraz powiem coś z ironią”, więc nie przejmuj się tym, w porządku?

Stanley, mocno zmieszany, pokręcił głową.

–Jeśli chcesz, żebym się czymś nie przejmował, to po co to w ogóle mówić?

–Słodka Mario i Józefie, no dobrze! – Małe, czarne oczka Berta sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały wskoczyć z oczodołów.

– W ogóle nic nie powiem, w porządku? A teraz, jeśli to nie jest jakiś kłopot, może zrobimy to, co mamy zrobić?

–Pewnie, Bert – powiedział Stanley uprzejmie. – Co chcesz, żebym zrobił?

–Trzymaj ją mocno, żeby nie zdołała kopnąć mnie jeszcze raz – pouczył go Bert, patrząc na Camelię wściekłym wzrokiem.

–Nie mogę trzymać jej nóg, nie puszczając czegoś innego – wyjaśnił Stanley.

–No to unieruchom jej nogi własną, żeby nie mogła nimi ruszać.

–To nie jest właściwe, Bert – odparł skromnie Stanley. – Może po prostu staniesz trochę dalej, żeby nie mogła cię dosięgnąć?

–Chcę dostać jej torebkę.

–Wezmę ją.

Camelia wyla się gwałtownie w uścisku Stanleya, przyciskając rękę do boku, ale dla olbrzyma nie stanowiła godnego przeciwnika. Zatykając jej usta pełną odcisków dłonią, przytrzymał ją jednocześnie ramieniem. Ściągnął torebkę z jej ręki i rzucił Bertowi.

– No, no, co my tutaj mamy? – mlasnął Bert, otwierając ją. Wyciągnął pomięty rysunek i mu się przyjrzał. – Aha! – Wybałuszył triumfalnie oczy, spoglądając znad kawałka papieru. – Czyż to nie ma czegoś wspólnego z twoimi cennymi wykopaliskami w Afryce, jaśnie pani? Czy ten twój stuknięty w główkę przyjaciel wynalazca dał ci to?

Camelia patrzyła na niego ze spokojem, jakby nie zależało jej zupełnie na kartce.

–Tak myślałem – powiedział Bert, wsuwając szkic do kieszeni. – Co my tu jeszcze mamy? – mruknął, zaglądając do torebki. – Jakies pieniądze?

–Nic nie mówił o zabieraniu jej pieniędzy, Bert – sprzeciwił się Stanley.

–Nic nie mówił o tym, że nie mamy jej zabierać pieniędzy – zauważył Bert, wyciągając małą skórzaną portmonetkę i przeliczając monety, które zawierała. – Odwaliliśmy kawał dobrej roboty i należy nam się udział w zyskach, na tym polega interes. – Wpakował sobie portmonetkę do kieszeni.

–A więc już skończyliśmy? – Stanley rozluźnił nieco uścisk, nie chcąc trzymać Camelii mocniej, niż to było konieczne teraz, kiedy przestała walczyć.

–Nie całkiem. Mam dla ciebie wiadomość, jaśnie pani – oznajmił przeciągle Bert, podchodząc odrobinę bliżej do Camelii. – Trzymaj się z daleka od Afryki – syknął, wyciągając pistolet – jeśli nie chcesz, żeby więcej twoich cennych robotników pożegnało się z tym światem. Tamta ziemia jest przeklęta, to pewne jak to, że tu stoję. Taka świetna dama, jak ty, powinna się od niej trzymać z daleka, inaczej sama kopniesz w kalendarz, zrozumiałaś?

–Przepraszam – rozległ się nagle bełkotliwy głos z końca uliczki i czy któryś z dżentelmenów może mi wskazać drogę do Ślepej Świni?

–Nie! – warknął Bert, piorunując wzrokiem wlokącego się na chwiejnych nogach pijaka.

–To knajpa – dorzucił mężczyzna, jakby sądził, że to wyjaśnienie pomoże im udzielić mu wskazówek. – Z najlepszymi dziewczynkami w tej części Londynu. Jedna z nich to prawdziwy rarytas, Wspaniała Millie, jak ją nazywają, i nie wstydę się powiedzieć, że oddałem jej serce, moją duszę i większość pieniędzy też. – Czknął głośno. Bert skierował pistolet w jego stronę.

– Wynoś się stąd, ptasi mózdzku, albo wypalę ci dziurę w tyłku.

– Wybaczcie. – Mężczyzna zachwiał się. – Chyba mi niedobrze.

Zgiął się wpół, opierając ręce na kolanach.

– Na miłość Chrystusa – mruknął Bert, krzywiąc się, kiedy mężczyzna zaczął wydawać okropne odgłosy, jakby wymiotował. – Może chociaż odwrócisz głowę? – Opuścił pistolet.

– On się źle czuje, Bert – powiedział współczująco Stanley. – Może zjadł coś niestrawnego.

Korzystając z tego, że odwrócili od niej uwagę, Camelia wydała z siebie przekonywujący, jak miała nadzieję, jęk, po czym zwiła bezwładnie w ramionach Stanleya.

–A to co znowu, co się z nią dzieje? – zawołał zaniepokojony Bert. – Coś ty jej, do diabła, zrobił, Stanley?

–Nic nie zrobiłem – odparł Stanley, starając się niezręcznie podtrzymać Camelię, tak żeby nie przewróciła się na ulicę. – Musiała się przestraszyć i zemdlą, mówiłem ci, że się boi, Bert! A ty jeszcze gadasz o zabijaniu, z damami się tak nie rozmawia!

Zgięta jak szmaciana lalka, Camelia wyciągnęła nóż zza cholewy buta, podczas gdy napastnicy klócili się o to, kto spowodował, że straciła przytomność. Jeden silny cios w udo Stanleya zmusi go, żeby ją puścił. Wtedy wyszarpije nóż i rzuci w Berta, który wypuści pistolet, a ona ucieknie.

Raz... dwa... trzy...

Rozległ się rozzierający uszy wybuch, potem następny i następny. Wokół nich eksplodowały kule ognia.

–Pomocy! – pisnął Bert, gnając uliczką tak szybko, jak tylko mogły go unieść krótkie, grube nóżki. – Strzelają do nas, uciekaj, Stanley, ratuj się!

–Chodźmy, jaśnie pani. – Stanley podniósł Camelię, osłaniając ją własnym ciałem. – Ten pijak zwariował!

–Puść mnie! – Porzuciła myśl o poczęstowaniu nieszczęsnego Stanleya sztyletem, zdając sobie sprawę, że olbrzym stara się ją osłaniać.

–Zostaw ją! – rozkazał Simon – albo zrobimy z was miazgę, którą szczury będą zlizywać przez tydzień. – Cisnął za nimi kolejne race, które wybuchły z ogłuszającym hukiem, rozbłyskując czerwonym, zielonym i pomarańczowym światłem.

–Wielki Boże, to cała armia! – jęknął Stanley, tuląc Camelię do piersi, nieświadomy, że dziewczyna ma sztylet.

–Na Boga, Stanley, rzuć ją! – krzyknął Bert, sapiąc ciężko. – Oni chcą jej, nie nas!

–Oni chcą mnie uratować, Stanley – wyjaśniła Camelia, odpychając się od masywnej piersi.
– Po prostu postaw mnie na ziemi.

Stanley, zatroskany, zmarszczył czoło.

–Na pewno nic ci nie będzie, jasnie pani? Nie jest ci już słabo?

–Nic mi nie będzie – zapewniła.

–No dobrze. – Postawił ją na nogach, podtrzymując, aż zyskał pewność, że może sama stać.

W uliczce rozległy się kolejne wybuchy.

– Dalej, Stanley, na miłość boską, biegnij! – wrzasnął Bert.

Stanley posłusznie pogalopował uliczką, żeby dołączyć do przerażonego współnika.

–Gonić ich! – ryknął dramatycznie Simon, podchodząc do Camelii. – Nie pozwólcie im uciec! – Wciąż ciskał w ślad za Stanleyem i Bertem zapalone petardy, aż zniknęli za rogiem ulicy. W końcu odwrócił się do Camelii.

–Pan Kent – westchnęła pełna zdumienia. – Co pan tu robi?

Simon przyglądał jej się, zauważając natychmiast ciemne smugi na twarzy, dziką plątaninę włosów, rozdarcie na ramieniu sukni. Usiłował opanować wściekłość. Kiedy skręcił w uliczkę i ujrzał, jak ogromne byczysko więzi Camelię w uścisku, a mały nadęty drań jej grozi, odczuł gniew, jakiego dotąd nie znał. Na szczęście zdrowy rozsądek powstrzymał go przed wmieszczeniem się w tę scenę jak idiota. Był sam, bez broni i nie pochlebiał sobie, że w pojedynkę poradzi **sobie** z takim olbrzymem jak Stanley – zwłaszcza przy uzbrojonym w pistolet Bercie.

Wówczas przypomniał sobie o petardach w kieszeniach płaszcza.

–Uświadomiłem sobie nagle, lady Camelio, że powóz, do którego pani wsiadła, miał herb lorda Hibberta, który jest przypadkiem jednym z moich sąsiadów. To mnie zaniepokoiło, zwłaszcza kiedy wyjrzałem ponownie i stwierdziłem, że powóz wciąż stoi, widocznie i czekając, żeby zabrać lady Hibbert na wizytę do jednej z jej przyjaciółek. Lord Hibbert powiedział mi, że przez omyłkę wsiadła pani do jego powozu, a potem wyskoczyła i pobięła ulicą. Ciekawość sprawiła, że postanowiłem pani poszukać, żeby sprawdzić, czy zdołała **pani** trafić do własnego powozu. – Uniósł ironicznie brew

–Dziękuję za troskę, chociaż mogę pana zapewnić, że dałabym sobie radę z tymi dwoma złodziejaskami. – Camelia uniosła skraj sukni i wsunęła sztylet za cholewę.

–Czy ma pani zwyczaj chodzić ze sztyletem w bucie?

–Londyn bywa niebezpieczny – stwierdziła. – Między innymi dlatego właśnie mój ojciec tak go nie lubił, wszędzie można się natknąć na złodziei.

–Ci dwaj nie zrobili na mnie wrażenia pospolitych złodziei.

–Oczywiście, że nimi byli – upierała się Camelia. Nie wiedząc, ile Simon zdołał usłyszeć, uznała, że najlepiej przedstawić incydent lekceważąco. – Chcieli tylko mojej torebki i, słodki Boże, zabrali mi **torebkę!**

–Czy tam właśnie schowała pani ukradziony szkic? – Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych uczuć.

–Tylko go pożyczyłam. Nie sądziłam, żeby miał pan coś przeciwko temu, skoro i tak nie był panu potrzebny. Miałam zamiar go zwrócić.

–Wcześniej jednak planowała pani dać go komuś, żeby go skopiował i użył do skonstruowania pompy parowej? Przypuszczam, że według prawa wyniesienie z mojego domu rysunku bez mojej zgody uznane by zostało za kradzież, lady Camelio, jakkolwiek chciałaby pani nazwać to inaczej.

–Ale sam pan powiedział, że nie obchodzi pana ochrona pańskich pomysłów i wynalazków, mówił pan, że nauka i technologia nigdy by się nie rozwinęły, gdyby naukowcy ukrywali swoje odkrycia – argumentowała Camelia. – A ponieważ nie mógł pan poświęcić czasu pompie parowej, nie widziałam niczego złego w tym, żeby pożyczyć od pana rysunek, tylko na trochę. Teraz jednak zaginął, to straszne!

–Jeśli to pani poprawi samopoczucie, ja w gruncie rzeczy nie potrzebuję tego rysunku, projekt jest wyryty w mojej pamięci.

–Ale teraz wiedzą, że jestem w Londynie, żeby zdobyć pompę parową!

– Kto?

–Ci dwaj złoczyńcy – odparła pospiesznie. Nie chciała, aby Simon wiedział, że jest śledzona. – Martwię się tylko, że sprzedadzą pański wynalazek jakiemuś innemu naukowcowi, który zbuduje pompę, przypisze sobie całą zasługę i jeszcze zarobi mnóstwo pieniędzy, korzystając z pana ciężkiej pracy.

–Wzrusza mnie pani troska – stwierdził sucho Simon. – Nie rozumiem tylko, czemu nasi czarujący przyjaciele, Stanley i Bert, tak się interesują tym, co pani robi, i dlaczego wchodzi pani do powozów, które do pani nie należą, i biega pani ciemnymi, odludnymi uliczkami z ukradzionym rysunkiem i sztyletem za cholewą. Czy rzeczywiście powóz gdzieś na panią czeka, czy też jest to kolejna z pani uroczych historyjek?

–Woźnica czeka na mnie na Great Russell, przed muzeum – odparła Camelia. – Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli tam się zatrzyma.

–Niech zgadnę. Kazała mu pani tam stanąć, podczas gdy sama weszła do muzeum niby w zamiarze spędzenia tam paru godzin, jak przystało na córkę znakomitego archeologa, przybyłą z wizytą do Londynu. Potem wymknęła się pani z muzeum inną drogą i udała do mnie, sądząc, że nikt się nie zorientuje, że biega pani po mieście, zamiast skorzystać z powozu.

–To rozsądny plan.

–Pewnie byt taki, aż do chwili, gdy nasi przyjaciele, Stanley i Bert, nie dobrali się do pani. Widocznie nie tak łatwo ich nabrać, jak pani sądzi. Pozostaje pytanie, dlaczego tak bardzo pragną powstrzymać panią przed powrotem do Afryki? Czy pani wykopaliska fascynują ich w jakiś szczególny sposób?

–Mówiłam już, jestem na progu bardzo istotnego odkrycia. Jest wielu archeologów, którzy chętnie przejęliby moje prace i zasługę za moje odkrycia.

– Ci dwaj nie wyglądają na archeologów.

–Oczywiście, że nie, to tylko zbiry wynajęte przez kogoś, kto kazał mnie śledzić i próbował zastraszyć.

–Nie miałem pojęcia, że archeologia jest tak niebezpieczna. Czy domyśla się pani, kto może być tym tajemniczym rywalem?

–Nie. Wszyscy członkowie Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego odrzucają przypuszczenie, że w Afryce Południowej można znaleźć coś ważnego z punktu widzenia nauki, ale ktoś jednak docenia wagę mojego przyszłego znaleziska. Sądzą, że jeśli mnie przestraszą, sprzedam ziemię za bezcen pierwszemu chętnemu. Mylą się. Nigdy nie opuszczę Afryki. I nie zaprzestanę wykopalisk, póki nie wydrę ziemi ostatniego zabytku, jaki da się wydobyć.

– Podziwiam pani determinację.

W jej oczach pojawił się promyczek nadziei.

– A zatem pomoże mi pan?

–Nie. Jestem równie oddany swoim wynalazkom, jak pani poszukiwaniom śladów dawnych cywilizacji w Afryce, lady Camelio. Odprowadzę panią jednak do powozu.

–Nie potrzebuję eskorty – oznajmiła energicznie Camelia, zła, że nie dał się namówić na udział w przedsięwzięciu. – Zapewniam pana, że jestem w stanie dotrzeć do niego samodzielnie, zawsze to robię.

–Proszę pozwolić – naciskał Simon, podając jej kapelusz. – To z pewnością najmniej, co może pani zrobić, żeby wynagrodzić mi kradzież projektu.

– Przed chwilą powiedział pan, że i tak nie był już potrzebny. – Camelia wcisnęła kompletnie zrujnowany kapelusz na głowę. – Twierdził pan, że ma go wryty w pamięci.

–Zatem proszę mi na to pozwolić w charakterze zadośćuczynienia za przybycie pani z pomocą w trudnej sytuacji – zaproponował Simon. – Muszę stwierdzić, że mój występ jako cierpiącego z miłości pijanicy należał do szczególnie udanych.

–Doceniam pana troskę, panie Kent, ale w gruncie rzeczy nie potrzebowałam pańskiej pomocy. Doskonale panowałam nad sytuacją.

–Myślę, że jeśli uważa pani fakt uwięzienia przez dwumetrowego olbrzyma, podczas gdy drugi zbił pani śmiercią, wymachując pistoletem, za przejaw doskonałego panowania nad sytuacją, to owszem, przyznaję, że się to pani znakomicie udało.

–Właśnie miałam ugodzić tego wielkiego drania nożem w udo, kiedy pan się pojawił.

–Doprawdy? Czy zrobiła pani już przedtem coś podobnego?

–Polowałam i pomagałam ćwiartować wielkie zwierzęta nieskończenie wiele razy. Jestem przekonana, że potrafiłabym przekroić mięśnie męskiego uda bez najmniejszego trudu.

–Dzięki za ostrzeżenie. – Podał jej ramię.

–Proszę wybaczyć, panie Kent, ale czy nie obawia się pan pokazywać w tym stroju? Zapomniał pan, jak się zdaje, kapelusza i krawata, a pańska koszula jest rozpięta.

–Wyszedłem z domu raczej pospiesznie. – Simona rozbawiła jej nagła troska o przyzwoitość. – Boję się, że często wychodzę z domu nieodpowiednio ubrany, to skutek nawału zajęć. Czy przeszkadza pani, że nie mam kapelusza?

Camelia patrzyła, jak powoli zapina pogniecioną koszulę na piersi o wyraźnie zarysowanych mięśniach.

–Wcale nie – powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie bez cienia niepokoju. – Przywykłam do widoku mężczyzn bez kapelusza.

–Dobrze. A zatem nie sprzeciwia się pani, żebym zaprowadził ją do powozu? – Zapiawszy koszulę aż pod szyję, ponownie podał jej ramię.

Westchnęła.

– Jeśli to poprawi panu humor, zgadzam się, panie Kent. – Położyła lekko rękę na cienkim materiale płaszcza. Ramię okazało się zaskakująco twarde; ciepło przenikało przez jej bawełnianą rękawiczkę, powodując mrowienie w dłoni.

Szli w milczeniu, aż znaleźli się na spowitej szarym światłem ulicy. Mężczyźni i kobiety w eleganckich wieczorowych strojach spacerowali i mijali ich w powozach, podążając na przyjęcia, kolacje i przedstawienia teatralne. Camelia wiedziała, że tworzą z Simonem dziwną parę – ona w żałośnie pogniecionej sukience i oklapłym kapeluszu na splątanych włosach, Simon w wilgotnych spodniach i pomiętym płaszczu. Przechodnie obrzucali ich spojrzeniami pełnymi dezaprobaty, sądząc najwyraźniej, że nie powinni pokazywać się na przyzwoitej ulicy, albo co gorsza, podejrzewali ich o złe zamiary, jak chęć dobrania się do ich kieszeni. Camelię ogarnęła złość. Zerknęła na Simona, chcąc sprawdzić, czy jego także drażni zainteresowanie, jakie wzbudzali.

Ku jej zaskoczeniu wyraz twarzy miał prawie wesoły. Albo nie zauważał, jak krzywiono się na ich widok, albo było mu to zupełnie obojętne.

– Zapomniałem, jaką przyjemność sprawia wieczorny spacer zauważyć. – Doprawdy muszę częściej wychodzić z pracowni.

–W jaki sposób wywołał pan te wybuchy? – zapytała ciekawie Camelia.

–Użyłem petard, które zrobiłem, żeby zabawić moje młodsze rodzeństwo, a które miałem przypadkiem w kieszeni płaszcza. Chciałem pokazać im je przy najbliższej wizycie.

–Te wielkie kule ognia to były po prostu petardy? Miało się wrażenie, że to palba karabinowa.

–Zwykle się staram, żeby wybuch był duży i hałaśliwy – oznajmił Simon. – Dodaję sole metaliczne i proszek chlorowy, aby wzmocnić kolory i sprawić, żeby paliły się jeszcze żywiej. Matka zawsze narzeka, że pewnego dnia wysadzę coś w powietrze, ale bracia i siostry bawią się doskonale.

– Ile ma pan rodzeństwa?

– Wszystkich razem jest nas dziewięcioro, ale tylko trójka jest jeszcze na tyle mała, żeby duży brat, który potrafi sprawiać wybuchy, robił na nich wrażenie. Reszta pamięta pożary, których o mało nie wywołałem, kiedy jako chłopiec próbowałem stwierdzić, ile prochu potrzeba, żeby odstrzelić wieko garnka, albo przekonać się, ile światła da się uzyskać z lampy olejowej z pięcioma knotami zamiast jednego.

– A czy kiedyś wywołał pan pożar?

–Kilka – przyznał Simon, wruszając ramionami. Skręcili w ulicę, gdzie z pół tuzina powozów czekało przed Muzeum Brytyjskim. Przed jednym z nich zebrał się mały tłumek dzieci i dorosłych, którzy pokazywali sobie coś ze śmiechem. – Na szczęście jednak nigdy nie udało mi się spalić domu, jakkolwiek szef naszej służby, Oliwier, był święcie przekonany że kiedyś do tego dojdzie.

–To mój powóz. – Camelia wskazała skromny czarny powóz, który wzbudził ciekawość dzieci.

– Na co te dzieci patrzą?

– Na woźnicę. Zwykle zwraca na siebie uwagę, gdziekolwiek się znajdzie.

Simon podszedł wraz z Camelią do powozu, żeby zobaczyć, co też takiego fascynującego było w woźnicy.

Na koźle siedział szczupły Afrykanin w wieku co najmniej pięćdziesięciu lat. Skórę miał ciemną jak kawa i porożną zmarszczkami na skutek długoletniego przebywania na gorącym, afrykańskim słońcu. Wyrazista twarz o lekko zapadniętych policzkach świadczyła o tym, że w przeszłości nie zawsze najadał się do syta. Siedział wyprostowany, trzymając wysoko głowę i patrząc wprost przed siebie, tak dumny, że niemal wyniosły; biła od niego szlachetność i siła, które wywarły na Simonie niezwykle wrażenie. Owinięty był wspaniałą szatą, utkaną z lśniących szkarłatów, szafirów i szmaragdów. Na głowie nosił zwykły skórzany kapelusz z szerokim rondem, który zdawał się kłócić z resztą jego egzotycznego stroju, wydawał się jednak o wiele praktyczniejszy niż modne obecnie w Londynie filcowe kapelusze. Ciemna skóra, niezwykła

szata i dziwny kapelusz wystarczyłyby w zupełności, żeby wzbudzić ciekawość przechodniów, nie one jednak wywoływały piski i śmiechy tłumu.

Na jego głowie podskakiwała małpka, rzucająca w gapiów czereśniami.

–Zareb, prosiłam cię, żebyś nie wypuszczał Oskara z powozu – zganiała woźnicę Camelia.

–Chciał zobaczyć dzieci – wyjaśnił Zareb.

–Chyba raczej chciał je nakarmić – mruknęła Camelia. Wyciągnęła ręce do małpki, która zaskrzeczała radośnie i zeskoczyła z głowy Zareba, lądując bezpiecznie w jej objęciach. – Naprawdę, Oskarze, jeśli chcesz ze mną wychodzić, musisz się nauczyć siedzieć w powozie.

Oskar zapiszczał, wyrażając sprzeciw, i owinął szczupłą futrzaną łapkę wokół szyi Camelii.

Ciemne oczy Zareba przesunęły się po Camelii, zauważając żalony stan jej ubrania. Potem spojrzął na Simona. Przyglądał mu się dłuższą chwilę, jakby pragnął przeniknąć przez niechlujny strój i dotrzeć głębiej. W końcu znowu popatrzył na Camelię.

–Czy już możemy wrócić?

–Tak, jedziemy do domu – odparła Camelia, wiedząc, że Zareb nie to miał na myśli. Zwróciła się do Simona: – Dziękuję za odprowadzenie mnie do powozu, panie Kent, i za pospieszenie mi z pomocą. Przepraszam za zamieszanie i zagubienie pańskiego szkicu.

–Nie ma potrzeby przeproszać. – Teraz, kiedy nadeszła chwila pożegnania, Simon znowu czuł dziwną niechęć do rozstania. – Jest pani pewna, że wszystko będzie w porządku?

–Oczywiście – powiedziała Camelia, próbując powstrzymać Oskara przed wyciągnięciem z jej rozjaśnionych słońcem włosów ostatnich szpilek. – Nic mi nie będzie. Jeśli z jakiegoś powodu zmieni pan zdanie, panie Kent, zatrzymałam się przy Berkeley Square 27. Zostanę tam przez parę tygodni, potem wrócimy do Afryki Południowej.

Simon się zawahał. Nie bardzo wiedział, jak należy się pożegnać. Dżentelmen ucałowałby jej dłoń, jednakże w tej chwili obiema rękami starała się odciągnąć małpkę od fryzury.

– Cóż, a więc do zobaczenia, lady Camelio – powiedział sztywno, jakby sądził, że pewnego dnia po prostu wpadnie na nią na ulicy. Otworzył drzwi powozu i wyciągnął rękę, chcąc pomóc jej przy wsiadaniu.

Oskar przebiegł mu po ramieniu, sadowiąc się na głowie.

– Oskar – zawołała Camelia – złaż stamtąd natychmiast!

Oskar pisnął wyzywająco i potrząsnął łebkiem, mocno trzymając Simona za włosy.

– Zejdź natychmiast – rzuciła ostrzegawczym tonem Camelia – albo nie będzie imbirowych herbatniczków po kolacji.

Małpka uśmiechnęła się bezczelnie, pobudzając tłum ludzi przy powozie do nowego ataku śmiechu.

– Na dół, Oskar – powiedział Zareb. – Cierpliwości.

Oskar zawahał się, jakby rozważając sytuację. Potem poklepał Simona po głowie i zeskokczył na wytarty aksamit siedzenia w powozie.

– Przepraszam za niego – odezwała się Camelia. – Zwykle się tak nie zachowuje, jest bardzo dobrze wychowany. – To nie pokrywało się z prawdą nawet w przybliżeniu, ale nie widziała powodu, dla którego miałyby pozwolić Simonowi myśleć inaczej.

– Nic nie szkodzi. Czy zawsze zabiera go pani ze sobą?

– Nie zawsze, ale obawiam się, że w mieszkaniu czuje się uwięziony Przywykł do znacznie większej swobody, ale nie mogę mu pozwolić na samodzielne włóczenie się po Londynie. Ma siedzieć w powozie, kiedy wychodzimy, ale tego nie lubi. Nie jest przyzwyczajony do siedzenia w zamknięciu.

– Rozumiem. – Simon pomógł jej wsiąść i zamknął drzwi.

Camelia spojrzała na niego z nadzieją.

– Czy sądzi pan, że mógłby jeszcze się zastanowić nad moją propozycją, panie Kent?

Simon wahał się, rozbrojony błagalnym wyrazem jej niezwykle zielonych oczu. Przez chwilę kusilo go, żeby się zgodzić. Niestety, był również boleśnie świadomy swoich zobowiązań. Bratu, Jackowi, właścicielowi szybko rozwijającej się morskiej kompanii przewoźniczej, obiecał, że poświęci tyle czasu, ile zdoła, pracom nad udoskonaleniem silników okrętowych. Jack chciał, żeby North Star Shipping mogła poszczycić się najszybszymi statkami na świecie i Simon był gotów na wszystko, żeby mu to zapewnić. Poza tym czekała go praca nad tysiącem innych wynalazków, z pralką włącznie, którą zamierzał przedstawić na spotkaniu Towarzystwa na Rzecz Rozwoju Przemysłu i Technologii już za sześć tygodni. Choćby nudził go ten przyziemny aspekt jego pracy, to jednak nie mógł sobie pozwolić na ignorowanie praktycznych kwestii finansowych. Jak dotąd kilkanaście z jego wynalazków doczekało się produkcji w ograniczonym zakresie, ale dochód nie wystarczał na kontynuowanie prac.

Nawet jeśliby chciał porzucić wszystko i uciec do Afryki z lady Camelią, po prostu nie mógł sobie na to pozwolić.

–Porozglądam się i spróbuję znaleźć kogoś, kto mógłby pani pomóc – powiedział. – Jestem przekonany, że w Londynie jest producent pomp, który zgodzi się, żeby jedną z nich pani wypożyczyć i przewieźć do Afryki.

Camelia skinęła głową, starając się ukryć rozczarowanie. Zdążyła już dyskretnie porozmawiać z producentami pomp w Londynie. Wszyscy odmówili, powołując się na brak odpowiedniego sprzętu albo jej trudności kredytowe. Camelia wiedziała, że nie był to prawdziwy powód odmowy.

Jako monopolisci, kontrolujący rynek pomp w Afryce Południowej, zostali poinstruowani, żeby nie wyposażać Camelii w pompę, jeśli nie chcą narazić się na unieważnienie kontraktów.

–Dziękuję. To bardzo uprzejme z pana strony.

Zareb szarpnął lejce, wprawiając powóz w ruch. Oskar podskoczył, skrzecząc coś do Simona i powodując kolejny wybuch śmiechu w gromadce gapiów.

Simon obserwował, jak powóz toczy się ulicą, zanim skręcił i zniknął w gęstniejącym mroku. W końcu ruszył swoją drogą – z powrotem do domu – czując się dziwnie samotny.

Wyczuł dym na długo, zanim go zobaczył.

Minął róg ulicy i jego oczom ukazał się tłum przed jego domem; dum, który wpatrywał się zafascynowany w tańczące w oknach jaskrawo–pomarańczowe płomienie.

Słodki Jezu.

Strach ścisnął go za gardło. Zdawał sobie niejasno sprawę z brzęczących dzwonek gdzieś w oddali, które wskazywały, że Miejska Straż Pożarna, wyposażona w ciągnięte przez konie pompy, jest w drodze. Grupa około dwudziestu mężczyzn ustawiła się szeregiem, podając sobie z rąk do rąk wiadra z wodą. Ostatni, mocno zbudowany strażak wylewał je dzielnie na płonący dom. Woda rozchłapywała się bezużytecznie na ceglanych ścianach, nie będąc w stanie dosięgnąć ognia wewnątrz.

–Dajcie mi przejść! – krzyknął Simon, torując sobie drogę przez gromadę gapiów. – To mój dom! Puśćcie mnie!

–To on! – wrzasnął jakiś głos. – Wynalazca Kent! Nie ma go w domu!

Tłum sapnął i rozstał się, tworząc dla niego wąską ścieżkę.

– Zawsze wiedziałem, że spali dom – mruknął ktoś obok niego.

– To przez te wszystkie głupie wynalazki.

–Będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli skończy się na jego domu – dodał ktoś inny.

–Jak wiatr zawieje, zajmie się cała ulica – parsknął jeszcze ktoś.

– Patrzcie tylko, jakie wysokie są płomienie.

– Trzeba było cię wyrzucić! – krzyknęła gniewnie jakaś kobieta.

– Prawo powinno tego zabraniać.

Simon nie zwracał na nich uwagi, skupiając się na objętym pożarem domu. Wiedział doskonale, że nie byli zachwyceni sąsiedztwem wynalazcy. Zwłaszcza wynalazcy o nieciekawym pochodzeniu. Gorąco jeszcze się wzmogło, a powietrze zgęstniało od dymu i popiołu. Duszący dym buchnął z otwartych drzwi frontowych, ale hol i schody spowijała ciemność, świadcząc o tym, że ogień jeszcze tam nie dotarł. Simon zrzucił płaszcz i przytknął go do twarzy, biegnąc w stronę wejścia dla służby z boku kuchni.

– Nie próbuj tam wejść! – krzyknął jeden z mężczyzn, podających wiadra. – Nie warto dla paru śmieci!

Simon ledwie go słyszał. Zajrzał do swojej pracowni, mrużąc oczy od żaru i dymu. Na podłodze walały się szczątki niemal jedenastu lat pracy. Książki i papiery paliły się wszędzie, a wszystkie stoły, na których stały niezliczone prototypy, przedmioty w trakcie opracowywania i inne rzeczy, przewróciły się. Cenna pralka, która, jak się spodziewał, miała za jakieś dwa miesiące zrewolucjonizować na zawsze pranie garderoby, leżała na boku. Ogromna beczka wyleciała z ramy i potoczyła się na bok, odsłaniając przed płomieniami stalową konstrukcję silnika parowego.

–Przepraszam, sir, ale najlepiej będzie, jeśli pan odejdzie – odezwał się ktoś. – Nie jest bezpiecznie stać tak blisko, okna mogą trzasnąć lada moment. Nic już pan nie może zrobić.

Simon odwrócił się; za nim stał młody strażak Przybyły właśnie trzy konne pompy i trzydziestka strażaków trudziła się, żeby je wprawić w ruch i zacząć polewać dom. Choć uwijali się żwawo, Simon wiedział, że nie mają nadziei na uratowanie domu, może jedynie szkieletu. Próbowali tylko walczyć o to, żeby płomień nie przeniosły się na domy obok.

–Czy słyszał pan kiedyś o pożarze, który przewraca stoły i ciężkie urządzenia o wadze ponad pięciuset kilogramów?

Strażak spojrzał na niego zmieszany.

–Nie, sir, chyba że miał miejsce jakiś wybuch.

Simon rzucił ostatnie, smutne spojrzenie na ruiny swojej pracowni, usiłując zapanować nad bezsilną wściekłością.

–Ja także nie.

3

Zareb zmierzał powoli w stronę jadalni, trzymając cenną kopertę w pomarszczonych ciemnych dłoniach.

Przebyła całą drogę z Afryki Południowej i znaczyły ją załamania, plamy i zmarszczki zdradzające długą, ciężką podróż. Wędrowała konno, pociągiem i statkiem – przez prawie trzy tygodnie płynęła po wzburzonym oceanie. Ścisnął ją mocniej, żałując, że nie może poczuć upału, z którego przybyła. Tęsknił za afrykańskim słońcem, które płonęło niczym obręcz roztopionego złota na jaskrawobłękitnym niebie. W Londynie niebo na ogół przesłaniały chmury, a w powietrzu wisiał paskudny śmierdzący dym, wytwarzany przez dziesiątki tysięcy płonących od rana do wieczora piecyków węglowych. Domy wydawały się wyrastać jedne z drugich, tworząc płataninę cegły i kamienia, która przypominała Zarebowi więzienie. Ludzie wewnątrz gnieździli się w ciemnych izbach obwieszonych ciężkimi draperiami i zastawionych meblami. W owym

miejscu zwanym Londynem brakowało przestrzeni, powietrza, światła i z tego, co widział, także radości.

Im szybciej zabierze Camelię do domu, tym lepiej.

Zastał ją w jadalni, z pochyloną głową i zmarszczonym czołem, gdy zastanawiała się nad listem, który właśnie pisała. Oskar siedział obok na stole, objadając się orzeszkami ziemnymi i zaścielając stół i dywan łupinkami. Odkąd przyjechali do Londynu, małpka nie miała wiele do roboty poza psoceniem i jedzeniem. Zareb uważał, że kiedy jadła, to przynajmniej nie szykowała niespodzianek. Miał tylko nadzieję, że nie zje czegoś, co mogłoby jej zaszkodzić na żołądek, i nie utuczy się tak, że nie będzie mogła się poruszać ze zwykłą zręcznością. Niebawem próżny, należący do Camelii ptak o imieniu Harriet siedział na oparciu krzesła, podziwiając swoje odbicie w owalnym lustrze, które Camelia zawiesiła dla niego na żyrandolu. Ptak zaskrzeczał i wzburzył piórka, kiedy Zareb wszedł do pokoju.

– Przyszedł list, Tisho – powiedział Zareb, zwracając się do niej afrykańskim imieniem, które nadał jej w dzieciństwie. – Od pana Trafforda. – Zamilkł na chwilę, chcąc się przekonać, czy chce wiedzieć więcej.

– I co?

– Wieje ciemny wiatr. – Nie powiedziałby jej, gdyby nie pytała. Nie lubił jej obciążać bardziej, niż to było konieczne. – To wszystko, co czuję.

Camelia skinęła głową. Oczywiście, że wiał ciemny wiatr. W ciągu ostatnich paru miesięcy, w jej odczuciu, wiał tylko ciemny wiatr, więc dlaczego dzisiaj miałyby być inaczej? Westchnęła i odłożyła pióro. Może Zareb się mylił. Nie przypominała sobie, co prawda, kiedy się rzeczywiście pomylił, ale czasami wyrażał się na tyle niejasno, że różnie można było jego słowa interpretować. Ciemny wiatr. Świetnie, powiedziała sobie w duchu, panując nad niepokojem, który ścisnął ją za gardło. Wzięła kopertę od Zareba i rozerwała. Zobaczmy, co nam dzisiaj przynosi ciemny wiatr.

–Doszło do kolejnego wypadku przy wykopach – powiedziała cicho, szybko przeglądając list od pana Trafforda, zarządcy. – Usiłowali usunąć wodę ręcznie, ale teren jest wciąż zalany i ściany, które utworzyliśmy na południowym wschodzie, straciły stabilność. Jedna zapadła się niespodziewanie, zabijając Moswena i raniąc czterech innych. Dziewięciu robotników odeszło.

Odłożyła list i przelknęła ślinę. Moswen był dobrym człowiekiem. Pracował dla niej zaledwie dwa miesiące, ale był silny i pełen zapału, i wydawał się szczerze uradowany, kiedy zdarzyło się im coś znaleźć. A teraz zginął przez nią. A czterej ludzie odnieśli rany. Pan Trafford nie napisał, jak poważnie zostali zranieni, ale Camelia wyobrażała sobie siłę, z jaką osunął się mur. Podniosła rękę do czoła, czując nagły ból w skroni.

–Jest coś jeszcze – powiedział Zareb. To było stwierdzenie, nie pytanie.

Camelia pokiwała głową.

–Pozostali robotnicy zyskali pewność, że miejsce jest przeklęte. Mówią, że odejdą, jeśli nie podwyższą im gaży, żeby wynagrodzić im to, że narażają siebie i swoje rodziny, pracując w

przeklętym miejscu. Obiecał im pieniądze, żeby pracowali dalej, dopóki nie przyślę jakiejś wiadomości. Pyta, co ma robić.

Zareb czekał.

–Napiszę do niego i powiem, żeby dał każdemu dodatkowe piętnaście procent do wypłaty przy wygaśnięciu kontraktu.

–To ich nie zadowoli, Tisho – stwierdził cicho. – To tylko ludzie i się boją. Boją się, że mogą nie dożyć do końca kontraktu. Musisz im dać coś od razu jako dowód wiary. Musisz im pokazać, że lojalność zostaje nagrodzona.

–Jak mogę zapłacić im teraz, kiedy nie mam nawet dość pieniędzy, żeby dać im to, co jestem winna?

–Dostaniesz pieniądze. Pojawią się wkrótce.

–Kiedy? Jak?

–Pojawią się – upierał się Zareb. – Dostaniesz je. Tyle wiem.

Camelia westchnęła.

– Doceniam twoją wiarę, Zarebie, ale jak dotąd nie zdołałam osiągnąć nic, co pozwoliłoby kontynuować prace. Najstarsi przyjaciele ojca odmówili wsparcia, bo teraz, kiedy tata nie żyje, nie wierzą, żebym odniosła sukces tam, gdzie jemu się nie powiodło. Żaden z producentów pomp w Londynie nie zaopatrzy mnie w sprzęt. Twierdzą, że to ryzykowne przedsięwzięcie albo że nie mają odpowiedniej maszyny, ale wiem, że działają na polecenie De Beers Company. Moją ostatnią nadzieją był pan Kent, a on też mi odmówił.

Otóż jej ostatnią, choć i tak nikłą nadzieją był rysunek Simona. Nie знаła nikogo innego w Londynie, kto byłby zdolny zbudować pompę parową, a kto nie pracował już dla jednego z wielkich przedsiębiorców, którzy nie chcieli z nią rozmawiać. Nie mówiła Zarebowi, że ukradła rysunek Simonowi. Zareb był człowiekiem o niezłomnym honorze i uczciwości.

Choć bezgranicznie kochał Camelię i życzył jej powodzenia, nie pochwaliby kradzieży jako drogi do osiągnięcia celu.

–Pan Kent ci pomógł – zaproponował Zareb. – Przyszedł z pomocą w tym zaułku.

–Nie potrzebowałam jego pomocy – sprzeciwiła się Camelia. – Panowałam nad sytuacją.

Wygląd jej stroju, kiedy doszła do powozu, nie pozwolił jej ukryć przed Zarebem zajścia z dwoma mężczyznami, którzy usiłowali ją zastraszyć. Przedstawiła to zdarzenie jako zwykły napad rabunkowy dwóch niezręcznych złodziei. Zapewniła go, że zaskoczyli ją tylko dlatego, że szła zamyślona, nie zwracając uwagi na otoczenie – błąd, którego więcej nie powtórzy. Nie mogła dopuścić, żeby Zareb sądził, że grozi jej niebezpieczeństwo. Stary przyjaciel i tak martwił się o nią bezustannie i dlatego nie zgodził się puścić jej samej do Anglii. Źle przyjąłby wiadomość, że ktoś wynajął pospolitych zbirów, żeby strachem wymusili na niej porzucenie wykopalisk.

Jego zdaniem i tak Londyn był brudny, barbarzyński i roił się od złoczyńców

– Pan Kent przyjdzie znowu – oznajmił Zareb. – Nie chce, ale przyjdzie.

Camelia spojrzała na niego powątpiewająco.

–Skąd wiesz?

–Wiem.

Westchnęła. Rozumiała, że obrazi go, zadając więcej pytań. Kiedy Zareb twierdził, że wie o czymś, nie odstępował od tego z uporem psa pilnującego zdobyczy.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi frontowych; przestraszona Harriet zaskrzeczała i przefrunęła nad stołem. Oskar skoczył ku Camelii i przewrócił kałamarz, gdy wskakiwał na jej ramię.

–Och, nie, mój list! – Camelia chwyciła list, patrząc z rozpaczą, jak czarne krople ściekają na porysowaną powierzchnię stołu. – Jest do niczego.

Oskar zapiszczał gwałtownie i oskarżycielsko pod adresem Harriet po czym wtulił mordkę w szyję Camelii.

–To nie jest dobre miejsce dla Oskara – zauważył Zareb. – Czuje się jak w pułapce. – Wyszedł z pokoju z szelestem wspaniale barwnych szat.

–Wszystko w porządku, Oskarze – szepnęła Camelia, gładząc plecy skruszonej małpki. Odłożyła zniszczony list na stół, wyjęła poplamioną lnianą chusteczkę i zaczęła energicznie wycierać atrament, żeby nie spłynął na dywan. – To był wypadek

–Przyszedł lord Wickham, jaśnie pani – obwieścił uroczyście Zareb.

Wysoki przystojny młody człowiek o jasnych włosach i oczach wszedł do jadalni.

–Elliott! Jak dobrze cię widzieć! – Camelia podbiegła do niego, ujmując z zapalem wyciągnięte dłonie. – Och, nie – jęknęła, patrząc z przerażeniem na czarne plamy, jakie zostawiła na jego skórze. – Tak mi przykro!

–Nic nie szkodzi, Camelio. – Elliott szybko wydobyl starannie złożoną białą chusteczkę z kieszeni modnie skrojonego zakietu i wytarł dłonie, skóra z czarnej zrobiła się szara. – Widzisz? Tym razem byłem przygotowany – mówił lekko kpiącym tonem.

Wciąż przywierając do szyi Camelii, Oskar zaskrzeczał z irytacją.

Elliott zmarszczył brwi.

–Widzę, że Oskar wciąż mnie nie lubi.

–On nie **lubi** większości **ludzi** – zauważyła Camelia, usiłując uwolnić ramię z uścisku małpki. – Myślę, że tutaj jest jeszcze gorzej. Wszystko wydaje mu się takie obce.

–Zna mnie od lat, Camelio, więc mógłbym się spodziewać, że uzna mnie za kogoś bliskiego.

–Cóż, nie sądzę, żeby dobrze mu robiło zamknięcie w domu tak długo – dodała Camelia, krzywiąc się, kiedy uparta małpka wbiła pazurki w jej ramię. – Dostyc tego, Oskarze – powiedziała karcąco, odrywając jego łapkę. – Idź do Zareba. – Wyciągnęła zwierzątko w stronę służącego.

Elliott spojrział na niego oczekująco, spodziewając się, że Zareb odejdzie.

Ten jednak odwzajemnił spojrzenie ze spokojem i pozostał na miejscu.

–Może moglibyśmy napić się herbaty, Zarebie – podsunął Elliott.

–Dziękuję, lordzie Wickham, nie chce mi się pić.

Elliott lekko zacisnął usta.

–Nie ty, Zarebie. Lady Camelia i ja.

Zareb zwrócił się do Camelii.

–Czy napiłabyś się herbaty, Tisho?

Camelia westchnęła w duchu. Napięcie między obu mężczyznami istniało od czasu, gdy miała trzynaście lat, kiedy Elliott przybył do Afryki, aby pracować z jej ojcem.

–Tak, Zarebie, bardzo chętnie, jeśli zechciałbyś ją dla nas przygotować.

–Dobrze, Tisho. – Zareb zwrócił się teraz do Elliotta: – Czy pan także, wasza lordowska mość, napiłby się herbaty?

Camelia widziała, jak Elliott skinął głową, najwyraźniej zadowolony, że Zareb spełnia jego życzenie. Biedny Elliott nie rozumiał Zareba i nie zorientował się, że ten właśnie zaoferował mu herbatę jako gospodarz, zamiast przynieść ją w charakterze służącego. Różnica była subtelna.

Dla Zareba jednak *zasadnicza*.

–Powinnaś była mnie posłuchać i zostawić go w Afryce – powiedział Elliott po wyjściu Zareba. – Mówiłem, że Londyn to nie miejsce dla starego sługi. On po prostu nie rozumie, jak należy się tutaj zachowywać.

–Zareb nie jest moim służącym, Elliotcie – zauważyła Camelia. Był przyjacielem mojego ojca, a mną opiekuje się przez całe życie. Nigdy nie pozwoliliby mi przyjechać samej do Londynu.

–Był służącym twojego ojca – odparł Elliott. – To, że jego i twojego ojca połączyła jakaś dziwna przyjaźń, tego faktu nie zmienia, i chociaż rozumiem, że Zareb cię uwielbia, to jednak nie ma prawa wpływać na twoje decyzje. Nie należało go zabierać, ani tej śmiesznej małpki czy ptaka, skoro już o tym mowa. Ludzie gadają i ogromnie im się nie podoba to, co mówią.

–Nie interesuje mnie, co ludzie o mnie mówią – oznajmiła Camelia. – Nie mogłam zostawić Zareba. A ponieważ nie wiedziałam, na jak długo wyjedziemy, a biedny Oskar nie byłby w stanie

zrozumieć, że wrócimy, nie miałam wyboru i musiałam zabrać także i jego. Gdybym go zostawiła w Afryce, próbowałyby mnie znaleźć i zgubiłby się.

–Na Boga, Camelio, to mała. Jak mógłby się zgubić w Afryce?

–Nawet małpy mają domy, Elliotcie. Dom Oskara jest przy innie i Zarebie. Gdybyśmy go porzucili oboje, zrobiliby wszystko, żeby nas odszukać. – Przesunęła wzrok na dywan, a potem znów szybko na Elliotta. – Może przejdziemy do salonu – zaproponowała nagle z ożywieniem, chwytając go za ramię – i usiądziemy, czekając **ni** herbatę?

Elliott, zaniepokojony, spojrzał na podłogę.

–Dobry Boże! – zawołał, odskakując od pomarańczowo–czarnego węża wijącego się przy jego bucie. – Camelio, cofnij się, może być jadowity!

–Tylko trochę. – Camelia schyliła się, żeby podnieść stworzenie długie na pół metra. – Rupert jest wężem tygrysim, toteż jego jad nie jest szczególnie trujący dla ludzi. Myślę, że zaintrygowały go twoje buty, zazwyczaj trzyma się na uboczu.

Elliott popatrzył na nią z niedowierzaniem.

–Nie powiesz mi, że jego także zabrałaś.

–Nie zamierzałam go zabierać, wślizgnął się do jednej z waliz w trakcie pakowania. Kiedy go odkryłam, zdążyliśmy już wypłynąć w morze. Nie sprawiał kłopotu. Dopóki jest syty i ma ciepłe miejsce, gdzie może się zwinąć w kłębek, jest zadowolony z życia.

–Niezwykle miło mi to słyszeć – wykrztusił Elliott, niespokojnie zerkając na węża.

–Rupercie, zostań tutaj z Harriet i zachowuj się – poleciła Camelia, kładąc węża o wylupiastych oczach na jednym z podniszczonych krzesel. – Wrócę niedługo, żeby dać ci lunch. – Zamknęła drzwi jadalni i poprowadziła Elliotta po schodach na górę, do salonu.

–Martwię się o ciebie, Camelio – zaczął Elliott, sadowiac się na sofie. – Po prostu nie możesz dłużej tak żyć.

–Jak?

–Mieszkać sama w domu z tą dziką menażerią. Ludzie plotkują o tobie. Mówią niestworzone rzeczy.

–Po pierwsze, nie mieszkam sama. Mieszkam z Zarebem.

–Co stanowi problem. Jako niezamężna kobieta nie powinnaś mieszkać z mężczyzną, nawet jeśli to tylko służący. To nie uchodzi.

Camelia powstrzymała się przed ponownym wyjaśnieniem, że Zareb nie jest jej służącym.

–Uchodzi czy nie, taka jest moja sytuacja. Wiesz, że Zareb opiekował się mną, odkąd byłam małą dziewczynką, Elliotcie, więc dziwi mnie, że znajdujesz coś niestosownego w tym, że wciąż ze mną mieszka. Nic się nie zmieniło.

– Twój ojciec umarł, co zmieniło wszystko – upierał się Elliott. – Wiem, że trudno ci to zrozumieć, Camelio. Większość życia spędziłaś, towarzysząc ojcu na wykopaliskach, mieszkając w namiocie wśród tubylców, bez prawdziwej guwernantki czy przyzwoitki. I podczas gdy twój ojciec chciał, abyś zgodnie ze swoim życzeniem, była przy nim, i pozwalał ci prowadzić życie nieodpowiednie dla młodej dziewczyny, to teraz, kiedy go zabrakło, naprawdę powinnaś pomyśleć o swojej reputacji.

– Reputacja interesuje mnie jedynie w odniesieniu do moich osiągnięć jako archeologa. Jeśli ludzie muszą o mnie mówić, to powinni się raczej skupić na mojej pracy, a nie na tym, z kim mieszkam czy jakie zwierzęta przywiozłam ze sobą z Afryki. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego to kogokolwiek zajmuje.

– Co ludzie powinni robić, a co robią, to dwie różne rzeczy.

– Chcesz czy nie, twoja reputacja jako niezamężnej kobiety wpływa na twoją reputację jako archeologa. Przyjechałaś, żeby zebrać fundusze na badania, powiodło ci się?

– W pewnym stopniu tak. Ale jeszcze nie skończyłam.

Nie chciała, aby Elliott wiedział, jakie ogromne trudności napotkała, zbierając pieniądze. Od śmierci ojca usiłował przekonać Camelię, żeby zaprzestała wykopalisk i sprzedała ziemię. Elliott pracował u boku jej ojca przez piętnaście lat. Chociaż miłość do Afryki i lojalność wobec lorda Stamforda kazała mu zostać tam przez tyle lat, to jednak z upływem czasu nabierał przekonania, że nie znajdą niczego wartościowego. Darzył Camelię serdeczną przyjaźnią i starał się ją chronić; dziewczyna wiedziała, że nie chciał, aby wydała te skromne pieniądze, jakie zostawił jej ojciec, i poświęciła być może długie lata na bezowocne badania.

– Ile pieniędzy udało ci się zebrać? – zapytał.

– Dość, żeby starczyło na trochę – odparła wymijająco. Oczywiście nie mogłoby starczyć na dłużej, gdyby Camelia musiała dodatkowo zapłacić robotnikom, żeby ich zatrzymać, ale Elliott nie musiał tego wiedzieć. – Spodziewam się, że wkrótce zdobędę więcej. Zamierzam w tym tygodniu, na balu, porozmawiać z członkami Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego i opowiedzieć im o wykopaliskach. Jestem pewna, że kiedy usłyszą o niezwykłych malowidłach naskalnych, które odkryliśmy w październiku, chętnie udzielą nam wsparcia.

– Malowideł naskalnych nie można przewieźć do muzeum – zauważył Elliott. – Członkowie Towarzystwa wolą wspierać przedsięwzięcia, które zapewnią im zwrot inwestycji, jak w wypadku przedmiotów, które można zabrać i sprzedać do kolekcji.

– Z pewnością takie znajdziemy, kiedy osuszymy teren wykopalisk i zaczniemy kopać.

– Udało ci się zdobyć pompę?

– Zdobędę ją.

– Miałaś jakieś wiadomości od Trafforda?

– Dostałam list dziś rano. Wciąż usiłują usunąć wodę wiadrami.

–Czy to wszystko, o czym pisze?

–Na nieszczęście ściana osunęła się i zginął jeden z robotników, dobry, pracowity człowiek o imieniu Moswen. Czterech innych zostało rannych.

Elliott pokręcił głową.

–Teraz reszta będzie jeszcze bardziej przekonana, że miejsce jest przeklęte.

–Oboje wiemy, że to bzdura. Nie ma czegoś takiego, jak klątwa.

–Nieważne, w co ty i ja wierzymy, Camelio, istotne jest, w co wierzą tubylcy. Jeśli nie będziesz miała nikogo do pracy, ziemia stanie się bezwartościowa. – Spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem. – Powinnaś rozważyć ofertę De Beers Company w sprawie kupna ziemi, Camelio. Ich oferta jest bardzo korzystna, zważywszy, że ta ziemia nie wydaje się przedstawiać większej wartości.

–Wierzę, że ta ziemia przedstawia niezmierną wartość, Elliotcie.

–W ciągu dwudziestu lat twój ojciec nie natrafił na choćby jeden diament.

–Ojciec nie szukał diamentów.

–Chcę tylko powiedzieć, że biorąc pod uwagę twoją obecną sytuację finansową, masz szczęście, że De Beers Company pragnie nabyć ten kawałek ziemi tylko po to, żeby rozszerzyć swoje posiadłości wokół Kimberley.

–Mówiłam ci już, Elliotcie, nigdy nie sprzedam ziemi De Beers, żeby zniszczyli ją w poszukiwaniu diamentów, czy zrobią to w przyszłym roku, czy za pięćdziesiąt lat. Ta ziemia to cenne drzwi do przeszłości i trzeba ją chronić. Dlatego też muszę tam wrócić najszybciej, jak się da. Kiedy jestem na miejscu, robotnicy mniej się boją. Przypuszczam, że męska duma sprawia, że w ich mniemaniu, jeśli biała kobieta chce prowadzić wykopaliska, to oni sami powinni być przynajmniej tak samo dzielni.

–Duma nie ma nic do tego. Wiem, że nieprzyjemnie ci to słyszeć, Camelio, ale Kafrowie* uważają cię za źródło dochodów, nic więcej. Kiedy pieniądze się skończą, porzucą wykopaliska i zostaniesz z niczym.

–Wtedy sama będę kopać – upierała się Camelia. – Tak długo, jak będzie trzeba.

–Jesteś równie uparta, jak dumna. Zupełnie jak twój ojciec.

– Masz rację. Jestem.

Westchnął.

* Pogardliwe określenie tubylca używane w Afryce Południowej (przyp. tłum.).

–Świetnie, Camelio. Rób, jak uważasz. Ponieważ ja także zamierzałem udać się na bal Towarzystwa Archeologicznego, będę ci towarzyszyć.

–To bardzo uprzejme z twojej strony, Elliottcie, ale to naprawdę niepotrzebne. Zareb mnie odwiezie.

–Zareb tylko wywoła niepotrzebną gadaninę. Wszędzie przyciąga uwagę, występując w tym dziwnym afrykańskim stroju. Nie powinnaś na to pozwalać, Camelio, powinnaś kazać mu nosić coś bardziej odpowiedniego dla służącego, przynajmniej tutaj.

–Angielskie stroje są dobre dla Anglików.

Camelia i Elliott odwrócili głowy, spoglądając na stojącego w drzwiach Zareba. Twarz miał opanowaną, ale zaciśnięte usta świadczyły o tym, że nie umknęło jego uwagi, że Elliott określił go jako służącego.

–Nie popełniam błędu, sądząc, że przebywanie w Anglii czyni ze mnie Anglika – ciągnął Zareb – podobnie jak przebywanie w Afryce nie czyni z ciebie Afrykanina, wasza lordowska mość. – Postawił tacę z herbatą na stoliku przed kanapą. – Twoja herbata, Tisho.

–Dziękuję, Zarebie. – Camelia wątpiła, aby Elliott zrozumiał, że Zareb właśnie go obraził. Elliotowi nie przyszłoby nigdy do głowy, że jakiś biały człowiek mógłby pragnąć być Afrykaninem.

Oskar wskoczył na stół i zabrał z talerza imbirowy herbatnik, zrzucając przy okazji dzbanuszek z mlekiem na podłogę.

– Och, Oskarze – westchnęła Camelia, podnosząc małąkę i osuszając jej łapki lnianą serwetką – czy musisz zawsze tak psocić?

Oskar, uszczęśliwiony, że pani trzyma go w ramionach, zaczął łapczywie pożerać herbatnika.

–Muszę, tak czy inaczej, już iść, Camelio – powiedział Elliott. – Mam nadzieję, że zastanowisz się jeszcze nad moją propozycją co do balu.

–Dziękuję, Elliottcie, ale naprawdę wolę pojechać własnym powozem – oznajmiła Camelia. – Wiem, że lubisz takie okazje, dla mnie są jednak męczące. Nie zniósłabym myśli, że zmuszam cię do wcześniejszego wyjścia z mojego powodu. Z pewnością chcesz porozmawiać z członkami Towarzystwa o swoim przedsiębiorstwie importowym.

Po jego twarzy o eleganckich rysach przemknął cień niezadowolenia. Choćby chciał się z nią spierać, nigdy nie zrobiłby tego w obecności Zareba. Pomimo lat spędzonych w Afryce Południowej, Elliott wciąż przestrzegał pieczołowicie zasad obowiązujących w społeczeństwie brytyjskim.

Nie należy się kłócić w obecności służby. Nigdy

– Świetnie. Zobaczymy się na balu.

Schylił się, aby ucałować dłoń Camellii, ale to, że wciąż była umazana atramentem i do tego mokra od mleka, które wylał Oskar, spowodowało, że zmienił zdanie. Zamiast tego skłonił się krótko, a potem ruszył za Zarebem po schodach do drzwi frontowych.

Z ciężkiej mosiężnej klamki, na której Zareb położył rękę, biło gorąco. Ciepło przeniknęło do jego dłoni i do zeszywniałych palców, które bolały go w przeklętym, wilgotnym klimacie Anglii. Coś miało się stać. Coś niezwykłego.

Powoli otworzył drzwi.

– Dzień dobry, Zarebie – odezwał się przeciągle Simon. – Przyszedłem zobaczyć się z lady Camelia.

Zareb przyjrzał mu się spokojnie, oceniając gniew, jakim promieniował. Był silny, ale nie na tyle, żeby spowodować rozgrzanie dłoni. Nie, energii, którą emanował ów niechlujnie ubrany młody człowiek, nie można było przypisać jego ledwie skrywanej wściekłości. W tym dziwnym wynalazcy, który, posługując się językiem klas wyższych, wykazywał jednocześnie pogardę dla konwenansów, była jeszcze jakaś inna siła.

– Oczywiście, panie – powiedział Zareb, otwierając szerzej **drzwi**. – Proszę wejść.

Simon wkroczył do holu.

Elliott obrzucił szybkim spojrzeniem jego wygnieciony surdut, wymiętą koszulę i spodnie, i uznał, że ma do czynienia z dostawcą.

– Proszę wybaczyć – zaczął uprzejmie, choć z oczywistą **wyższością** – ale dostaw nie dokonuje się zazwyczaj od frontu.

Simon przyjrzał mu się z ciekawością. Mężczyzna stojący przed nim był wyjątkowo przystojny i nienagannie ubrany, co z jakiegoś niezrozumiałego powodu tylko go zirytowało.

– Będę to miał w pamięci następnym razem, kiedy zamówię jakąś dostawę.

Elliott zmarszczył brwi.

– Zdaje się, że się pomyliłem. Najmocniej przepraszam. Jestem lord Elliott Wickham – powiedział, usiłując zatuszować zniewagę. – Pan zaś jest...?

– Simon Kent.

Elliott był wyraźnie zaskoczony.

– Wynalazca?

W tej chwili do holu wskoczył Oskar, który zaskrzeczał radośnie, wspiął się na Simona, sadowiąc zdecydowanie swój mały, kościsty kuperek na jego głowie. Simon się skrzywił.

–Pan Kent! – wykrzyknęła zdumiona Camelia, schodząc po schodach. Dostrzegła napięcie na twarzy gościa, co jak sądziła, było zrozumiałe w związku z tym, że Oskar właśnie przeczesywał mu włosy, szukając insektów. – Nie spodziewałam się zobaczyć pana tak szybko.

Simon patrzył na nią, nie mogąc przez chwilę wydobyć głosu. Miała na sobie zwykłą, domową suknię z bladezielonego jedwabiu, która podkreślała niezwyklej odcień jej oczu. Suknia przylegała do wypukłości jej piersi i bioder niczym strugi deszczu, delikatna koronka w kolorze kości słoniowej okalała kusząco niską linię jej dekoltu. Nie nosiła turniury, zatem w zaciszu domowym nie narażała się na zwykłą niewygodę kobiecego stroju, a jej przetykane miodowymi pasmami włosy były tylko luźno upięte, tworząc czarujący nieład. Jej zapach owionął go raz jeszcze, zapach lata, trawy po deszczu i cytrusów. Zrobiło mu się gorąco, kiedy napotkał spojrzenie jasnych zielonych oczu; ogarnęła go dziwna niepewność. Co się z nim działo?

– Musimy porozmawiać, lady Camelio – oznajmił, usiłując ze wszystkich sił zapanować nad zmysłami. – Teraz.

– O czym? – zapytał Elliott.

– Pan Kent jest wynalazcą, Elliotcie – wyjaśniła Camelia. – Byłam wczoraj u niego, żeby przedyskutować sprawy związane z interesami.

Elliott spojrzał na Simona z ciekawością.

– Zamierza pan sprzedać pompę lady Camelii?

Simon przyjrzał mu się ponownie, co jednak nie zmieniło pierwszego wrażenia. Elliott był wspaniałym okazem wymuskanego angielskiego dżentelmena, począwszy od wyniosłego wygięcia brwi po wypucowane na wysoki połysk drogich skórzanych kamasze. W Simonie wzbudził natychmiastową, żywą niechęć, co było tylko odrobinę niesprawiedliwe, zważywszy, że poza uznaniem go za dostawcę, jego lordowska mość niewiele zdążył zrobić, żeby go do siebie zniechęcić.

–Proszę wybaczyć, Wickhip, ale to sprawa między lady Camelią a mną. – Simon przesunął z powrotem wzrok na Camelię.

–Wickham – poprawił spokojnie Elliott. – A lady Camelia, jak sądzę, zapewni pana, że należą do jej najstarszych przyjaciół i nie będzie miała nic przeciwko rozmowie z moim udziałem.

–Wątpię. – Niebieskie oczy Simona patrzyły twardo i przenikliwie, wprawiając Camelię w zmieszanie. – Jednakże, jeśli pan nalega...

–Otóż, lord Wickham właśnie wychodził – przerwała Camelia.

Nie mogła odgadnąć, dlaczego Simon wydawał się na nią taki zły. Ostatecznie dowiedział się już przedtem o kradzieży projektu. Może przypadkiem uszkodziła coś bardzo ważnego, kiedy przewróciła stoły w pracowni.

–Spotkamy się później w tym tygodniu, Elliotcie – powiedziała, kładąc rękę na jego ramieniu i kierując do drzwi. – I, oczywiście, dam ci o wszystkim znać, dobrze? – Uśmiechnęła się pocieszająco.

–Świetnie. – Elliott wyraźnie nie chciał zostawić jej samej z Simonem, wiedział jednak, że nie może jej narzucać swojego towarzystwa. – Panie Kent. – Skinął uprzejmie głową.

–Wicksted.

–Wickham.

–Oczywiście. – Simon sam nie rozumiał, skąd się bierze jego dziwaczna chęć dokuczenia nieznanemu. – Proszę wybaczyć.

–Dobrego dnia, wasza lordowska mość. – Zareb odprowadził Elliotta i zamknął drzwi.

–Oskar, chodź tu natychmiast – rozkazała Camelia, wyciągając ręce do małpki.

Oskar uśmiechnął się, potrząsając wyzywająco łebkiem.

–Zawsze jest taki przyjacielski? – zapytał Simon, sięgając, żeby wyplątać upartą małpkę z włosów.

–Oskar pana lubi – stwierdził Zareb z aprobatą. – To dobrze.

–Jestem zaszczycony – odparł sucho Simon. Udało mu się w końcu oderwać dokuczliwe stworzenie i postawić je zdecydowanym ruchem na podłodze.

–Może pójdziemy na górę do salonu, panie Kent, i napijemy się herbaty? – zaproponowała Camelia.

–Jest już przygotowana – dodał Zareb, chcąc go zachęcić. – Ze świeżymi herbatniczkami imbirowymi. Sądzę, że są całkiem dobre. Upiekłem je dziś rano.

Camelia nie mogła zrozumieć, co takiego opętało Zareba. Wobec nieszczęsnego Elliotta nie okazał się nawet w połowie taki gościnnie, a znał go od lat. Czy nie wyczuwał wrogości, jaką najwyraźniej żywił do niej Simon?

Kent się zawahał. Całą noc palił go gniew, kiedy usiłował dojść do ładu z faktem, że lata jego pracy poszły na marne. Ale był także głodny, mimo że zjadł spore śniadanie, złożone z owsianki, śledzi, kielbasy i tostów, w londyńskim domu rodziców

–Proszę, panie Kent – powiedział Zareb, wskazując otwarte drzwi salonu.

–Dzięki. – Simon ruszył za Camelią, próbując nie zwracać uwagi na ponętne kołysanie jej bioder.

–Proszę usiąść. – Camelia wskazała na obite wytartym materiałem krzesło, podczas gdy sama usiadła na równie zniszczonej kanapie.

–Tak, proszę usiąść. Herbata. – Nie zwracając sobie głowy pytaniem, jak ją pije, Zareb wsypał do filiżanki trzy kopiaste łyżeczki cukru i wlał szczodłą miarkę mleka, po czym dopełnił herbatą.

– I herbatniki. – Wyciągnął talerz w stronę Kenta.

Simon przyjął herbatę i zerknął na poczerńnięte bryłki, którymi częstował go Zareb.

–Dziękuję. – Wziął jedną przez uprzejmość.

–Czy chciałby pan trochę ciasta porzeczkowego?

Camelia nie była w stanie pojąć, dlaczego stary przyjaciel tak bardzo stara się ugościć Simona. Nie zachowywał się tak wobec nikogo, odkąd przyjechali do Londynu. Może sądził, że Simon zmienił zdanie i postanowił jej pomóc.

Gniewny wyraz twarzy pana Kenta wskazywał raczej na to, że nie zjawił się tutaj z ofertą pomocy.

– Ciasto porzeczkowe będzie dobre z herbatą – oznajmił Zareb. –Przyniosę je. – Wyszedł z pokoju, powiewając barwną szatą.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

–Nie spodziewałam się zobaczyć pana tak szybko – zaczęła ostrożnie Camelia.

–Miałem raczej niespokojny wieczór po naszym rozstaniu. Mój dom spłonął.

Camelia wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Och, nie, czy wszystko uległo zniszczeniu?

Simon zauważył, że jej zdumienie wydawało się szczere. Nie miał jednak pewności. Niektórzy ludzie wykazywali w potrzebie niezwykle zdolności aktorskie. Coś mu mówiło, że lady Camelia należała do tej właśnie kategorii.

–Niestety tak.

–Jak doszło do pożaru?

–Miałem nadzieję, że pani rzuci na to jakieś światło.

Zmarszczyła czoło.

– Nie może pan przecież podejrzewać, że mam z tym coś wspólnego.

Nie odpowiedział.

–Zapewniam pana, że w żadnym momencie, kiedy przebywałam w pana pracowni, nie zrobiłam niczego, co mogłoby doprowadzić do pożaru. Nie wiem, jak mogłabym tego dokonać, skoro pan cały czas mnie obserwował.

–Zważywszy, że zdołała pani ukraść jeden z rysunków, nie obserwowałam pani dostatecznie uważnie.

Ogarnął ją gniew.

–Nie podpaliłam pańskiego domu, panie Kent – oznajmiła bezbarwnym tonem. – Jakież mogłabym mieć powód, żeby zrobić coś podobnego?

–Dałam jasno do zrozumienia, że nie mogę zająć się budową pompy parowej dla pani, ponieważ mam zbyt wiele innych, pilnych prac do wykonania. Dzisiaj wszystkie moje projekty spłonęły ze szczętem, sprawiając, że nagle mam mnóstwo czasu. Czy nie sądzi pani, że to niezwykle zbieg okoliczności?

To rzeczywiście dziwne, pomyślała Camelia. W Afryce Południowej taki zbieg okoliczności przypisano by złym duchom albo klątwie, na którą narazili się jej ojciec i ona, podejmując wykopaliska. A może było to działanie ciemnego wiatru, przed którym ostrzegał ją Zareb.

Poczuła gęsią skórę na plecach.

Nie wierzyła w klątwy, zapewniała się w duchu. Każde zdarzenie miało logiczne, naukowe wytłumaczenie. Ojciec uczył ją tego od dzieciństwa i tej lekcji nigdy nie zapomniała.

Nawet kiedy modliła się rozpaczliwie o szczęśliwy traf czy też opiekę jakiegoś miłującego ducha.

– Zdumiewa, panie Kent, że człowiek o pana inteligencji mógł wysnuć tak nieracjonalne wnioski – zaczęła Camelia chłodnym tonem. – Wczoraj miałam nadzieję, że zechce pan wypożyczyć mi pompę. Okazałam jednak również jasno, że szanuję pańską pracę, choć byłam rozzarowana, że nie odłoży jej pan na jakiś czas, żeby mi pomóc. Jako archeolog cieszący się pewnym uznaniem w środowisku oraz pracodawca, który daje obecnie wielu ludziom możliwość zarobkowania na życie, zapewniam pana, że nie ryzykowałabym swoim dobrym imieniem ani też losem ludzi ode mnie zależnych, podejmując jakieś działania niezgodne z prawem. Jestem gotowa na wiele rzeczy, aby prowadzić dalej wykopaliska. Podpalenie i niszczenie cudzej własności do nich nie należy.

Królewskim gestem podniosła się na nogi. Wyprostowała się, unosząc dumnie podbródek.

–Teraz, skoro już to wyjaśniłam, obawiam się, że muszę pana przeprosić, jako że mam wiele pilnych kwestii, którymi muszę się niezwłocznie zająć. Sądzę, że trafi pan do drzwi.

–Cokolwiek chce pani uczynić, niech się pani nie rusza – wykrztusił Simon niskim, napiętym głosem.

Zmieszana nagłą bledością jego twarzy i przerażeniem w oczach, Camelia się odwróciła.

– Och, Rupert. – Westchnęła, podnosząc groźnie wyglądającego węża z kanapy i kładąc go na dywanie. – Dlaczego nie możesz być grzeczny i siedzieć w jadalni? Obiecuję, że zaraz cię nakarmię.

Rupert łypnął na nią ponuro wylupiastymi, pozbawionymi powiek oczami i zwinął się w lśniący pomarańczowo–czarny pierścień u jej stóp.

Simon szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Wciągnął głęboko powietrze, zmuszając się do zachowania spokoju.

–A więc on też należy do pani?

–Nie jestem jego właścicielką, jeśli to ma pan na myśli. Był ranny, gdy znalazłam go w zeszłym roku, a kiedy doszedł do siebie, uznał, że dobrze mu się ze mną mieszka.

–Rozumiem.

Kamień spadł mu z serca, kiedy usłyszał, że nie musi walczyć z wężem niemal metrowej długości. Odstawił filiżankę i zaczął mu się przyglądać z bezpiecznej odległości.

– Węże zawsze mnie fascynowały. – Starał się mówić takim tonem, jakby nagłe pojawienie się budzącego grozę gada nie było niczym nadzwyczajnym. – Odznaczają się niebywałą siłą i płynnością ruchu. Czy to wąż koralowy?

– Nie, tygrysi.

Simon skinął głową.

– Powinienem zorientować się po pasach. Nie jest zatem taki jadowity.

To go ucieszyło. Jednakże, o ile pamięć go nie myliła, węże tygrysie, jeśli coś je zaniepokoiło, potrafiły zaatakować i paskudnie ukąsić.

–Jako chłopiec spędziłem trochę czasu na nauce o gadach – ciągnął. – Dlaczego postanowiła pani zabrać go ze sobą?

–Sam podjął taką decyzję. Schował się w jednym z kufrów podczas pakowania. Kiedy go odkryłam, byliśmy już z Zarebem na pełnym morzu.

–Zatem pasażer na gapę. – Gdyby Simon znalazł węża w swoim kufrze, zatrzęsąłby wieko i wypadł z kabiny, zadowolając się do końca podróży strojem, który miałby na sobie. – A co z Oskarem?

–Oskar nie zniósłby tego, gdybyśmy go zostawili. Ponieważ nie sposób było mu wytłumaczyć, kiedy wrócimy, musiałam go zabrać. Zabrałam także moją Harriet. Przypuszczam, że uważa pan to raczej za dziwactwo. – Wydawała się nieco zakłopotana. – Zdaje się, większość ludzi w Londynie tak uważa.

–Rodziny bywają najrozmaitsze, lady Camelio. Moja też jest niezwykła. – Przyglądał się Rupertowi, nie zbliżając się do niego, ale też nie cofając.

Camelia milczała. Zbierając wiadomości o Simonie, mogła przeoczyć wiek, ale poznała parę szczegółów z jego dzieciństwa. Z tego, czego się dowiedziała, był szkockim sierotą, którego przygarnęli Haydon i Genevieve Kent, markiz i markiza Redmond. Chociaż stał się kimś znanym i szanowanym, zdobywając pierwszorzędne wykształcenie i kilka tytułów naukowych, Camelia czuła, że poprzednie życie odcisnęło na nim niezniszczalne piętno. Przez część swego dzieciństwa był pozostawiony samemu sobie i pozostał w nim lęk.

Dobrze wiedziała, że rany dają się wyleczyć, ale blizny zostają na zawsze.

– Dlaczego przyszedł pan się ze mną zobaczyć? – zapytała cicho. – Czy naprawdę sądził pan, że mój podziw dla pana osiągnięć jest udawany? Że należą do ludzi, którzy dla własnych celów byliby gotowi zniszczyć wszystko, co z takim trudem stworzył ktoś inny?

To brzmiało okropnie. Chociaż poprzedniej nocy taka myśl przysłała mu do głowy, w głębi duszy wiedział, że to niemożliwe. Bez względu na wszystko nie miał wątpliwości, że lady Camelia jest kimś, kto lubi odkrywać i zachowywać, a nie niszczyć.

–Nie.

–Więc dlaczego pan tu jest?

Obserwował Ruperta, unikając jej wzroku. W gruncie rzeczy sam nie wiedział, dlaczego tu przyszedł. Całą noc zmagał się z gniewem i rozpaczą. Mógł zacząć od nowa. Wiedział o tym. Genevieve i Haydon byli, jak zwykle, niezawodni. Oznajmili, że znajdują nowy dom, który mógłby wynająć, a Haydon już przysyłał pieniądze na jego konto – z przeznaczeniem na zakup sprzętu i innych potrzebnych rzeczy. To był cios, ale nie taki, po którym nie można by się podnieść. Jego szkice i rysunki przepadły, ale większość danych przechowywał w pamięci. Poświęcając czas i ciężko pracując, zdoła odzyskać to, co mu odebrano.

Dlaczego więc tracił czas w domu Camelii, pozwalając małpce czochoać sobie włosy i gapiąc się na przeklętego węża?

–Chyba usiłuję zrozumieć, jak to się stało, że praca całego życia zamieniła się w kupę pogiętego metalu i popiołu – stwierdził. – To nie był zwykły wypadek, Camelio. Ktokolwiek podłożył ogień, chciał zniszczyć pracownię, i mój dom.

–Co każe panu podejrzewać, że tak było?

Kiedy wróciłem, udało mi się podejść na tyle blisko, żeby zajrzeć przez okno do kuchni. Stoły, które ustawiłem, zostały ponownie przewrócone i wszystko leżało na podłodze. Zniszczono pralkę, którą skonstruowałem, silnik przewrócono na bok. Silnik musiał ważyć jakieś pięćset kilogramów. Ogień by go nie poruszył.

–Ale musiał pan mieć w pracowni środki wybuchowe, z których robił pan petardy – zauważyła Camelia. – Może zaczęły się palić i spowodowały wybuch, który przewrócił silnik

–Nigdy nie trzymam więcej materiałów, niż potrzeba na zrobienie kilku fajerwerków, z tego właśnie powodu. Kilka wypadków w młodości nauczyło mnie, że z azotanem potasu należy obchodzić się ostrożnie. Nawet gdyby zapaliły się wszystkie moje zapasy prochu, nastąpiłby jedynie głośny huk i powstałoby mnóstwo dymu. Pozostaje ponadto kwestia tego, jak spłonął sam dom.

–To znaczy?

–Kiedy przyszedłem, paliły się sypialnie na górnym piętrze, jak również pracownia, która, jak pani wie, była w podziemiu. Jednak na poziomie ulicy i na schodach nie było ognia, tylko dym, który musiał pochodzić z kuchni.

–Ale to nie ma sensu – stwierdziła Camelia. – Jak sypialnie mogły płonąć, skoro ogień powstał w kuchni i nie zajął jeszcze schodów?

–Tak właśnie myślałem. Jedyne logiczne rozwiązanie jest takie, że ktoś zdewastował pracownię i podłożył ogień, a potem postanowił podpalić piętro, a może było dwóch i każdy podkładał ogień w innym miejscu. Prawdopodobnie uznali, że w ten sposób i tak spali się cały dom.

–Nawet jeśli ktoś rzeczywiście podłożył ogień w pańskim domu, dlaczego sądzi pan, że to ma jakiś związek ze mną? To mógł być równie dobrze jakiś zazdrosny wynalazca, który chciał zniszczyć pańskie osiągnięcia.

–Pochlebia mi przypuszczenie, że moja praca mogła wzbudzić taki podziw Ale jak już wspomniałem, postępuję dość swobodnie ze swoimi pomysłami i nie pilnuję zbyt starannie patentów. Myśl o jakimś oszalałym rywalu, który mógłby zniszczyć moją pracownię, żeby zyskać na czasie, wydaje mi się mało przekonująca.

–Może próbował nie tylko przeszkodzić panu w pracy. Może ukradł jakiś rysunek, a potem zrujnował pracownię, żeby mieć czas na wykonanie prototypu i zarejestrowanie patentu.

–W takim razie mam nadzieję, że zdoła usprawnić zmywak do podłogi, bo inaczej narazi się na mnóstwo zażaleń.

Camelia rzuciła mu zdesperowane spojrzenie.

–To nie jest powód do żartów.

–Nie sądzę, żeby to była sprawka jakiegoś wynalazcy, Camelio. Czuję, że to jakoś wiąże się z panią. – Spojrzał na nią z powagą.

– Czego naprawdę chcieli ci mężczyźni wczoraj?

Wzruszyła ramionami.

–Mówiłam już, najął ich prawdopodobnie jakiś rywal archeolog, żeby mnie zniechęcić do dalszych wykopalisk.

–Pamiętam, co pani powiedziała. Teraz pytam o prawdę.

Odwzajemniła jego spojrzenie ze spokojem. Niczego jej nie obiecywał. Kiedy jednak wpatrywała się w srebrzystoniebieskie oczy, miała wrażenie, że jego odmowa nie była już taka kategorierna. Jak sam stwierdził, w ciągu paru godzin ogień pochłonął wszystkie jego projekty. Miał wolną rękę. Może uda się go przekonać, żeby jej pomógł.

–Powiedziałam prawdę – powtórzyła. – Nie ma nic poza tym.

Simon widział, że kłamie. Jej brwi tworzyły twardą linię, zielone oczy lśniły czarującą mieszaniną kobiecej determinacji i delikatności. Miał wrażenie, że walczy, aby nie zdradzić nadziei, jaka się w niej zrodziła, ponieważ duma i poczucie niezależności nie pozwalały jej na okazywanie niczego, co mogłoby zostać poczytane za oznakę słabości. To było znakomite

przedstawienie, które przekonałoby każdego innego mężczyznę. Ale Simon nie był każdym innym.

Zawdzięczał to temu okresowi w swoim życiu, kiedy musiał przetrwać jako żebrak i złodziej.

–Zmieniłem zdanie, lady Camelio – oznajmił niespodziewanie. – Zbuduję dla pani tę pompę.

Camelia zdumiała się. Nie sądziła, że zdecyduje się tak szybko.

–Dlaczego? – zapytała nieufnie.

Wzruszył ramionami.

–Odtworzenie wynalazków, nad którymi pracowałem, zajmie mi całe lata. Teraz, kiedy uświadomiła mi pani, jakie problemy pozostają do rozwiązania, jeśli chodzi o pompę parową, postanowiłem sprawdzić, czy podołam wyzwaniu. To dobry moment, żeby zacząć.

–I pojedzie pan ze mną do Afryki, żeby dopilnować, aby działała?

– Jak najbardziej. Wyszkołę nawet pani robotników, aby byli w stanie nią się posługiwać, kiedy wyjadę. Bardzo jestem ciekaw pani wykopalisk i chciałbym się dowiedzieć, co w nich jest takiego, że ci dwaj mężczyźni aż grozili pani śmiercią.

Mówił lekko kpiącym tonem. Camelia wyraźnie czuła, że stroi sobie żarty.

–Załatwię panu podróż do Cape Town najbliższym statkiem parowym.

–To byłoby odrobinę za wcześnie. Muszę najpierw zbudować maszynę.

–Ale może pan to zrobić w Afryce Południowej – sprzeciwiła się Camelia. – Proszę po prostu zabrać wszystko, co potrzeba, i złożyć to na miejscu.

–Niestety, to nie takie proste. Zamierzam nieco zmienić projekt, a to oznacza, że pewne rzeczy będą działać, inne nie. Muszę zostać w Londynie, gdzie jest wielu godnych zaufania fabrykantów, którzy wykonają dla mnie potrzebne części na zamówienie. To wymaga czasu.

–Ile?

–Sądzę, że zdołam zbudować dobrze funkcjonującą pompę w ciągu około ośmiu tygodni.

Na twarzy Camelii odbiło się rozczarowanie.

–To za długo!

–Szczątki, których pani szuka, przeleżały zapewne w ziemi przez parę tysięcy lat. Nie ma chyba znaczenia, jeśli poleżą tam jeszcze przez parę miesięcy.

–Ale mam jeszcze robotników – zauważyła Camelia. – W tej chwili starają się usunąć wodę wiadrami. Choćby osiągnęli bardzo niewiele, muszę im zapłacić za pracę, a moje możliwości finansowe nie są, na nieszczęście, nieograniczone. Konieczność wypłacenia im pensji za dwa miesiące, podczas gdy nie będą mieli nic do roboty, poważnie nadwerzę moje finanse.

–Proszę zatem wysłać list i polecić im jechać do domu na osiem tygodni – zaproponował Simon. – Niech wrócą, kiedy przywieziemy pompę.

–Ci ludzie pochodzą z plemion, które mieszkają bardzo daleko stamtąd, czasami w odległości setek kilometrów – powiedziała Camelia. – Wędrują pieszo przez wiele miesięcy, żeby znaleźć pracę i zajmują się na określony czas. Potem bardzo im pilno, żeby wrócić do domu, do rodzin. Nie mogą tak zwyczajnie spakować się, udać do domu i wrócić. Czy nie zdołałby pan zrobić tego szybciej?

–Pracując dzień i noc i zakładając, że wytwórcy dotrzymają terminów, może dam radę zbudować pompę w sześć tygodni.

Posłała mu błagalne spojrzenie.

–Czy sądzi pan, że pracując jeszcze usilniej, zdołałby pan to zrobić w ciągu czterech tygodni?

–To niemożliwe.

–Ale spróbuje pan?

Simon westchnął.

–Tak, spróbuję.

–Cudownie! Kiedy zaczynamy?

– Zaczę jutro, szukając nowego domu, w którym mógłbym urządzić pracownię.

– Dlaczego nie urządzić jej tutaj? – zaproponowała Camelia. – Mógłby pan zająć jadalnię albo salon, albo nawet jedno i drugie. Nie korzystamy z nich zbyt często, rzadko mam gości, a Zareb i ja naprawdę wolimy jeść posiłki na dole, w kuchni.

–To bardzo wspaniałomyślna oferta, nie sądzę jednak, aby chciała pani, żeby sąsiedzi rozprawiali o dziwnym mężczyźnie, który przebywa u pani za dnia i w nocy

–Nie przejmuję się nadmiernie tym, co mówią o mnie inni ludzie. Sąsiadom nie podoba się już to, że trzymam u siebie zwierzęta, nie przypuszczam więc, aby pańska obecność sprawiła różnicę.

Simon nie wiedział, czy ma się poczuć urażony, że jego obecność stawia na równi z obecnością małpki, ptaka i węża, czy też martwić, że prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy ze zjadliwości londyńskich plotkarzy.

– Z pewnością będę mógł urządzić pracownię w innym miejscu – oznajmił. – Ale dziękuję. Potem spotkamy się znowu. Wiele rzeczy muszę jeszcze z panią omówić, kiedy będę pracować nad pompą. Jak sama pani zauważyła, warunki afrykańskie stawiają duże wyzwania.

–Może pan mnie odwiedzać, kiedy zechce, bez względu na porę. Zrobię wszystko, żeby pomóc i żebyśmy jak najszybciej wrócili do domu.

–Świetnie. A zatem dobrego dnia, lady Camelio. – Ruszył w kierunku drzwi, utrzymując bezpieczną odległość od Ruperta, ale nagle przystanął. – Pozostaje jedna sprawa: nie omówiliśmy kwestii mojego wynagrodzenia.

–Oczywiście, proszę wybaczyć. – Camelia zmarszczyła brwi, udając, że się zastanawia. – Sądzę, że wczoraj zgodziliśmy się na pięć procent od moich dochodów w ciągu dwóch lat.

–Otóż, o ile pamiętam, na koniec naszych niezwykle interesujących negocjacji zaoferowała pani dziesięć procent na pięć lat.

Spojrzała na niego chłodno, zła, że nie zapomniał.

–Bardzo dobrze.

–Niestety, to było wczoraj. Od tamtej pory okoliczności zmieniły się znacząco i w związku z tym zmuszony jestem domagać się dwudziestu procent na dwa lata.

–Nie stać mnie, aby tyle panu płacić!

–Otóż uważam, że robi pani dobry interes. Jeśli naprawdę dokona pani ważnego odkrycia, zdobędzie pani fortunę i dwadzieścia procent nie będzie miało takiego znaczenia. Jeśli jednak okaże się, że wykopaliska nie kryją skarbów, jakich pani oczekuje, albo nie sposób będzie ich wydobyć przez dwa lata, to za moje usługi i wiedzę nic pani nie zapłaci, ponieważ nie zamierzam przyjąć procentu od paruset funtów. Poświęcę cały swój czas i energię na budowę pompy, sfinansuję też potrzebne materiały. Sądzę, że każdy zgodziłby się, że to przedsięwzięcie przedstawia dużo większe ryzyko dla mnie niż dla pani.

–On ma rację, Tisho. – Zareb stał w progu, trzymając małą, owiniętą serwetką, paczuszkę. Na jego ramieniu siedział Oskar. – Musisz na to przystać.

–Dobrze zatem – powiedziała Camelia. Żądania wydawały się wygórowane ponad miarę, ale nie była w stanie się targować. – Przyjmuję pana warunki, panie Kent. Czy mamy spisać je na papierze?

–Pani słowo wystarczy, lady Camelio. Zareb jest świadkiem.

–A zatem ustalone. – Zareb się uśmiechnął.

–Zajrzę do pani za parę dni, lady Camelio, żeby omówić szczegóły projektu. Do widzenia. – Simon skłonił się lekko.

–Proszę, panie Kent. Zawinąłem pańskie ciasto, żeby mógł je pan zabrać.

–Dziękuję, Zarebie. – Simon uznał, że stary sługa jest wyjątkowo życzliwy.

–Cała przyjemność po mojej stronie. Odprowadzę pana do drzwi.

Camelia patrzyła, jak Simon schodzi za Zarebem i Oskarem po schodach. Potem podniosła Ruperta z podłogi i usiadła z powrotem na kanapie, kładąc go sobie na kolanach.

– Cztery tygodnie, Rupercie szepnęła, głaszcząc jego mały, pokryty łuskami, pomarańczowy łąpek. – To mi pozwoli na zebranie pieniędzy, żeby zapłacić robotnikom. A potem wreszcie pojedziemy do domu.

Rupert odpowiedział spojrzeniem, w milczeniu napawając się delikatną pieśczołą.

– To szybko minie – zapewniła Camelia, bardziej żeby przekonać siebie niż Ruperta. – Zobaczysz. A na razie może byśmy tak poszli na dół i znaleźli dla ciebie coś do jedzenia? – Owinęła go sobie na ramionach i wstała z kanapy. Jeszcze cztery tygodnie w Londynie.

Wydawało jej się, że to wieczność.

– Odjeżdża – stwierdził Bert, kiedy Simon wszedł do powozu. – Chodź, Stanley idziemy.

Stanley wyłonił się zza drzewa, ściskając w dłoni kawałek ciasta z tłustym mięsem.

– Nie skończyłem pasztecika.

– Na Boga, Stanley, mówiłem ci, żebyś nie kradł tego ciasta, chcesz na nas sprowadzić kłopoty?

– Jestem głodny – oznajmił niewinnym tonem Stanley.

– Zawsze jesteś głodny, ty drągalu – warknął Bert. – Dopiero co wrzuciłeś w siebie talerz żarcia. Nie możesz na chwilę przestać żreć?

– Pewnie, Bert. – Stanley patrzył na niego przestraszony – Chcesz trochę? Jest pyszne.

Bert spojrzał ze złością na zgniecione ciasto w ogromnej łapie Stanleya. Już miał zaprzeczyć i kazać Stanleyowi rzucić je na ulicę. Ostatecznie, jak inaczej biedny głupek nauczy się, co dobre, a co nie, jeśli Bert mu nie pokaże? Czasami był gorszy niż jakieś cholerne niemowlę i taka była smutna prawda. Pasztecik ładnie pachniał, mimo że Stanley całkiem go rozpaćkał. Musiał być ładny, soczysty i ciepły, kiedy go zabierał. Czego nie powinien był robić, skoro Bert powiedział mu jasno i wyraźnie, że nie powinien.

– Dawaj – mruknął Bert. – Pewnego dnia dopadną cię gliny i gdzie się wtedy znajdziesz? – Wpakował sobie do ust resztkę pasztecika.

Stanley się zmieszał.

– W kiciu, tak, Bert?

– Ano w kiciu, Bóg jeden wie, na jak długo, i myślisz, że będą ci dawać gorący pasztecik z ziemniakami, jak tam będziesz?

Stanley zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– Może i tak. Wielu ludzi to lubi.

– W kiciu nie dają tego, co ludzie lubią – oznajmił Bert, przewracając oczami. – Dają tylko kaszę i kwaśną zupę czasem z jakąś kością w środku i do tego chleb tak suchy, że łamiesz sobie na nim zęby. Zagłodziłbyś się na śmierć szybciej niż w tydzień, a ja nie mógłbym nic zrobić, bo sam bym głodował, rozumiesz?

Bert był przekonany, że Stanley nic nie rozumie. Jak mogłoby być inaczej? Biedak miał za słabą głowę, żeby rozumieć, jak to się plecie na tym świecie. Bert nie wiedział, czy taki się urodził, czy ktoś wybił mu rozum z głowy w jakiejś bójce. Sądził, że to nie miało znaczenia.

Byli razem już prawie pięć lat i przez ten czas Bert robił, co mógł, żeby przez większość nocy zapewnić Stanleyowi dach nad głową i pełen żołądek przez większość dni. To nie było łatwe, zważywszy, ile Stanley potrafił zjeść. Tak, jakby karmił konia. Jak tylko Bertowi wpadło parę groszy do kieszeni, Stanleyowi natychmiast zaczynało burczeć w brzuchu. Jak tak dalej pójdzie, to będą tyrać do sądnego dnia i nie dorobią się niczego poza szmatami na grzbiecie i zimną kielbasą.

Ogarnęło go rozgoryczenie.

–Kiedy mówię, że masz czegoś nie robić, to nie rób, jasne? To znaczy, że jak ci mówię, że masz nie kraść pasztetu, to zostawiasz go w spokoju, choćby ci się przewracało w żołądku, zgadza się? – Oblizwał palce.

–Zgadza się, Bert – powiedział Stanley, nie chcąc go rozgniewać. – Nie jesteś na mnie zły, co?

Bert westchnął.

– Nie, nie jestem na ciebie zły. Chcę tylko, żebyś uważał na to, co mówię.

Stanley pokiwał głową.

–Co teraz zrobimy, Bert? Pójdziemy za powozem?

–Na to za późno, nie? Zmarnowałem tyle czasu, żeby ci wbić do głowy, że masz mnie słuchać, i powóz sobie pojechał. Nie dowiemy się teraz, co on chce zrobić.

–Może pojechał do domu – podsunął Stanley.

–Pewnie, Stanley, świetny pomysł, nie ma co. Tylko problem w tym, że jego dom spalił się na popiół, więc nie może tam teraz jechać, co nie?

–Nie do tego domu – uściślił Stanley. – Do domu jego ojca. Na tym powozie był taki herb, więc to pewnie pojazd jego ojca. Tam powinniśmy pójść. Chyba że myślisz, że powinniśmy zostać tutaj i pilnować jaśnie pani. Jak chcesz, Bert. To ty masz rozum.

–Zgadza się, mam. – Bert ściągnął ciemne brwi. – Pójdziemy na ulicę Bond i popytamy w drogich sklepach, czy nie wiedzą, gdzie mieszka lord Redmond – postanowił. – Powiemy, że mamy dostarczyć mu jakieś pismo, ale pomyliliśmy ulicę. Jak tylko podadzą ulicę, wymienimy jakiś numer, a oni powiedzą: „Hej, to nie tak, to jest numer taki a taki”. A wtedy będziemy wiedzieli, dokąd pójść.

-To sprytne, Bert – stwierdził Stanley z entuzjazmem.

-Tak jest – zgodził się zadowolony z siebie Bert. – Chodź, Stanley. Stary waśniak powiedział, że dostaniemy trochę więcej grosza, jeśli damy mu pełne sprawozdanie następnym razem, jak się spotkamy. Tak sobie myślę, że jak utrzymamy tę pracę przez jakiś czas, to może będziemy mieli większe mieszkanie, a ty może nawet własne łóżko.

-Naprawdę? – Oczy Stanleya stały się większe. – Z puchową poduszką?

-Zobaczmy – powiedział Bert, nie chcąc nadmiernie rozbudzać jego nadziei. – Jeśli powstrzymamy jaśnie panią przed wyjazdem do Afryki, kto wie, ile stara ropucha zapłaci? Jak długo tu będzie, trzeba ją śledzić, a gdzie znajdzie lepszych od nas?

-Lubię ją śledzić – oznajmił radośnie Stanley. – To prawdziwe cudo.

-Cudo, które zapewni nam utrzymanie – zauważył Bert, patrząc zmrużonymi oczami na dom Camelii. – Dopóki mamy ją na oku.

4

-*Potem* kładę monetę w ten sposób, macham ręką w powietrzu, wypowiadam magiczne słowo i moneta znika! – Simon poprzebierał palcami, chcąc pokazać zachwyconym słuchaczom, że nigdzie nie ukrył szylinga.

Byron, zmieszany, ściągnął rude brwi.

- Zapomniałeś powiedzieć magiczne słowo.

-Naprawdę, Byron, co to ma za znaczenie, czy Simon je wypowie, czy nie? – odezwała się Frances, przewracając ogromnymi szafirowymi oczami. W wieku czternastu lat wyrastała z dzieciństwa i bardzo dbała o to, aby nie traktowano jej jak dziecka. – To nie są żadne czary, to po prostu sztuczka.

-Ale bardzo sprytne sztuczka – stwierdziła lojalnie Melinda, nie chcąc, żeby Simon pomyślał, że nie doceniają jego wysiłków, by zapewnić im rozrywkę. Siedemnastoletnia Melinda miała takie same szlachetne rysy i lśniące rudozłote włosy, jakie zdobiły jej matkę. Szczupła, bardzo jeszcze dziewczęca w zachowaniu, miała wkrótce rozkwitnąć we wspaniałą młodą kobietę. – Nie sądzisz, Eunice?

-Nie widzę, co w tym takiego wspaniałego, że się parę groszy schowa w rękawie – odparła Eunice, ugniatając mączną górkę chlebowego ciasta. – Lepiej byście mi pomogli przy zrazach cielęcych – dodała, wsuwając pasmo siwych włosów pod śnieżnobiały czepek.

–Pani Genevieve i jego lordowska mość wkrótce wrócą i wszyscy będziecie pisać o kolację.

–W waszym wieku cały dzień oskubywałem bogaczy i nikt nigdy nie zobaczył u mnie w dłoni choćby pensa – stwierdził chępliwie Oliwier, trzymając w jednej pomarszczonej ręce pociemniałą, srebrną łyżeczkę, podczas gdy drugą pocierał ją energicznie poplamioną na czarno szmatką. – Oczywiście, nie kręciłem się w pobliżu, czekając, aż zauważą, że są odrobinę lżejsi, wtedy byłem szybki jak królik, więc czuli tylko wiatr na tyłku. To ta wasza magia! – parsknął śmiechem.

–Czemu nie nauczysz dzieciaków, jak zamienić jedną monetę na trzy – powiedziała Doreen. Jej szczupła, poorana zmarszczkami twarz ściągnęła się jeszcze mocniej, gdy z zapalem zabrała się do ubijania cienkich plastrów cielęciny. – To by im się przynajmniej przydało.

–W taki sposób? – Simon położył płasko prawą dłoń na kuchennym stole, lewą popukał trzy razy w kostki prawej, po czym podniósł obie, ukazując trzy lśniące szylingi.

–To wspaniale! – pisnął Byron. – A teraz zamień je w sześć.

–Obawiam się, że na dzisiaj to wszystko – westchnął Simon. – Może następnym razem.

–Tylko sześć? – parsknął Oliwier. – Jak miałem dobry dzień, zbierałem ze dwa dziesiątki monet albo i więcej, to nazywam magią!

–Ja to nazywam złodziejstwem – stwierdziła sucho Doreen.

–To też sztuka, a nasz mały Byron ma do tego prawdziwy talent. – Oliwier z upodobaniem spojrział na chłopca błyszczącymi z radości oczami. – Może po obiedzie wezmę płaszcz i pobawimy się w podwędzanie pieniędzy w parku. Co wy na to, Frances i Melindo? Ostatnim razem, jak się bawiliśmy, Melinda świsnęła mi tabakierkę tak zgrabnie, że nic nie poczułem.

–Tak, a jego lordowska mość miał coś do powiedzenia na ten temat, kiedy Melinda go uściskała i zabrała mu najlepszy złoty zegarek prosto z kieszeni – przypomniała mu surowym tonem Eunice.

–Powiedział, że nie rozumie, dlaczego jego dzieci są uczone **na** kieszonkowców, jakbyśmy chcieli je wysłać w świat – dodała Doreen, rzucając plastry cielęciny na patelnię.

–Jak się ma pewną umiejętność, to jeszcze nie znaczy, że trzeba jej używać – stwierdził filozoficznie Oliwier. – Simon wyszedł na ludzi, ale jakby nie potrafił kraść, kiedy trzeba było, biedny chłopak zamorzyłby się na śmierć, i taka jest prawda.

Byron popatrzył na brata z podziwem.

–Czy naprawdę głodowałeś, Simon?

–Nie – zapewnił Simon. – Oliwier lubi przesadzać.

Byron miał zaledwie jedenaście lat – dwa lata więcej niż Simon, kiedy Genevieve wyciągnęła go z brudnej celi w Inveraray. Ale jego mały brat spędził całe swoje krótkie życie

wśród wygód, przywilejów, otoczony miłością. Choć Genevieve starała się, aby trójka jej młodszych dzieci zrozumiała, że istnieją ludzie, którzy dzień w dzień muszą walczyć o przetrwanie, mały Byron nie zdawał sobie sprawy, co to naprawdę znaczy.

Simon nie widział powodu, żeby go oświecać.

– Teraz, gdy już skończyliście z tymi czarami, chciałabym, żebyście wycisnęli pomarańcze do kremu. – Eunice pomachała białą od mąki dłonią w stronę stojącej na stole miski z pomarańczami. – Robię to specjalnie dlatego, że Simon jest z nami, wiem, że to lubi. Melindo, możesz mi pomóc przy obieraniu. Frances, pokrój cebulę.

– A co ja mam zrobić? – zapytał Byron.

– Chodź tutaj i wypoleruj tę łyżeczkę kawałkiem skóry – powiedział Oliwier. – Trzyj mocno, aż zobaczysz w niej swoją twarz.

Simon podniósł się, zdjął marynarkę i podwinął rękawy.

– Szkoda, że nie widziałas wyciskacza do cytryn, jaki dla ciebie zrobiłem, Eunice, myślę, że naprawdę by ci się spodobał – powiedział, biorąc nóż i krojąc pomarańcze na pół. – Można było włożyć połówkę pomarańczy do pudełka i natychmiast wyciskało się cały sok, bez nadwerężania nadgarstka. Pestki oddzielały się od soku, wyjmowało się szufladkę i można było wylać sok, gdzie się chciało.

Eunice się zdziwiła.

– Sok był w szufladzie?

– W malutkiej. Była zaopatrzona w mały dziobek, żeby ułatwić nalewanie.

– A co się działo z pestkami? – zainteresowała się Doreen.

– Zostawały na sitku w pudełku.

Zmarszczyła brwi.

– Na zawsze?

– Nie, dopóki się go nie umyło.

– No, to dobry pomysł – odezwał się Oliwier, czując, że obu kobietom trudno jest wyobrazić sobie wynalazek Simona. – Nie potrafię powiedzieć, ile razy marzyłem, żeby było coś takiego i żebym nie musiał wylawiać pestek łyżeczką.

– To był na pewno świetny wynalazek, chłopcze. – Eunice, która zgarniała ciasto do miski, żeby je następnie przykryć czystą ściereczką, nie wydawała się jednak przekonana.

– Zrobię dla ciebie jeszcze jeden, Eunice – obiecał Simon, zabierając się do wyciskania pomarańczy w zwykłym, szklanym wyciskaczu. – Wtedy sama zobaczysz, o ile to wygodniejsze niż ten stary.

–Ten stary służył mi przez ponad dwadzieścia lat – oznajmiła Eunice. – I tobie też by służył, gdybyś pamiętał, że pomarańcze trzeba najpierw poturlać po stole, mocno przyciskając, zanim je przetniesz. Dzięki temu sok robi się słodki.

Simon wziął następną pomarańczę i wolno potoczył ją po stole.

–Zapomniałem. Ciekaw jestem, czy mógłbym zrobić coś, co toczyłoby pomarańcze.

–Czy masz jakieś pomysły co do czyszczenia srebra? – zapytał Oliwier. – Chciałbym, żeby to było łatwiejsze.

–Próbowałem skonstruować urządzenie, do którego wkładało się przedmiot ze srebra pokryty maścią z proszkiem z rogu jelenia. Potem wprawiało się w ruch trybik, który powodował, że okrągłe szczoteczki usuwały pastę i zabrudzenia.

–To brzmi wspaniale – powiedziała Melinda. – To znaczy, że ręce nie będą się już przy tym brudzić.

–Niestety, urządzenie usuwało też warstwę srebra – wyznał Simon. – Zniszczyłem ponad dwa tuziny srebrnych widelców i łyżek, zanim dałem sobie w końcu spokój.

Oliwier zachichotał.

–Żaden kłopot, chłopcze, jak nie ma srebra, to nie trzeba czyścić!

–Niektóre rzeczy najlepiej robi się ręcznie – zauważyła Doreen.

–Jak się nie napocisz, to nie masz – dodała Eunice, kiwając głową. – Ale bardzo polubiłam to urządzenie do zgniatania ziemniaków, zgniata je tak, że są jak pudding.

–I nie zapominaj o ubijaczce do jajek, którą dałeś mi w zeszłe święta – powiedziała Doreen. – Ubija jajka na taką pianę, że ma się wrażenie, że zaraz odfruną.

–Jestem pewien, że gdybyś pokazał swoje wynalazki jakiemuś przedsiębiorcy, szybko zbiłbyś fortunę – stwierdził Oliwier.

–Simon nie chce zbić fortuny – zauważyła z czułością w głosie Genevieve, wchodząc do kuchni. – On tylko chce wymyślać nowe rzeczy

Simon podniósł głowę i się uśmiechnął. Choć matka dobiegała pięćdziesiątki, wciąż odznaczała się niezwykłą urodą, którą zachwycała go od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Był chudym, obdartym, ledwie dziewięcioletnim chłopakiem, który od piątego czy szóstego roku życia dawał sobie radę tylko dzięki sprytowi i zręcznym dłoniom. Sądził, że jego życie skończyło się, gdy znalazł się w więzieniu. Silny i twardy jak na swój wiek, po tym, jak wymierzono mu chłostę za kradzież, poczuł się mały, złamany i gotów na śmierć.

A potem w celi zjawiała się Genevieve z lśniącymi rudozłotymi włosami i wspaniałymi oczami barwy czekolady. Ukłękła obok niego, położyła mu delikatnie dłoń na policzku i czole, z twarzą wyrażającą oburzenie i troskę.

Po raz pierwszy w życiu uwierzył, że może Bóg, mimo wszystko, o nim nie zapomniał.

–Ale on i tak zdobędzie majątek, mamusiu – oznajmił z powagą Byron. – Simon potrafi wyczarować pieniądze, pukając się w dłoń.

–Oto jest umiejętność, jaką chciałbym osiąść – zażartował Haydon, podchodząc do żony.

Markiz Redmond z zadowoleniem rozejrzał się po tłocznej kuchni. Zanim poznał Genevieve, rzadko bywał w kuchni, nawet jako dziecko. Teraz uznawał ją za jedno ze swoich ulubionych miejsc.

–Eunice i Doreen, cokolwiek przygotowujecie, pachnie urzekająco – powiedział z uznaniem, podnosząc pokrywkę garnka stojącego na ogniu.

–Będą zrazy cielęce z cebulą i sherry, pieczony łosoś w sosie kaparowym, ziemniaki z groszkiem, szpinak ze śmietaną i pudding figowy z gęstym sosem toffi i kremem pomarańczowym na deser – oznajmiła Eunice. – Myślę, że to wystarczy, żeby zapełnić wam brzuchy do rana.

–Pomagam przy ziemniakach – poinformowała ojca Melinda.

–A ja kroję cebulę – dorzuciła Frances.

–A zatem kolacja będzie z pewnością jeszcze smaczniejsza niż zwykle. A co ty robisz, Byronie?

–Czyszczę ten czajniczek – oświadczył Byron z powagą. – Czy możesz się w nim przejrzeć?

Haydon wziął do rąk nadal brudne naczynie.

– W istocie, mogę – zapewnił, delikatnie czochrając włosy syna.

– Cóż, Simonie, z pewnością ucieszy cię wiadomość, że od jutra znów będziesz zajmować się wynalazkami w swojej własnej pracowni.

Simon spojrzał na niego podniecony.

–Czy wynająłeś dom, który oglądaliśmy wczoraj?

Genevieve się uśmiechnęła.

–Tak.

– Właściciel wahał się nieco, kiedy usłyszał, że chcemy przeznaczyć ten dom dla ciebie – powiedział Haydon. – Na nieszczęście wydaje się, że cały Londyn słyszał już o tym, że twój dom spłonął.

Simon wiedział, że pożar utrudni mu znalezienie domu, dlatego prosił Haydona, aby mu w tym pomógł.

–Czy musiałeś mu zaoferować więcej pieniędzy?

-Trochę.

-Przykro mi, Haydonie. Zwrócę ci tę sumę, jak tylko będę mógł.

-Nie chcę, żebyś się martwił o pieniądze, Simonie. Ja i Genevieve pragniemy tylko, żebyś miał wygodne lokum, w którym będziesz mógł skupić się na pracy. Wiem, że utrata pracowni to poważna niedogodność, ale miejmy nadzieję, że szybko dasz sobie z tym radę.

-Jack mówił, że bardzo mu zależy, żebyś udoskonił turbinę parową, którą mógłby wypróbować na jednym ze swoich statków – dodała Genevieve. – Chce przemierzać swoje trasy jeszcze szybciej, a z ulepszonym silnikiem jego firma zdoła rozszerzyć rynek i przejąć więcej szlaków konkurencji.

-Silnik Jacka będzie musiał trochę poczekać – powiedział Simon. – Pracuję w tej chwili nad innym projektem, który muszę skończyć w pierwszej kolejności.

-Czy to ta pralka do ubrań, o której wspominałeś? – zapytała ciekawie Eunice.

-Nie, to też będzie musiało poczekać – odparł Simon. – Lady Camelia Marshall prosiła mnie, żebym zbudował dla niej pompę parową.

Oliwier zmarszczył brwi.

-Żeby napełniać wannę?

-Nie. Lady Camelia jest archeologiem. Potrzebuje pompy, żeby osuszyć teren wykopalisk.

-Czy to nie córka lorda Stamforda? – zapytała Genevieve.

-Słyszałaś o niej?

-Tak. Jest w Londynie od niedawna, ale już zwróciła na siebie uwagę.

-Mogę sobie wyobrazić – stwierdził Simon z ironią.

-W jaki sposób? – zapytała Eunice, nie wiedząc, jak się do tego ustosunkować.

-W taki, jaki zwraca uwagę piękna, inteligentna, niezamężna kobieta, która chodzi sama, starając się zebrać pieniądze na wykopaliska w Afryce Południowej.

Oliwier, zaniepokojony, zmarszczył krzaczaste, siwe brwi.

- Czy to wszystko?

Doreen parsknęła lekceważąco.

- To nic w porównaniu z tym, czego dokonały dziewczęta w tej rodzinie. To nie znaczy, że chcę, żebyście pakowały się w kłopoty. – Rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Melindzie i Frances. – Wasza matka, Annabelle, Grace i Charlotte zrobiły już wystarczająco dużo – dokończyła, wspominając ich starsze siostry.

– Lady Camelia słynie nie tylko z tego, że porusza się bez eskorty – zauważyła Genevieve.
– Wzbudza również zainteresowanie, ponieważ podróżuje z afrykańskim służącym, który ubiera się w barwne szaty; zwykle też zabiera ze sobą wszędzie małpkę.

Oliwier, z rozbawienia, klepnął się w kolano.

– Oto dziewczyna z fantazją!

Byron spojrzał podejrzliwie na ojca.

– Powiedziałeś, że nie mogę mieć małpki, ponieważ prawo zabrania trzymać je w domu.

Haydon skierował błagalny wzrok na żonę.

– Lady Camelia dostała zapewne specjalne zezwolenie – powiedziała szybko Genevieve – ponieważ małpka jest tu tylko czasowo. Wracając do Afryki Południowej, z pewnością zabierze ją ze sobą.

– Zabierze – potwierdził Simon. – Razem z ptakiem i wężem.

–Czy mogę dostać węża? – zapytał podniecony Byron.

Haydon wzruszył ramionami.

–Zapytaj matki.

–Nie sędzę, żeby wąż nadawał się szczególnie na zwierzę domowe – sprzeciwiła się Genevieve, marszcząc brwi. – Nie można się z nim bawić, nie jest ciepły i nie można go głaskać.

–Ale można się z nim bawić – upierał się Byron. – Można zbudować wielką wieżę z klocków i wsadzić go do środka i wtedy jest straszliwym wężem, który chce się wydostać z zamku. Można też zawinąć go sobie na szyi, albo puścić wolno i bawić się w chowanego.

–Tak, a ja go potem znajdę zwiniętego w kłębek w łóżku i padnę trupem na miejscu – mruknęła Doreen. – Lepiej, żebyś miał ładnego, miłego kotka, który będzie łowił myszy.

–Wężę jedzą myszy – zauważył Byron.

–Nie chcę węża pełzającego po kuchni w poszukiwaniu myszy –oświadczyła bezbarwnym tonem Eunice.

–No, dobrze – parsknął. – A jaszczurka? One nie pełzają.

Oliwier podrapał się po głowie.

–Chłopak ma rację.

–Gdzie poznałeś lady Camelię, Simonie? – zapytała Genevieve, próbując zmienić temat.

–Przyszła mnie odwiedzić któregoś dnia, ponieważ czytała moje artykuły o silnikach parowych – odparł Simon. – zaproponowała, że zapłaci mi za zbudowanie pompy i zgodziłem

się. Oliwierze, czy jutro z samego rana możesz zawieźć mnie do nowego domu? Chcę jak najszybciej urządzić pracownię.

–Doreen i ja nie możemy wyjść, dopóki nie pozmywamy i nie doprowadzimy domu do porządku – wtrąciła Eunice. – Jeśli to ci nie pasuje, Ollie, będziesz musiał po nas wrócić.

–Spakujemy się i będziemy gotowe najpóźniej do dziesiątej – dodała Doreen.

–Spakujecie się? – zdziwił się Simon.

–Tak, nie myślałeś chyba, że zostawimy cię ze sprzątaniami i urządzaniem nowego domu całkiem samego, co?

–To bardzo miłe z waszej strony – zapewnił pospiesznie. – Ale naprawdę nie musicie tam spać. Z pewnością tutaj będzie wam dużo wygodniej, a Haydon i Genevieve będą was jutro wieczorem potrzebować.

–Otóż Haydon i ja zamierzamy wrócić z dziećmi jutro do Szkocji – oznajmiła Genevieve. – Zostaliśmy parę dni dłużej tylko po to, żeby znaleźć dla ciebie nowy dom. A ponieważ Lizzie i Beaton wracają jutro od swoich rodzin – dodała, mówiąc o gospodyni i służącym, którzy mieszkali w ich londyńskim domu – Oliwier, Eunice i Doreen bardzo uprzejmie zaproponowali, że zostaną z tobą w Londynie, żeby pomóc ci w nowym domu. – Uśmiechnęła się serdecznie do trójki starszych ludzi. – Chociaż będziemy za nimi tęsknić, mamy w domu dość ludzi, żeby wszystko toczyło się jak należy do ich powrotu.

–Dopilnuję, żebyś się dobrze odżywił, chłopcze – powiedziała Eunice. – Została z ciebie skóra i kości. Tym razem trochę cię podtuczmy puddingiem toffi i haggis.

–A ja chcę zobaczyć, jak śpisz na prawdziwym łóżku, w czystej pościeli – dodała Doreen – zamiast zasypiać na krześle czy na stole. Dopilnuję też, żebyś nosił czyste, wyprasowane ubranie. Wyglądasz jakbyś się właśnie wyrwał huraganowi.

– A ja będę pilnować, żebyś nie spalił nowego domu – dokończył Oliwier. – Wieczorem będę gasić lampy i chować zapalki, słyszysz mnie?

Simon spojrzał bezradnie na Haydona.

– Nie patrz tak na mnie, to pomysł Genevieve.

– To tylko do czasu, kiedy się rozgościsz w nowym miejscu, Simonie – powiedziała łagodnym tonem Genevieve.

Odkąd parę dni wcześniej zjawił się w ich domu w środku nocy, Genevieve bardzo się o niego martwiła. Choć Simon twierdził z uporem, że pożar został spowodowany przez niezgaszoną w porę świecę, i obiecał, że w przyszłości będzie bardziej uważać, Genevieve bała się, że takie wypadki mogą się powtarzać. Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Wiedziała, że Simon stawał się niezwykle roztargniony, kiedy pracował, często zapominał o jedzeniu, śnie, a nawet o tym, żeby wyjść na trochę i przewietrzyć płuca. Wydawał jej się blady i podniecony; często tak było, kiedy zajmował się jakimś nowym wynalazkiem. Nie podobało jej

się, że chce koniecznie mieszkać sam, chociaż zapewniał, że to mu właśnie odpowiada. Wraz z Haydonem wielokrotnie proponowali mu, że wynajmą służącego, który zadba o żywność i z którym mógłby czasem porozmawiać. Jednak Simon zawsze odmawiał, twierdząc, że nie może pracować, kiedy wokół są ludzie, którzy odciągają jego uwagę.

– Eunice, Oliwier i Doreen nie są jeszcze gotowi, żeby wrócić do Szkocji, poza tym uważają, że w domu nie mają wiele do roboty – ciągnęła Genevieve, próbując przekonać Simona, że dla starych służących będzie z korzyścią, jeśli zostaną. – Tak więc chętnie pobędą z tobą jakiś czas i pomogą ci zagospodarować nowy dom.

– Będzie ci z nami dobrze, chłopcze – powiedziała Doreen.

–Będę przygotowywać twoje ulubione dania – obiecała Eunice, stawiając przed nim na stole talerz z ciepłymi bułeczkami maślanymi.

–A ja nie dopuszczę, żebyś puścił dom z dymem. – Oczy Oliwiera błyszczały wesoło.

Simon westchnął.

–Zostaniecie tylko do czasu, aż się urządzę w nowym domu?

–Oczywiście, chłopcze.

–Kiedy kuchnia będzie jak należy, a ty nabierzesz trochę ciała, pierwszym pociągiem wracam do Inverness – zapewniła Eunice.

–Jak tylko wypiorę i wyprasuję twoje ubrania i wysprzątam dom, też pojedę – obiecała Doreen.

– Dobrze – powiedział Simon, odgryzając kęs bułki.

–To nie powinno potrwać dłużej niż parę miesięcy.

Simon się zakrztusił.

–Parę miesięcy?

– Nie martw się, chłopcze – pocieszał Oliwier, klepiąc go mocno po plecach. – Przyrzekam, że za dzień czy dwa nawet nie zauważysz, że jesteśmy.

Jeśli jeszcze jedna osoba powie, jak bardzo podziwia jej poświęcenie dla nauki, udusi ją.

Zamiast tego Camelia uśmiechała się, próbując zachować spokój, jaki przystoi damie. Od czas do czasu zerkała na kobiety tłoczące się w dusznej sali balowej, szukając wskazówek, jak powinna się zachowywać na tej wyjątkowo nudnej imprezie. Młode dziewczęta wirujące z wdziękiem na parkiecie miały ten sam, nieco pustawy wyraz twarzy, niczym piękne chińskie laleczki o usteczkach jak malinki. Pozostałe niezamężne kobiety stały grupkami wokół parkietu, wachlując się i trzepocząc rzęsami, gdy jakiś młodzieniec zdobył się na odwagę, żeby podejść i podjąć rozmowę.

Niektóre z panien sprawiały wrażenie, jakby miały ochotę uciec – i słusznie, jak pomyślała Camelia. Wystarczyło tylko spojrzeć na niezbyt udane grono ospowatych zalotników na krzywych nogach, żeby to zrozumieć. Jeden taniec czy dwa, filiżanka mdłego ponczu i talerz pikantnego kurczaka, a ich matki uznają to niemal za zaręczyny.

Skupiła się ponownie na tym, co mówił lord Bagley wdzięczna losowi, że już dawno przekroczyła wiek osiemnastu lat, kiedy niektórzy przyjaciele jej ojca przekonywali go, że powinien znaleźć jej męża.

Na szczęście jej kochany ojciec nie uważał, że jego jedyne dziecko musi wstąpić w związek małżeński natychmiast po osiągnięciu pełnoletniości. A ponieważ Camelia zapewniała, że nie interesuje ją małżeństwo, ale pragnie pracować u jego boku, sprawę odłożono na później.

–...a potem zapakowaliśmy je na statek i wysłaliśmy do Muzeum Brytyjskiego, gdzie odąd stanowią trzon kolekcji greckich starożytności – dokończył lord Bagley, przesuwając triumfalnie tłustym palcem w rękawiczce pod siwym, żółknącym wąsem. – Powiedziałem wtedy twojemu ojcu, że powinien ze mną jechać, ale on zawsze był, na swoje nieszczęście, uparty. Oświadczył, że jego zdaniem w Afryce kryją się niezwykle bogactwa i on je znajdzie. – Zachichotał i pokręcił głową, jakby w zamiłowaniu lorda Stamforda do Afryki było coś szczególnie zabawnego.

–Nie mylił się. – Camelii nie podobało się lekceważenie, jakie lord Bagley okazywał pracy jej ojca.

–Oczywiście, jeśli miał na myśli diamenty i złoto – zgodził się lord Bagley. – Ale twój ojciec nie mówił o złożach. Podczas naszej ostatniej rozmowy, jakieś sześć miesięcy przed jego śmiercią, tylko narzekał na kompanie górnicze.

–Twierdził, że niszczą kontynent – dodał lord Duffield, chudy, sześćdziesięcioletni mężczyzna o zimnej twarzy, z resztką siwych włosów na pokrytej plamami wątrobowymi czaszce. – Upierał się, że jak tak dalej pójdzie, to zupełnie zniszczą Afrykę.

–W tym także miał rację – stwierdziła Camelia. – Proszę mi powiedzieć, lordzie Duffield, czy widział pan kiedyś na własne oczy zniszczenia, jakie niesie za sobą proces wydobywania diamentów z ziemi?

–Kopalnictwo łączy się z chaosem – odparł wymijająco, odruchowo poprawiając parę siwych pasemek na głowie. – Obawiam się, że to nieuniknione.

–Z pewnością zgodzisz się, moja droga, że dzięki diamentom Afryka znalazła się na mapie – dodał lord Gilby, gładząc starannie przyciętą w szpic siwą brodę.

–Afryka była na mapie od milionów lat, zanim znaleziono te wstrętne białe kamyki na brzegach Rzeki Pomarańczowej zaledwie osiemnaście lat temu – odparła spokojnie Camelia.

–Ale czym była? – Lord Pendrick wykrzywił mięsistą, zaczerwienioną od alkoholu twarz w grymas niechęci. – Kawałkiem popękanej, kamienistej ziemi, nędznej i jałowej, zamieszkaanej przez ciemnych, nagich dzikusów, dzikie zwierzęta i żalosnych holenderskich Burów. Afryka nikogo nie obchodziła, dopóki nie odkryto diamentów, była dzika, nieucywilizowana i praktycznie niezamieszкана.

Lord Duffield pokiwał energicznie głową.

–Całkowicie się z tym zgadzam.

–Teraz, dzięki kopalniom, kładą tam tory kolejowe, druty telegraficzne, budują miasta i ustanawiają rządy. Słyszałem, że w Kimberley, gdzie jest największa kopalnia, zakładają nawet elektryczność.

–Próbują wprowadzić na ten kontynent jakąś cywilizację, i zrobią to, jeżeli zdołają zmusić tych leniwych dzikusów do uczciwej pracy. – Lord Gilby zaśmiał się, dając do zrozumienia, że to mało prawdopodobne.

–Trudno jest zapędzić tubylców do pracy, skoro nie wpojono im od dzieciństwa chrześcijańskiej etyki pracy – odezwała się lady Bagley Obfite fałdy na jej twarzy niemal zalewały małe oczka dewotki. – Obawiam się, że wolą raczej siedzieć cały dzień w słońcu i nic nie robić.

Camelia zacisnęła pięści, gotowa powiedzieć grupce ignorantów, co o nich myśli. Elliott przesunął się w jej stronę, nie dotykając jej, ale dodając jej otuchy swoją obecnością. Próbował pomóc jej zachować spokój, jak sobie uświadomiła. Elliott zawsze lepiej sobie radził w takich sytuacjach niż ona czy jej ojciec, i wiedział o tym. Wciągnęła powietrze na tyle, na ile pozwalał boleśnie ciasny gorset, z najwyższym trudem opanowując gniew. Nic nie zyska, jeśli przypuści gwałtowny atak na słuchaczy. Tylko obrazi i zniechęci do siebie członków Towarzystwa Archeologicznego, pozbawiając się w ten sposób jakiegokolwiek możliwości wsparcia z ich strony.

Jeśli nie zdoła zebrać więcej pieniędzy, nigdy nie urzeczywistni marzeń ojca.

–Afryka Południowa to piękny kraj, który teraz właśnie przechodzi niezwykle ekscytujące przemiany – zaczął Elliott, uśmiechając się i bez wysiłku kierując rozmowę na mniej niebezpieczne tory. – W ciągu piętnastu lat, kiedy pracowałem u boku lorda Stamforda, nauczyłem się doceniać bogactwa tej krainy, choć niektóre wydawały się banalne. W przekonaniu lorda Stamforda Afryka kryje rozwiązanie zagadek dotyczących historii ludzkości i wierzę, że miał rację.

–Miał rację – powtórzyła uparcie Camelia. – To tylko kwestia czasu, kiedy znajdziemy dowody. W trakcie wykopalisk odkryliśmy już setki fascynujących artefaktów, które pochodzą prawdopodobnie sprzed tysięcy lat. Z pewnością w ciągu najbliższych paru miesięcy natrafimy na więcej obiektów o pierwszorzędym znaczeniu.

–Doprawdy? – Lord Bagley spojrzał na nią ciekawie znad kieliszka brandy. – Co takiego spodziewa się pani znaleźć, lady Camelio?

Już otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła. Pomimo swobodnego zachowania lorda Bagleya w jego oczach zabłysła nagle czujność, co spowodowało, że po plecach Camelii przebiegł dreszcz.

Trzymaj się z daleka od Afryki, chyba że chcesz stracić więcej swoich cennych robotników.

Czy to lord Bagley wynajął zbirów, żeby ją przestraszyli? To było z pewnością możliwe. Lord Bagley, ceniony archeolog o długiej i błyskotliwej karierze, nie należał do ludzi, którzy poświęciliby lata życia na prowadzenie wykopalisk bez gwarancji znalezienia czegoś cennego. Metody pracy jego lordowskiej mości polegały na tym, żeby brać wszystko, co się dało, nawet jeśli zachodziła konieczność pocięcia na kawałki pięknej świątyni albo zerwania z postumentu cennej rzeźby, tak żeby można je było zapakować i wysłać do Muzeum Brytyjskiego. Upłynęły lata, odkąd lord Bagley ostatnio coś odkrył, stwierdziła Camelia. A pomimo sceptycyzmu, jaki okazywał wobec badań jej ojca, zawsze wyciągał od lorda Stamforda informacje o postępach jego pracy w Afryce, kiedy tylko ojciec przebywał w Londynie.

Czyżby ojciec zdołał przed śmiercią przekonać lorda Bagleya o doniosłości swoich przyszłych odkryć?

– Jestem przekonana, że znajdziemy więcej artefaktów ilustrujących bogatą i starożytną historię ludów Afryki – odparła Camelia wymijająco, patrząc mu w oczy. – Być może znajdziemy dowody na poparcie teorii Darwina o ewolucji gatunków.

–Obawiam się, że teoria o naszym pochodzeniu od małp jest równie odrażająca co śmieszna. – Lady Bagley pomachała energicznie wachlarzem ze strusich piór nad przyozdobionym brylantami wydatnym dekoltem. – Wszyscy wiedzą, że Bóg stworzył człowieka.

–O ile dobrze zrozumiałem, pan Darwin zostawia otwartą możliwość, że Bóg stworzył najpierw małpy, a potem czuwał nad nimi, podczas gdy stopniowo nabierały cech ludzkich – odezwał się lord Duffield. – To trwało tysiące lat.

–To absurd – odparowała lady Bagley. – Jeśli Bóg chciał stworzyć na ziemi istoty ludzkie, dlaczego miałby zaczynać od małp, a potem zamienić je w ludzi? Posiada moc tworzenia, czego zapagnie, i tak właśnie uczynił, powołując do życia Adama i Ewę.

–Wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia, jeśli chodzi o to, czym się staliśmy, lady Bagley – wtrącił dyplomatycznie Elliott. – My, archeolodzy, uważamy za swoją misję stawianie pytań i szukanie odpowiedzi, starając się złożyć w całość części układanki.

–Jeśli ludzkość rzeczywiście poczęła się w Afryce, jak twierdzi pan Darwin, to pozostaje pytanie: co te wszystkie czarnuchy robiły przez tysiące lat? – powiedział lord Gilby.

Lord Bagley pokiwał głową.

–Dlaczego nie widzimy tam żadnych wielkich budynków lub wspaniałych grobowców, czy też niezwykłych dzieł sztuki, jakie pozostawili po sobie starożytni Egipcjanie, Grecy i Rzymianie? Gdzie są ich dokonania?

–Ludy Afryki nie odrzucają potrzeby dodawania sobie splendoru wznoszeniem ogromnych piramid i świątyn – wyjaśniła Camelia, z trudem zachowując cierpliwość. – Ich wierzenia duchowe są ściśle związane z ziemią i zwierzętami, co oznacza, że według ich wyobrażeń duch zmarłego człowieka staje się częścią otoczenia. Nie widzą potrzeby wprowadzania skomplikowanych rytuałów pogrzebowych czy budowania wspaniałych cmentarzy. A co do konstrukcji trwałych budowli, w społeczności koczowniczej to nie ma sensu. Jeśli ziemia okazuje

się jałowa, a klimat nie do zniesienia, plemiona muszą się przenieść w inne miejsce, żeby zdobyć pożywienie.

–Albo byli za leniwi, żeby wznieść coś znaczącego – zażartował lord Duffield.

–Zabrakło im inteligencji – stwierdził pewnym tonem lord Bagley. – Nie można ich za to winić, doprawdy. Pewne badania naukowe dowodzą, że to kwestia rozmiarów mózgu.

–Proszę mi powiedzieć, lordzie Bagley, jakiej wielkości może być pański mózg? – odezwała się Camelia cierpkim tonem. – Pytam tylko dlatego, że nie przypominam sobie, żeby zbudował pan coś znaczącego w swoim życiu.

–Camelio – zaczął Elliott ostrzegawczym tonem.

–Musi pani wiedzieć, lady Camelio, że należę do tych archeologów, którzy najbardziej przyczynili się do wzbogacenia Kolekcji Greckich i Rzymskich Starożytności Muzeum Brytyjskiego – sapnął urażony lord Bagley. – Moim dziełem jest zainstalowanie w murach muzeum całej greckiej świątyni, którą uważa się powszechnie za jeden z najcenniejszych zabytków kolekcji. Moje badania archeologiczne, z czym z pewnością zgodzą się wszyscy członkowie Towarzystwa, wniosły ogromnie dużo w dziedzinę nauki.

–Pojechał pan do Włoch i Grecji, rozebrał na kawałki kilka wspaniałych świątyń i dzieł sztuki, po czym wywiózł, zanim ktoś zdobył się na to, żeby pana powstrzymać – odparowała Camelia. – Czyż nie niszczył pan po prostu tego, co zbudowali inni?

Przerażony Elliott podszedł jeszcze bliżej.

–Lady Camelia próbuje powiedzieć...

–Wiem, co próbuje powiedzieć lady Camelia – zapewnił lord Bagley, którego kredowobiała, silnie pomarszczona twarz zaczerwieniła się z oburzenia. – I muszę stwierdzić, że jej komentarze są nie tylko oparte na błędnych informacjach, ale też wyjątkowo obraźliwe.

Camelia otworzyła usta, żeby oznajmić, że jego uwagi na temat ludów Afryki były równie oburzające, ale Elliott ścisnął ją za rękę, błagając, żeby milczała.

– Nikt nie powie, że lady Camelia nie podziela namiętności ojca do dysputy! – zawołał, śmiejąc się serdecznie. – Lordowi Stamfordowi nigdy nie robiło specjalnej różnicy za czym się opowiadał, pod warunkiem że było to stanowisko dokładnie przeciwne mojemu. Widzę, że jego córka odziedziczyła tę cechę, czyż nie tak, lady Camelio?

Przybrał wyraz rozbawienia jak maskę. Jednak w jego ciemnych brązowych oczach Camelia dostrzegła błaganie, żeby przestała obrażać gości i przyjęła wyjaśnienie Elliotta.

Odwzajemniła spojrzenie, nie chcąc przeproszać za to, co powiedziała. Nienawidziła grupki nadętych, pewnych siebie arystokratów, z których każdy żywił silne wewnętrzne przekonanie o własnej wyższości i doskonałości. Chciała im wyłożyć, nie przebierając w słowach, co sądzi o ich ignorancji i bigoterii.

Wciąż z uśmiechem na ustach Elliott uniósł oczekująco brew.

Przeprós, nakazywał w milczeniu. Teraz.

Znajdowała się między młotem a kowadłem. Wiedziała, że potrzebuje wsparcia tych ludzi. Bez ich pieniędzy i życzliwości, choćby udzielonych niechętnie, nie mogła prowadzić dalej badań. To było proste.

I wybitnie denerwujące.

– Jestem jak mój ojciec – szepnęła Camelia, starając się nadać głosowi ton skruchy – Obawiam się, że czasami, w ogniu dyskusji, mogę posunąć się za daleko.

Nastąpiła chwila napiętego milczenia.

– Cóż, moja droga, nie trzeba przeproszać – zapewnił lord Bagley.

To dobrze, bo wcale nie zamierzam. Popatrzyła na lorda Bagleya niewinnym wzrokiem.

– Z pewnością kobietom w Afryce Południowej jest jeszcze trudniej – dodała lady Bagley, jakby chwytając się jakiejś wymówki dla usprawiedliwienia niegrzecznego zachowania Camelii. – Przypuszczam, że to dlatego, że to taki młody kraj. Nie mogę sobie wyobrazić życia w takim upale i wilgoci.

Nie przetrwałabyś ani jednego dnia, dodała w duchu Camelia. Zwiędłabyś na słońcu albo została pożarta przez dzikie zwierzęta. Uśmiechnęła się do własnych myśli, czerpiąc z nich przewrotną przyjemność.

Mylnie odczytując uśmiech Camelii, lady Bagley uśmiechnęła się w odpowiedzi.

–Jeśli państwo pozwolicie... obiecałem lady Camelii, że pokażę jej ogrody – odezwał się Elliott, pragnąc jak najszybciej zabrać stamtąd Camelię, skoro przywrócono kruchy spokój. – Są podobno cudowne.

–Ależ tak – zawołała z zapalem lady Bagley – Mówi się, że nasz ogród różany należy do najpiękniejszych w Londynie.

–A zatem lady Camelia musi go koniecznie zobaczyć. – Elliott podał ramię Camelii. – Proszę wybaczyć. – Skłonił się lekko i szybko ruszył w stronę drzwi do ogrodu.

–Młodego Wickhama czeka niespodzianka, jeśli sądzi, że zdoła ją poskromić – zauważył lord Bagley, kiedy odeszli.

–Nie szkodzi, jeśli dziewczyna ma w sobie trochę ducha walki

– zauważył z uznaniem lord Duffield. – Nawet jeśli jej argumenty są niepoważne.

–Trochę tak, ale lady Camelia zupełnie oszalała – stwierdziła zrzędlawie lady Bagley, wachlując się energicznie. – Ojciec nie powinien był jej pozwolić zamieszkać w Afryce po śmierci matki. Powinien zostawić ją u krewnych w Anglii i wydać za mąż, gdy tylko osiągnęła stosowny wiek. To niepodobna, żeby młoda, niezamężna kobieta pracowała przy wykopaliskach w środku Afryki, w otoczeniu dzikich zwierząt i nagich tubylców.

–To długo nie potrwa – zapewnił jej małżonek. – Twierdzi, że jest na progu jakiegoś ważnego odkrycia, ale wszyscy wiedzą, że cenne w Afryce są tylko diamenty i złoto. Jeżeli nie znajdzie właśnie tego i to szybko, będzie zmuszona porzucić szalone marzenia ojca.

–Jak to możliwe, że wytrzymała tam tak długo? – zapytał lord Pendrick.

–Stamford zostawił jej skromny majątek ze sporymi długami – wyjaśnił lord Gilby. – Niektórzy członkowie Towarzystwa zrezygnowali wspaniałomyślnie z domagania się zwrotu swoich pieniędzy. Paru dało jej nawet ostatnio jakieś pieniądze, z szacunku dla pamięci ojca. Na nieszczęście ich zapłał dobroczynny wydatek się słabnąć.

–Wiadomo, że zмага się tam, na miejscu, z poważnymi trudnościami, chociaż nie lubi się do tego przyznawać. – Lord Duffield pogładził czubek brody, dodając: – Kilku robotników zginęło w wypadkach, wielu uciekło. Teren wykopalisk, o ile wiem, jest zalany po deszczach i nie sposób wypompować wody. Tubylcy wierzą, że to ziemia przeklęta.

–Tubylcy zawsze uważają, że na ich ziemi ciąży klątwa – burknął niecierpliwie lord Bagley – To wynika z ignorancji. Gdybym zaprzestawał kopania za każdym razem, kiedy ktoś mi mówił o jakiejś głupiej klątwie, nigdy bym niczego nie odkrył.

–To prawda, mój drogi – stwierdziła lady Bagley. – Ale musisz przyznać, że z młodymi kobietami jest inaczej. Lady Camelia powinna natychmiast stamtąd wyjechać.

–Wiem, że młody Wickham modli się, żeby jak najszybciej odzyskała zdrowy rozsądek i sprzedała ziemię – zauważył lord Pendrick.

–Podobno De Beers Company złożyła jej ofertę, chociaż nie wiem, po co im te grunty. – Lord Duffield pokręcił głową. – Nigdy nie znaleziono tam choćby okruchu diamentu.

–Próbują skonsolidować swoje posiadłości wokół Kimberley – powiedział lord Gilby. – Jeśli wejdą w ich posiadanie, nikt nie będzie mógł tam nic zrobić.

–Ziemia może być teraz nic niewarta, ale za trzydzieści czy czterdzieści lat, kto wie? – dodał lord Pendrick. – Przypuszczam, że De Beers uważają, że jeśli nawet nie ma tam diamentów, pewnego dnia będzie można wykorzystać ją pod uprawy albo coś tam wybudować.

Lord Bagley parsknął śmiechem.

–To niebywale długoterminowa inwestycja. Nie włożyłbym pieniędzy w przedsięwzięcie, które dawałoby tak marne nadzieje na zyski. Wolę mieć pewność, że dostanę coś, nim zestarzeję się tak, że nie będę mógł się tym cieszyć.

–Miejmy zatem nadzieję, że lady Camelia szybko się opamięta i nie doprowadzi się do kompletnej ruiny – powiedziała lady Bagley.

–Jestem pewien, że już wkrótce zmądrzeje, moja droga. Z klątwą czy bez klątwy, jeśli nie będzie mogła zapłacić robotnikom, to sprzeda ziemię. – Lord Bagley przerwał, żeby napić się brandy, po czym dodał tajemniczo: – To proste.

–Nie powinnaś zwracać się w ten sposób do lorda Bagleya, Camelio – zbeształ ją Elliott, prowadząc ścieżką wysypaną kremowym żwirem. – Obraziłaś go.

–Zasługiwał na to – odparła porywczo dziewczyna. – Oni wszyscy zasłużyli. Ich uwagi o mieszkańcach Afryki były oburzające. Czy naprawdę spodziewałaś się, że będę stać z boku i przysłuchiwać się, jak wygadują podobne bzdury?

–Wiem, że to dla ciebie trudne, Camelio, ale musisz się nauczyć, że czasami lepiej jest milczeć – powiedział Elliott. – Nie zmienisz ich nastawienia, napadając na nich w ten sposób, tylko ich obrazisz i stracisz szansę na pomoc. A ponieważ potrzebujesz wsparcia, musisz uważać na to, jak się zachowujesz.

–Nie potrzebuję ich aż tak bardzo, żebym musiała spokojnie słuchać, jak oczerniają ludzi, którzy w ciągu jednego dnia pracują ciężiej niż większość tu zebranych przez cały rok.

Elliott westchnął.

–Czy tego wieczoru udało ci się uzyskać obietnicę jakiejś pomocy finansowej?

–Lord Cadwell dał do zrozumienia, że mnie wspomógł. Przed laty był bliskim przyjacielem ojca.

–Czy powiedział, ile da?

–Niedokładnie, ale jestem pewna, że okaże hojność. Wydawał się bardzo zainteresowany, kiedy opisałam ostatnio znalezione kości, no i, oczywiście, bardzo chciałby dowiedzieć się więcej o malowidłach naskalnych.

–A inni?

–Jak dotąd nie.

Spojrzał na nią ze smętną rezygnacją.

– Wieczór jeszcze się nie skończył, Elliotcie.

–Nie, jeszcze nie, Camelio, ale chyba zauważyłaś, że nikt się już nie pali, żeby wspierać badania twojego ojca.

–Wahają się, ponieważ chodzi o przekazanie pieniędzy kobiecie – powiedziała Camelia. – Muszę ich przekonać, że to nie ma znaczenia, liczy się tylko waga odkryć.

–Nie tylko o to chodzi, Camelio, i dobrze o tym wiesz. Nawet twojemu ojcu z coraz większym trudem przychodziło namówić ludzi do inwestowania w jego pracę. Pomimo entuzjazmu i poświęcenia, w żadnym miejscu nie dokonał znaczącego odkrycia.

–Tym razem jest inaczej. Pumulani okaże się niezmiernie ważne.

–Tego nie możesz przewidzieć z całą pewnością, Camelio. Razem z twoim ojcem pracowaliśmy tam przez piętnaście lat, a ty prowadziłaś niezmiernie wykopaliska przez sześć miesięcy po jego śmierci. Wszystko, co udało nam się kiedykolwiek znaleźć, to parę kości,

paciorki, kilka prymitywnych narzędzi i malowidła naskalne, które, chociaż interesujące, nie stanowią ważnego archeologicznego odkrycia, przynajmniej w przekonaniu ludzi z towarzystwa – sprostował szybko, widząc, że zamierza z nim dyskutować.

– Tam jest coś więcej, Elliotcie – upierała się Camelia. – Wiem, że zniechęciłeś się po śmierci ojca i dlatego postanowiłeś założyć firmę eksportową, zamiast kontynuować badania. Nie mam o to do ciebie żalu.

– Wyjechałem z Afryki nie tylko z powodu rozczarowania, Camelio – sprzeciwił się Elliott. – Bardziej niż ktokolwiek inny zdajesz sobie sprawę, że uwielbiałem mieszkać i pracować w Pumulani, niezależnie od tego, jak wiele, czy też, jak mało, udawało nam się znaleźć. Pojechałem do Afryki z własnego wyboru, wbrew rodzinie, ponieważ kochałem archeologię i wierzyłem w twojego ojca, i chciałem się od niego uczyć. Lata, które tam spędziłem, były niezwykle. Niestety, śmierć mojego ojca nałożyła na mnie pewne obowiązki, powinności, którym nie mogę sprostać bez stałego źródła dochodu. Nasze życie zmieniło się, Camelio. – Położył jej delikatnie dłoń na ramieniu. – I choć to trudne, musimy przyjąć te zmiany i żyć dalej.

– Naprawdę wierzę, że Pumulani kryje coś bardzo ważnego – oświadczyła z zapalem Camelia. – Jeśli tylko uda mi się poprowadzić wykopaliska dostatecznie długo, na pewno to znajdę.

– Najlepiej byłoby, gdybyś znalazła diamenty. Wówczas De Beers zaproponowałiby ci jeszcze więcej za tę ziemię niż poprzednio. Dążą do wykupienia wszystkich gruntów wokół kopalni w Kimberley, żeby chronić swoje interesy – zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho: – naprawdę powinnaś poważnie się zastanowić nad ich ofertą.

– Nigdy nie sprzedam ziemi De Beers czy innej firmie wydobywczej – oświadczyła Camelia. – Ta ziemia to cenne archeologiczne ogniwo łączące nas z przeszłością, które trzeba chronić. Nie pozwolę nikomu wysadzać jej dynamitem, aż stanie się wielką, ziejącą dziurą, jak ta okropna jama, którą wykopali w Kimberley.

– A jeśli nie znajdziemy niczego? – spytał Elliott. – Wiem, że twój ojciec spodziewał się tam wielkiego grobowca, ale nie ma dowodów, że taki grobowiec w ogóle istnieje, a jeśli nawet, to zapewne zawiera kilka rozkładających się kości i połamanych muszli. Nie warto rujnować sobie życia dla takiego znaleziska, Camelio. – Jego głos złagodniał, kiedy przysunął się bliżej. – Nie warto z tego powodu pozbawiać się szansy na prawdziwy dom, męża i dzieci tutaj, w Anglii.

– Anglia nie jest moim domem – sprzeciwiła się Camelia. Zawędrowali do jednej z otoczonych pięknym żywopłotem „komnat” w ogrodzie i Camelia miała teraz za plecami gęstą, zieloną ścianę. – Afryka nim jest.

– Anglia mogłaby stać się twoim domem – upierał się Elliott. – Wiem, że wszystko wydaje ci się tutaj dziwne, ale w końcu polubiłabyś to życie. A ja przyrzekam, że uczynię wszystko, żebyś była szczęśliwa, jeśli mi tylko na to pozwolisz. – Położył jej delikatnie ręce na ramionach i przyciągnął bliżej. – Przez wszystkie lata, odkąd się znamy, nie wydaje mi się, żebym widział cię taką smutną jak teraz, Camelio, i to sprawia mi ból. Wszystko, czego pragnę, to żebyś była

znowu szczęśliwa, tak jak wtedy, kiedy przywoziłem ci nową książkę z Cape Town albo jakiś ciekawy sztylet, jakiego przedtem nie widziałaś.

Camelia uśmiechnęła się smutno.

–To już nie jest takie proste, Elliotcie. Nie jestem już tą samą, beztruską dziewczynką, która mogła godzinami siedzieć nad książką, czy bawić się sztyletem, nawet jeśli pochodziłyby od ciebie. Jestem archeologiem odpowiedzialnym za zalane wodą wykopaliska w sercu Afryki Południowej, z dziesiątkami robotników, którym dałam pracę, i mnóstwem długów do spłacenia.

–A więc pozwól mi sobie pomóc – powiedział Elliott. – Wiem, że kiedy coś postanowisz, nigdy nie odpuszczasz, zawsze taka byłaś i zawsze cię za to podziwiałem, ale boli mnie, kiedy widzę, jak walczysz, żeby urzeczywistnić marzenia ojca.

–To także moje marzenia, Elliotcie – odparła Camelia. – Mój ojciec i ja dzieliliśmy tę samą pasję.

–Jakkolwiek ciężko ci to zaakceptować, dla twojego ojca było to coś innego. Nie możesz spędzić życia w brudnym, zakurczonym namiocie, na odludziu, wraz z gromadą tubylców kopiących ziemię w poszukiwaniu kości i kamiennych narzędzi. Twoje miejsce jest tutaj, w Londynie, gdzie powinnaś mieszkać we wspaniałym domu, wychowując dzieci i spotykając się z towarzyską śmietanką.

–Jakoś nie wydaje mi się, żeby londyńskie towarzystwo doceniło moje wysiłki jako gospodyni domu – odparła. – Podałabym gościom ciężką kolację złożoną z pieczonej antylopy i puddingu bananowego, dyskutując przy tym o pochodzeniu człowieka od małpy, podczas gdy Oscar, Harriet i Rupert skakaliby, fruwali i pełzali wokół. Nie sądzę, żeby ktoś chciał mnie odwiedzić po raz drugi! – zauważyła ze śmiechem.

–Zatem wszyscy są głupcami. – Elliott wyciągnął rękę, odsuwając kosmyk włosów z jej policzka.

Camelia zmieszała się. Musnął palcami jej skórę, delikatnie, ale z męską zaborczością, której nigdy przedtem u niego nie wyczuwała. W tej chwili miała wrażenie, że coś się między nimi zmienia – cicho i spokojnie, ale nieodwołalnie.

Patrząc jej w oczy, Elliott zaczął pochylać głowę ku jej głowie.

– Twoje miejsce jest przy mnie, Camelio. – Dotknął leciutko wargami jej ust, szepcząc chrapliwie: – Zawsze tak było.

Camelia stała jak skamieniała, z sercem trzepoczącym niczym ptak na uwięzi. Wargi Elliotta, ciepłe, zdecydowane, suche, napierały na jej usta. Ręce obejmowały ramiona delikatnie, ale stanowczo. W pocałunku kryła się hamowana namiętność, czuła to zwłaszcza wtedy, gdy zwiększył lekko nacisk, czekając na jej reakcję.

Ogarnęła ją fala uczuć. Elliott był starym i drogim przyjacielem, częścią jej życia, odkąd skończyła trzynaście lat. Od momentu, kiedy przybył do Afryki jako przystojny, dwudziestojednoletni mężczyzna, Camelia go uwielbiała. Energiczny, inteligentny, zdecydowany,

wydawał się jej cudownie niezależny i śmiały – syn wicehrabiego, któremu otwarcie sprzeciwił się i opuścił Anglię z miłości do archeologii. Przez całe lata w jej niedoświadczonym sercu płonął ogień namiętności i podziwu dla niego. Przez pewien czas fantazjowała nawet o tym, że kiedyś ją poślubi. Ale teraz Camelia nie była już małą dziewczynką. Stała się kobietą, a jej uczucia do Elliotta zamieniły się w serdeczną, prawdziwą przyjaźń. Był dla niej ważny, ale nie należała do niego. Nie należała do nikogo.

Czy naprawdę sądził, że zapomni o Afryce i zamieszka w Anglii jako jego żona?

Pocałunek przybrał na intensywności.

Powietrze stało się nagle gęste i gorące, jak powietrze w sali balowej. Taki był Londyn. Elliott zamknąłby ją w jakimś ciemnym, zakurzonej, obitym aksamitem domu, w którym miałyby wychowywać dzieci, nadzorować służbę i podejmować decyzje w błahych sprawach, takich jak zastawy, menu, suknie. Nigdy nie pozwoliłby jej wrócić do Afryki, chyba że na króciutko, raz na parę lat, a po przyjeździe na świat dzieci odebrałby jej zapewne i to. Nie mogła się na to zgodzić, tak jak nie mogła przestać oddychać. Nie miała pojęcia o dzieciach, modzie, podejmowaniu gości, ale wiedziała, że zwiędnie i umrze, jeśli zostanie zmuszona do pozostania w Anglii i odgrywania żony jakiegoś mężczyzny. Oparła dłonie na jego piersi, usiłując go odepchnąć, on jednak źle rozumiał jej dotyk i przyciągnął ją mocniej, pogłębiając pocałunek

–Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się przeciągły, lekko kpiący głos. – Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteście zaręczeni.

Camelia, przestraszona, odsunęła się od Elliotta, napotykając rozbawiony wzrok Simona.

–Panie Kent – wykrztusiła, starając się, by jej głos nie brzmiał jak głos kobiety, która właśnie przerwała romantyczny pocałunek.

Simon przyglądał się jej, przesuwając spojrzeniem po szkarłatnej sukni, kusząco odsłaniającej kremowe ramiona. Rozjaśnione słońcem włosy spływały swobodnie wzdłuż wysmukłej szyi na bladą wypukłość piersi. Zastanawiał się, czy udałoby się kiedykolwiek poskromić jej włosy i upiąć jedwabiste pasma. Korallowe usta zdradzały zakłopotanie; wargi nie były spuchnięte, więc cokolwiek zaszło między nią a Wickhamem, nie mogło trwać długo.

Odczuł zadowolenie, że im przeszkodził, choć nie wiedział, dlaczego ma to dla niego jakies znaczenie. Ostatecznie lady Camelia była dorosłą kobietą, która mogła całować się, z kim chce. Jednakże przyjemne uczucie oczekiwania, które ogarnęło go, kiedy śpieszył na bal Towarzystwa Archeologicznego, ulotniło się, pozostawiając pustkę i złość.

–Co tu pan, do diabła, robi, Kent? – odezwał się Elliott, wściekły, że mu przeszkadzono.

–Mam dla pani pewne szkice do obejrzenia, lady Camelio – powiedział Simon, nie spuszczaając z niej wzroku. – Sądziłem, że będzie pani chciała spojrzeć na nie jak najszybciej.

Camelia wpatrywała się w niego jak urzeczona. Simon przewyższał Elliotta wzrostem, uświadomiła sobie, zaskoczona, że przedtem tego nie zauważyła. Miał na sobie wymięty surdut, kamizelkę i koszulę, a krzywo i niedbale zawiązany krawat zdradzał, że włożył go w ostatniej chwili, w wielkim pośpiechu. Fale rudozłotych włosów opadały mu na ramiona, które wydawały

się dużo szersze, niż Camelia wcześniej zauważyła. Nosił spodnie z dobrego materiału i elegancko skrojone, ale widać było, że od dawna nie dotknęło ich żelazko. Na mocnych, szczupłych dłoniach bez rękawiczek widniały plamy z atramentu, musiał więc przed przyjściem pracować nad plikiem papierów, które miał pod pachą; atrament poplamiał także białe mankiety jego koszuli. Biła od niego spokojna pewność siebie, gdy tak stał, patrząc na nią, co wydawało się raczej niezwykle, zważywszy niestosowność jego stroju i niedbałą fryzurę. Simon Kent bez wątpienia nie przejmował się zbytnio tym, co ludzie sądzą o jego stroju.

–Nie może pan tak po prostu tu wpadać, bo ma pan akurat ochotę zobaczyć się z lady Camelia – oznajmił Elliott cierpkim tonem. – To przyjęcie wyłącznie dla zaproszonych gości.

–Jestem pewien, że miałem gdzieś zaproszenie – odparł Simon, wzruszając ramionami. – Musiało spłonąć podczas pożaru. Mój dom, niestety, spalił się parę dni temu. Musiał pan pewnie o tym słyszeć?

–Ale nie jest pan odpowiednio ubrany – zauważył Elliott, któremu kłopoty Kenta były w tej chwili całkowicie obojętne. – Od gości wymaga się strojów wieczorowych.

–Proszę wybaczyć, Wickhip, ale obawiam się, że nie mam czasu na tańce – odparł uprzejmie Simon. – Chcę tylko zamienić słowo z lady Camelia, a potem zostawię państwa, abyście mogli w spokoju robić to, czym zajmowaliście się uprzednio.

–Nic nie robiliśmy – zapewniła pospiesznie Camelia, zakłopotana, ale także głęboko wdzięczna, że Simon zjawił się w odpowiednim momencie. – O co chciał mnie pan zapytać?

Blask księżycy, który oblewał jej sylwetkę, zamieniał jej lekko opaloną skórę w bładę jedwab. Zielone oczy lśniły, a chociaż starała się ze wszystkich sił zachować pozory spokoju, Simon wyczuwał w niej napięcie.

Co, do diabła, robisz z takim nudnym, nadętym głupkiem jak Wickham, skoro masz w sobie tyle ognia? – zastanawiał się w duchu.

Widział jej zakłopotanie, zrozumiałe wobec tego, że zjawił się w tak niewłaściwej chwili. Nie pojmował tylko, co robiła w ramionach Wickhama. Przyznawał, że wicehrabia jest przystojny na swój bezbarwny, nieciekawym sposobem – reprezentował typ pospolitej męskiej urody, którą gloryfikowały liczne obrazy i rzeźby. Simon wiedział, że większość kobiet mogła uważać lorda Wickhama, z jego jasnobrązowymi włosami, regularnymi rysami i nienagannym strojem, za pociągającego. Ale Camelia nie przypominała większości kobiet. Była obdarzona pragnieniem wiedzy i determinacją, poświęciła życie studiowaniu świata, analizowała najdrobniejsze szczegóły.

Czy naprawdę nie dostrzegała, że za tym świetnie skrojonym ubiorem i wyczyszczonymi do połysku butami krył się zwykły, nadęty, zarozumiały głupiec?

–Pracowałem nad szkicami pompy, lady Camelio. – Nie zwracając uwagi na Wickhama, Simon ruszył w stronę kamiennej ławki i ułożył na niej kilka pogniecionych papierów. – Chociaż wiem, mniej więcej, jak należy ją przystosować, musi mi pani powiedzieć o gęstości gruntu, który miesza się z wodą, i rozmiarach kamieni, które tam występują, oraz dostępności paliwa...

–Doprawdy, Kent, obawiam się, że muszę się sprzeciwić – przerwał mu Elliott. – Lady Camelia przybyła tu dzisiaj na bal, a nie żeby odbywać coś w rodzaju spotkania w interesach. To całkowicie nie na miejscu.

–Proszę wybaczyć, Wickhip...

–Wickham – warknął Elliott.

–Jak pan woli – powiedział Simon miłym tonem. – Lady Camelia i ja jesteśmy partnerami w pewnym przedsięwzięciu archeologicznym. Wiem, że niezwykle zależy jej na czasie, i zapewniała mnie, że mogę konsultować się z nią we wszystkim niezależnie od pory dnia czy nocy

–Nie sędzę, aby miała na myśli to, że może ją pan niepokoić na przyjęciu i osaczać w kącie ogrodu – odparł kąśliwie Elliott.

–Otóż mam wrażenie, że już przedtem była osaczona.

–Zapewniłam pana Kenta, że może się ze mną widzieć o dowolnej porze – wtrąciła szybko Camelia, widząc, jak Elliottowi drga szczęka.

Elliott spojrział na nią z niedowierzaniem.

–Odwiedzanie cię w domu, Camelio, to jedno, ale narzucanie ci się na balu, żeby omówić interesy, jest czymś głęboko niestosownym.

–Ma pan prawdopodobnie rację – zgodził się Simon, beztrąsko zgarniając pomięte kartki. – Powinienem już iść.

–Co w tym niestosownego, Elliotcie? – zapytała Camelia, zirytowana, że Elliott wtrąca się w jej sprawy.

–Po pierwsze, pan Kent nie został zaproszony...

–Otóż sędzę, że byłem, właściwie jestem tego pewien – rzekł Simon, drapiąc się w głowę. – Obawiam się, że mam kłopoty z zapamiętywaniem takich rzeczy. Zapominam nie tylko o zaproszeniach, ale także o datach i w ogóle o korespondencji. Lady Camelia może zaświadczyć.

–To nie ma znaczenia, czy go zaproszono, czy nie – oznajmiła Camelia – jako że nie przyszedł, aby uczestniczyć w balu. Przyszedł, żeby zobaczyć się ze mną w sprawie naszego przedsięwzięcia.

–Ale to już samo w sobie jest niewłaściwe, Camelio – odparł Elliott. – Nie powinnaś dyskutować o interesach na balu.

–Wiesz, Elliotcie, że to jedyny powód, dla którego tu przyszłam – przypomniała Camelia. – Sędzę też, że nie ma w tym niczego niestosownego, jako że mężczyźni uwielbiają rozmowy o interesach na każdym możliwym balu i przyjęciu. A może uważasz, że ponieważ jestem kobietą, nie przysługuje mi to samo prawo?

–Nie to miałem na myśli – powiedział Elliott, zorientowawszy się, że ją uraził.

–To prawda – odezwał się Simon, kiwając głową. – Powiedział wyraźnie, że pani nie powinna dyskutować o interesach – oznajmił z powagą, zwracając się do Camelii. – Z pewnością pan Wickhop uważa, że inne kobiety mogą robić, co im się podoba, nieprawdaż, Wickhop?

–Wickham – wykrztusił Elliott przez zaciśnięte zęby.

–Skoro sądzisz, że jest rzeczą nieodpowiednią, żebym omawiała interesy na balu, może lepiej będzie, jak stąd pójdę. – Camelia zwróciła się teraz do Simona. – Może przyjdzie pan do mojego domu, panie Kent, żeby porozmawiać, nie wywołując niczyjego oburzenia?

–To wspaniały pomysł – oświadczył Simon z zapałem. – Pojadę za panią swoim powozem. Widzi pan, Wickhop? Dzięki temu nikt nie poczuje się urażony.

–Nie mówisz poważnie, Camelio. – Elliott patrzył na nią, jakby postradała rozum. – Jest środek nocy.

–Dziękuję za troskę, Wickhop, ale zupełnie nie czuję się zmęczony – zapewnił go wesoło Simon.

–Nie o to mi chodziło – burknął Elliott. – Camelio, nie powinnaś podejmować pana Kenta u siebie w środku nocy.

–Nie będę go podejmować, Elliotcie. Pomówimy o interesach.

–To równie niewłaściwe.

–Przykro mi, ale gdybym spędzała życie na analizowaniu, co jest właściwe, a co nie, nigdy niczego bym nie osiągnęła.

–Zatem pojadę z tobą.

–To bardzo uprzejmie z twojej strony, ale nie śmiałabym zabierać cię z balu. Świetnie się bawisz, a ja odezwę się do ciebie za parę dni i dam ci znać, jak się wszystko układa.

–Doprawdy, Camelio, nalegam....

–A ja nalegam, Elliotcie, żebyś został – odparła z naciskiem. – Z większym pożytkiem spędzisz czas tutaj, rozglądając się za kimś, kto zainwestuje w twoje przedsiębiorstwo. Może nawet zatańczysz, grają ślicznie. Z pewnością zjawilo się mnóstwo młodych dam, które z przyjemnością puszczą się z tobą w tany. – Posłała mu słodki uśmiech.

Elliott patrzył na nią bezradnie. Nie mógł przecież narzucać siłą swojego towarzystwa.

– Pójdziemy, lady Camelio? – Simon podał jej uprzejmie ramię.

Czując się tak, jakby oznajmiono jej odroczenie wyroku, Camelia położyła dłoń na wygniecionym rękawie Kenta.

Ogarnęła ją fala gorąca, płynąca wzdłuż ramienia, powodując, że zacisnęła palce.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Simon, marszcząc brwi.

Uświadomił sobie nagle, że może dla Camelii nie jest zbyt rozsądnie wychodzić z balu w jego towarzystwie. Ostatecznie był pewien, że nikt go tutaj nie zapraszał. Choć nie miał zwyczaju przejmować się, co ludzie sądzą o nim czy jego stroju, nie mógł pozwolić, by goście lorda Bagleya czynili niepoehlebne uwagi o Camelii.

–Jeśli pani woli, mogę wyjść sam – zaproponował – i spotkać się z panią przy powozie.

–To zbędne – zapewniła Camelia. Wyczuła, że chce ją uchronić przed wścibskimi spojrzzeniami gości w sali balowej. To, że wychodzi z niezaproszonym i źle ubranym Simonem Kentem, z pewnością stanie się tematem plotek przez parę dni. Uśmiechnęła się do niego wesoło. – Weszłam frontowymi drzwiami i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wychodzić innymi.

Usta Simona drgnęły w uśmiechu. Camelia z pewnością nie przejmowała się skandalem. W gruncie rzeczy wydawała się mało dbać o konwenanse. Zaczął się nagle zastanawiać, czy pod zaskakująco prostą suknią wieczorową wciąż nosi ten groźny sztylet.

–Jak pani sobie życzy, lady Camelio. Dobrej nocy, Wickham – dodał, skłaniając się lekko przed Elliottem. – Mam nadzieję, że wieczór okaże się przyjemny.

Elliott patrzył z bezsilną złością, jak Camelia wędruje ścieżką, trzymając pod ramię żałośnie rozczochanego, niechlujnego wynalazcę.

Nie brakowało mu cierpliwości, potrafił czekać.

A zdobycie tak wyjątkowej nagrody wymagało cierpliwości.

5

W powietrzu wisiało coś złego.

Zdolność wyczuwania rzeczy, o których ludzie wokół nie mieli najmniejszego pojęcia, ciążyła mu czasami jak przekleństwo. Dźwigał ten ciężar ze stoickim spokojem, podobnie jak przed nim jego matka, a jeszcze wcześniej jej matka.

Od pokoleń uznawano, że ta moc objawia się u kobiet z ich rodu; od tak dawna, jak dało się sięgnąć pamięcią, tylko kobiety bywały obdarzane tym darem – przynajmniej tak zapewniała go matka. Kiedy jednak przekonała się, że nie dostała go żadna z jej trzynastu córek, ale otrzymał go Zareb, przeraziła się. Kobiety przywykły do bólu, rozczarowań i radości, jak mu powiedziała, i dlatego łatwiej im przychodziło znosić konsekwencje. Żeby to wytrzymać, powiedziała matka, musi być silniejszy od najpotężniejszego lwa i mądrzejszy od najmądrszego szamana. Jako młody chłopiec szczyił się pochodzeniem od potężnego Waitimu, jednego z najwybitniejszych

wojowników, jakich wydało jego plemię. Młodzieńcze zadufanie nie pozwalało mu wątpić, że starczy mu siły i mądrości, aby z łatwością unieść ów ciężar. Mylił się.

–Otworzę drzwi i zapalę lampy, Tisho – powiedział, zsuwając się szybko z kozła.

–Ależ Zarebie, przecież możemy razem pójść do domu – sprzeciwiła się Camelia. – Nie przeszkadza mi to, że nie ma światła.

–Pan Kent jest naszym gościem i nie powinien wchodzić do ciemnego domu. – Zareb starał się sprawiać wrażenie, jakby usiłował tylko być po angielsku uprzejmy. – To potrwa jedynie chwilę.

–I dlatego to śmieszne, żebyśmy oboje czekali w powozie – powiedziała Camelia. – Jestem przekonana, że pan Kent nie boi się ciemności.

–Wszystko będzie w porządku, dopóki pani wąż zachowa przyzwoitą odległość – zażartował Simon, stając obok Zareba. – Nie sprawia mi szczególnej przyjemności myśl, że mógłby nagle spaść na moją głowę. – Podeszedł, żeby otworzyć drzwi przed Camelią.

Zareb powstrzymał go, kładąc pomarszczoną dłoń na jego ramieniu.

Simon zmarszczył brwi.

– Czy coś się stało, Zarebie?

Do dłoni Zareba napłynęło gorąco. Nie cofał jej przez chwilę, chcąc się upewnić.

Może zmysły go zawodziły, zastanawiał się, zmieszany ciepłem, jakie teraz w nim pulsowało. Biały wynalazca patrzył na niego pytająco, szeroko otwierając niebieskie oczy, wcale nie rozgniewany zachowaniem Zareba, jak z pewnością byłoby w wypadku lorda Wickhama. To dobrze, uznał Zareb, starając się opanować niepokój. Panowała ciemność, ale było też światło.

Miał nadzieję, że było wystarczająco silne, żeby rozproszyć mrok.

– Ja to zrobię – powiedział ze stoickim spokojem, sięgając do klamki od drzwiczek powozu. A potem, być może chcąc dać do zrozumienia, że Camelia jest wyłącznie pod jego opieką, dodał uroczyście: – To mój obowiązek.

Otworzył drzwi i wyciągnął rękę do Camelii, by pomóc jej wysiąść. Trzymał jej dłoń chwilę dłużej, niż to było konieczne, obejmując długimi palcami barwy kawy jej małą dłoń w rękawiczce.

–Czy wszystko w porządku, Zarebie? – Camelia spojrzała na niego zdziwiona.

–Oczywiście – zapewnił, mając nadzieję, że to prawda. – Chodź.

Chciał trzymać ją za rękę, kiedy szli w stronę domu, tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem, rozumiał jednak, że teraz to niemożliwe. Niechętnie zwolnił uścisk. Pomyślał, że wesprze się na ramieniu białego wynalazcy, ale nie zrobiła tego.

Z jakiegoś powodu to nieco poprawiło mu humor.

– To dziwne – szepnęła Camelia, kiedy weszli po schodach. – Drzwi są uchylone.

Zareb stanął przed nią, nie pozwalając podejść bliżej do drzwi.

–Poczekaj.

Szybko przesunął wzrokiem po oknach, szukając światła czy ruchu za zaciągniętymi zasłonami. Niczego nie zauważył. Ale drzwi były otwarte na długość palca.

Zareb pamiętał, że je zamknął.

–Nie ma śladów, żeby ktoś się włamał – powiedział Simon, przyglądając się uważnie drzwiom i framudze. – Czy to możliwe, że nie zostały dobrze zamknięte i wiatr je otworzył?

–Drzwi były zamknięte na klucz – odparł cicho Zareb. – I nie ma wiatru.

Strach ścisnął Camelię za gardło. Oskar, Rupert i Harriet zostali w domu sami. Wyminęła Zareba, wbiegając do środka.

–Poczekaj, Tisho! – zawołał Zareb, biegnąc za nią. – Nie wiesz, co tam czeka!

–Oskar! – Camelia przeszła przez pograżony w mroku hol, usiłując przebić wzrokiem ciemności. – Oskar, gdzie jesteś?

–Poczekaj chwilę, Tisho – prosił Zareb, wyciągając zapalki. – Nie chodź nigdzie, póki nie zapalę światła. – Jego głos brzmiał zdumiewająco stanowczo. Zwracał się do niej takim głosem dawniej, kiedy była małą dziewczynką i usiłowała zrobić coś niebezpiecznego.

Camelia czekała pełna niepokoju, aż zapłonie zapalka. Delikatne, pomarańczowe światło rozjaśniło pokój; Zareb zapalił lampę.

– O Boże – szepnęła. Weszła powoli do gabinetu ojca.

Biurko i krzesła leżały na ziemi; zniszczone, skórzane obicia pocięto złośliwie, tak że suche końskie włosie wysypało się na wyblakły dywan. Biblioteczkę i mały stół przewrócono, a potem porąbano siekierą na drobne szczapy. Wszystkie cenne olejne obrazy ojca, szkice zabytkowych budynków, starożytne mapy zerwano ze ścian i podarto. Bezcenne artefakty, maski i statuetki przywiezione z licznych podróży porozbijane porzucono na podłodze. A jego ukochane książki, leżące w stosach w całym pokoju tak, jak pozostały po ostatniej wizycie ojca w Londynie, podarto na kawałki i rozwłóczono po całym pokoju.

Stała chwilę, ogarniając wzrokiem rozmiary katastrofy, przejęta nagłą, duszącą rozpaczą.

A potem odwróciła się gwałtownie i weszła w ciemność jadalni.

Zareb z lampą pospiesznie ruszył za nią. Miedziane płomyki wydobyły z mroku połamany stół i krzesła, przewrócony na ziemię kredens. Białołękitne morze rozbitej porcelany i kryształów zaścieniało podłogę. Wzrok Camelii padł na strzępy szarych piór leżące w różnych kątach pomieszczenia.

–Harriet! – W jej głosie brzmiała panika. – Rupert! Gdzie jesteście?

–Nie sądzę, żeby byli tutaj, na dole. – Simon usiłował zapanować nad wściekłością, jaka ogarnęła go na widok zrujnowanego domu. Wyciągnął rękę do Camelii. – Chodź, Camelio – powiedział łagodnym i nienaturalnie spokojnym tonem. – Prawdopodobnie znajdziemy ich na górze.

Skinęła głową, ujmując go za rękę. Silne, ciepłe palce zacisnęły się na jej dłoni, przekazując poczucie bezpieczeństwa.

– Oczywiście, że tak – przyznała, starając się powstrzymać gwałtowne bicie serca. – Przestraszyli się i pewnie ukryli na górze.

Odwróciła się plecami do zrujnowanej jadalni i poszła za Zarebem na piętro, nadal trzymając rękę Simona.

– Wyjdź, Oskar – zawołał Zareb. – Już wszystko dobrze, maleńcy.

– Jestem w domu, Oskarze – dodała Camelia napiętym głosem. – Nie masz się czego bać.

Simona ogarniał strach w miarę, jak posuwali się po schodach. Z piętra, gdzie znajdował się salon i sypialnie, nie dobiegały żadne dźwięki, ale w świetle lampy Zareba widać było, że górna część domu ucierpiała równie mocno, jak dolna. Ktokolwiek się tego dopuścił, działał metodycznie. Wiedział, że Camelia wyszła na całą noc i nie śpieszył się, przechodząc z pokoju do pokoju, łamiąc, tnąc, niszcząc. Simon był ciekaw, czy znalazł to, czego szukał.

W tej chwili jedyne, na czym mu zależało, to zwierzęta Camelii.

–Oskar – zawołała Camelia, starając się powstrzymać drzenie głosu, kiedy przyglądała się ruinie salonu. Na dywanie leżało więcej piór Harriet. – Harriet! – Camelia puściła nagle dłoń Simona i pobiegła na kolejne piętro.

–Poczekaj, Tisho! – Zareb poruszał się tak szybko, jak pozwalały mu obszerne szaty. – Nie możesz wejść tam beze mnie!

Nie zwracając na niego uwagi, Camelia pobiegła korytarzem i otworzyła na oścież drzwi swojej sypialni. Powitała ją atramentowa ciemność.

– Oskar? – szepnęła łamiącym się głosem.

Małe stworzonko pisnęło z ulgą i skoczyło, lądując u jej stóp. Camelia krzyknęła, podnosząc je z ziemi i przyciskając do piersi.

– Czy nic ci się nie stało, Oskarze? – Szybko przesunęła palcami po jego głowie i łapkach, sprawdzając, czy nie jest ranny. – Jesteś cały?

Oskar zapiszczał radośnie, wtulając się w nią i obejmując ją łapkami za szyję.

– Znaleźliśmy Harriet – powiedział Zareb, który właśnie pojawił się w drzwiach z ptakiem kurczowo uczepionym jego ramienia.

– Straciła wiele piór, ale poza tym nie ucierpiała. Pewnie nie będzie chciała tak często przeglądać się w lustrze, dopóki nie odrosną.

Camelia wyciągnęła rękę, a Harriet natychmiast na nią sfrunęła.

– Och, Harriet, nadal jesteś śliczna – powiedziała pieszczotliwie Camelia, gładząc miękką, szarą pierś ptaka. – Wyrzucimy wszystkie lustra, póki nie odzyskasz piórek. – Przeniosła Harriet na ramię. – Teraz musimy tylko znaleźć Ruperta.

Simon ściągnął brwi.

– Czy to moja wyobraźnia, czy ten stos ubrań się rusza?

Camelia zerknęła na przemieszczające się powoli ubrania, które wypadły z przewróconej szafy.

– Rupert! – zawołała uszczęśliwiona, schylając się, żeby go wydobyć spod stosów satyny i jedwabiu. – Jak sprytnie, że ukryłeś się w moich ubraniach!

Rupert zwrócił na nią swoje wylupiaste, szkliste oczy, a potem wysunął język

Camelia podniosła go i pocałowała czule w zimną, gładką głowę.

Simon patrzył na nią poruszony. Strach znikł z jej twarzy, zastąpił go wyraz nieklamanej ulgi. Uświadomił sobie, że te dziwne afrykańskie stworzenia były dla niej wszystkim. Brzydki, pomarańczowo–czarny wąż, złośliwa, niegrzeczna małpka i egzotyczne, próżne ptaszysko. Te zwierzaki i Zareb składali się na całą rodzinę Camelii.

Przełknął ślinę, szczęśliwy, że wandalę, którzy wdarli się do domu, nie skrzywdzili małych podopiecznych.

– Wyjdźmy stąd, Camelio – odezwał się nagle Zareb, pokazując na drzwi. – Skoro znaleźliśmy zwierzęta, możemy odejść.

Nagła nutka w jego głosie była ledwie słyszalna. Nikt inny nie zwróciłby na nią uwagi. Ale Camelia znała i kochała Zareba od wielu lat. Domyśliła się, że chce ją przed czymś ochronić.

Spojrzała na łóżko.

– Przynies lampę bliżej, Zarebie – powiedziała cicho.

–Powinniśmy zajrzeć do innych pokoi, Tisho – odparł Zareb, usiłując odwrócić jej uwagę. – Tutaj nic nie ma...

–Przynies lampę – powtórzyła, przesuwając się powoli w stronę łóżka. A potem, wiedząc, że pragnie tylko jej dobra, dodała: – Proszę.

Zareb niechętnie podszedł do łóżka. Ciepłe światło padło na przebitą sztyletem poduszkę. To była ulubiona broń ojca, ciężki sztylet wykonany przez członków plemienia San, których biali w Afryce Południowej nazywali także Buszmenami. Swoiste dzieło sztuki rzemieślniczej z ciężką żelazną rękojeścią i stalowym ostrzem, eleganckie i dobrze wyważone – stanowiło groźną broń. Pomyślała, że ktoś, kto zdjął sztylet z haka nad kominkiem w gabinecie ojca i użył do przybicia listu do poduszki, nie mógł wiedzieć, że szaman nadał ostrzu moc magiczną.

Patrzyła na sztylet, starając się opanować strach. Nie wierzyła w klątwy, powiedziała sobie stanowczo. A jednak zrobiło jej się zimno, jakby nagle owionął ją lodowaty wiatr.

–Niebezpieczny nożyk – odezwał się wesoło Oliwier od progu. – Biedna poduszciczka nie miała żadnych szans.

Simon westchnął.

–Lady Camelio, pozwól sobie przedstawić Oliwiera, który miał czekać na mnie w powozie. Oliwierze, to jest lady Camelia i Zareb.

–Miło mi. – Oliwier skłonił lekko siwą głowę. – I nie możecie mieć do mnie pretensji, że wszedłem tutaj, żeby, na świętą Columbę, sprawdzić, co się dzieje. Jak zobaczyłem jedno światło przechodzące przez cały dom – ciągnął surowo, zwracając się do Simona – jak duch, potem, jak minęło dość czasu, żeby zapalić w całym domu, to jest, lampy – dodał szybko, zerkając na Camelię. – Pewnie słyszeliście, że chłopak niedawno spalił swój dom, ale to był pierwszy raz, kiedy nie zapanował nad ogniem, nie pomyślcie czasem, że u niego to zwyczajna rzecz. Oczywiście, raz było tak, że o mało nie podpalił domu pani Amelii bombą dymną – stwierdził, drapiąc się po głowie – ale to zrobił celowo. Jako chłopiec zawsze coś wysadzał albo wkładał knoty do butelki i podpalał. Mówił, że chciał tylko sprawdzić, czy da się lepiej oświetlić pokój. – Parsknął śmiechem i dokończył:

–Zawsze myśleliśmy, że obudzimy się któregoś dnia w płonącej chałupie!

–Nie odpowiadam za pożar w moim domu, Oliwierze – powiedział Simon, chcąc przerwać gadaninę starszego człowieka. Nie sądził, żeby to był najbardziej odpowiedni moment, by raczyć Camelię i Zareba opowieściami o jego dziecinnych wybrykach. – Nie mówiłem o tym Genevieve i Haydonowi, bo nie chciałem ich martwić, ale ktoś specjalnie podłożył ogień w mojej pracowni. Przypuszczam, że ci sami ludzie zniszczyli dzisiaj dom lady Camelii.

– To nie byli prawdziwi złodzieje, to pewne – zauważył Oliwier, rozglądając się po pokoju. – Sam byłem kiedyś złodziejem – oznajmił dumnie – i nigdy nie zostawiłem po sobie takiego bałaganu. Po co chłostać krowę, która daje mleko? – Skrzywił się i skończył ze złością: – Tylko bezmózgie głupki mogły zrobić coś takiego, a jakbym ich dostał w swoje ręce, stłukłbym ich tak, że przez miesiąc nie mogliby siadać!

Złość starego Szkota jakoś dodała Camelii otuchy.

– Dziękuję ci, Oliwierze. – Nie bardzo wiedziała, co o nim sądzić – z burzą siwych włosów i przechwałkami o złodziejskiej przeszłości. Simon mówił, że Oliwier jest jego woźnicą, ale Camelia domyślała się, że był kimś znacznie więcej. – To bardzo miło z twojej strony.

Oliwier rozpromienił się, po czym zmarszczył brwi.

–Wiesz, że masz jakąś bestię owiniętą wokół szyi?

–To Rupert – wyjaśnił Simon. – Wąż lady Camelii.

–To znaczy takie zwierzątko domowe? – Oliwier spojrział na Ruperta z powątpiewaniem. – Czy on nie powinien być w klatce?

–Obawiam się, że Rupertowi niezbyt odpowiadałoby zamknięcie w klatce – powiedziała Camelia. – Przywykł poruszać się, gdzie mu się podoba.

–Pismo, Tisho. – Zareb wskazał kartkę papieru przebitą sztyletem. – Co tam jest napisane?

Camelia wyciągnęła powoli sztylet z poduszki, po czym przysunęła papier bliżej do lampy. Starając się opanować drżenie głosu, przeczytała:

– „Śmierć tym, którzy zakłócają sen Pumulani”.

–Co to jest Pu Mu Lane? – zapytał Oliwier.

–To afrykańska nazwa miejsca, gdzie prowadzę wykopaliska w Afryce Południowej – odparła Camelia. – Oznacza „odpoczynek” albo „miejsce spoczynku” w językach niguni. Jakies sto lat temu mieszkała tam rodzina holenderskich Burów, którzy założyli gospodarstwo. Mój ojciec nabył tę ziemię od wnuka pierwotnego właściciela i zaczął ją przekopywać około dwudziestu lat temu. Od czasu jego śmierci przed sześcioma miesiącami kontynuuję jego pracę.

– Wygląda na to, że ktoś nie chce, żebyś tam była.

– Ojciec wierzył, że ta ziemia kryje jakieś niezmiernie cenne z archeologicznego punktu widzenia zabytki – wyjaśniła Camelia. – W ciągu wielu lat znaleźliśmy wiele artefaktów wskazujących, że kiedyś znajdowała się tam kwitnąca osada, a kilka rzadkich malowideł naskalnych potwierdza tę teorię. Podejrzewam, że jakiś archeolog próbuje mnie zniechęcić do badań w tym miejscu. Sądzi, że jeśli się poddam, zdoła kupić tę ziemię za ułamek jej wartości i dalej będzie tam kopać beze mnie.

Oliwier zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że to nie pierwszy raz, kiedy próbują cię nastraszyć?

–**Nie.**

–Co jeszcze zrobili? – zapytał Simon.

–Różne rzeczy – odparła Camelia wymijająco. – To nie ma znaczenia. Chcą mnie nastraszyć, ale to im się nie uda. To moja ziemia i będę tam kopać, aż znajdę to, czego szukał mój ojciec.

– A co to takiego?

– Dowody na istnienie starożytnej cywilizacji.

Oliwier podrapał się w zamyśleniu w brodę.

– Wydaje się, że to mnóstwo zamieszania jak na parę starych kości.

– Masz rację, tak jest. – Simon popatrzył uważnie na Camelię.

–Sądzę, że tak to wygląda w oczach ludzi, którzy nie poświęcili się wykopaliskom – przyznała Camelia. – Ale dla tych, którzy spędzają życie, mając nadzieję na choć jedno odkrycie o kapitalnym znaczeniu historycznym, to rzeczy ogromnie ważne.

–Musimy stąd wyjechać, Tisho – powiedział Zareb z ponurym wyrazem twarzy – Teraz.

– Nie możemy tego zrobić, Zarebie – sprzeciwiła się Camelia. – Pan Kent nie miał jeszcze czasu, żeby popracować nad pompą.

– Nie mówię, że mamy dziś w nocy wrócić do Afryki – stwierdził Zareb. – Mówię, że ten dom nie jest już dla ciebie bezpieczny. Musimy go opuścić.

Camelia pokręciła głową.

–To dom mojego ojca. Nie zamierzam pozwolić, żeby jakieś pospolite zbiry zmusiły mnie do ucieczki. Posprzątam i zostaniemy tutaj.

–Odważna dziewczyna – pochwalił Oliwier. – Mokra owce nie trzęsą się, strząsają wodę.

–Owce się zabija, Oliwierze – mruknął Simon.

–Cóż, czasami – przyznał niechętnie Oliwier. – Chciałem powiedzieć coś podnoszącego na duchu.

–Doceniam to, Oliwierze – zapewniła Camelia. – To nie jest pierwszy raz, kiedy ktoś usiłuje mi przeszkodzić w pracy i nie sądzę, że ostatni. Ale nie dam się zastraszyć.

–Dzielna dziewczyna. – Oliwier uśmiechnął się do Camelii. – Pies nie musi być duży, liczy się duch walki.

–Lady Camelia nie jest psem – sprzeciwił się Zareb. – Zagrożono jej sżytyetem ojca, który wielki szaman obdarzył ciemną mocą. Nie może tu dłużej zostać. Dziś w nocy musimy stąd odejść.

–Ciemne moce, powiadasz? – Oliwier zmarszczył brwi, drapiąc się po głowie. – No cóż, to już całkiem inny garnek śledzi.

–Nie możemy stąd odejść w tej chwili – powiedziała Camelia.

– Nie mamy dokąd pójść.

– Moglibyście zamieszkać u nas – oznajmił uprzejmym tonem Oliwier.

Simon spojrzał na niego ze zdumieniem.

–Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł...

–Czemu nie? Mamy dość miejsca dla wszystkich, chociaż trzeba będzie trochę popracować nad Eunice, żeby się zgodziła na węża. Eunice nie lubi, jak coś pełza po ziemi.

–Rupert może przebywać w pokoju lady Camelii – szybko podsunął Zareb. – Nie będzie miał nic przeciwko temu.

–Nie mogę zamknąć Oskara i Harriet na dzień i noc w sypialni –zaprotestowała Camelia. – Potrzebują dużo miejsca, żeby się swobodnie poruszać. Zostaniemy tutaj.

– No cóż, jestem pewien, że Eunice i Doreen nie będą miały nic przeciwko nim, o ile będą dobrze się zachowywać i nie narobią bałaganu – stwierdził Oliwier.

–Dopilnuję, żeby się dobrze zachowywali – zapewnił Zareb, zanim Camelia zdążyła się odezwać. – Będę ich karmić i uprzątać wszelki bałagan. Twoja Eunice i Doreen nawet ich nie zauważą.

–No to ustalone – zawołał radośnie Oliwier.

–Naprawdę nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – zaczął znowu Simon.

–Nie musisz się martwić o reputację dziewczyny – dodał Oliwier do Zareba, nie zwracając uwagi na Simona. – Eunice i Doreen przywykły do opieki nad młodymi pannami, robiły to przez lata.

–Liczy się tylko honor, który nosi się w sercu – oświadczył Zareb uroczyście. – Honor lady Camelii jest bezpieczny, dokądkolwiek by poszła.

–Oczywiście, to się rozumie samo przez się – zgodził się Oliwier. – Ale przy tylu ludziach pod jednym dachem zawsze będzie komu dopatrzeć, żeby jaśnie pani była bezpieczna. Powiadam ci, jeśli dranie, co tu dzisiaj byli, spróbują się dostać do mojego domu, pocałuję ich butem w tyłek...

–Dziękuję, Oliwierze, lady Camelia z pewnością doceni twoją życzliwość – przerwał Simon. – Jednakże nie jestem przekonany, że to najlepsze rozwiązanie...

–Chłopcze, będziesz miał i tak mnóstwo miejsca, żeby się bawić swoimi wynalazkami – zapewnił Oliwier. – Coś nie sędzę, żeby lady Camelia miała za dużo do zabrania.

–Tylko trochę ubrań – powiedział Zareb. – A ja sam nie potrzebuję pokoju. Mogę spać wszędzie.

–No widzisz? Wszystko będzie, jak trzeba. – Oliwier uśmiechnął się promiennie do Camelii. – Może spakowałabyś parę rzeczy, dziewczyno, a ja i Zareb zaniemiemy je do powozu?

Camelia spojrzała na Simona niepewnie.

W głębi ducha odczuwała przerażenie. Dom jej ojca został po bestialsku zrujnowany, a ona nie była w stanie nic zrobić, żeby do tego nie dopuścić. Liczyło się jednak to, że zwierzęta nie ucierpiały, powiedziała sobie stanowczo. Ale co mogłoby się wydarzyć następnym razem, kiedy wyszłaby gdzieś z Zarebem, a Oskar, Harriet i Rupert zostaliby sami? Gdyby któreś z nich doznało jakichś obrażeń, nie mogłaby sobie wybaczyć.

– Czy to ci odpowiada, Simonie? – Bardzo nie podobała jej się myśl, że narzuca mu się wraz ze swoimi zwierzętami. Jednak widok ojcowskiego sztyletu wbitego w poduszkę poruszył ją bardziej, niż chciała przyznać. – To nie potrwa długo.

Simon westchnął. Oliwier i Zareb mieli rację. Camelia nie była bezpieczna w tym domu. Nie wierzył w klątwy, ale ktoś starał się ją zniechęcić do wykopalisk na jej ziemi.

Następnym razem mogą nie poprzestać na niszczeniu mebli.

– Będzie mi miło móc gościć ciebie, Zareba, Oskara i Harriet u siebie – powiedział.

Camelia poruszyła głową, po czym zmarszczyła brwi.

– A co z Rupertem?

Simon spojrzał nieufnie na węża owiniętego wokół jej szyi.

–Rupert też może u nas zamieszkać – zgodził się z wahaniem – o ile obiecasz, że nie wyjdzie poza twoją sypialnię. Nie chcę, żeby Eunice krzyczała ze strachu za każdym razem, gdy się na niego natknie. – Nie wspomniał o tym, że jemu też nie przypadłoby do gustu, gdyby spotkał paskudne stworzenie w środku nocy.

–Sądzę, że Rupert nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby przebywać w moim pokoju – powiedziała Camelia w zamyśleniu, tuląc węża opiekuńczo. – Ale czy wam na pewno nie będą przeszkadzać ruchliwy Oskar i Harriet?

–Oczywiście, że nie, dziewczyno – wtrącił Oliwier. – Z pewnością wniosą trochę życia do domu.

Camelia skierowała wzrok na Simona.

– Simonie?

Jej oczy były ledwo widoczne w złotej poświacie bijącej z lampy Zareba, ale Simon dostrzegł w ich głębi niepewność. Nie brakowało jej siły i zdecydowania, ale widział, że ostatnie wydarzenia mocno nią wstrząsnęły. Była przerażona, kiedy biegła po domu, wołając swoje zwierzaki. Powiedziała Simonowi, że nie wierzy w klątwy. Może i tak.

Jednakże nie ulegało wątpliwości, że widok sztyletu ojca wbitego w poduszkę pozbawił ją brawury.

–Oskar i Harriet z pewnością nie sprawią kłopotu – przyznał wbrew swojemu przekonaniu.

–Widzisz, dziewczyno? – uśmiechnął się radośnie Oliwier. – No to może spakujmy twoje rzeczy i ruszajmy w drogę.

–Oliwier i ja sprawdzimy, czy okna i drzwi są zamknięte, podczas gdy wy będziecie się pakować. Zawołajcie nas, kiedy skończycie. – Simon odwrócił się i wyszedł z pokoju.

–Eunice i Doreen lepiej powiedzieć o małpce i wężu na samym końcu – szepnął Oliwier, kiedy schodzili po schodach. – Nie jestem pewien, czy przyjmą to z takim spokojem, jak mówiłem.

–Możesz im to powiedzieć, Oliwierze – odparł Simon. – To był wyłącznie twój pomysł.

-No, chłopcze, znam cię dość, żeby wiedzieć, że nigdy nie zostawiłbyś dziewczyny samej w tym bałaganie, ze sztyletami w poduszkach i klątwami fruującymi w powietrzu. Ja tylko pomogłem ci podjąć decyzję, że trzeba ją zabrać do nas.

-Ona nie jest zwierzątkiem domowym, Oliwierze.

-Masz rację, to dzielna dziewczyna i do tego śliczna, jak rzadko. Przypomina panią Genevieve, kiedy była młoda. – Zachichotał. – Szybko się dogadają, jak się spotkają.

-Nie spotkają się. Przez parę tygodni będę pracował dzień i noc nad pompą, tak żeby lady Camelia mogła jak najszybciej wrócić do Afryki.

-Do Afryki, powiadasz? Nigdy nie myślałem, żeby tam jechać. Ciekaw jestem, czy faktycznie tak tam gorąco, jak mówią.

-Nie jedziesz, Oliwierze.

-Przypuszczam, że podróż będzie długa, nawet na najszybszym ze statków Jacka – ciągnął Oliwier, nie zwracając na niego uwagi. – Trzeba będzie zapakować mnóstwo owsianych ciasteczek Eunice.

-Oliwierze...

-Co za łajdactwo tutaj zrobili. – Oliwier popatrzył ze zgrozą na poniszczone, potłuczone rzeczy w gabinecie. – Ale nawet w gnieździe, które spadło z drzewa, da się znaleźć całe jajko – dodał wesoło.

-Ten, kto to zrobił, niczemu nie przepuścił – zauważył Simon, omiatając wzrokiem podłogę.

-Ale nie złamali jej, co?

-**Nie.**

-No to masz swoje jajko. – Uśmiechnął się i poszedł sprawdzić okna w jadalni, zostawiając Simona wśród ruin i zgliszczy.

6

Gardło jej się ścisnęło, kiedy powóz wreszcie stanął.

Jak większość londyńskich domów, nowy dom Simona był wąski i wysoki, tak żeby wykorzystać jak najlepiej niewielki kawałek gruntu. W dzieciństwie Camelia myślała, że wszystkie domy buduje się w ten sposób – z wyjątkiem rodzinnej, podniszczonej rezydencji na wsi. Matka niezbyt dbała o ten **pelen** przeciągów, podupadły dom z pleśniejącymi ścianami i bezustannie przeciekającym dachem. Lady Stamford **za** bardzo odpowiadał zgiełk i światła

miasta, żeby dać się zamknąć na całe tygodnie na środku pola, jak **to** nazywała. Wobec powtarzających się wyjazdów naukowych ojca Camellii, jej matka wybrała miasto, gdzie mogła zabawić się robieniem zakupów, chodzeniem **do** teatru i odbywaniem wizyt towarzyskich.

Camelia uwielbiała, kiedy ojciec wracał **do** domu i zabierał je **na** parę tygodni na wieś. Uwielbiała leżeć na trawie i wpatrywać się w niebo, podczas gdy słońce grzało jej skórę, **a** wiatr szumiał w **gałęziach** drzew. Lubiła nawet dom, w którym zapach pleśni wyczuwało się w każdym pokoju, **a** wyblakłe zasłony i zniszczone meble przypominały **o** pokoleniach ludzi, którzy tutaj żyli. Ojciec zappełnił wszelkie możliwe kąty przywiezionymi **z** licznych podróży eksponatami. Niektóre, pochodzące **z** zamierzchłej przeszłości, przedstawiały dużą wartość, podczas gdy inne były zwykłymi przedmiotami codziennego użytku, które uznał **za** piękne albo interesujące. Camelia słuchała zachłannie jego opowieści **o** tym, jak **o** mało nie zginął, starając się je zdobyć, albo **od** jakiej barwnej postaci je kupił. Prosił, żeby przesuwała palcami **po** przedmiocie, chcąc, żeby odczuła jego **ciepło**, ducha i tajemnice.

Najciekawsza była broń. Ojciec kochał broń, nie z powodu ran, jakie mogła zadawać, ale fascynowało go, że rzemieślnicy w każdej cywilizacji starali się uczynić ją równie piękną, jak niebezpieczną. Podawał Camellii ciężkie włócznie, ostre sztylety, niezwykle szable i wymyślnie zdobione tarcze, polecając jej sprawdzić, jak doskonale są wyważone. Czasami, na jej prośbę, pozwalał jej wynieść broń na dwór do zabawy. Stawał blisko, pokazując, jak się trzyma miecz, jak rzuca włócznię czy sztylet. Trzymał wówczas wielką, opaloną dłoń na jej malutkiej rączce, udzielając jej głębokim głosem, w którym brzmiało ciche zadowolenie, odpowiednich instrukcji.

Pewnego dnia matka przeraziła się, widząc, jak Camelia rzuca sztyletem w drzewo. Ostrze ześlizgnęło się, przecinając dłoń i powodując, że po ręce spłynął jaskrawy strumyczek krwi. Na krawędzi hysterii lady Stamford porwała Camelię, wciągając ją do domu i miotając wściekłe oskarżenia pod adresem męża, że niemal zabił ich jedyne dziecko. Camellii nie wolno było dotknąć broni do końca życia matki.

Poruszyła się niespokojnie, uświadamiając sobie nagle ucisk rzemienia, którym miała przywiązany sztylet do łydki.

– Chodź, Tisho. – Zareb otworzył drzwiczki i wyciągnął do niej rękę.

–Dziękuję, Zarebie.

Poczuła się odrobinę lepiej, kiedy wsunęła dłoń w rękę Zareba. Choć starała się to ukryć, widok zrujnowanego domu ojca, poniszczonych przedmiotów i podartych książek był dla niej strasznym przeżyciem. Powtarzała sobie, że to tylko rzeczy. Fakt, że niektóre z nich stanowiły cenne artefakty, zaprawiał ten argument goryczą.

Najbardziej dokuczała jej myśl, że zmuszono ją do opuszczenia jedyne miejsce w Londynie, gdzie czuła się choć trochę jak w domu.

–Może zabierzesz klatkę z Harriet, a ja wezmę Oskara i Ruperta?

–Zostawmy ich lepiej na chwilę samych – powiedział Zareb – tak żeby pan Kent mógł uprzedzić Eunice i Doreen.

–Nie sądzę, żeby Oskar po tym wszystkim zechciał zostać sam w powozie – stwierdziła Camelia, czując, jak małpka ściskają za ramię. – Obawiam się, że jeśli się przestraszy, może tylko zaalarmować Harriet i Ruperta. Powinniśmy pójść wszyscy razem.

–Jak sobie życzysz. – Zareb wyciągnął z powozu klatkę z Harriet.

Simon przyglądał się, jak Camelia i Zareb zmierzają ku wejściu do jego nowo wynajętego domu. Tworzyli dziwną parę, ona w szkarłatnej wieczorowej sukni, on w bajecznie barwnych szatach, niosący małpkę, ptaka i kosz. Jednak były od nich jakaś niezwykła godność i duma.

–Daj mi, dziewczyno, ten koszyk – powiedział Oliwier, podbiegając do nich, podczas gdy Simon otwierał drzwi. – Dość, że niesiesz małpkę.

–Dziękuję, Oliwierze. – Camelia uśmiechnęła się. – To bardzo uprzejme z twojej strony.

–Jesteśmy – zawołał Simon, wchodząc do środka.

–Najwyższy czas. – Eunice pojawiła się w drzwiach prowadzących na dół, do kuchni, a Doreen zaraz za nią. – Ja i Doreen byliśmy już gotowe wysłać za wami policję, święta Columbo, dziewczyna ma jakieś włochate zwierzę na szyi!

–To Oskar – oznajmił wesoło Oliwier. – A to jest lady Camelia, a to Zareb, a tu w klatce to Harriet.

–Miło was poznać, to pewne. – Doreen spojrzała nieufnie na Oskara. – Czy on gryzie?

–Tylko jabłka – oświadczył Zareb. – Nie ludzi.

–Lady Camelię i Zareba spotkały pewne nieprzyjemności w domu dzisiaj wieczorem – wyjaśnił Simon. – Zostaną z nami przez jakiś czas, zanim wrócą do Afryki Południowej.

–Nieprzyjemności? – zdziwiła się Eunice.

–Jakieś dranie zakradły się do domu jaśnie pani, kiedy akurat nikogo nie było i poniszczyły wszystko doszczętnie – odparł Oliwier. – Wbiły sztylet w poduszkę i zostawiły paskudny list z pogroźkami, jak ich kiedy złapię, to mnie popamiętają!

Eunice posłała Camelii współczujące spojrzenie.

–Nie myśl o tym, dziewczyno, teraz jesteś tutaj, cała i zdrowa.

–Tacy są dzisiejsi złodzieje, nie ma w nich za grosz honoru – ciągnął gniewnie Oliwier. – Pistolety, sztylety, głupie groźby, pytam was, gdzie w tym honor?

–To, co się zdarzyło w domu lady Camelii, nie było sprawką pospolitych złodziei – zauważył Simon. – Celowo chcieli ją zastraszyć.

–To nawet gorzej, wredne łotry. – Doreen uderzyła pięścią w dłoń. – Lepiej niech tutaj tego nie próbują, bo wsadzę im garnki na głowę i miotłę w tyłek, zanim się obejrzą!

–Miejmy nadzieję, że władze ich złapią, zanim bandyci się dowiedzą, dokąd udała się lady Camelia – powiedział Simon. – Pójdę teraz na komisariat, żeby złożyć doniesienie.

–Nie możemy zawiadomić policji – zaniepokoiła się Camelia.

–A to dlaczego?

–Jeśli policja rozpocznie dochodzenie, napiszą o tym gazety i wiadomość dotrze do członków Towarzystwa Archeologicznego. Garstka archeologów, którzy niechętnie obiecali mi swoją pomoc, wycofa wsparcie pod pretekstem, że robią to dla mojego dobra. – Pokręciła stanowczo głową. – Nikt nie może wiedzieć, że włamano się do mojego domu i że mi grożono.

–Jeśli nie zawiadomimy policji, nie znajdziemy złoczyńców – stwierdził Simon.

–Coś mi się widzi, że i tak nie ma wielkiej nadziei na to, że ich złapiemy – odezwał się Oliwier. – Chyba że wejdzie im w zwyczaj włamywanie się do domów i obracanie w perzynę wszystkiego, co im wpadnie w łapy

–Ludzie, którzy zrujnowali dom lady Camelii, zostaną schwytani, kiedy nadejdzie właściwy czas – oznajmił Zareb. – Policja nie ma tu nic do rzeczy.

–Jeśli dziewczyna nie chce, żebyśmy mówili glinom, to im nie powiemy – stwierdziła Doreen. – Nie ma co płoszyć os, kiedy ma się już pszczoły na karku!

Camelia się uśmiechnęła.

– Dziękuję za zrozumienie, Doreen. Mam nadzieję, że ja i Zareb nie sprawiamy wam zbyt wielkiego kłopotu. – Widziała, że podobnie jak Oliwier, te dwie kobiety są dla Simona kimś więcej niż tylko służącymi. Podobało jej się to.

Może dzięki temu łatwiej im będzie zrozumieć jej stosunek do Zareba.

–Wcale nie sprawiacie kłopotu – pospiesznie oświadczyła Eunice. – To duży dom, jak na naszą czwórkę jest tu mnóstwo miejsca.

–Może weźmiecie koszyk, a ja z Zarebem pójdziemy do powozu i przyniesiemy resztę rzeczy? – zwrócił się Oliwier do Eunice. – Ty i Doreen możecie zaprowadzić lady Camelię do jej pokoju i pomóc jej się rozgościć.

–Myślę, że najlepiej ci będzie w pokoju z zieloną tapetą – postanowiła Eunice, biorąc koszyk od Oliwiera. – Jest zwyczajny, ale czysty, a jeśli chcesz, mogę przynieść, wszyscy święci! – wrzasnęła, kiedy Rupert wystawił łeb z koszyka. – Pomocy!

Rzuciła koszyk w powietrze i przyskoczyła do Oliwiera, wciskając jego twarz w swój obfity biust. Camelia i Simon podbiegli, żeby złapać koszyk. Nagle wąż wystrzelił w górę, uwalniając się z uwięzi. Simon złapał koszyk, podczas gdy Camelia starała się dosięgnąć Ruperta.

W tej właśnie chwili Oskar uznał, że ma dość Camelii. Popiskując dziko, wskoczył wprost na głowę Doreen. Straciwszy równowagę, Camelia zatoczyła się na Simona, który wypuścił koszyk i runął wraz z nią na podłogę. Doreen z wrzaskiem usiłowała pozbyć się Oskara.

–Mam cię! – zawołał triumfalnie Zareb, chwytając Ruperta.

–Pomocy! – krzyczała Doreen, miotając się chwiejnie na wszystkie strony. – Ściągnijcie ze mnie to zwierzę!

–Złaz stamtąd, Oskarze – rozkazał Zareb.

Oskar bez protestu przeskoczył z kiwającej się głowy Doreen na silne ramię Zareba.

–Nie mogę oddychać. – Głos Oliwiera tłumiły obfite poduszki biustu Eunice.

–Och, Ollie – zawołała, rozluźniając rozpaczliwy uścisk. – Myślałam, że już po mnie!

Simon spojrzał, na leżącą na nim Camelię.

– Czy wszystko w porządku?

Camelia patrzyła na niego pełna zdumienia. Uświadomiła sobie nagle bardzo wyraźnie, że mężczyzna jest bardzo wysoki; wydawało się dziwne, że zwraca teraz na to uwagę, zważywszy, że oboje leżeli rozciągnięci na podłodze. Jednakże Simon złagodził jej upadek szeroką pierśią i ramionami oraz szczupłymi, muskularnymi nogami. Jej ciało dopasowało się do jego twardych jak granit kształtów. To było niezwykle, tak przy nim leżeć. Serce biło jej gwałtownie. Pachniał ziołowym mydłem i czymś jeszcze; jakąś cudownie tajemniczą, męską wonią, która sprawiała, że miała ochotę położyć policzek na jego ramieniu i wdychać ten zapach. Jego pierś wznosiła się i opadała pod nią w miarowym oddechu; jeśli leżała całkiem nieruchomo, czuła również bicie jego serca.

–Dziewczyna chyba jest **ranna**. – Oliwier, zmartwiony, ściągnął siwe brwi. – Nie rusza się.

Camelia westchnęła i sturlała się z Simona.

–Nic mi nie jest.

–Pomogę ci, Tisho – powiedział Zareb. – Zrobiłaś się czerwona, jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

–Trochę zabrakło mi powietrza, to wszystko. – Szybko wygładziła fałdy sukni.

–Mam nadzieję, że nie sądzicie, że ta pełzająca bestia zostanie w tym domu – powiedziała Eunice, zerkając na Ruperta z dezaprobatą.

–Tak mi przykro, że Rupert cię przestraszył, Eunice – pospiesznie przeprosiła Camelia. – Sama powinnam nieść koszyk, zapewniam cię jednak, że nic ci nie grozi. Jad Ruperta nie jest niebezpieczny dla ludzi.

–Niebezpieczny, czy nie, nie chcę, żeby mi się plątał po domu i straszyl.

–Nie będzie – zapewnił Simon. – Ruperta zamknie się w sypialni lady Camelii, nie zauważysz nawet, że tam jest, czyż nie tak, Camelio?

–Tak. – W gruncie rzeczy Camelia miała nadzieję, że zdoła stopniowo zapoznać Ruperta z mieszkańcami domu, tak że w końcu pozwoliliby mu pełzać wszędzie, gdzie by mu się podobało.

–A co z tym małpiszonem? – zapytała Doreen, pocierając bolące miejsce na głowie. – Też będzie w sypialni dziewczyny?

–Niestety, Oskar potrzebuje więcej miejsca – wyjaśnił Simon, wyczuwając przerażenie Camelii na myśl o zamknięciu Oskara. – Ale z pewnością, kiedy już zapozna się z nowym otoczeniem, prawie przestaniecie go zauważać.

–To chyba niemożliwe – mruknęła Doreen, łypiąc gniewnie na Oskara.

Oskar obnażył zęby w szerokim, kpiącym uśmiechu.

– Bezczelny drań!

–Ptak przynajmniej siedzi w klatce – wtrącił Oliwier, usiłując powiedzieć coś pocieszającego. – fest też bardzo ładny.

–Otóż Harriet używa klatki tylko podczas podróży i w nocy – sprostowała Camelia. – W dzień musi trochę pofruwać i rozprostować skrzydła.

–I z pewnością znajdzie na to dość miejsca w pokoju lady Camelii – dodał Simon, zdając sobie sprawę, że Eunice i Doreen nie były szczególnie zachwycone przemianą domu w ogród zoologiczny.

–No cóż, skoro wszystko zostało ustalone, to może zaprowadzimy lady Camelię do jej pokoju? – zaproponował Oliwier. – Dziewczyna miała trudną noc i z pewnością marzy o tym, żeby się położyć.

–Oczywiście, że tak, kacuszko – zaszczebiotała Eunice, natychmiast zapominając o strachu. – Chodź na górę, a my z Doreen przygotujemy ci przytulne gniazdko, podczas gdy Oliwier zajmie się twoim przyjacielem, panem Zarebem.

Panem Zarebem. Za te dwa słowa Camelia przebaczyła Eunice jej antypatię do Ruperta. Odkąd przybyli do Londynu, niemal wszyscy zachowywali się wobec Zareba albo nieufnie, albo protekcyjnie. Chociaż w Afryce Południowej także panowała rasistowska bigoteria, ojciec Camelii dbał o to, żeby na terenie wykopalisk każdy człowiek był traktowany sprawiedliwie i z szacunkiem, niezależnie od koloru skóry. Zareb, rzecz jasna, większość życia musiał znosić wzgardę ze strony białych ludzi w Cape Town czy Kimberley, ale w Afryce był jednym z milionów i nie wywoływał bezustannie niepożądanego uwagi. W Anglii wyróżniał się, chcąc nie chcąc, i wszyscy przyjmowali, że jest służącym lady Camelii. Większość Anglików traktowała go z poczuciem wyższości tylko z powodu innej rasy. Jednak Eunice nazwała go przyjacielem Camelii i uprzejmie przyznała mu tytuł „pana”. Z tego powodu Camelia była gotowa utrzymywać zwierzęta z dala od Eunice – przynajmniej do czasu, aż zrozumie, że są w zasadzie nieszkodliwe.

–Dzisiaj w nocy zwierzęta zostaną ze mną, Tisho – powiedział Zareb, chcąc pomóc Eunice i Doreen, które miały przygotować pokój dla Camelii. – Nie martw się.

–Dla ciebie też mamy przyjemną sypialnię – oznajmił Zarebowi Oliwier, biorąc od niego kłatkę z Harriet. – Chodź za mną, zaprowadzę cię.

Zareb skłonił się z wdzięcznością przed nowym przyjacielem.

– Dziękuję, Oliwierze.

Simon przyglądał się, jak przedziwne towarzystwo udaje się schodami na górę – z Oskarem usadowionym na głowie Zareba niczym mały, włochaty król na tronie.

Potem odwrócił się i poszedł do gabinetu, przejęty dziwnym niepokojem; musiał się koniecznie czegoś napić.

Coś się zmieniło.

To raczej niedomówienie, stwierdził Simon, wpatrując się w bursztynowy płyn w kieliszku. Odkąd poznał Camelię, jego dom spłonął, wszystko, co posiadał, uległo zniszczeniu, a co gorsza, poszły z dymem wynalazki, nad którymi pracował. Potem dał się w jakiś sposób namówić, żeby pozwolić Oliwierowi, Eunice i Doreen zamieszkać razem z nim, rujnując całkowicie cichą samotność, której tak potrzebował przy pracy. A kiedy sądził, że w jego życiu nie może już pojawić się więcej hałasu i ludzi, Oliwier postanowił zaprosić do nich Camelię i Zareba wraz z ich stadem dzikich zwierzaków. Określenie „stado” było pewną przesadą, jak sam uznał, ale biorąc pod uwagę ich skłonność do psot, niezbyt wielką.

Pociągnął łyk brandy i zagapił się na rozrzucone na biurku pogniecione szkice, usiłując skupić się na pompie parowej, którą starał się ulepszyć. Najtrudniej było sprawić, aby działanie pary, przechodzącej przez komory, rozkładało się na etapy. Może gdyby zmniejszył komory i zwiększył ich liczbę...

– Wybacz, nie sądziłam, że ktoś jeszcze nie śpi.

Podniósł głowę i ujrzał stojącą na progu gabinetu Camelię. Miała na sobie jedwabną koszulę nocną w kolorze kości słoniowej, ozdobioną przy dekolcie delikatną koronką. Zarzuciła niedbale kołdrę na ramiona, ale to nakrycie tylko podkreślało delikatność jej kształtów. Jej złote od słońca włosy opadały na ramiona i plecy, lśniąc w pomarańczowym świetle lampy. Simon patrzył jak urzeczony. Przesunął powoli wzrok ze szlachetnej krzywizny jej policzka na wdzięczną linię szyi, pulsujące zagłębienie u jej nasady, a potem niżej, na wypukłość piersi. Złapał się na tym, że wspomina dotyk jej ciała, kiedy wcześniej tego dnia leżała na nim, po kobiecemu ciepła i miękka, a jej szczupłe nogi splatały się z jego nogami; pamiętał, jak patrzyła na niego wspaniałymi oczami koloru szaławii.

Ogarnęła go fala pożądania.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, przewracając kieliszek, kiedy podnosił się gwałtownie zza biurka.

Panuj nad sobą, rozkazał sobie w milczeniu, szukając chusteczki, aby zetrzeć brandy ze szkiców. Nie znalazłszy żadnej, potrząsał kartkami, z powodzeniem rozchlapując brandy po całym blacie.

Na Boga, co się z tobą dzieje?

– Czy podoba ci się pokój? – dodał niezgrabnie, wciąż trzymając ociekające papiery.

Camelia patrzyła na niego niepewnie, zaskoczona jego widocznym zmieszaniem.

– Tak, pokój jest odpowiedni, dziękuję.

Zauważyła, że miał wciąż na sobie pogniecioną lnianą koszulę i ciemne spodnie, ale zdjął surdut i chustę spod szyi oraz rozpiął kołnierzyk, ukazując mały fragment silnej piersi. Z potarganymi rudozłotymi włosami i cieniem zarostu na policzkach i brodzie sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaniedbanego niż zwykle. W tej chwili ponownie jego potężna postać, szerokie ramiona i przenikliwe, niezwykle błękitne oczy kazały Camelii porównać go do szkockiego wojownika. To było, oczywiście, śmieszne. Simon Kent był spokojnym, pełnym książkowej wiedzy naukowcem, spędzającym życie w pracowni na wymyślaniu lepszych sposobów prania ubrań, zmywania podłogi i wykorzystania siły pary. Nie należał raczej do ludzi, którzy rzucaliby się w wir bitwy z szerokim mieczem w dłoni.

Zamiast tego rzuciłby we wroga paroma petardami, mając nadzieję, że hałas go odstraszy.

– Czy jesteś głodna? – Jego biurko przedstawiało teraz obraz nędzy i rozpacz. Zaczął układać mokre rysunki na podłodze, żeby wyschły. – Jeśli chcesz, zejdziemy do kuchni i znajdziemy coś do jedzenia.

– Nie, dziękuję. Eunice i Doreen były tak miłe, że przyniosły mi wcześniej tacę z jedzeniem do pokoju. Powiedziały, że zaniósą jedzenie także Zarebowi, bardzo uprzejmie z ich strony. Zareb nie przywykł, żeby go traktowano z taką kurtuazją poza domem, zwłaszcza tutaj, w Londynie.

– Eunice, Oliwier i Doreen zawsze traktowali wszystkich mniej więcej tak samo. Nie robią na nich wrażenia tytuły i bogactwo ani nawet kolor skóry. Jedyne, co się dla nich liczy, to wnętrze.

– Zareb jest dokładnie taki sam – powiedziała Camelia, siadając na krześle naprzeciwko biurka Simona. – Sądzę, że jest zadowolony, mając okazję poznać ludzi, którzy podobnie patrzą na świat. Obawiam się, że już zaczynał myśleć, że wszyscy Anglicy są zarozumiali i głupi.

Simon uśmiechnął się.

– Otóż, jesteśmy Szkotami. Jednakże wahałbym się potępić całą populację Anglików na podstawie doświadczeń Zareba. Być może po prostu nie spotkał właściwych ludzi.

– Być może. – Camelia podwinęła stopy pod krzesło. Nie była w stanie zasnąć na miękkim łóżku, jakie przygotowała jej Eunice i Doreen. Nie mogła dojsć do siebie po wstrząsie. Najgorsze było to, że użyli sztyletu ojca, żeby przybić list z pogrozkami do poduszki. Mimo że nie wierzyła w klątwy jak z uporem przekonywała samą siebie.

A jednak przestraszyła się, kiedy Zareb tak stanowczo nalegał, żeby natychmiast opuścili dom.

– W jaki sposób poznałeś Oliwiera, Eunice i Doreen? – zapytała, owijając się ciasniej kołdrą.

–Matka wzięła ich do domu, kiedy wyszli z więzienia – wyjaśnił Simon. – Ale nigdy nie uważała ich za służących. Usiłowała opiekować się kilkorgiem dzieci, które wyciągnęła z aresztu i bardzo potrzebowała pomocy. Eunice, Oliwier i Doreen stali się częścią rodziny. Tak już zostało.

–Ilości dziećmi zajęła się lady Redmond?

–Było nas razem sześcioro. – Simon miał opanowany wyraz twarzy, kiedy ponownie usiadł za biurkiem. – Sądzę, że w związku z tym, jak starannie zgromadziłaś wszelkie informacje na mój temat, słyszałaś już, jak trafiłem do rodziny Kentów.

–Moje poszukiwania skupiały się wyłącznie na twoich osiągnięciach jako naukowcu i wynalazcy – odparła Camelia. – Słyszałam gdzieś, że wychowałeś się jako podopieczny lorda i lady Redmond, ale nie było to dla mnie istotne. Ważne, że jesteś świetnym naukowcem, który, jak sądziłam, będzie mógł mi pomóc w usunięciu wody z terenu wykopalisk

Patrzył na nią dłuższą chwilę. Odpowiedziała spojrzeniem pełnym niekłamanego spokoju.

Mówiła prawdę, co go poruszyło.

Odkąd pamiętał, wstydził się przeszłości. Nie tak rozpaczliwie, jak jego brat, Jack. Jack musiał sobie radzić na ulicach Inveraray niemal do piętnastego roku życia. Wszystkie te lata przemocy i deprawacji sprawiły, że wznosił wokół siebie mur, który zdołała zburzyć dopiero serdeczna miłość jego żony, Amelii. Ale zanim Genevieve znalazła dziewięcioletniego Simona skulonego na podłodze celi, on także musiał nauczyć się przeżyć na ulicy. Nie pamiętał swojego prawdziwego ojca i miał bardzo niejasne wspomnienia o matce. Przez lata jego wyobraźnia wyczarowywała dziecinnie niewinny obraz pięknej kobiety o jasnych włosach i wielkich szarych oczach, która przytulała go w nocy i delikatnie gładziła po policzku.

Potem gdy Genevieve zabrała go do siebie i wreszcie był w stanie zasnąć z poczuciem bezpieczeństwa, wspomnienia nabrały ciemniejszej barwy. Kobieta, która pojawiała się w jego snach, była brudna i używała plugawego języka, jej oddech śmierdzał dżinem, a brudne pięści biły go, aż przewracał się na podłogę. Budził się nagle z sercem bijącym gwałtownie i suchym gardłem, drżąc niepowstrzymanie na całym ciele.

A potem zsuwał się z nowego miękkiego łóżka i zwijał w kłębek na dywanie, błagając Boga, aby do rana wysuszył mokre prześcieradła, tak aby Genevieve nie odkryła jego straszliwej tajemnicy i nie kazała mu się wynosić.

– Czy wszystko w porządku? – Camelia przyglądała mu się zatroskana, zdziwiona cieniem, który nagle pojawił się na jego twarzy.

–Tak – odparł żywo. – Wszystko dobrze.

Zaczął wycierać rozlaną brandy rękawem, unikając jej wzroku. Czuł jej spojrzenie i zastanawiał się, ile niechący zdradził. Nie chciał, żeby Camelia wiedziała o tym brudnym, tchórzliwym złodziejaszku. Z jakiegoś powodu, którego do końca nie rozumiał, pragnął, aby Camelia myślała o nim lepiej, niż na to zasługiwał. Chciał, żeby widziała w nim silnego, pewnego siebie mężczyznę, który potrafi stawiać czoło wyzwaniom. Genialnego naukowca, jak go z zabawną przesadą określiła. Cóż, może nie był genialny, stwierdził w duchu, ale przynajmniej przyzwoicie wykształcony i z otwartą głową. Był mężczyzną, który potrafił przyjąć jej z pomocą w trudnej sytuacji – przepłoszył złoczyńców, którzy chcieli ją skrzywdzić, i udzielił schronienia we własnym domu, kiedy jej własny przestał być bezpieczny. Mężczyzną, który całkowicie panował nad swoimi uczuciami i swoim życiem. To nie było takie niezwykle. Ostatecznie zdała się na jego pomoc. Chociaż nigdy nie odmówił pomocy własnej rodzinie, nie przypominał sobie, żeby kiedyś musiał wspomagać jakąś kobietę.

Z drugiej strony, nie znał ich zbyt wielu.

–Czy mogę się napić brandy? – zapytała nagle.

–Oczywiście – powiedział, odrywając się od ponurych myśli.

– Wybacz, że nie zaproponowałem ci tego wcześniej. Mam także sherry, jeśli wolisz.

– Otóż nie przepadam za sherry. Jest dla mnie za słodka. Przypuszczam, że dla ciebie to może być dość niezwykle, żeby kobieta wolała brandy niż sherry.

– Sądzę, że wobec tego, że podróżujesz z małpką w powozie i węzem w kufrze, upodobanie do brandy nie robi już na mnie takiego wrażenia – stwierdził Simon, wręczając jej kieliszek.

Camelia napiła się, po czym westchnęła.

– Londyńczycy uważają mnie pewnie za dziwaczkę.

–Czy obchodzi cię, co ludzie myślą?

Wzruszyła ramionami.

–Właściwie nie.

–Dobrze. Zatem nie pozwolisz, aby czyjeś zdanie przeszkodziło ci w tym, co chcesz zrobić ze swoim życiem. Niewiele kobiet posiada ten rodzaj odwagi.

–Elliott uważa, że to głupota. Myśli, że jestem naiwna i nie rozumiem świata wokół siebie. Dlatego tak bardzo chce mnie chronić.

–Czy to właśnie próbował robić, kiedy zastałem was w ogrodzie? – W głosie Simona brzmiała drwina. – Próbował cię chronić?

–W pewien sposób. – Camelia zapatrzyła się w głęb kieliszka, zmieszana faktem, że Simon widział ją w tak żalosej sytuacji. – Elliott chce się ze mną ożenić – dodała zakłopotana.

A więc do tego dążył Wickham. Simon sądził, że powinien raczej poczuć ulgę, skoro głupek miał przynajmniej uczciwe zamiary, jednak myślał, że Wickham miałby poślubić Camelię, wydała

mu się zupełnie niedorzeczna. Będzie chciał ją zamknąć w klatce, a ona jest zbyt cudowną istotą, żeby zostać uwięziona przez takiego pustego, nadętego głupca jak on.

–A czego ty chcesz, Camelio?

–Chcę wrócić do Afryki i prowadzić wykopaliska tam, gdzie mój ojciec.

–Coś mi się nie wydaje, żeby Elliott gorąco popierał te plany.

–Sądzę, że ma mieszane uczucia – przyznała Camelia. – Elliott przyjechał do Afryki zaraz potem, jak skończył Oksford, ponieważ chciał pracować z moim ojcem. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia jeden lat i był pełen energii i ideałów młodości. Mój ojciec wziął go pod swoje skrzydła, przekazując mu całą swoją wiedzę na temat archeologii. Z latami jednak jak sądzę, Elliott raczej poczuł się rozczarowany, że ojciec nie naprowadził go na jakieś wielkie, spektakularne odkrycie.

–Innymi słowy, sądził, że dziedzina archeologii jest bardziej lukratywna, niż się okazało.

–Elliotta dużo bardziej pociąga uznanie niż pieniądze – odparła Camelia. – Po śmierci ojca przed dwoma laty odziedziczył jego tytuł i majątek w Anglii, który jest niebagatelny. Jednak Elliott pragnie zdobyć sławę z racji swoich dokonań i ma rację. Dlatego zajął się stworzeniem własnego przedsiębiorstwa w Londynie.

–I chce, żebyś zaprzestała wykopalisk i została z nim w Londynie.

–Troszczy się o moje dobro – wyjaśniła Camelia. – Obawia się, że tracę czas i pieniądze na wykopaliska w miejscu, gdzie już niczego nie da się wydobyć. Ale to nie znaczy, że mnie nie wspierał. Elliott i ja staliśmy się serdecznymi przyjaciółmi, gdy byłam małą dziewczynką. Udał się do Afryki wbrew życzeniom rodziny, ponieważ podziwiał mojego ojca i jego pracę i z czasem stali się sobie wyjątkowo bliscy, jak ojciec i syn. Poza Zarebem, Elliott jest kimś, kogo uważam prawie za członka rodziny. Zawsze mi pomaga, tak jak potrafi. Dlatego chce się ze mną ożenić. – Łyknęła brandy i westchnęła. – Elliott bardzo się o mnie martwi, ale w pewien sposób czuje się także za mnie odpowiedzialny, zwłaszcza teraz, kiedy mój ojciec nie żyje. Myślę, że sądzi, iż ojciec chciał, aby się mną zajął, i w związku z tym pragnie mnie poślubić, chociaż wie, że będę okropną żoną.

Czy naprawdę była taka naiwna, żeby nie rozumieć, dlaczego Wickham pragnie ją poślubić? Przyglądając się, jak siedzi skulona na krześle z podwiniętymi bosymi stopami, popijając brandy, Simon uznał, że może właśnie tak było. Camelia była inteligentną, niezależną dwudziestoosmioletnią kobietą, ale Simon czuł, że miała bardzo skromne doświadczenia z mężczyznami. Wydawała się nieświadoma swojej niezwyklej urody i niewymuszonej zmysłowości, jaka z niej emanowała. Wickham w pewien sposób zapewne doceniał inteligencję Camelii i jej oddanie badaniom rozpoczętym przez ojca, ale musiał być rozczarowany, kiedy nie zgodziła się porzucić wykopalisk, mimo że jego zdaniem prowadziły donikąd. Camelia, uznał Simon, była równie wspaniała, jak artefakty, które Elliott miał nadzieję wydobyć. Jego lordowska mość uważał ją prawdopodobnie za rodzaj nagrody za wszystkie lata spędzone na grzebaniu w piachu Afryki.

Wickham miał przynajmniej dość rozumu, żeby pojąć, jak wyjątkową kobietą jest Camelia, mimo że nie był w stanie zrozumieć, że przeznaczone jej jest zostać kimś więcej niż żoną jakiegoś tam wicehrabiego.

– Nie ucieszysz się, kiedy usłyszysz, co się dzisiaj w nocy stało w twoim domu – zauważył Simon. – Przypuszczam, że nie powiedziałaś mu o tym spotkaniu z dwoma zbirami w ciemnej uliczce?

Pokręciła głową.

– Lepiej, żeby Elliott pewnych rzeczy nie wiedział. Bardzo się denerwuje, co niczemu nie służy.

– Kiedy stwierdzi, że nie ma cię w domu, szybko cię tu wytropi. Wątpię, aby odpowiadało mu, że przebywasz akurat pod moim dachem.

– Uspokoi się, kiedy mu wszystko wytłumaczę.

– Wytłumaczysz co? Że ktoś groził ci śmiercią, jeśli wrócisz na teren wykopalisk? Czy nie sądzisz, że zrobi wszystko, żeby cię odwieść od tych zamiarów?

– Nic mnie nie zniechęci do powrotu do Pumulani – oświadczyła Camelia z naciskiem. – Marzeniem mojego ojca było przebadać tę ziemię, starannie udokumentować wszystkie relikty i umieścić je bezpieczne w muzeum. W sercu złożyłam przysięgę, że urzeczywistnię to marzenie. Nie spocznę, póki tego nie dokonam.

Jej oczy koloru szaławii lśniły wyzywająco. Kiedy się złościła, jak zauważył Simon, jej oczy stawały się odrobinę ciemniejsze, przypominając zieleń lasu.

– Wykopaliska w Pumulani właściwie nie są twoją sprawą, Camelio – powiedział cicho. – Chodzi o zabezpieczenie dziedzictwa twojego ojca.

– Dziedzictwo mojego ojca jest już bezpieczne. – Jej głos brzmiał dumnie, ale Simon domyślał się, że Camelia wie, że archeolodzy nie podzielają tej opinii. – Był mądrym człowiekiem i wybitnym archeologiem, który postanowił działać wbrew przyjętym konwencjom i pracować na kontynencie, gdzie żaden inny archeolog nie miał ani jego wizji, ani jego odwagi. Podczas wielu lat w Afryce Południowej znalazł niezliczone cenne artefakty, obrazy naskalne, grobowce, ślady istnienia niezwykle inteligentnych, obdarzonych pomysłowością plemion, które zamieszkiwały tam od najdawniejszych czasów. Nie prowadził poszukiwań z nadzieją na sławę czy podziw, chociaż szacunek i wsparcie kolegów po fachu z pewnością by mu pomogły. Nie poświęcił także życia Afryce, chcąc zbić majątek. Mój ojciec był badaczem. Dla niego same poszukiwania stanowiły już nagrodę. Chcę kontynuować jego dzieło.

– Jak długo?

– Przez resztę życia.

–Nie jestem pewien, czy moja pompa wytrzyma tak długo – zażartował. Twarz mu spoważniała, kiedy dodał: – Powiedziałaś, zdaje się, że jesteś na progu ważnego odkrycia w Pumulani.

–Jestem. Cokolwiek jednak znajdę, badania potrwałają latami, a kiedy skończę, przeniosę się w inne miejsce w Afryce, gdzie będę robić to samo. Archeologię mam we krwi, Simonie, tak samo jak mój ojciec. Po raz pierwszy uczestniczyłam w wykopaliskach, kiedy skończyłam dziesięć lat. Od chwili, kiedy wzięłam do jednej ręki wiaderko, a do drugiej małą szpachelkę, wiedziałam, że to jedyna rzecz, którą chcę robić.

–Domyślam się, że twoja matka dzieliła z ojcem pasję badania Afryki.

Camelia westchnęła.

–Niestety, moja matka nie wiedziała nic o Afryce. Uważała ją za gorący, brudny, niecywilizowany ląd, który kradł jej męża na długie miesiące. Moja matka była córką wicehrabiego i wychowano ją na szacowną, delikatną angielską damę. Myślę, że czasami, wbrew sobie, odczuwała rozczarowanie co do mnie, ponieważ widziała, o ile bardziej jestem podobna do ojca niż do niej.

–Jeśli tak nienawidziła Afryki, dlaczego pozwoliła ci tam jechać?

–Nie pozwoliła. Umarła, kiedy miałam dziesięć lat; wtedy ojciec wrócił do Londynu, nie bardzo wiedząc, co ze mną zrobić. Błagałam, żeby mnie zabrał ze sobą do Afryki i zrobił to.

–To musiało być dla ciebie straszliwie trudne. To, że musiałaś opuścić dom i wszystko, co znałaś, żeby wyjechać do obcego kraju.

–Strata matki była czymś koszmarnym. Zamieszkanie z ojcem, ratunkiem. Tak naprawdę nie liczyło się, dokąd mnie zabiera, tylko to, że jesteśmy razem.

Simon milczał chwilę, zastanawiając się nad tym, co powiedziała.

–A kiedy Zareb pojawił się w twoim życiu?

–Zareb był przyjacielem ojca wiele lat przed moim przyjazdem do Afryki. Kiedy statek zawinął do Cape Town, Zareb czekał na nas. Położył mi dłoń na policzku i wyszeptał parę słów, których nie zrozumiałam. Potem schylił się, spojrzął mi prosto w oczy i powiedział, że zawsze będzie mnie chronił. – Roześmiała się. – Muszę przyznać, że w owym czasie wywarł na mnie ogromne wrażenie, w tych niezwykłych szatach, z ciepłą, ciemną skórą i intensywnym spojrzeniem. Nigdy nie spotkałam w Anglii kogoś takiego jak on. Ale dotrzymał słowa. Był obok i opiekował się mną bardziej niż matka, ojciec czy też guwernantki, jakie znałam. Mówił, że duchy przyniosły mu mnie w prezencie i dlatego musi zajmować się mną w szczególny sposób. Myślę, że chciał, abym poczuła się w Afryce jak u siebie. Wtedy wiedziałam tylko, że rozpaczliwie pragnę być z ojcem.

Kiedy tak siedziała zawinięta w kołdrę, z bursztynowymi włosami spływającymi na ramiona, Simon mógł sobie bez trudu wyobrazić przerażoną, ale obdarzoną silną wolą dziewczynkę, jaką kiedyś była. Jej ojciec kochał Afrykę, a ona kochała ojca i chciała z nim być,

zwłaszcza po śmierci matki. Teraz, kiedy lord Stamford także umarł, Camelia postanowiła kontynuować jego pracę. Nie tylko dlatego, że chciała ocalić jego spuściznę, jak sądził Simon, chociaż to także było niezmiernie ważne.

Camelia musiała prowadzić wykopaliska ojca w Pumulani, ponieważ dzięki temu czuła bliskość człowieka, którego podziwiała.

–Jeśli zdecydowałaś, że chcesz spędzić resztę życia, przekopując Afrykę, to co z nieszczęsnym Wickhamem?

–Elliott tak naprawdę wcale nie byłby ze mną szczęśliwy – stwierdziła Camelia. – Czuje się zobowiązany do opieki nade mną, ponieważ tyle lat tworzyliśmy niemal rodzinę i ponieważ kochał mojego ojca. Nie jestem kobietą, jakiej on pragnie, próbowałby więc zmienić mnie zgodnie ze swoim wyobrażeniem.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, tylko on nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy. Myślę jednak, że zaczyna to rozumieć nieco lepiej, kiedy widzi, jak bardzo nie pasuję do Londynu. Rozgniewał się na mnie za to, w jaki sposób rozmawiałam dzisiaj wieczorem z lordem Bagleyem. Naprawdę uważam, że nie byłabym dobrą żoną dla nikogo – ciągnęła lekceważącym tonem, nie sprawiając wrażenia, aby ją to specjalnie martwiło. – Nic nie wiem o prowadzeniu domu, podejmowaniu gości ani wychowywaniu dzieci i jestem zupełnie niepoprawna, jeśli chodzi o ocenę tych, którzy mówią lub robią coś, co uważam za obraźliwe czy uwłaczające. Nie mogę pozostać uwięziona w domu dłużej niż miesiąc czy dwa, potrzebuję otwartej przestrzeni i pracy. No i oczywiście, dochodzi do tego Zareb i zwierzęta, którzy zawsze będą ze mną. – W jej oczach błysnęło rozbawienie. – Niewielu mężczyzn uznałoby mnie pewnie za atrakcyjną partię w takich warunkach.

Miała całkowitą rację, przyznał w duchu Simon. Większość mężczyzn nie uznałaby zdecydowanej młodej kobiety, która spędzała życie, wykopując stare kości w Afryce i podróżując wszędzie z egzotycznymi zwierzętami, za odpowiedni materiał na żonę. Ale to właśnie powodowało, że była taka fascynująca. Camelia żyła na własnych warunkach, stawiając sobie własne cele. Nie interesowało jej, co inni o niej myślą, z wyjątkiem opinii na temat jej osiągnięć w dziedzinie archeologii. Poświęciła się całkowicie kontynuowaniu pracy ojca, wcielaniu w życie jego marzeń – bez względu na koszt i ryzyko.

Napił się brandy, odczuwał wzruszenie i fascynację. Dlaczego, do diabła, Wickham nie potrafił po prostu docenić jej taką, jaka jest, zamiast próbować zrobić z niej kogoś, kim nigdy nie będzie?

– Sądzę, że powinnam pozwolić ci wrócić do pracy – powiedziała Camelia, podnosząc się z krzesła. – Ostatecznie, im szybciej zbudujesz pompę, tym szybciej wrócimy do Afryki Południowej.

Simon podniósł się. Miała rację – naprawdę powinien wziąć się do pracy. Jednak z jakiegoś powodu myśli o zamknięciu się w gabinecie i studiowaniu notatek i rysunków do białego rana przestała go pociągać.

–Tęsknisz za nią ogromnie, prawda? – zapytał, odprowadzając Camelię do drzwi.

–Bardzo mi pilno podjąć na nowo pracę.

–Nie miałem na myśli wykopalisk. Chodziło mi o Afrykę Południową.

Skinęła głową.

–Tak.

–Jak tam jest?

–To jest... raj – odparła po prostu. – Kraina ostrych kontrastów, ale wspaniałych. Przylądek otacza najbardziej błękitny, przejrzysty najcieplejszy pas oceanu, jaki można sobie wyobrazić; kiedy słońce świeci, można pomyśleć, że tysiące gwiazd spadły z nieba i tańczą na falach. Wokół Cape Town można spotkać drzewa i rośliny we wszelkich możliwych odcieniach zieleni, o najśodszych owocach, jakie istnieją. A kiedy idziesz, czujesz delikatne muśnięcia na policzku i we włosach, z początku tak subtelne, że można ich nie zauważyć, a w końcu zaczynasz zdawać sobie sprawę, że to morska bryza. A potem, kiedy wędrujesz w głąb lądu, kraina staje się gorętsza, suchsza, groźniejsza, ale zarazem jeszcze cudowniejsza. Ziemia rozciąga się wokół ciebie jak niekończące się morze złota i zieleni, usiane krzewami i kępami trawy, które nie dbają o to, że mogą nie zaznać deszczu przez całe miesiące. Są tam prastare, potężne góry, który sięgają nieba i starają się co rano dotknąć słońca, a potem, kiedy niebo ciemnieje, zamieniają się w groźne, poszarpane czarne szczyty. A kiedy stoisz pod lśniącym, perłowym księżycem, sam, słuchając bicia własnego serca i oddechu, podczas gdy ląd wokół zapada w sen, to wiesz, że takiego piękna, jak tam, nie mógłbyś spotkać nigdzie indziej na ziemi.

Kołdra zsunęła się jej lekko z ramion, jakby Camelia wyobrażała sobie ciepłą pieśczętę owej afrykańskiej bryzy na skórze. Przez chwilę stali bez ruchu; patrzyła mu w oczy, jakby chciała przekazać *mu* uczucie zachwyty afrykańskim krajobrazem w świetle księżyca.

Simon przyglądał jej się oczarowany. Nigdy nie stał pod afrykańskim księżycem, ale był przekonany, że nie mógł się równać z niezwykle urodą stojącej przed nim Camelii. Była czarodziejką, stwierdził, chociaż jego ścisły umysł nie przyjmował istnienia takich rzeczy. Musiała nią być, bo w jakiś sposób rzuciła na niego czar; czar potężny i cudowny, wyjątkowy, tak że przestawał pamiętać, kim właściwie jest. Niespokojne obrazy z przeszłości i uporządkowana przyszłość nagle zniknęły i została tylko ta chwila – z owiniętą w wyblakłą kołdrę Camelią w prostej koszuli nocnej, która stała przed nim z oczyma błyszczącymi od wspomnień o świecie, który kochała i za którym tęskniła z całej duszy.

Coś w niej wrywało się do niego; czuł to tak wyraźnie, jak powiew jedwabistej bryzy z jej opisu, unoszący się wokół zapach egzotycznych kwiatów i niesamowity spokój afrykańskiej nocy. Pochylił się, zmniejszając przestrzeń między nimi, mając wrażenie, że traci rozum, ale nie dbał o to.

Tylko jeden pocałunek, obiecał sobie żarliwie, patrząc jej w oczy i zbliżając twarz do jej twarzy. Stała bez najmniejszego ruchu, nie otwierając ust, ale też nie cofając się przed nim. Jej oddech muskał go w policzek, ciepły i delikatny jak wiatr znad oceanu, otoczył go zapach

nagrzanych słońcem łąk, tak że już nie wiedział, czy to dzień, czy noc, Londyn czy Afryka. Westchnęła, leciutko rozchylając wargi w nieśmiałym, wzruszająco pięknym zaproszeniu. Nie należała do niego; pamiętał o tym doskonale, przesuwając językiem po jej słodkich od brandy, aksamitnych ustach – wolno, delikatnie, przysięgając sobie, że za chwilę przestanie.

Tylko jeden pocałunek. Jeden i wystarczy. Potem wyśle ją w drogę, przez ocean do Afryki, gdzie będzie się cieszyła wolnością i życiem, które tak sobie upodobała; życiem obfitującym w tajemnicze znaleziska, dzikie zwierzęta i oceany pełne tańczących gwiazd.

Camelia stała nieruchomo, chłonąc ciepłą pieszczotę języka Simona na swoich wargach, czując szorstki dotyk jego skóry na policzku. Oblało ją gorąco; było to uczucie zupełnie odmienne od paniki, która ją ogarnęła, kiedy Elliott ją pocałował. Czowała się dziwnie, jakby jej ciało rozplynęło się, jakby nagle obudziła się z głębokiego snu pełna niezaspokojonych pragnień. Płonęła z pożądania. A więc tak się wyraża pragnienie mężczyzny, uświadomiła sobie zmieszana i przejęta niezwykłą siłą doznań.

A potem, równie szybko, jak do niej podszedł, Simon odsunął się, przerywając palący dotyk na jej ustach, zostawiając ją samotną i zagubioną.

Wydając zduszony jęk, przyciągnęła go do siebie, przyciskając mocno wargi do jego ust. Wsunęła nieśmiało język w ciemne, tajemnicze wnętrze jego ust o smaku brandy. Kołdra spłynęła jej z ramion, upadając na podłogę, zostawiając ją jedynie w cieniutkiej osłonie nocnej koszuli. Przysunęła się do niego bliżej, chcąc odczuwać ciepło jego ciała, znaleźć się bliżej i jeszcze bliżej, aż nie zostałoby między nimi nic poza cudowną, niezwykłą tęsknotą.

Narodził się w niej ból, delikatny i przerażający, otwierając drzwi pragnieniu, które niekiedy odczuwała, ale nigdy do końca nie rozumiała. Ale kiedy tak obejmowała potężne ramiona Simona, jedyne, co się liczyło, to, żeby się nie odsunął, nie przestał dotykać, całować. Coś się w niej zmieniło, a chociaż tego nie rozumiała, wiedziała z całkowitą pewnością, że pragnie, aby to trwało.

Simon przytulił ją mocniej; resztki zdrowego rozsądku podpowiadały mu, że nie powinien tego robić, nie powinien jej obejmować, że nie ma prawa dotykać jej dłońmi, wargami. Ale opanowało go cudowne, palące pożądanie, jakiego dotąd nie doznał i nie był w stanie dojść żadnym wysiłkiem umysłu, dlatego właściwie nie powinien badać językiem różowego, słodkiego wnętrza ust Camelii, czy wędrować dłońmi po miękkich krzywiznach jej ramion, bioder. Jęknęła, przyciskając się do niego.

Objął dłońmi jej pośladki, zatracając się w jej owocowo słodkim zapachu, gorącym, wilgotnym wnętrzu ust i niezwykłym doznaniu naglącego dotyku jej szczupłego, miękkiego ciała. Nie należał do mężczyzn łatwo ulegających namiętności, ale tym razem pożądanie było silniejsze od niego. Nie istniało nic ważniejszego od tego, że Camelia go chciała; czuł to w jej dotyku, w słodczy pocałunku, słyszał w cichych okrzykach, które wymykały się z jej ust.

On także jej pragnął – i nie był w stanie się temu oprzeć.

Tak więc chłonał ją ustami, unosząc w ramionach, tuląc z namiętną zaborczością. Zamknął kopniakiem drzwi od gabinetu, potem złożył ją na kanapce stojącej pod ścianą. Odsunął wargi od

jej ust, żeby pokryć głodnymi pocałunkami jej opalony policzek, subtelnie zarysowaną szczękę, pulsujące zagłębienie u nasady szyi. Prześwitujące warstwy nocnej koszuli osuwały się, kiedy całował ją niżej, aż dotarł wargami do jej jedwabistych, wspaniałych piersi. Przeciągnął językiem po koralowym sutku, potem objął go wargami, pobudzając pieśczętą do życia. Potem zajął się drugą piersią, jednocześnie badając niezmiernie zaokrąglenia i płaszczyzny ślicznego ciała.

Camelia zamknęła oczy, wsuwając palce w splątane, złotorude włosy Simona, przytulając go do piersi, podczas gdy pieścił ją ustami. Koszula nocna ześlizgnęła się do pasa, spadając muślinową kaskadą z kanapy na podłogę, wystawiając nagą skórę na ciepłe nocne powietrze. Gdzieś tam w zakamarku jej umysłu tliła się myśl, że nie powinna pozwalać Simonowi dotykać się i całować w ten sposób, ale nie mogła dojść, dlaczego. Ostatecznie nie była młodą, wstydliwą panną, którą zapobiegliwi rodzice trzymali pod kloszem w oczekiwaniu na piękny kontrakt małżeński.

Była niezależną, dorosłą, dwudziestoosmioletnią kobietą, która dawno już porzuciła dziecinne mrzonki o romantycznym małżeństwie. Odkąd miała dziesięć lat, Afryka stała się jej domem, a w życiu, które wiodła od tamtej pory, nie było miejsca na męża, dla którego istniałaby jedynie po to, aby zaspokajać jego potrzeby. Dzięki temu zyskała niezwykłą wolność, ale zdarzało jej się czuć rozpaczliwie samotną, zwłaszcza po śmierci ojca.

Odsunęła tę myśl, skupiając się na doznaniach, jakie wywoływał w niej Simon, który wtulił twarz w zagłębienie między jej piersiami, a potem zasypał pocałunkami jej płaski brzuch, stopniowo opuszczając nocną koszulę jeszcze niżej. Przesuwał się w dół, pocierając szorstką brodą jej gorącą skórę; czuła chłodny powiew w okolicach pępka, wypukłości bioder, kremowych ud. Koszula zsunęła się całkiem, a jego oddech zaczął owiewać jedwabisty trójkąt pomiędzy jej nogami.

Znieruchomiała, nagle ogarnięta niepewnością, zanim **jednak** zdążyła zaprotestować, pocałował ją tam delikatnie, czule, przesuwając po niej pieśczętliwie dłońmi. A potem wsunął w nią czubek języka, wywołując uczucie palącej rozkoszy.

Jęknęła, zaszokowana, i zeszywniała, myśląc, że powinna go powstrzymać, ale przewidział ten odruch i ujął ją delikatnie za nadgarstki. Miała wrażenie, że jej ciało płonie. Rozkosz pozbawiała ją samokontroli. Mogła go odepchnąć, gdyby chciała, tyle wiedziała; świadomość, że tak naprawdę wcale tego nie pragnie, sprawiła, że przestała nawet myśleć o tym, by się opierać.

Westchnęła i wsunęła się głębiej na sofę, czując na sobie ciepło Afryki, choć noc była chłodna; owiewało ją powietrze szerokich nizin, chociaż znajdowała się w małym miejskim domu w Londynie. Wraz z rozkoszą obudził się w niej dziwny niepokój, którego nie mogła pojąć.

Oddychała płytko, jej pierś wznosiła się i opadała, kiedy usiłowała napęłnić płuca, ale brakowało powietrza. Nigdy nie czuła takiej pustki, takiego pragnienia, nie miała jednak pojęcia, czego jeszcze może chcieć. Simon nie przestawał jej pieścić dłońmi i językiem, domagając się, aby wzięła to, co chciał jej dać.

Proszę, proszę, proszę, błagała w duchu, nie wiedząc, o co błaga, poza tym, żeby nie przestawał, nie zostawiał jej, kiedy tak bardzo go potrzebowała. Zatracała się w nim, w gorącej namiętności, jaką ją obdarzał. Jeśli było w tym coś złego, to trudno, za późno, żeby się wycofać.

W końcu nie mogła oddychać, poruszać się, myśleć. Zamarła nagle, całym jestestwem skupiona na cudownej eksplozji rozkoszy i radości. Krzyknęła.

Simon trzymał ją przez chwilę, upajając się jej aksamitnym ciepłem i zapachem; serce biło mu tak mocno, że był pewien, iż pękną mu żebra. Potem podniósł się i szybko ściągnął buty, pomięte spodnie i wygniecioną koszulę, i stanął przed nią nagi, jego skóra lśniła brązowawo w świetle lampy. Patrzyła zafascynowana, nie zauważył jednak w jej oczach zaskoczenia czy strachu – Nie, Camelia spędziła większość życia w afrykańskiej dżicy, gdzie z pewnością widziała setki nagich czy półnagich mężczyzn, którym wiktoriańska skromność była całkiem obojętna. Jej spojrzenie tylko wzmogło jego pożądanie. Pragnęła go tak samo mocno, jak on jej. Poza tym nic się nie liczyło.

Rozciągnął się na niej, otaczając ją swoim ciepłem, walcząc ze sobą, żeby po prostu nie zanurzyć się w niej natychmiast. Camelia westchnęła, otaczając go ramionami. Zaciśnął szczęki, nie chcąc stracić resztek panowania nad sobą.

Była najcudowniejszą kobietą, jaką znał, nie tylko z powodu urody, ale również niezłomnej determinacji, jaką wykazywała. Dostrzegał w niej cudowne szaleństwo, niezłomnego, wspaniałego ducha. W Londynie nie czuła się dobrze, rozumiał to doskonale, ale myśl o tym, że miałyby wrócić do swojej ukochanej Afryki, daleko od niego, stała się nagle nie do zniesienia. Nie należała do niego i świadomość tego wywoływała w nim uczucie pustki. Osunął się powoli, delikatnie, trzymając ją mocno w objęciach i wpatrując się w jej lśniące zielone oczy.

Zostań ze mną, błagał w milczeniu, wiedząc, że to niemożliwe, że Camelia nigdy nie zwiąże się z nikim, nie pozwoli zamknąć się w klatce. Przy mnie będziesz bezpieczna, przysięgał gorączkowo, wsuwając się głębiej, mając nadzieję, że może da jej odczuć to, czego nie potrafi wyrazić słowami. Ale ona nie szukała bezpieczeństwa, dała to jasno do zrozumienia, odmawiając porzucenia wykopalisk, pomimo że wiązało się z tym poważne zagrożenie. Westchnęła i poruszyła się pod nim niespokojnie, czując, że nie oddaje jej się całkowicie. Trwał bez ruchu. Zatracał się teraz, on, który przez lata przedkładał rozum ponad namiętności. Zatracał się i nic nie mógł na to poradzić, bo utkwiała już w jego ciele, sercu i duszy.

Cofnął się odrobinę, usiłując odzyskać resztkę woli, namiastkę panowania nad sobą. A potem ona otoczyła go ciasno ramionami i uniosła biodra, wciągając go w cudownie gorące wnętrze swojego ciała. Simon jęknął z rozkoszy i rozpacz, zanurzając się w niej tak głęboko, jak mógł, całując ją mocno.

Camelia zamarła, zaskoczona nagłym bólem.

–Spokojnie, kochana – szepnął Simon, z ogromnym wysiłkiem starając się nie poruszać. – Przytul się do mnie, ból zaraz minie.

Miał rozpaczliwą nadzieję, że to prawda. W związku z całkowitym brakiem doświadczenia z dziewczynami – aż do tej pory nie był tego całkiem pewien.

Camelia schowała twarz w jego szyi, czerpiąc poczucie bezpieczeństwa z ciepła jego ciała, czułych pocałunków, którymi obsypywał teraz jej czoło, policzki i usta, jego leciutkich poruszeń wewnątrz siebie. Skupiła się na jego twardych plecach, przesuwając po nich dłońmi, badając

dotykem jego ramiona, zebra i kręgosłup, nawet pośladki. Znowu obudziło się w niej pożądanie, najpierw dalekie, potem tak intensywne, że wyparło strach. Simon całował ją namiętnie, łakomie, tęsknie.

Tracił zmysły Nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o bolesnym pragnieniu Camelii. Chciał, żeby to trwało bez końca, żeby pozostali tak złączeni, zagubieni w sobie. Jakaś część jego odeszła, teraz to sobie uświadomił, nie był tylko pewien, czy została mu ukradziona, czy oddał ją z własnej woli. Wiedział jedynie, że nie liczyło się nic poza tą chwilą, słodyczą jej ciała, zapachem nagrzanym słońcem łąk i egzotycznych owoców, jaki go otaczał, starożytną pieśnią Afryki i sercem Camelii, które biło dla niego. Poruszał się rytmicznie, usiłując ją ze sobą związać, pokazać jej, że miejsce jest przy nim. Zdał sobie sprawę, że potrzebuje więcej czasu. Musiał sprawić, żeby ten ogień, który płonął w nich obojgu, trwał, żeby zrozumiała. Jednak nie było czasu; gorączkowy, błagalny szept Camelii kazał mu poruszać się szybciej i szybciej. Walczył, żeby utrzymać na wodzy pożądanie, ale to tak jakby chciał powstrzymać falę przed rozbiciem się o brzeg. Camelia uniosła się nagle, całując go gorąco. Krzyknął, wsuwając się głębiej. Trzymał ją mocno, poddawał się, mając wrażenie, że umiera, ale nie dbał o to.

Camelia leżała w milczeniu obok Simona, czując bicie jego serca. Zamknęła oczy i pomyślała o afrykańskim słońcu, ciepłym, czystym, kojącym. Teraz uczucie zimna, którego tak często doznawała w Londynie, znikło. Westchnęła, wtulając się mocniej w Simona, słuchając jego oddechu.

Nie była przygotowana na to, co się właśnie między nimi wydarzyło.

Dawno temu postanowiła, że nie wyjdzie za mąż i dlatego bliskość między kobietą a mężczyzną pozostała dla niej tylko pustym pojęciem. Dowiedziała się, na czym polega akt płciowy, kiedy razem z ojcem natknęli się na dwa parzące się lwy. Ojciec, chociaż zakłopotany, odpowiedział na jej pytania z właściwym sobie, stoickim spokojem. Ostatecznie był wykształconym człowiekiem nauki i nie sądził, aby należało ukrywać przed córką coś, co mogło jej się w przyszłości przydać. Camelia później dużo uważniej przysłuchiwała się rozmowom tubylczych kobiet, które niekiedy towarzyszyły mężom do Pumulani. Od nich dowiedziała się, że sam akt nie był czymś nieprzyjemnym – a takie wrażenie odniosła, obserwując lwy – ale miał na celu głównie poczęcie potomstwa. Ponieważ Camelia nie widziała siebie w roli żony i matki, przestała się zupełnie interesować tym tematem.

Teraz uświadomiła sobie, że nie powiedziano jej wielu rzeczy.

Jej ciało stygło stopniowo i wraz z chłodem pojawił się strach. Czy było możliwe, żeby poczęła dziecko? W jej życiu nie było miejsca dla dziecka. Potrzebowała wolności, żeby prowadzić wykopaliska, co oznaczało długie, upalne dni spędzone na odludziu. Dziecko zmieniłoby jej ciało. A po urodzeniu musiałaby się nim zajmować. Nie mogła sobie na to pozwolić. Potrzebowała wolności, żeby dotrzymać obietnicy złożonej ojcu, a to, jak wiedziała, mogło potrwać miesiące albo nawet lata.

Odsunęła się od Simona i zeskoczyła z kanapy, podnosząc koszulę nocną z podłogi.

– Muszę iść – powiedziała, pospiesznie wciągając przez głowę wymyślne koronki. Złapała kołdrę, owinęła ciasno wokół siebie, próbując stworzyć między nimi barierę.

Simon patrzył na nią zmieszany, nie wiedząc, co zrobić. Co miał jej powiedzieć? Że mu przykro? Że żałuje? Że to, co zaszło między nimi, było najwspanialszą rzeczą, jakiej doznał w życiu, ale wolałby, żeby się nie stało?

Mówiąc coś takiego, rzuciłby cień na ich znajomość i na Camelię, a tego nie chciał zrobić.

– Camelio – powiedział cicho, podnosząc się z kanapy

– Przepraszam – przerwała Camelia, odsuwając się od mego, Dobry Boże, co ona zrobiła? Prawdopodobnie zniszczyła dobre stosunki z jedynym człowiekiem, który zaofiarował jej wsparcie przy wykopaliskach. W gruncie rzeczy niezupełnie zaofiarował, ale to nie miało znaczenia. Rozpaczliwie potrzebowała jego pomocy, a gdyby teraz odmówił i kazał jej odejść, nie zdołałaby odnaleźć grobowca, zanim skończą się pieniądze. – Nie chciałam, żeby to się stało, ale się stało, i obawiam się, że nie da się tego cofnąć, chociaż, gdyby to było możliwe, z pewnością oboje chcielibyśmy to zrobić – wyrzuciła z siebie przeproszającym tonem.

Simon otworzył szeroko oczy. Nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Najlepiej będzie, jeśli oboje uznamy, że popełniliśmy błąd, że to była chwila, powiedzmy, szaleństwa – ciągnęła Camelia, usiłując zbagatelizować sytuację. – Rozumiem, że nie jest to typowe dla ciebie zachowanie, ale Zareb powiada, że od czasu do czasu układ gwiazd wpływa na ludzi i robią rzeczy, które normalnie nie przysłyby im do głowy, a chociaż ja nie wierzę w mity i przesady, możemy się chyba zgodzić, że coś takiego miało miejsce. Gwiazdy popchnęły nas ku sobie. Ale to się z pewnością nigdy nie powtórzy, przyrzekam. – Rozpaczliwie pragnęła, żeby coś powiedział i żeby włożył spodnie. – Nie musisz się o mnie martwić – dodała gorączkowo, usiłując skupić wzrok na jego twarzy. – Zapewniam cię, że w przyszłości nie stracę panowania nad sobą, jeśli o ciebie chodzi. – Popatrzyła na niego wyczekująco, zastanawiając się, czy zdołała go przekonać.

Simon czuł się zupełnie zagubiony i w istocie nieco urażony. Wszystkiego oczekiwał, tylko nie tego, że zeskoczy z kanapy i zacznie paplać o Zarebie, gwiazdach i panowaniu nad sobą, jakby sądziła, że przed chwilą dokonała gwałtu na jego osobie.

–Jestem pod wrażeniem twojej stanowczości, Camelio – mruknął oschłym tonem, podnosząc spodnie z podłogi. – Ale, jak sądzę, ta cecha zawsze odróżniała cię od innych kobiet, twoje niezwykle zdecydowanie.

–A zatem nie każesz mi odejść?

Spojrzał na nią zaskoczony.

Trzymała brzegi wyblakłej kołdry tak mocno, że pobieleły jej palce. Dopiero wtedy zrozumiał. Camelia bała się panicznie, że po tym, co się między nimi stało, Simon może kazać jej odejść. Nie sądził, żeby miała dokąd pójść w Londynie – chyba że do Wickhama. Uznał za pocieszające, że wolała zostać z nim, chociaż to oznaczało, że trzeba będzie zmienić układ gwiazd.

– Oczywiście, że nie każę ci odejść – oznajmił bezbarwnym tonem. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Popatrzyła na niego niepewnie.

– I zbudujesz pompę parową, pojedziesz ze mną do Afryki i przeszkolisz moich ludzi?

Włożył i zapiął spodnie. Teraz, kiedy trochę się ubrał, czuł się mniej bezradny.

– Tak.

Ulga spowodowała, że rozluźniła uścisk na kołdrze.

– Cóż, zatem w porządku, tak – powiedziała. – Chyba zostawię cię, żebyś mógł się zająć pracą. – Otworzyła drzwi. – Dobranoc.

Simon patrzył, jak wyslizguje się z pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Potem podszedł do biurka i nalał sobie drinka, absolutnie pewien, że dzisiejszej nocy nie zdoła zabrać się do pracy

7

–**Gdzie** ten pożar, chłopcze? – zapytał Oliwier, otwierając drzwi ze skrzywioną miną.

Elliott się zmieszał.

– Jaki pożar?

–Ten, z powodu którego waliłeś w drzwi, jakbyśmy wszyscy mieli spalić się na popiół – odparł kwaśno Oliwier.

–Przyszedłem zobaczyć się z panem Kentem – poinformował go Elliott, postanawiając nie zwracać uwagi na złośliwości starego człowieka. – Możesz mu powiedzieć, że lord Wickham chce z nim mówić.

– Nie można mu przeszkadzać – odparł niewzruszony Oliwier. – Chłopak pracuje nad jakimś wynalazkiem i nie lubi, jak mu się wtedy zawraca głowę.

–To sprawa wielkiej wagi – nalegał Elliott.

Oliwier posłał mu powątpiewające spojrzenie.

–Musisz wymyślić coś lepszego.

– Chodzi o lady Camelię Marshall – dodał Elliott, zdumiony niezmiernie, że tłumaczy się przed służącym. Ten był nawet jeszcze bardziej denerwujący niż Zareb. Stary Afrykanin podejmował przynajmniej wysiłek, żeby okazać Elliottowi odrobinę szacunku. – Jeśli mu to przekażesz, z pewnością zechce ze mną porozmawiać.

Oliwier w zamyśleniu podrapał się w głowę.

–Jeśli interesuje cię, co się dzieje z lady Camelią, dlaczego jej nie zapytasz? To chyba prostsze niż zwracanie głowy chłopakowi.

–Ponieważ nie wiem, gdzie przebywa – wyjaśnił Elliott, z trudem zachowując cierpliwość. – A teraz, jeśli zechcesz zawiadomić pana Kenta, że tu jestem...

–Wracaj natychmiast, ty mały żebraku – zagrział na piętrze rozzłoszczony głos – albo zrobię z twojej kosmatej skóry kapelusz!

Oskar zbiegł ze schodów z powiewającymi wesoło z tyłu czerwonymi damskimi majtkami ogromnych rozmiarów. Łypnął na stojącego w drzwiach Elliotta i zaskrzeczał, z radości czy irytacji, tego nie sposób było zgadnąć. Następnie skoczył ku niemu i wspiał mu się na ramię, owijając głowę majtkami niczym szkarłatną flagą.

–Przemieję cię na haggis! – wrzasnęła groźnie Eunice, schodząc po schodach i sapiąc ciężko. – Ale najpierw obedrę cię ze skóry i wyczyszczę nią buty, ty zepsuty mały... słodka święta Columbo! – Jej pomarszczona twarz stała się ze wstydu niemal równie czerwona jak majtki, kiedy zobaczyła je na głowie Elliotta.

–Pani wybaczy. – Starając się nie tracić godności, Elliott ściągnął majtki z głowy. – Sądzę, że są pani.

–Nie są moje.– zaprzeczyła Eunice, pospiesznie upychając je w kieszeni fartucha. – Właśnie miałam zrobić pranie dla pewnej damy z tej ulicy, kiedy ta złośliwa bestia wpadła i je porwała. – Popatrzyła z wściekłością na Oskara.

–Jaka dama? – zapytał Oliwier, marszcząc brwi.

–Czy lady Camelia jest tutaj? – wykrztusił Elliott, usiłując pozbyć się Oskara, który uczeplił się jego ramienia.

–Jakaś dama. – Eunice spojrzała na Oliwiera ostrzegawczo. – Nie znasz jej, Ollie.

–Nie wiedziałem, że bierzesz pranie do domu, Eunice – zauważył Oliwier, nadal zmieszany. – Dlaczego robisz coś takiego, podczas gdy tyle jest do zrobienia tutaj, i jeszcze ta dziewczyna z jej dzikimi zwierzakami?

–Czy lady Camelia Marshall jest tutaj? – powtórzył Elliott, wciąż mocując się z Oskarem, który uznał najwidoczniej, że w tym miejscu jest teraz bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej.

–Elliott! – Camelia, z Harriet na ramieniu, ukazała się w drzwiach prowadzących do kuchni. – Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Elliott wpatrywał się w nią, zdumiony jej zwykłą, codzienną suknią i tym, że wychodziła z pomieszczenia, które zapewne było kuchnią, niosąc swoje ptaszysko.

–Poszedłem odwiedzić cię w twoim domu, ale zasłony były zaciągnięte i Zareb nie odpowiadał na pukanie – wyjaśnił. – Za pierwszym razem uznałem po prostu, że wyszłaś, ale

dzisiaj natknąłem się przypadkiem na twojego listonosza, który powiedział, że nie odbierałaś poczty przez cały tydzień. Naturalnie zmartwiłem się, że wydarzyło się coś złego. Ponieważ ostatnim razem, kiedy cię widziałem w zeszłym tygodniu, wychodziłaś z balu Towarzystwa Archeologicznego wraz z Kentem, pomyślałem, że może coś wiedzieć i przyszedłem tutaj. – Uwolnwszy się w końcu od Oskara, postawił go stanowczym ruchem na podłodze. – Czy mam rozumieć, że zatrzymałaś się tutaj, Camelio? – Mówił łagodnym tonem, ale wyczuwało się, że nie jest mu to w smak.

–Tylko na trochę – zapewniła Camelia. – Mieliśmy pewne kłopoty w domu ojca i Simon, pan Kent, uprzejmie zaproponował, żebym zamieszkała tutaj przez parę dni. Więc jesteśmy

Elliott uniósł brew

–Jakie kłopoty?

–Parę drobiazgów, które sprawiły, że trudno było tam pozostać – odparła wymijająco Camelia. Nie chciała, aby Elliott wiedział, że włamano się do jej domu i straszono. Jeśli uzna, że grozi jej niebezpieczeństwo, będzie się upierał, żeby się nią opiekować, a ona chciała tego uniknąć. – Nic poważnego.

– Dach paskudnie przeciekał – wtrącił Oliwier, chcąc się okazać pomocnym. – Jak wielkie sito, można było pod nim pracć.

Elliott spojrział z powątpiewaniem.

– Nie padało od ponad dwóch tygodni

– Tak, to znaczy, że czeka nas porządna ulewa – odparł wesoło Oliwier. – Nie mogliśmy dziewczyny zostawić samej.

– Camelio, o co tu naprawdę chodzi?

–Powiedziałam już, drobne niedogodności – powtórzyła z uporem Camelia. – Jak tylko sobie z nimi poradzimy, wrócimy z Zarebem do domu...

–Pomocy! – dobiegł przerażony głos z kuchni. – On mnie napadł!

–Dobry Boże, ktoś jest w niebezpieczeństwie! – Elliott zrzucił kapelusz i pobiegł w kierunku drzwi od kuchni.

– Tisho, widziałaś Ruperta? – zawołał Zareb z półpiętra.

Camelia zagryzła wargę.

–Myślę, że jest w kuchni z Doreen. Lord Wickham idzie to sprawdzić.

–Dobry wieczór, lordzie Wickham – zawołał uprzejmie Zareb. –Jeśli znajdzie pan Ruperta, czy zechciałby pan łaskawie zanieść go na górę?

Elliott zatrzymał się gwałtownie.

– Czy mówisz o tym wężu?

– Pomocy! – Doreen, z siwymi włosami wysuniętymi spod lnianego czepka, z ciężką czarną patelnią w ręku, wypadła zza drzwi kuchni.

– Omal mnie nie ukąsił! – krzyknęła wściekle. – Jak on kiedyś wyjdzie zza pieca, oberwie patelnią, a potem usmażę go na kolację!

– Och, Doreen, tak mi przykro – powiedziała przepraszająco Camelia. – Byłam pewna, że tym razem dobrze zamknęłam drzwi.

– Zamknęłaś je, Tisho – potwierdził Zareb. – Sam sprawdziłem.

Oskar wskoczył na poręcz schodów, wykrzywając pyszczek w złośliwym grymasie.

–Doprawdy, Oskarze, to było bardzo nieładne z twojej strony – zbesztła go Camelia. – Wiesz, że Doreen i Eunice nie lubią, kiedy Rupert pełza po domu, boją się go.

–Nie wrócę do kuchni, póki ktoś nie złapie tej śliskiej bestii i nie zamknie, jak należy – oznajmiła twardo Doreen. – Mam dość tego, że wyskakuje mi z szafek i z garnków, prawie umieram ze strachu!

–Rupert lubi kuchnię, bo to najcieplejsze miejsce w domu – wyjaśniła przepraszająco Camelia. – Obawiam się, że nie przywykł do chłodnej wilgoci Londynu, bardziej odpowiada mu ciepło Afryki.

–Jak mnie nie przestanie straszyć, to dopilnuję, żeby mu się zrobiło gorąco – zagroziła cierpkim tonem Doreen. – Będę wdzięczna, jeśli wyniesie go pan z kuchni. – Spojrzała oczekująco na Elliotta.

Elliott cofnął się o parę kroków od drzwi kuchni.

–Otóż sądzę, że Zarebowi prędzej uda się go stamtąd wywabić niż mnie.

–Co tu się, do diabła, dzieje? – Simon skrzywił się, otwierając drzwi jadalni. – Nie mogę pracować przy tych wrzaskach, och, witaj, Wickhop. Co cię sprowadza?

–Wickham – przypomniał mu urażony Elliott. – Przyszedłem, aby się dowiedzieć, czy wiesz, co się dzieje z lady Camelią.

–Jest tutaj. – Simon skinął głową w stronę dziewczyny. – Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

–Elliott zmartwił się, kiedy stwierdził, że mnie i Zareba nie ma w domu – pospiesznie wyjaśniła Camelia, usiłując rozpaczliwie sprawić wrażenie, że wszystko, co się dzieje pomiędzy nią a Simonem, jest całkowicie naturalne.

W ciągu tygodnia, który upłynął od owej niezwyklej nocy namiętności, Camelia robiła wszystko, żeby uniknąć spotkania z Simonem. To się okazało niezmiernie łatwe, jako że Simon spędzał dnie i noce zamknięty w jadalni, w której urządził nową pracownię.

Eunice i Doreen zносиły mu w regularnych odstępach tace z jedzeniem, czasami słycać było Oliwiera, jak mu mówił, że dość to dość i że powinien już się położyć. Camelia nie sądziła, żeby Simon brał sobie rady Oliwiera do serca, ponieważ bez względu na porę drzwi do jadalni były zamknięte, a ze środka dobiegały odgłosy uderzeń młotkiem i głos mruczącego do siebie Simona. Jeśli spał, to najwyżej godzinę czy dwie na stole albo na podłodze.

Zaniepokoiła się, widząc, jaki jest zaniedbany. Pod jego oczami pojawiły się ciemne kręgi, cera zbladła i zwiotczała na skutek braku słońca, świeżego powietrza i ruchu. Jedwabiste włosy, w które tamtej nocy zanurzała palce, teraz stanowiły dziką płataninę, a piękną linię szczęk ocieniał brązowy zarost, nadając mu nieco niebezpiecznego, niemal dzikiego wyglądu.

– Więc wyjaśnialiśmy mu właśnie, że zostaniemy tu przez parę dni, podczas gdy dach zostanie naprawiony – dokończyła sztucznie wesołym tonem.

Simon zmarszczył brwi ze zdumienia.

–Dach?

–Tak, tam, gdzie przecieka jak sito – szybko dodał Oliwier. – Właśnie mówiłem jego lordowskiej mości, że można się spodziewać potężnej burzy i dlatego lady Camelia zamieszkała u nas.

–Rozumiem.

–Może moglibyśmy chwilę porozmawiać na osobności, Camelio – zapytał Elliott rozdrażniony tym, że wszyscy wydawali się traktować go jak durnia. – Jest coś, co chciałbym z tobą przedyskutować.

–Co takiego? – Chociaż rozumiała, że Elliott pragnie rozmawiać z nią bez świadków, wspomnienie pocałunku w ogrodzie wywołało w niej niechęć do przebywania z nim sam na sam. Nie miała szczególnej ochoty podejmować na nowo tematu małżeństwa.

–Chodzi o teren twoich wykopalisk – wyjaśnił Elliott. – Naprawdę sędzę, że powinniśmy to omówić gdzie indziej.

Camelia spojrzała pytająco na Zareba.

– Ciemny wiatr nadal wieje, Tisho. Nie możemy walczyć z czymś, czego nie widzimy

Camelia skinęła głową, starając się stłumić ogarniający ją strach.

– Chodźmy na górę do salonu, Elliotcie. Tam możemy porozmawiać.

– Przyniosę herbatę – zaofiarowała Doreen.

–Pójdę z tobą, Doreen. – Zareb schodził po schodach, szeleszcząc bajecznie kolorową szatą. – Dopilnuję, żeby Rupert wyszedł ze swojej kryjówki i przestał cię straszyć.

–Cóż, dziękuję, panie Zareb. – Doreen uśmiechnęła się do niego. – To miłe.

–Może weźmiesz także Harriet, Zarebie – poprosiła Camelia, podając mu ptaka.

–Czy chcesz, żebym się do ciebie przyłączył, Camelio? – zapytał Simon.

Patrzył na nią uważnie. W jej oczach pojawił się strach, kiedy Zareb wspomniał o ciemnym wietrze. Simon widział, że boi się tego, co Elliott ma jej do powiedzenia. Choć wytworzyła się między nimi w ciągu ostatniego tygodnia niezręczna sytuacja, chciał, żeby wiedziała, że jest gotów udzielić jej wszelkiego wsparcia, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba.

Camelia zdziwiła się. Spojrzenie niebieskich oczu Simona przebijało ochronny mur, jaki z takim trudem wzniosła wokół siebie. Ogarnęło ją gorąco, zadrżała na wspomnienie jego dotyku.

– Nie, dziękuję – wykrztusiła. – Wszystko w porządku.

To było, rzecz jasna, zwykle kłamstwo. Wstrząsnęło nią wrażenie, jakie Simon na niej wywierał, nawet wtedy, kiedy tylko na nią patrzył. W dodatku bała się tego, co powie Elliott. Nie chciała jednak, aby Simon dowiedział się o jej strachu. Pragnęła, żeby myślał tak, jak inni: że była silna, zaradna i zdecydowana. Gdyby okazała ślad słabości, mógłby zmienić zdanie i zaprzestać budowania pompy. Bez pompy wykopaliska pozostaną pod wodą.

A jeśli nie zdoła ich wkrótce osuszyć i nie znajdzie grobowca, w którego istnienie jej ojciec nie wątpił, resztki inwestorów, jacy jeszcze jej pozostali, wycofa pieniądze, zostawiając ją z długami i bezużytecznym kawałkiem ziemi.

Będzie musiała go sprzedać albo zostanie bez środków do życia.

–Dobrze. – Simon odwrócił się, wchodząc ponownie do jadalni i zamykając za sobą drzwi.

–Tędy, dziewczyno – powiedział Oliwier, wskazując schody – Zaprowadzę cię, a Eunice i Doreen przygotują herbatę.

Zbierając siły do wysłuchania tego, co Elliott miał jej do powiedzenia, Camelia weszła na górę do skromnie umeblowanego salonu. Usiadła na podniszczonej sofie, składając dłonie. Elliott przechadzał się po pokoju, dopóki Oliwier nie wyszedł. W końcu zostali sami.

– Jaki jest prawdziwy powód, dla którego się tu znalazłaś, Camelio? I proszę, nie opowiadaj mi już tych głupstw o przeciekającym dachu. Sądziłem, że po tylu latach naszej przyjaźni, będziesz miała do mnie przynajmniej tyle zaufania, żeby powiedzieć prawdę.

Wydawał się urażony Camelia zawstydzila się. Zdała sobie sprawę z tego, że Elliott ma rację. Był protegowanym ojca, jego współpracownikiem, bliskim przyjacielem przez większość życia Camelii. Zawsze wykazywał się lojalnością i poświęceniem wobec niej i lorda Stamforda. Zrobiłby dla niej wszystko – nawet ożeniłby się z nią, żeby ją chronić.

Nie zasługiwał na to, żeby go oszukiwać.

–Przykro mi, Elliotcie – powiedziała Camelia. – Masz rację. Jestem tutaj, ponieważ ktoś się włamał do mojego domu w zeszłym tygodniu i wszystko przewrócił do góry nogami, niszcząc cenne dzieła sztuki i zabytkowe przedmioty. To się zdarzyło w noc, kiedy był bal Towarzystwa Archeologicznego. Simon przyjechał ze mną do domu i kiedy zobaczył, co się stało, uprzejmie zaoferował mi gościnę.

–Mój Boże. – Oczy Elliotta zaokrągliły się ze zmartwienia. – Czy policja przeprowadziła śledztwo? Podejrzewają kogoś?

–Nie zawiadomiłam policji.

–A to z jakiego powodu? – zapytał ze zdumieniem.

–Niestety, to nie było zwykłe włamanie. Na tyle, na ile zauważyłam, niczego nie ukradziono. Wydaje się, że ktokolwiek tego dokonał, chciał mnie przestraszyć, a nie okraść.

– Dlaczego sądzisz, że chciano cię nastraszyć?

– Zniszczyli wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Tak, jakby chcieli obrócić w nicłość wszystko, co było mi drogie.

–To mogli być, równie dobrze, jacyś pijani chuligani, którzy uznali za zabawne potłuc i zniszczyć wszystko, co znaleźli – stwierdził Elliott.

Milczała.

–Czy jest coś jeszcze, Camelio?

–Zostawili list – przyznała niechętnie.

–**List?**

– Tak, ostrzegają mnie w nim, żebym nie prowadziła dalej wykopalisk.

Jego usta przybrały ponury grymas.

Co w nim było?

Wzruszyła ramionami.

–Nie pamiętam dokładnie.

Ukląkł i ujął ją za rękę, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy.

– Powiedz mi, Camelio.

Westchnęła.

–W liście było coś o śmierci, która grozi tym, którzy zakłócają spokój Pumulani.

–Śmierci? – Jego oczy załśniły gniewem. – Użyli słowa „śmierć”?

–Może to było coś innego – powiedziała, przestraszona, że zdradziła za dużo. – Nie pamiętam.

–Musimy natychmiast powiadomić policję – zdecydował, podnosząc się na nogi. – Nie mogę uwierzyć, że upłynął cały tydzień, a ty jeszcze tego nie zrobiłaś, i nie mogę uwierzyć, że ten głupiec, Kent, nie nalegał, żebyś to zrobiła. Gdybym ja był z tobą tamtej nocy, dopilnowałbym, żeby władze zaczęły natychmiast szukać drani, którzy się tego dopuścili!

–Policja nie może się o niczym dowiedzieć – sprzeciwiła się Camelia. – O śledztwie pisano by w gazetach i członkowie Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego usłyszeli by o wszystkim. Tych paru archeologów, którzy udzielili mi skromnej pomocy, zaczęłoby się o mnie martwić i cofnęłoby swoje wsparcie, żeby mnie chronić. Podaliby także w wątpliwość zasadność prowadzenia wykopalisk w tym miejscu, a to pozbawiłoby mnie możliwości zwrócenia się do kogoś innego.

–**To** ludzie nauki, Camelio – stwierdził **Elliott**. – Nie przestraszy ich gadanina o klątwach.

–Nie wiesz tego z całą pewnością, Elliotcie. Nie sądzę, aby archeolodzy byli zupełnie niewrażliwi na groźbę klątwy, choćby sami **się do** tego nie przyznawali. Ty i ja wiemy doskonale, że w ciągu ubiegłych lat zdarzyło się wiele dziwnych wypadków, kiedy odkopywano święte grobowce i skarby. Myślę, że gdzieś w głębi duszy wszyscy obawiamy się wydobyć z ziemi coś, co powinno raczej w niej pozostać.

–To niepodobne do ciebie, Camelio.

–Wiem. – Przesunęła palcami po wyblakłym aksamicie na oparciu kanapy, zmuszając się do śmiechu. – Przebywanie w Londynie chyba niezbyt mi służy. Czasami czuję się zagubiona, jakbym nie wiedziała, kim jestem.

– Zostałaś przegnana z własnego domu w okropnych okolicznościach, zmuszona zostawić wszystko, co kochasz, i zamieszkać u obcego człowieka – zauważył, siadając obok niej. – Wiesz, że mogłaś przyjechać do mnie – powiedział z lekką naganą w głosie, ujmując ją za rękę. – Jestem zdumiony, że nie wezwałaś mnie natychmiast. Ale jestem i poczekam, aż spakujesz swoje rzeczy. Możesz nawet zabrać Zareba i zwierzęta. – Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia, kiedy dokończył: – Sądzę, że w końcu będę musiał do nich przywyknąć.

Camelia spojrzała na niego niepewnie.

– Nie powiedziałam, że chcę zamieszkać z tobą, Elliotcie – wyjaśniła. – To Londyn wydaje mi się obcy, nie ten dom. Wszyscy tutaj są dla mnie ogromnie mili, pod warunkiem że Rupert nie przyprawia Doreen o atak serca częściej niż raz dziennie. Oczywiście Oskar męczy Eunice, ale podejrzewam, że oboje w gruncie rzeczy się lubią. Eunice zawsze grozi, że zrobi z niego szmatkę do wycierania kurzu, ale przy posiłkach pierwsza przygotowuje mu talerz różnych przysmaków. Trochę się martwię, że po powrocie do Afryki będzie tęsknił za ciasteczkami owsianymi i puddingiem toffi.

Elliott nie posiadał się ze zdumienia.

– Nie mówisz poważnie, Camelio, nie możesz tutaj zostać.

–Dlaczego?

–Po pierwsze, musisz zważać na swoją reputację, choćbyś nie chciała w ogóle o tym myśleć – oznajmił stanowczo, widząc, że jest gotowa zaprotestować. – Jak z pewnością zdajesz sobie sprawę, Kent uchodzi powszechnie za szalonego, spójrz tylko, jak się ubiera i zachowuje, na na Boga. Nie goli się i nie czesze. Wygląda, jakby właśnie wyszedł z przytułku dla obłąkanych.

–Pracował dzień i noc nad moją pompą parową – odparła Camelia, czując się w obowiązku bronić Simona. – Uważam, że zdolność do skupienia się wyłącznie na wynalazkach świadczy o wyjątkowym poświęceniu i dyscyplinie.

–Świadczy o skłonności do obsesji – stwierdził Elliott. – Ponadto trzeba wziąć pod uwagę jego nieciekawe pochodzenie. Lady Redmond znalazła go, pozał się Boże, w jakiejś brudnej więziennej celi w Szkocji, gdzie odsiadywał wyrok za kradzież.

–Był wtedy zaledwie dzieckiem, Elliotcie.

–Miał prawie piętnaście lat, a więc można go uznać za mężczyznę, za młodego rzezimieszka, który spędził całe życie na ulicy. Wiadomo też, że ma skłonność do przemocy, podobno w więzieniu pobił strażnika tak, że biedaczysko nie mógł już potem normalnie chodzić.

–To mój brat Jack pobił strażnika – odezwał się przeciągły, spokojny głos. – Ja tylko zwymiotowałem na jego buty.

Camelia podniosła wzrok na Simona stojącego w swobodnej pozie w drzwiach. Pobrudzone smarem ramiona skrzyżował na piersi, na wygniecionej koszuli widniały plamy atramentu. Wydawał się niewzruszony, jakby zupełnie go nie obchodziło, że oto zastał ich w swoim salonie, omawiających ponure szczegóły z jego przeszłości. Lecz oczy mu pociemniały, nabrały stalowego odcienia właściwego letniemu niebu przed burzą. Krył się w nich gniew, a także głęboki smutek i uraza.

Tę wrażliwość odkryła w nim w tamtą noc w jego gabinecie.

– Proszę wybaczyć nam, Simonie – powiedziała pospiesznie. – Nie powinniśmy rozmawiać o twojej przeszłości.

Simon wzruszył ramionami.

– Nie dbam o to, czy rozmawiacie o mojej przeszłości, czy nie. – Kłamał, ale wolałby się powiesić, niż okazać Wickhamowi, że poczuł się dotknięty – Skoro tak cię to interesuje, Wickhip, sądzę, że powinienem przynajmniej wyjaśnić parę rzeczy. Po pierwsze, lady Redmond zabrała mnie z więzienia, kiedy miałem dziewięć lat, a nie piętnaście. Uwięziono mnie za to, że włamałem się do cudzej chaty i uraczyłem paroma jabłkami i butelką alkoholu, zapewne whisky, ale ponieważ moja znajomość trunków była wówczas raczej ograniczona, nie mogę stwierdzić tego z całą pewnością. Jabłka, jak sobie przypominam, były zgniłe i paskudne, ale wzięwszy pod uwagę fakt, że przez trzy dni nie miałem niczego w ustach, nie miało to znaczenia. Alkoholem upiłem się do nieprzytomności i dlatego schwytano mnie, kiedy wrócili właściciele. Wtrącono mnie do więzienia w Inveraray, gdzie zwymiotowałem na buty strażnika. To nie usposobiło go do mnie przychylnie. Wymierzono mi dwanaście uderzeń batem, skazano na trzydzieści dni więzienia, a następnie na pięć lat szkoły poprawczej. Lady Redmond przyszła jakieś trzy tygodnie później i przekupiła zarządcę, żeby oddał mnie pod jej opiekę. Zagwarantowała, że weźmie za mnie odpowiedzialność na okres kary. Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć?

Camelia wpatrywała się w niego, niezdolna wykrztusić słowa. W tej chwili zrozumiała z dojmującą jasnością, jak bardzo przeszłość ciążyła Simonowi. Czy dlatego, że rany z przeszłości

nie mogły się zagoić, czy dlatego, że świat wokół nie pozwalał mu o niej zapomnieć, tego nie była pewna.

– Wybacz, Kent – odezwał się Elliott, przerywając napiętą ciszę. – Jak zapewne rozumiesz, moja troska dotyczy głównie Camellii i jej reputacji.

Simon lekko przechylił głowę na bok

–Oczywiście.

–A ja zapewniłam Elliotta, że nie potrzebuję opieki – dodała Camelia, chcąc złagodzić niezręczność sytuacji.

–Boję się, że nie doceniasz potęgi londyńskiej plotki – stwierdził Elliott. – Inaczej niż Kent, nieprawda?

–Nie słucham plotek, Wickhip – odparł Simon, udając obojętność. – Jest zbyt wiele innych rzeczy, które wymagają mojej uwagi.

–Zatem twoja zdolność do nieprzejmowania się plotkami jest godna podziwu. Niestety, lady Camelia jest kobietą i nie stać jej na luksus lekceważenia tego, co się o niej mówi.

–Nonsens, Elliotcie – sprzeciwiła się Camelia. – Wiesz dobrze, że nigdy nie obchodziło mnie, co ludzie o mnie mówią.

–Tak było w Afryce Południowej. Tutaj jest inaczej.

–Ale ja nie zamierzam tu zostać. Jak tylko Simon skończy budować pompę, wyruszymy do domu.

–Jednakże, przez parę miesięcy, które tutaj spędzisz, musisz bardziej uważać, by nie stać się przedmiotem pomówień i plotek.

–Otóż wyruszymy do Afryki już za parę dni – wtrącił Simon.

Camelia spojrzała zdumiona.

–Naprawdę?

Skinął głową.

W jej spojrzeniu pojawiła się prawdziwa radość. Simon patrzył na nią urzeczony. Przez ostatni tydzień pracował jak szalony, śpiąc zaledwie godzinę czy dwie z rzędu i robiąc kilkuminutowe przerwy, żeby zjeść to, co przynosił mu Oliwier, Doreen i Eunice w regularnych, jak mu się wydawało, odstępach czasu. A to dlatego, że postanowił za wszelką cenę zbudować pompę dla Camellii. Uznał, że im prędzej pojedzie do Afryki i wykopalisk, tym szybciej on sam będzie mógł powrócić do Anglii i swoich zwykłych zajęć. Kiedy jednak stał tam, czując, jak radość Camellii ogarnia go niczym ciepła, kojąca fala, uświadomił sobie, że wcale nie pragnie usunąć Camellii ze swojego życia, choćby nie wiadomo jak usilnie starał się to sobie wmówić. Chciał złagodzić jej ogromną tęsknotę za Afryką.

Mógł to zrobić jedynie, konstruując pompę i zabierając Camelię do domu.

–Chcesz powiedzieć, że zdołałeś zbudować pompę parową zaledwie w parę tygodni? – zapytał niedowierzająco Elliott.

–Nie jest całkiem ukończona – stwierdził Simon, wruszając ramionami. – Ale podróż statkiem parowym do Afryki zajmie ponad trzy tygodnie, do tego dochodzi podróż pociągiem, a potem wozem do Pumulani. Mogę dokończyć pracę w drodze.

–To cudownie! – Camelia podskoczyła, żeby uściskać Simona, ale się powstrzymała. – Naprawdę wspaniale – powtórzyła, wpatrując się w niego uważnie. – Dziękuję, że pracowałeś z takim poświęceniem.

Cóż, to dobra nowina. – Elliott starał się nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie, podnosząc się powoli z kanapy.

Simon rzucił mu znaczące spojrzenie. Wiedział, że Wickham rozpaczliwie pragnie zatrzymać Camelię w Londynie. Z Londynem, ostatecznie, jego lordowska mość wiązał plany na przyszłość. Chciał mieć Camelię dla siebie, żeby z oddaniem trwała u jego boku. Byłoby trudno uwodzić ją i przekonać do małżeństwa kilkanaście tysięcy kilometrów stąd, gdy odda się afrykańskiej ziemi.

–Może, Camelio, zdecydujesz się jednak zamieszkać u mnie na parę dni, przynajmniej do czasu, kiedy będziesz gotowa wyruszyć w podróż do Cape Town – zaproponował Elliott. – Gości u mnie matka z trzema moimi siostrami, będziesz więc miała stosowną przyzwoitkę. Naprawdę uważam, że to będzie dla ciebie dużo lepsza sytuacja niż ta, w której znalazłaś się dzięki uprzejmości pana Kenta. Z pewnością nie chcesz obciążać go dłużej swym towarzystwem.

–Camelia wcale mi nie przeszkadza – zapewnił Simon, przybierając możliwie spokojny wyraz twarzy. – W gruncie rzeczy ledwie zauważyłem jej obecność. Jednakże, jeśli wolałaby odejść i zamieszkać u ciebie, wybór, rzecz jasna, należy do niej.

Camelia zdziwiła się. Miał doskonale obojętny wyraz twarzy, jakby nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, czy zostanie z nim, czy nie. Ale jego oczy zdradzały, że za tą maską kryją się silne emocje.

Przyglądała mu się przez chwilę, dostrzegając bladość cery, ciemne sińce pod oczami, szopę splątanych, długich, rudych włosów. Doprowadził się niemal do stanu kompletnego wyczerpania, żeby zbudować pompę, której tak bardzo potrzebowała. Miał, co prawda, udziały w wykopaliskach i zależało mu, by wróciła do Afryki i dokonała swojej misji. Ponadto, dopóki nie zbudował pompy i nic przeszkolił ludzi w jej obsłudze, nie mógł zabrać się ponownie do pracy nad swoimi wynalazkami. Camelia czuła jednak, że nie dlatego zamknął się w jadalni i pracował jak opętany przez ostatni tydzień.

–Lepiej, żebyś została tutaj, Elliotcie – powiedziała nagle.

Elliott nie wierzył własnym uszom.

–Dlaczego?

–Dzięki temu będę pod ręką, jeśli zaistnieje taka potrzeba.

–Jaka potrzeba?

–Gdyby Simon chciał mnie o coś zapytać. – Camelia zerknęła w stronę Simona. – No, wiesz w sprawie pompy.

–Ach, tak, pompy. – Simon skinął głową. – Ciągłe pojawiają się jakieś pytania, Wickhip. Obawiam się, że to raczej nieuniknione.

–Cóż, skoro nie mogę cię przekonać, żebyś zamieszkała u mnie, Camelio, nie będę ci się dłużej narzucać. – Sięgnął do kieszeni surduta i wyciągnął poplamioną, pogniecioną kopertę. – Wydaję się, że listonosz próbował ci ją doręczyć od wielu dni. Kiedy zobaczyłem, że to od Trafforda, wiedziałem, że to coś ważnego i skłoniłem listonosza, żeby dał mi list, zapewniając, że ci doręczę jak najszybciej.

Camelia wzięła list z wahaniem. Nie zapomniała o ostrzeżeniu Zareba.

Nie możemy walczyć z czymś, czego nie widzimy. Pełna napięcia rozerwała kopertę i szybko przebiegła treść oczami. Simon zauważył, jak pobladła.

–Co się stało, Camelio?

–Doszło do kolejnego wypadku na terenie wykopalisk – wyszeptwała. – Nastąpił wybuch.

–Co to znaczy? – odezwał się Elliott. – Nie używamy środków wybuchowych.

–Widocznie ktoś użył. To się zdarzyło w nocy, kiedy większość robotników spała. Jeden z mężczyzn, którzy stali na straży, zginął. Pozostali są przekonani, że wybuch to wynik kłątwy. Około dziesięciu opuściło obóz w nocy, a pan Trafford mówi, że w dzień odchodzi jeszcze więcej. Uważają, że jestem za daleko, żeby ich chronić przed kłątwą.

Simon zmarszczył brwi.

– Jaką kłątwą?

–Tubylcy wierzą, że Pumulani jest przeklęte – przyznała niechętnie Camelia. – To znaczy, że kiedy wydarzy się coś złego, czy to z winy pogody, czy też osunie się jakiś fragment wykopalisk, kładą to na karb złych mocy, podczas gdy są to zwykle zdarzenia podczas tego typu badań.

–Wybuch, który zabija człowieka, trudno uznać za coś zwyczajnego – zauważył Simon. – Czy były inne wypadki?

–Podczas wykopalisk zawsze dochodzi do wypadków. To, niestety, część pracy.

–Ale, jak rozumiem, tubylcy nie podzielają tego punktu widzenia.

–Obawiam się, że to nieco bardziej skomplikowane, niż przedstawia Camelia – wtrącił Elliott. – Ziemia, na której lord Stamford rozpoczął wykopaliska, uchodzi za starożytne miejsce pochówku plemienia, które osiadło tam setki, a może tysiące lat wcześniej – wyjaśnił. – Jakies sześćdziesiąt lat temu zamieszkała tam rodzina Burów, którzy uprawiali grunty przez dwa

pokolenia. Ale było im ciężko, przez większość roku panowała susza, a owce i bydło zdychało na polach. Tubylcy wierzyli, że to z powodu klątwy. Kiedy pojawił się ojciec Camelii i zaproponował kupno ziemi, Burowie sprzedali ją z największą radością.

–A co tak bardzo zainteresowało lorda Stamforda w tej ziemi? – zapytał Simon.

–Ojciec, w trakcie wykopalisk, odkrył wiele niezwykłych malowideł naskalnych – powiedziała Camelia. – Malowidła przedstawiały społeczność plemienną, która spędzała dużo czasu na tych terenach. Z rozmów ze starszyzną plemienną pobliskiej wsi ojciec dowiedział się, że starożytne plemię, które tam niegdyś mieszkało, wypracowało skomplikowane rytuały pogrzebowe i właśnie tam chowało swoich królów.

–To znaczy, że jest tam grobowiec?

–Nie taki, jakie znajdujemy w Egipcie czy Chinach – stwierdziła Camelia. – Ludy Afryki nie wznoszą potężnych budowli do chowania swoich zmarłych. Ale starsi wioski wspominali o „Grobowcu Królów”, gdzie spoczywa wielu władców wraz z przedmiotami, których mogliby potrzebować w życiu pozagrobowym.

–Co to za przedmioty?

–Zazwyczaj są to bardzo proste rzeczy. Biżuteria z muszelek, otoczaki, skorupy żółwia, przewiercone kamienie, czasami strusie jaja zamienione w pojemniczki.

–To nie wygląda na nadzwyczajne bogactwa.

–Są wartościowe dla archeologa – wyjaśniła Camelia. – Pomagają zrozumieć życie i wierzenia starożytnych ludów.

–Sądzę też, że mogą uchodzić za cenne w oczach tamtejszych mieszkańców, którzy nie potrafią zrozumieć twojej chęci wydobywania ich z ziemi.

–Ja tylko chcę odkopać te rzeczy, żeby można je było zbadać i przechować, zamiast pozwolić, aby zniszczył je żywioł.

–Rozumiem. Ale być może niektórzy spośród tubylców uważają, że lepiej je zostawić tam, gdzie są. Nie przypuszczasz, że mogą być odpowiedzialni za ostatni wybuch?

–Nie, na pewno nie.

–Ponieważ sądzisz, że jakiś rywal, archeolog, próbuje cię stamtąd wypłoszyć w nadziei, że wykopie dla siebie owe kości i strusie jaja?

–To dużo bardziej prawdopodobne.

–Dlaczego?

–Po pierwsze, tubylcy nie mieliby pojęcia, jak wynająć zbirów za oceanem, w Londynie, żeby zdewastowali mój dom i próbowali mnie zastraszyć. Poza tym, nigdy nie użyliby środków wybuchowych, chcą zachować miejsce pochówku, a nie ryzykować, że ulegnie zniszczeniu.

–Przekonujące argumenty – zgodził się Simon. – Co ty o tym sądzisz, Wickham?

–Przede wszystkim, nie interesuje mnie, kto się za tym kryje – oświadczył bezbarwnym tonem. – Tubylcy wierzą, że jest tam grobowiec, nad którym czuwają bogowie, i sądzą, że spadają na nich kary za próby jego odkopania. Nie wierzę w klątwy, ale obchodzi mnie bezpieczeństwo Camelii, zwłaszcza wobec tego, że włamano się do jej domu i grożono jej śmiercią.

–Elliott sądzi, że powinnam sprzedać ziemię za tyle, ile mi dadzą – dodała Camelia. – Czego nigdy nie uczynię.

–A komu, twoim zdaniem, miałyby sprzedać tę ziemię? – zwrócił się Simon do Elliotta. – Jeśli ten tajemniczy rywal pojawi się i zechce ją kupić, to przypuszczam, że Camelia jeszcze bardziej wzmocni się w postanowieniu prowadzenia dalszych wykopalisk.

–Masz całkowitą rację – przyznała Camelia pospiesznie, rzucając Elliottowi błagalne spojrzenie.

Nie chciała, żeby Simon wiedział, że De Beers Company wystąpiła z ofertą kupna Pumulani. Gdyby usłyszał, że firma wydobywająca diamenty interesuje się jej własnością, zapewne zgodziłby się z Elliottem, że najlepiej będzie sprzedać ziemię. To by go zwolniło z czasochłonnego zadania konstruowania pompy i niebezpiecznej podróży do Afryki, której nigdy by nie podjął z własnej woli.

–Mogą pojawić się inne możliwości – powiedział Elliott wymijająco, stosując się do życzenia Camelii, aby nie ujawniać szczegółów związanych z De Beers Company. – Na nieszczęście, Camelia nie chce rozważyć żadnej z nich, pomimo że prowadzenie wykopalisk staje się z każdym dniem trudniejsze. Poświęciłem kawał życia na przekopanie Pumulani i mogę stwierdzić, że nie ma tam żadnego namacalnego śladu istnienia grobowca, poza paplaniną paru starych Kafrów, którzy prawdopodobnie nienawidzą białych i kłamią celowo.

–Nie kłamalibyśmy, aby zobaczyć, jak pan kopie ziemię, lordzie Wickham. – Zareb wszedł do pokoju, wnosząc herbatę na srebrnej tacy, z Oskarem dumnie usadowionym na jego ramieniu. – My, Afrykanie, mamy za dużo szacunku dla ziemi, żeby zrobić coś takiego.

–Nie miałem na myśli ciebie, Zarebie – wyjaśnił Elliott. – **Myślałem** o tubylcach, którzy namówili lorda Stamforda do podjęcia wykopalisk w tamtym miejscu.

–Lord Stamford sam podjął decyzję – zauważył Zareb. – Jego lordowska mość nie należał do ludzi, którzy dają się przekonać do czegoś, w co sami nie wierzą.

– Wielkie przekonania biorą się z małych rzeczy – zauważył Oliwier, wchodząc z talerzem pełnym ciasteczek owsianych i sera.

Harriet, niczym królowa, siedziała uczepiona jego ramienia, rozglądając się wokół z lekką dezaprobatą wyniosłej damy.

–A na małym ogniu piecze się pyszne mięso – dodała Eunice, wsuwając się za nim do pokoju z imbirowymi herbatniczkami.

–Spełnienie marzeń czasami wymaga czasu. – Doreen, z talerzem pokrojonego ciasta, podążała za nimi ostatnia. – jeśli lady Camelia nie znalazła jeszcze tego, czego szukał jej ojciec, to mięso może się jeszcze nie upieкло.

–Cóż, teraz, kiedy Simon prawie skończył budować pompę i możemy wrócić do domu, wszystko z pewnością pójdzie dużo szybciej – rzekła Camelia z nadzieją w głosie.

– Wracamy do domu, Tisho? – zapytał ostrożnie Zareb.

Camelia uśmiechnęła się. Wiedziała, że Zareb tęskni za Afryką równie mocno jak ona.

– Wyruszamy za tydzień, Zarebie.

–Tydzień, powiadasz? – Oliwier zmarszczył czoło w zamyśleniu. – A więc zdążę sobie kupić nowe spodnie i buty.

–Ty nie jedziesz, Oliwierze – stwierdził Simon beznamiętnie.

–No, chłopcze, nie myślisz chyba, że pani Genevieve pozwoli ci jechać do dzikiej Afryki bez kogoś, kto będzie nad tobą czuwał – zauważył Oliwier. – Przez całe życie nic wyjeżdżałeś z Brytanii.

–Ty też nie – uciął Simon.

–No więc to będzie wielka przygoda dla nas obu – odparł wesoło Oliwier, zacierając gruzłowane dłonie. – Myślę, że gorące słońce dobrze zrobi moim zbolałym kościom.

–Pewnie cię usmaży jak bitki wołowe na patelni – powiedziała Eunice.

–I zrobisz się czerwony jak homar – dodała Doreen.

–Oliwierowi nic nie będzie – zapewnił Zareb. – Znajdę mu jakieś ubranie i dobry kapelusz, które go ochronią.

–Widzisz? Pan Zareb się mną zajmie i tobą z pewnością też, chłopcze, żeby ci się nie przypaliła ta twoja mleczna skóra.

–Poradzę sobie, Oliwierze. – Simonowi nie spodobało się, że Oliwier nazywa jego skórę „mleczną” w obecności Camelii. – Ty nie jedziesz.

–Myślę, że powinniśmy popłynąć którymś ze statków Jacka – ciągnął Oliwier, nie zwracając na niego uwagi. – Na pewno ma jakiś, który płynie do Afryki.

–Może nawet będzie chciał z wami pojechać – powiedziała Eunice. – Nie bałabym się tak o was wszystkich, gdybym przynajmniej wiedziała, że Jack jest przy sterze.

–Chodzi o twojego brata Jacka? – zapytała Camelia.

Elliott otworzył szeroko oczy.

–Tego, który pobił strażnika?

– Tak, ma wielką flotę ten nasz Jack – oznajmił z dumą Oliwier. – Słyszeliście na pewno o North Star Shipping?

Camelia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

–O małej firmie przewozowej, która parę lat temu przejęła Kompanię Statków Parowych Great Atlantic?

–Tak, właśnie o tej. – Oliwier cieszył się z wrażenia, jakie wywarł. – Jack jest właścicielem i do tego najlepszym żeglarzem, jakiego znajdziecie na całym Oceanie Atlantyckim i każdym innym. Jeśli on z nami popłynie, możemy być pewni, że dotrzemy do celu cali i zdrowi.

–Zawiadomię jego biuro, że chcielibyśmy zarezerwować miejsca na którymś z jego statków – postanowił Simon. – Nie jestem pewien, gdzie Jack teraz przebywa, ale przecież nie musi sterować osobiście. Jestem przekonany, że wszystkie jego załogi są znakomicie przeszkolone.

–Ale Jack nie pozwoli, żeby statek za bardzo kołysał – zauważyła Eunice – a to dobrze dla was obu, bo żaden nie spędził więcej niż godzinę na wodzie.

–Nic mi nie będzie, Eunice.

–Ani mnie – dodał Oliwier.

–Och, jasne, tak jak wtedy, kiedy popłynęliście łódką po jeziorze z Charlotte i Annabelle i dziewczyny musiały was odstawić na brzeg po półgodzinie. Rzygali jak koty, a Ollie błagał, żebym mu dała truciznę, żeby się to skończyło.

–Musiałem coś zjeść, co mi zaszkodziło – wyjaśnił Oliwier.

–Jeśli chcesz powiedzieć, że to przez moje jedzenie było ci niedobrze, to możesz sobie sam zrobić kolację – ostrzegła Eunice.

–To jezioro ci zaszkodziło – stwierdziła Doreen – z tym kiwaniem i podskakiwaniem, dziwię się, że lunch wam został w żołądku, póki nie wróciliście na suchą ziemię.

–Tak czy inaczej, zapakuję wam lekarstwa na ból brzucha – powiedziała Eunice. – Trzeba je wziąć, jak tylko źle się poczujecie, to nie wypłujecie własnych wnętrzności.

–To brzmi cudownie, Eunice – powiedziała Camelia. – Podróż do Afryki jest długa, a chociaż nigdy się tym nie przejmowałam, ocean potrafi być bardzo wzburzony.

–Świetnie, no to wszystko ustalone – uznał Oliwier z uśmiechem. – Cztery bilety do Afryki na pierwszym statku, jaki będzie gotowy do drogi.

–Ja też potrzebuję biletu.

Camelia spojrzała na Elliotta zaskoczona.

–Nie planujesz chyba jechać z nami, Elliotcie. Czyż interesy w Londynie nie są dla ciebie dużo ważniejsze?

– Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż twoje bezpieczeństwo, Camelio – oznajmił z powagą.
– Skoro postanowiłaś prowadzić dalej wykopalka, pojedę z tobą, żeby ci pomóc. Interesy będą musiały zaczekać, aż wrócę.

Simon przyglądał mu się ciekawie. Widocznie Wickham miał dość sprytu, żeby domyślić się, że kiedy Camelia znowu zacznie kopać, zupełnie o nim zapomni. Najwyraźniej to nie było po jego myśli. A jednak i tak Simon nie mógł nie podziwiać gotowości Elliotta do porzucenia rozwijającego się przedsiębiorstwa importowego, żeby udać się na wiele miesięcy do Afryki. Jego uczucia do Camelii musiały być zatem silniejsze niż troska o interesy. Albo może Elliott potajemnie żywił nadzieję, że „Grobowiec Królów” jednak istnieje i chciał być przy Camelii na wypadek, gdyby go odnalazła. Simon podejrzewał, że Elliott nie byłby zachwycony, gdyby komuś udało się wydobyć z ziemi coś, czego on przez tyle lat szukał na próżno.

Bez względu na powód, fakt, że Elliott udaje się z nimi w podróż, wprawiała Simona w lekką irytację.

– Dobrze zatem, pięć biletów. – Oliwier spojrzał na Oskara, który zeskoczył z ramienia Zareba i raczył się teraz imbirowymi ciasteczkami. – Myślę, że może lepiej Jackowi nie wspominać o zwierzętach. Może mu nie spodobać, że będą wszędzie łąziły.

– Nie musi się o nic martwić – zapewniła Camelia. – Dopilnuję, żeby Oskar, Rupert i Harriet spędzili większość podróży w mojej kajucie.

– Lepiej mu powiedzieć, jak już wejdziecie na pokład – poradziła Eunice. – Jack bardzo dba o swoje statki i może sobie nie życzyć, by małpa jadła z nim z jednego talerza albo by wąż włożył mu do garnka.

– Spokojna głowa, dziewczyno – powiedział Oliwier, nie chcąc, by Camelii zrobiło się przykro, że ktoś może nie polubić jej zwierząt. – Jack objechał świat dookoła więcej razy, niż mogę policzyć, i widział rzeczy, których nawet nie umiemy sobie wyobrazić. Nie przejmie się małą małpką, chudym wężem i ptakiem, który gubi pióra.

– No to w porządku. Napiszę do pana Trafforda, że przyjeżdżamy. Jeśli list pójdzie z dzisiejszą pocztą, dowie się o tym z parodniowym wyprzedzeniem. Ucieszy się ogromnie, że wreszcie mamy pompę do osuszenia gruntu. Maszyna nie przestraszy się kłątwy.

Oliwier zmarszczył brwi.

– Jakiej kłątwy?

– To głupstwo, Oliwierze, nie ma się czym martwić.

Oliwier uniósł pytająco brew, spoglądając na Zareba.

– Spokojna głowa, Oliwierze – powiedział Zareb, naśladując sposób mówienia Oliwiera. – Sporządzę dla ciebie potężny amulet, który odpędzi złe moce.

Oliwier wydawał się nieprzekonany.

–Może powinienes zrobić coś takiego również dla chłopaka – powiedział, wskazując Simona.

–To niepotrzebne, Zarebie. Nie wierzę w klątwy. – Simon skrzywił się, kiedy Harriet z trzepotem szarych skrzydeł wylądowała nagle na jego ramieniu.

Zareb milczał chwilę, zastanawiając się nad tym, dlaczego Harriet wybrała akurat tę chwilę, żeby się tam usadowić.

– Może nie potrzebujesz amuletu – przyznał. – Ale ja zrobię go i tak i będę nosić dla ciebie.

–Skoro o tym mowa, mógłbyś zrobić jeden i dla mnie? – zapytała Doreen. – Może trzymałby tego paskudnego węża z daleka ode mnie.

–Rupert nie jest paskudny – zaprotestowała Camelia. – On cię po prostu lubi.

–Dobrze, no to zrób amulet, żeby mnie tak bardzo nie lubił. Albo skończy na patelni.

–Sporządę amulet, który będzie go trzymał z daleka od ciebie, Doreen – oznajmił Zareb. – Ostrzegam cię jednak, że jego zapach może być dla ciebie nieprzyjemny.

Doreen wzruszyła ramionami.

–No to powieszę nad drzwiami w kuchni.

–Wybaczcie, że odejdę – odezwała się Camelia – ale muszę napisać list do pana Trafforda.

–A ja się lepiej zabiorę do pakowania lekarstw dla was – uznała Eunice. – Myślę, że syrop z bratków na przeczyszczenie kiszek bardzo się przyda. Nie wiadomo, jakie dziwne rzeczy będziecie tam jedli.

–Wolałbym, żebyś dała nam lekarstwa, które zatrzymają jedzenie w żołądku, zamiast je wyrzucać – zauważył Oliwier.

–Zapakuję oba – zgodziła się Eunice. – Na wszelki wypadek.

–Ja też mam sporo spraw do załatwienia, zanim wyruszymy – oznajmił Elliott.

– Z przyjemnością odprowadzę jego lordowską mość do drzwi – powiedział uprzejmie Oliwier.

Simon patrzył, jak mała gromadka opuszcza salon, schodząc hałaśliwie po schodach.

Potem usiadł na kanapie, wpatrując się w Oskara, który objadał się radośnie zapomnianymi herbatniczkami.

– Oddaj – powiedział Simon, wyciągając rękę, kiedy Oskar złapał łakomie ostatnie ciasteczko. – Albo powiem Eunice, że wyrzuciłeś jej dobrą halkę przez okno.

Oskar pisnął wyzywająco.

– Nie spodoba ci się, kiedy dostaniesz ściereczką do polerowania mebli – ostrzegł Simon. – Eunice używa wyjątkowo śmierdzącej pasty.

Oskar znieruchomiał, jakby coś rozważając. Niechętnie podał Simonowi herbatniczek.

– Doskonała decyzja – zapewnił Simon, podnosząc go do ust. Harriet na jego ramieniu zaskrzeczała głośno w proteście.

– Możesz dostać owsiane ciasteczko. – Sięgnął po jedno i jej podał. – Są tak samo dobre.

Harriet chwyciła ciastko dziobem i rzuciła ze złością w głąb pokoju.

– No dobrze – ustąpił w końcu. – Ale dostaniesz tylko połowę. – Przełamał herbatnik na dwie części i podał jej jedną.

Opierając się wygodnie, ugryzł swój kawałek i westchnął. Po trzydziestu pięciu latach nieruszania się dalej niż z Inverness do Londynu miał właśnie przemierzyć ocean i udać się w głąb dzikiego afrykańskiego lądu, żeby odnaleźć grobowiec, na którym ponoć ciążyła klątwa.

W tej chwili mógł się tylko modlić o dwie rzeczy.

O to, żeby pompa, którą skonstruował, rzeczywiście działała.

A także o to, żeby przeżyć tę piekielną podróż.

II

Ciemny wiatr

8

Camelia chwyciła mocno solidną metalową poręcz i wciągnęła głęboko powietrze, pozwalając, aby zimna, wilgotna bryza znad oceanu zmyła brud i zgiełk Londynu.

Minęło zaledwie parę dni z ich trzytygodniowej podróży, a ona czuła się już lepiej niż przez kilka ostatnich miesięcy. Świeżym, czystym morskim powietrzem oddychało się zupełnie inaczej niż ciężkim od dymu, smrodu końskiego gnoju i ścieków powietrzem londyńskim. Nie do wiary, że zdołała wytrzymać tam tak długo, nie zapadając na jakąś poważną chorobę płuc. Chociaż nie dotarli jeszcze do wybrzeży Maroka, czuła, jak Afryka wzywa ją poprzez atramentowy bezmiar usianych gwiazdami fal.

Wracaj do domu, Camelio, szeptały fale za każdym razem, kiedy statek rozbijał zaporę spienionej wody. Wracaj do domu. Zamknęła oczy, wychylając się nieco dalej. Czuła się wolna, pełna odwagi, nadziei.

W końcu wracała do domu.

Kiedy przed trzema miesiącami wyruszyli z Cape Town do Anglii, Zareb martwił się, że mogą już nie wrócić. Ostrzegał Camelię, że Londyn to dzikie, niebezpieczne miasto, gdzie można się zagubić i nigdy nie odnaleźć. Camelia nie przejęła się ostrzeżeniami, uznając, że stary Afrykanin boi się świata, którego nie zna – świata, w którym, jak go uprzedziła, mógł się spotkać z jeszcze większymi przesadami na tle rasowym niż w swoim kraju. Jakże miałby delikatny dumny, inteligentny człowiek jak Zareb, pochodzący z jednego z najpotężniejszych plemion w Cape, nie bać się pojechać w takie miejsce?

Zareb jednak się mylił. Camelia nie zagubiła się w Londynie – ani trochę. Wspaniałe bale i przyjęcia bladły wobec wspomnienia spokojnego piękna afrykańskiego nieba nocą. Wśród ozdobnych, wysokich gmachów, w wąskich, zatłoczonych ulicach czuła się uwięziona i pozbawiona powietrza. A niekończące się dni spędzone na pisaniu listów z prośbą o audiencję u jakiegoś potężnego inwestora czy też na nudnych wykładach czy przyjęciach w nadziei na obietnicę pieniędzy albo pompy spowodowały, że czuła się wypalona i zgnębiona, tak jakby w ogóle niczego **nie** osiągnęła. Ojciec miał rację, myślała, wychylając się mocniej za barierkę.

Była najszczęśliwsza, bawiąc się w piasku.

– Wolalbym, żebyś nie wychylała się tak mocno – odezwał się niski głos. – Nie pociąga mnie szczególnie perspektywa nocnej kąpieli.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w mroku Jacka, brata Simona. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi opierał się o maszt w pozie, jaką często przybierał Simon. Na tym podobieństwo się kończyło.

Jack Kent był wyższy od Simona o parę centymetrów, a jego przystojna twarz pokryła się brudami i zbrązowiała po latach stania na pokładzie w słońcu i wietrze, kiedy prowadził swoje statki przez ocean. Jego włosy nabrały koloru wypolerowanego drewna z pasemkami złota, szare oczy przypominały Camelii ostrze sztyletu. Był trzy lata starszy od Simona, ale obycie w świecie sprawiło, że wydawał się znacznie dojrzalszy. Jej spojrzenie padło na cienką białą bliznę, która przecinała jego lewy policzek. Przypomniała sobie, jak Simon opowiadał, że Jack miał prawie piętnaście lat, kiedy lady Redmond wyciągnęła go z więziennej celi w Inveraray.

Domyślała się, że te lata, kiedy musiał dawać sobie samodzielnie radę, były niezwykle ciężkie.

–Lubię zapach i szum oceanu – powiedziała Camelia. – Sprawia, że czuję się wolna.

–Rozumiem to doskonale. Sądzę jednak, że Simon pogniwałby się na mnie, gdybym pozwolił ci wypaść za burtę.

– Gdzie on jest?

–Na dole, w maszynowni. Próbuje udoskonalić silnik parowy tak, żeby moje statki poruszały się szybciej niż inne. Powiada, że ma pomysł, nad którym będzie pracować, jak tylko wróci z Afryki.

–A więc widocznie czuje się lepiej.

–Tak, na to wygląda. Wydaje się, że już się wychorował.

–Albo lekarstwo Eunice wreszcie go oczyściło – powiedział Oliwier, przyłączając się do nich wraz z Zarebem. – Biedny chłopak, przez chwilę myślałem, że poprosi, żeby statek zawrócił i zawiózł go z powrotem do Anglii. Bał się, że przez całą podróż będzie zielony jak żaba.

–Nie chorowałby tak bardzo, gdyby pozwolił mi przeprowadzić rytuał uzdrawiający – oznajmił Zareb. – Niestety, nie dał się przekonać.

–Powinien nadal pozostawać w kajucie – zauważyła Camelia. – Jeśli jest słaby, nie powinien jeszcze zabierać się do pracy.

–Bez pracy nie ma kołaczy – stwierdził Oliwier. – Chłopak zawsze był najszczęśliwszy, kiedy mógł się grzebać po łokcie w smarze i metalowych częściach.

Jack skinął potakująco głową.

–Pamiętam, że kiedy zamieszkaliśmy w posiadłości Haydona, Simona fascynowały wszystkie zegary. Zaczął je więc rozkładać na części jeden po drugim, żeby potem próbować je złożyć i dowiedzieć się, jak działają. Z jakiegoś powodu zostawało jednak na koniec zawsze parę części.

–Przez prawie rok zegary były gdzieś w domu przez cały dzień i noc – ciągnął Oliwier ze śmiechem. – W końcu jego lordowska mość kazał je wszystkie zapakować i wysłać do sławnego zegarmistrza w Inverness, który przez kolejny rok usiłował je naprawić!

Camelia uśmiechnęła się. Mogła sobie bez trudu wyobrazić Simona jako małego chłopca, który pracowicie rozkłada na części każdy mechanizm, który mu wpadnie w ręce.

– Czy Simon nauczył się budować zegary?

– W końcu Haydon wynajął zegarmistrza, który zamieszkał w posiadłości i uczył Simona, jak działają zegary i zegarki – powiedział Jack – Po tygodniu ów człowiek zapewnił Haydona, że Simon ma niezwykle talent w tym kierunku i powinien zastanowić się nad karierą zegarmistrza.

– Wtedy chłopak przestał już interesować się zegarami – dodał Oliwier, kręcąc głową. – Zabrał się do budowania innych maszyn, wykorzystując mechanizm zegara, tyle że większy.

– Na przykład? – zapytała Camelia.

– Pewnego dnia, kiedy Eunice i Doreen kazały jemu i Jamiemu zmywać naczynia po kolacji, Simon uznał, że byłoby lepiej, gdyby robiła to maszyna – zaczął Oliwier. – Więc wpakował talerze i szklanki do starej drewnianej rynienki z mydlaną wodą i przymocował do niej jakieś wielkie urządzenie. Kiedy Eunice i Doreen wróciły za jakiś czas do kuchni, Jamie obracał zębate koło, tak że rynienka trzęsa się wściekle, a Simon krzyczał na niego, żeby to robił szybciej.

– Gorzko się rozczarował, kiedy Eunice zaczęła wyciągać z wody kawałki porcelany i szkła – ciągnął kpiąco Jack. – Musiał potem na nowo przemyśleć swój wynalazek.

Camelia się uśmiechnęła.

– Ale nigdy nie przestał wymyślać różnych rzeczy.

– Nie mógł, miał to we krwi, tak samo jak Jack ma morze – wyjaśnił Oliwier. – Jego lordowska mość i Genevieve wynajęli dla niego najlepszych nauczycieli, jakich mogli znaleźć, i wszyscy twierdzili, że chłopiec jest nadzwyczaj zmyślny, nawet ten, który odszedł po tym, jak Simon przypadkiem wysadził w powietrze jego biurko. – Pacnął się w kolano z rozbawienia. – Osmalił biedakowi brwi, Annabelle musiała mu je namalować kawałkiem przypalonego korka. Kiedy Simon pojechał na uniwersytet, wszyscy martwiliśmy się, że wysadzi całą szkołę.

– I zrobił to? – zainteresował się Zareb.

– Tylko pracownię fizyczną. – Simon wyłonił się spod pokładu z Oskarem wygodnie uczepionym jego ramienia. – I tak wymagała nowego wyposażenia.

Zalało go delikatne księżycowe światło, kiedy podszedł bliżej. Miał na sobie zwykłą białą koszulę, ciemne spodnie i luźny surdut. Wydawał się Camelii szczuplejszy niż przedtem, a jego cera stała się jeszcze bledsza po paru dniach choroby. Poczula się winna. Zanim wsiadł na „Independence”, pracował do kresu sił nad pompą. Była przekonana, że to zmęczenie wzmogło jeszcze chorobę, na którą zapadł, ledwie statek parowy Jacka wypłynął z portu w Londynie. W Afryce powinien poczuć się lepiej, uznała, patrząc, jak Oskar z czułością grzebie Simonowi we włosach w poszukiwaniu insektów. Kiedy stanie na suchej ziemi, szybko się wzmocni w ciepłe afrykańskiego słońca.

–Jack i Oliwier opowiadali nam właśnie o twoich przygodach z dzieciństwa – wyjaśniła. – Wydaje się, że zawsze chciałeś udoskonalać różne rzeczy.

–Zawsze interesowało mnie działanie mechanizmów – odparł Simon, wyjmując łapki Oskara z włosów – Kiedy się zrozumie, jak coś działa, można próbować to udoskonalić.

–Pewnych rzeczy nie ma potrzeby poprawiać – zauważył Oliwier.

– Na przykład?

– Niebo. – Oliwier spojrział w górę. – Te wszystkie gwiazdy są tutaj od tysięcy lat i będą przez następne tysiące. Nie trzeba tu niczego poprawić, po prostu stoisz i cieszysz się nimi.

Simon podniósł głowę i zmarszczył brwi.

–Jeśli chcemy badać gwiazdy, potrzebujemy do tego sprzętu, a ten zawsze można ulepszyć. Pewnego dnia popracuję nad silniejszym teleskopem, takim, przez który planety będzie widać wyraźniej.

–Po co masz oglądać planety, skoro jest tyle gwiazd? – zapytał Oliwier ze zniecierpliwieniem. – To chyba dość dla oka.

–Chciałbym sięgnąć nawet jeszcze dalej.

–Dlaczego?

–Bo jestem ciekaw, co tam może być. Chcę poznać rzeczy, których nie można zobaczyć.

–Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że są rzeczy, które nie są przeznaczone dla oczu?

Simon wzruszył ramionami.

– Sądzę, że jeśli coś nie jest mi przeznaczone zobaczyć, to **tego** nie zobaczę.

–Zaraz będziesz chciał zajrzeć do samego nieba i usłyszysz od Boga: „No, dość tego, młody panie Kent, nie zagłądaj tam, gdzie nie powinienes”.

–Kiedy Bóg powie coś takiego, to po prostu popatrzę w drugą stronę, Oliwierze – odparł Simon. – Jest nadal mnóstwo rzeczy do odkrycia.

–Dobry wieczór wszystkim. – Elliott wyszedł na pokład. – Trochę za późno, Camelio, żeby wystawiać się na zimne nocne powietrze, nie sądzisz?

–Nic mi nie jest, Elliotcie – zapewniła Camelia. – Podziwialiśmy właśnie piękne nocne niebo.

–Jak przebiega nasz rejs, kapitanie Kent? – zapytał Elliott, nie fatygując się, żeby spojrzeć w górę. – Czy płyniemy zgodnie z planem?

– W ciągu ostatnich paru dni bardzo posunęliśmy się naprzód – powiedział Jack. – Ale zbliża się brzydka pogoda, która z pewnością nas opóźni.

– Co to znaczy zła pogoda? – parsknął Oliwier. – Niebo jest czyściutkie.

– Na południowym wschodzie widać pasmo ciemnych chmur.

–Co, tam? – mruknął Oliwier. – To tylko malutka chmurka, która zgubiła mamusię.

–Mamusia jest tuż za nią – odparł Jack, rozbawiony porównaniem Oliwiera. – Tatuś także.

– Kapitan ma rację. – Zareb zmrużył oczy, wpatrując się w dal. – Zbliża się burza. Czuję to.

–Może powinniśmy płynąć z większą prędkością – powiedziała Camelia. – Spróbować ją minąć, zanim uderzy.

–Niestety, przy naszym kursie właśnie się do niej zbliżamy – powiedział Jack. – Nie musisz się martwić, „Independence” nieraz wychodziła z gorszych oparów.

–Dla statku to może być zwyczajna rzecz, ale dla jego żołądka niekoniecznie – powiedział Oliwier, wskazując głową Simona. – Jeśli następne trzy dni spędzi znowu z głową nad wiadrem, zostanie z niego skóra i kości, zanim dotrzemy do Cape Town.

–Tak, było ciężko, co, Kent? – W głosie Elliotta brzmiał lekki ton wyższości. – Nie jesteś przyzwyczajony do podróży oceanicznych, nieprawdaż?

–Czuję się dobrze. – W gruncie rzeczy Simon czuł się jak wyżęta szmata, ale nie widział powodu, żeby mówić o tym Wickhamowi. Złościło go, że wszyscy, jak się wydawało, nic sobie nie robili z piekielnego kołysania, podczas gdy on skręcał się od wymiotów, leżąc na swojej wąskiej pryczy

–Mam nadzieję. Musisz zachować siły na Pumulani.

–Nie martw się o mnie, Wikhip powiedział Simon. – Wreszcie udało mi się przywyknąć do kołysania i przebywanie na morzu wydaje mi się całkiem przyjemne, jeśli pozwolicie, wrócę do swoich rysunków. Zobaczymy się rano. Dobranoc.

Odwrócił się i zaczął schodzić pod pokład, pogwizdując wesoło.

Nienawidził tego przekłętego oceanu.

Tylko o tym mógł myśleć, leżąc na łóżku i trzymając się materaca. Wymioty, dzięki Bogu, przestały mu tak dokuczać, ale burza, którą zapowiedział Jack, zamieniła ocean w kipiącą zupę. „Independence” podskakiwała na falach mocniej niż przedtem, powodując, że wnętrzności co chwila podchodziły Simonowi do gardła.

Jak można znosić taką torturę? – zastanawiał się z wściekłością. I jak to fizycznie możliwe, żeby potężny stalowy parowiec miotał się po wodzie tak gwałtownie jak kawałek korka?

Jeśli zdołam przeżyć tę przekłętą podróż, moja noga nigdy już nie postanie na pokładzie statku. Patrzył nieszczęśliwy, jak metalowa miska i dzban zsunęły się z umywalki i spadły z

hałasem na podłogę. Dopóki nie zbuduję statku, który nie będzie się kołysać jak dziecinną zabawka.

Przełknął ślinę i zamknął oczy, ale to tylko pogorszyło sprawę. Ponownie otworzył oczy, wpatrując się w biurko i usiłując skupić wzrok na stosie książek i rysunków, które tam zostawił. Może powinien wstać i zabrać się do pracy. To by go mogło oderwać od tego kołysania. Książki zaczęły się z wolna przesuwając z jednego końca stołu w drugi. Wpatrywał się w nie, nie mogąc zdecydować, czy gorzej na nie patrzeć i uświadamiać sobie, jak statek się trzęsie, czy też zamknąć oczy i odczuwać ten ruch. W końcu książki spadły ze stołu razem z piórem i kałamarzem. W porządku. To było gorsze.

Zamknął oczy, usiłując odciąć się od świata zewnętrznych doznań. Zastanawiał się, czy by nie wyjść na pokład, gdzie świeże powietrze i morska woda trochę by go ożywiły. Ponadto, gdyby miał wymiotować, dużo łatwiej wychylić się przez poręcz i pluć wprost do paskudnego oceanu, który kosztował go tyle bólu. Ale zwleczenie się z kołyszącego się łóżka, przejście chyboczącym się korytarzem i dalej, po rozbujanych schodach, wymagałoby większego wysiłku niż ten, na jaki był w stanie się teraz zdobyć. Tak więc po prostu leżał tam, gdzie był, trzymając się materaca i rozważając wypicie kolejnej dawki paskudnego eliksiru żołądkowego Eunice. Jeśli ocean go nie zabije, eliksir Eunice z pewnością tego dokona.

W tej chwili taka perspektywa wydawała mu się ogromnie pociągająca.

Nagle pukanie do drzwi przerwało jego ponure rozmyślenia.

– Panie Kent! To ja, Zareb, proszę, musi pan szybko przyjść!

Simon w jakiś sposób zdołał zejść z pryczy, podejść do drzwi i otworzyć je szeroko.

Zareb stał na korytarzu, patrząc na niego z przerażeniem.

– Ona umiera, panie – szepnął Zareb łamiącym się głosem. – Ciemny wiatr nadszedł, a ja nie potrafię go odesłać.

Strach zdławił w Simonie wszelką myśl o własnych dolegliwościach.

– Co to znaczy, umiera?

– Ciemny wiatr – powtórzył Zareb, tak jakby sądził, że Simon wie, o czym mowa. – W końcu ją znalazł. Próbowałem nie dopuścić, żeby ją zabrał, ale jest za silny. Chodź!

Stary Afrykanin odwrócił się i pobiegł korytarzem; wesole, barwne szaty powiewały za nim niczym pióra egzotycznego ptaka. Simon pośpieszył za nim.

Z kajuty Camelii wydobywał się gęsty gryzący dym, kiedy Zareb otworzył drzwi.

–Ogień! – ryknął Simon, wpadając do kajuty. – Camelio!

–Nie, nie, nie ogień – szybko zapewnił Zareb. – Próbuję odegrać złe duchy.

Simon zamrugał oczami w gryzącej mgle. Camelia, skulona i drżąca, w samej koszuli nocnej, leżała na podłodze, a Oskar, Harriet i Rupert tulili się do niej. Szara mgła o mdląco

słodkim zapachu unosiła się w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Wokół Camellii usypano okrąg z piasku, a przy jej głowie, ramionach i stopach ustawiono płonące pojemniczki, źródło duszącej mgły. Camelia uniosła z wysiłkiem głowę, kiedy Simon wszedł, z najwyższym trudem chwytając nocnik, podczas gdy jej ciałem wstrząsały gwałtowne torsje.

Podbiegł do niej, przyklęknął obok i odgarnawszy jej włosy do tyłu, delikatnie podtrzymał jej głowę, gdy wymiotowała.

–Spokojnie, Camelio. – Mówił niskim napiętym głosem, usiłując udawać spokój, którego wcale nie odczuwał. Kiedy spazmy wreszcie ustały, utulił ją w ramionach, przerażony śmiertelną bledością jej skóry.

–Umieram – jęknęła Camelia ledwie słyszalnie.

–Nie, nieprawda – odparł stanowczym tonem Simon. – Jeśli ja mam przeżyć tę straszną podróż, to ty także, Camelio. – Zaczął podnosić ją w ramionach.

–Trzeba ją tam zostawić! – zaprotestował Zareb. – Musi mieć ochronę przed klątwą!

–Musi leżeć we własnym łóżku – powiedział Simon, delikatnie układając Camelię na pryczy

–Ale łóżko jest przymocowane do podłogi, nie mogę usypać wokół ochronnego okręgu, kiedy na nim leży!

–Twój okrąg nie działa, Zarebie – stwierdził Simon, przykrywając Camelię kocem. – Tylko spojrz, zmarzła na kość na podłodze!

–Gdzie się pali, chłopcze? – Oliwier wpadł do kabiny, machając rękami i kaszląc. – Święta Columbo, co to za smród?

–Odganiam złe duchy – Zareb przysunął naczynka z płonącymi ziołami bliżej Camellii.

–Chyba raczej przeganiaasz resztki świeżego powietrza – zauważył Oliwier.

–Camelio! – Elliott wpadł do kajuty, patrząc ze zgrozą na bladą, zgnębiającą Camelię, leżącą na łóżku. – Na Boga, Zarebie – wykrztusił, dusząc się od dymu – coś ty jej zrobił?

–To złe duchy. – Zareb, ze zbolałą twarzą, przysuwał pojemniczki do łóżka Camellii. – Poszły za nią przez ocean, a teraz chcą ją zabrać.

–O czym ty, do diabła, mówisz? – Przeważony Elliott patrzył, jak Camelia odwraca głowę i wymiotuje do nocnika, który podał jej Simon. Twarz mu zbieleła. – Słodki Jezu, co się z nią dzieje?

–To klątwa – upierał się Zareb, bliski łez. – Ciemny wiatr ją odnalazł.

–Co tu się, do diabła, dzieje? – zapytał Jack, ukazując się w drzwiach. Miał na sobie tylko spodnie. – Wybuchł pożar?

–Potrzebujemy doktora! – oznajmił Elliott. – Natychmiast!

–Nie ma doktora na pokładzie. – Jack podszedł do Camellii.

–To straszne, jak na statku może nie być medyka?

–Jak długo jest w takim stanie? – zwrócił się Jack do Simona, nie przejmując się Elliottem. Patrzył na drżące białe wargi Camellii i jej kredową cerę.

–Nie wiem, właśnie przyszedłem i tak ją znalazłem. – Simon wziął ściereczkę z umywalki i delikatnie otarł Camellii usta. – Wiesz, co jej jest? – zapytał brata napiętym głosem.

–Prawdopodobnie zaraziła się jakąś chorobą od któregoś z tych wstrętnych, brudnych zwierząt. – Elliott łypnął z wściekłością na Oskara, Harriet i Ruperta. – Może ten przekłęty wąż ją ukąsił, mówiłem jej, że nie powinna go zabierać!

Rupert uniósł się nieco, wysuwając ostrzegawczo język w kierunku Elliotta.

–Złe moce nie posługują się zwierzętami – odparł Zareb, stawiając przy łóżku Camellii kolejne płonące naczynie. – Potrafią same wejść w ciało.

–Wezmę to, Zarebie. – Jack wziął do rąk naczynie, otworzył okno i cisnął je w spieniony ocean. – Oliwier, możesz mi przynieść te pozostałe garnuszki?

–Nie, kapitanie! – Zareb chwycił obronnym gestem dwa naczynia. – Musimy zwalczyć zło, które jest w tej kajucie!

–Jedynie zło w tej kajucie to smród i dym – stwierdził Jack, wyrzucając za okno pojemnik – Ledwie oddycham, a nie jestem chory, nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jaki wpływ ma to trujące powietrze na lady Camellię. – Wyrzucił kolejne naczynie.

–Walczymy z ciemnymi mocami, których nie rozumiesz – sprzeciwił się Zareb. – Klątwa Pumulani jest bardzo silna!

–Może nie wiem zbyt wiele o ciemnych mocach, ale potrafię rozpoznać paskudny przypadek morskiej choroby – odparował Jack, biorąc naczynko od Oliwiera i ciskając je we wzburzony ocean w ślad za innymi. – I wiem, że nie pomagasz jej, zmuszając do wdychania tego paskudnego dymu, podczas gdy jej ciało musi się oczyścić!

Simon spojrzał na niego zaskoczony.

–Choroba morska?

–Niemożliwe. – Zareb energicznie pokręcił głową. – Tisha nigdy nie zapadała na chorobę morską.

–A więc przypuszczam, że dla każdego jest kiedyś ten pierwszy raz – stwierdził Jack.

Oliwier podrapał się w głowę w zamyśleniu.

–Jak dziewczyna może teraz chorować, skoro przez ostatnie trzy dni czuła się dobrze?

–Morze bardzo się wzburzyło w ciągu ostatnich czterech godzin. Nie zauważyłeś, jak statek się kołysze?

–Myślałem, że zawsze tak jest – odparł Simon nieśmiało.

–Myślałem, że to ta kropelka whisky, którą wypilem po kolacji – powiedział Oliwier.

– Na twoim miejscu nie piłbym więcej, Oliwierze, to tylko pogorszy odczucie kołysania – poradził Jack wręczając Oliwierowi nocnik. – Czy możesz go wypłukać i kazać Willowi, chłopcu pokładowemu, żeby mi przyniósł dwa czyste wiadra, czyste ręczniki, dzban wody do picia, łyżkę i jeszcze dwa koce? Zarebie, będziesz musiał czuwać przy swojej pani całą noc i uważnie ją obserwować. Pewnie będzie nadal wymiotować, póki nie osłabnie tak, że zapadnie w sen. Spróbuj podawać jej po parę kropli wody na łyżce po jednym łyku co jakieś dziesięć minut, bo inaczej wszystko zwróci. Jeśli poczuje się jeszcze gorzej albo dostanie gorączki, wezwij mnie natychmiast. Zrozumiałeś?

Zareb skinął powoli głową, usiłując skupić się na twarzy Jacka, podczas gdy kajuta trzęsła się na wszystkie strony.

A potem nagle przycisnął dłoń do ust i wybiegł z pokoju, nie chcąc pochorować się przy wszystkich.

– Tylko sprawdzę, czy z nim wszystko w porządku – powiedział Oliwier, którym znieenacka również zawładnęło pragnienie wyjścia na pokład. – Nie sądzę, żeby pan Zareb przydał się dziewczynie dziś w nocy.

Jack westchnął i spojrzał wyczekująco na Elliotta i Simona.

–Zaopiekuję się nią – powiedział Simon.

–Nie, ja się nią zaopiekuję – odezwał się z naciskiem Elliott. – Znam Camelię od lat, jestem jej znacznie bliższy niż ty, Kent.

–Dobrze – powiedział Jack. – Jak mówiłem, Wickham, ważne, żeby piła trochę wody, ale powoli. Kiedy torsje miną, możesz spróbować podać jej odrobinę imbirowej herbaty. Jutro, jeśli Camelia będzie się czuła na tyle dobrze, żeby usiąść, może zjeść zwykłego, połamanego na drobne kawałki herbatnika, a jeśli wszystko będzie dobrze, słuchasz mnie, Wickham?

–Oczywiście, że słucham – zapewnił Elliott, starając się ze wszystkich sił skupić spojrzenie na kapitanie, podczas gdy kajuta przechylała się w przód i w tył. Wbił stopy w podłogę, usiłując zachować równowagę. – Mówiłeś o herbatnikach imbirowych i... – Wyciągnął rękę, chwytając się ściany.

–Dobrze się czujesz, Wickhip? – Simon zmarszczył brwi. – Jesteś strasznie blady...

–Czuję się świetnie – odparł Elliott, przełykając ślinę. – A więc mam jej dać herbatniki, herbatę i... – Przerwał z wyrazem przerażenia na twarzy.

Potem wypadł z kabiny, wymiotując na korytarzu.

– A niech to. – Jack odwrócił się, żeby popatrzeć na Simona.

– Dobrze się czujesz, czy też zaraz pobiegiesz?

–Czuję się na tyle dobrze, żeby się nią zająć – zapewnił Simon.

–Dobrze. Najważniejsze to dbać, żeby było jej ciepło i wygodnie, i próbować podawać jej wodę. Powietrze tutaj jest teraz trochę chłodniejsze i czystsze, ale sądzę, że trzeba zabrać zwierzęta, żeby miała spokój. Umieszczę je w twojej kajucie. – Zerknął podejrzliwie na Ruperta.
– Węza sam podnieś, ja wezmę dwa pozostałe.

Harriet sfrunęła Simonowi na ramię, skrzecząc głośno, kiedy Jack się do niej zbliżył. Jack odwrócił się do Oskara, który wspiał się na Simona i usadowił na jego głowie. Rupert pozostał na miejscu, wyginając się w łuk, gotów do ataku.

Simon skrzywił się, kiedy Oskar wczepił się w jego włosy.

–Może zwierzęta powinny po prostu pozostać tu, gdzie są.

Jack spojrział na brata ciekawie.

–Nie wiedziałem, że tak lubisz zwierzęta.

–Nie lubię – oznajmił Simon, próbując powstrzymać Harriet przed wbijaniem pazurów w jego ramię. – Ale z jakiegoś dziwnego powodu one wydają się tego nie wyczuwać.

–Tu są rzeczy, o które pan prosił, kapitanie. – Około dwunastoletni, zaspany chłopiec wszedł do kajuty, uginając się pod ciężarem koców, ręczników, wiader i wody. – Ten lord Wickham nie wygląda za dobrze, widziałem, jak chciał wrócić do swojej kabiny i był zielony, rany, tu jest wąż!

–Zgadza się, Will – powiedział Jack. – Ten wąż należy do lady Camelii. Możesz położyć rzeczy koło stołu.

–Czy on gryzie? – zapytał Will podejrzliwie, nie ruszając się.

–Nie widziałem, żeby się na kogoś rzucał. – Dając sobie spokój z Harriet, Simon usiłował teraz wyplątać upartego Oskara z włosów. – A nawet, jakby kogoś ukąsił, jego jad nie jest trujący dla ludzi.

–Dlaczego jaśnie pani nie trzyma go w klatce? – zapytał Will, odsuwając się od Ruperta i idąc krok za krokiem w stronę stołu.

–Lady Camelia nie wierzy w klatki.

–Godna podziwu filozofia – powiedział Jack. – Sam niezbyt je lubię. Chodź, Will, zobaczmy, co się dzieje na pokładzie. Jeśli sztorm przybierze na sile, będziemy mieli poważniejsze zmartwienia niż paru chorych pasażerów.

–Co masz na myśli, mówiąc: „przybierze na sile”? – zapytał Simon, chwytając dzban z wodą, który właśnie się przewracał. – Czy już nie jest silny?

– Co, to? To nic. Poczekaj, aż statek zacznie się przechylać tak, jakby miał zrobić koziołka, wtedy dopiero poczujesz, że żyjesz!

Simon przycisnął ociekający wodą dzban do piersi i jęknął.

–Czy Amelia wie o twoim dziwactwie, jeśli chodzi o morze? – zapytał, wymieniając imię żony Jacka.

–Amelia wie o mnie wszystko. I z jakiegoś powodu, którego nie potrafię się domyślić, kocha mnie. – Jack uśmiechnął się do brata, który w tej chwili, z ptakiem na ramieniu, małpą na głowie i wężem pelzającym u stóp, wyglądał wyjątkowo śmiesznie. – Co każe mi wierzyć, że jest nadzieja dla nas wszystkich, nędznych złodziei, Simonie. – Spojrzał na leżącą nieruchomo na łóżku Camelię. – Wymioty, zdaje się, przestały ją męczyć, to dobrze. Nie dawaj jej na razie wody, dopilnuj tylko, żeby było jej ciepło. Wróć niedługo, żeby sprawdzić, jak się miewa. – Wyszedł wraz z Willem, zamykając drzwi kajuty.

Simon stał na środku, patrząc, jak kufry Camelii i krzesło od biureczka ślizgają się po podłodze. Rupert pospiesznie usunął im się z drogi, a Oskar skoczył na przymocowane do podłogi biurko. Harriet zatrzepotała skrzydłami i wzmocniła uchwyt na ramieniu Simona.

– Patrzcie na to, jak na przygodę – poradził im, łapiąc zabłąkane krzesło. – Coś, o czym będziecie mogli opowiedzieć innym małpom, ptakom i wężom, kiedy wrócicie do domu.

Oskar skrzywił się, potrząsając gwałtownie głową.

– Pewnie masz rację, nie uwierzą. Wiem, że ja bym nie uwierzył, gdyby ktoś próbował mi to opisać. – Ustawił krzesło obok łóżka Camelii i usiadł na nim. Nalał wody z dzbana do miski, zwilżył ściereczkę i zaczął delikatnie przemywać twarz dziewczyny.

Jej skóra miała barwę popiołu, a pod oczami utworzyły się ciemne kręgi. Zmarszczyła czoło, napinając wargi, jakby wciąż zmagala się z mdłościami. Wrzucił szmatkę do miski i położył jej dłoń na czole, chcąc sprawdzić, czy nie ma gorączki. Skórę miała chłodną. Pamiętając, że Jack zalecał, aby zapewnić jej ciepło, podniósł się, żeby przynieść koce, które młody Will bezceremonialnie rzucił na podłogę.

Wrócił do Camelii, napotykając jej wzrok.

– Odszedłeś – wyszeptała.

Mówiła z wysiłkiem.

–Tylko na chwilę. Wstałem, żeby przynieść koce. – Przykrył ją starannie.

–Umieram, Simonie – szepnęła. – Tak mi przykro.

–Nie umierasz, Camelio. Chociaż jako osoba już doświadczona w tym względzie, zdaję sobie sprawę, że w tej chwili to dla ciebie żadna pociecha.

Ściągnęła brwi, usiłując zrozumieć sens jego słów.

–Nie umieram?

-Nie.

-Zareb powiedział, że wieje ciemny wiatr.

-Myślałem, że nie wierzysz w klątwy. – W jego głosie brzmiała lekka kpina, kiedy usiadł obok niej i zaczął poprawiać pościel.

-Nie wierzę. – Patrzyła na niego z rozpaczą. – Ale czuję się tak, jakbym miała umrzeć.

Simon przesunął czule palcami po chłodnym jedwabiu jej policzka.

-Jest ciemno, Camelio, i wieje wiatr. Ten wiatr wzburzył ocean i dlatego statek podskakuje jak piłka. Jeśli sądzisz, że jesteś chora, to powinnaś zobaczyć nieszczęsnego Wickhama – zażartował z uśmiechem. – Teraz właśnie przechyla się zapewne przez poręcz, zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej skoczyć, kładąc kres swoim mękom.

-A Zareb?

-Niestety też jest chory. Przypuszczam, że Oliwier stoi obok niego.

-To moja wina – powiedziała zgnębiona.

-Nie sądzę, żebyś ponosiła odpowiedzialność za pogodę, Camelio.

-Są tutaj z mojego powodu.

-Wszyscy jesteśmy tutaj z własnego wyboru – stwierdził Simon. – To pewna różnica.

Zamknęła oczy, zbyt zmęczona, żeby się z nim spierać.

Siedział obok niej długo, patrząc na błądzenie jej pięknej twarzy, podczas gdy kajuta wznosiła się i opadała, a kufry sunęły po podłodze tam i z powrotem. Wydawała się taka mała i krucha, leżąc na łóżku, co nie pasowało do młodej, zdecydowanej kobiety, która wkroczyła niezapowiedziana do jego pracowni, nalegając, żeby zbudował dla niej maszynę parową. Przemierzyła tenże ocean, żeby wkroczyć w jego życie. Teraz wracała wreszcie do swojej ukochanej krainy. Żaden ciemny wiatr, klątwa czy groźba śmierci nie mogłyby jej powstrzymać przed powrotem do domu, do Afryki. Wróci do swoich wykopalisk, osuszy je i znowu zacznie kopać, aż znajdzie starożytny grobowiec, o którym marzył jej ojciec, albo umrze w trakcie poszukiwań. Jeśli było coś, co rozumiał, jeśli chodzi o Camelię, to jej upór, żeby nigdy się nie poddawać. Miała serce wojownika.

Jej oddech pogłębił się nieznacznie, czoło wygładziło, mdłości wreszcie ustąpiły. Simon uznał, że można by dać jej trochę imbirowej herbaty, o której wspominał Jack. Kiedy Camelia się obudzi, zachęci ją do wypicia paru łyków. Przyniesie jej także herbatniki, na wypadek, gdyby obudziła się głodna. Wstał i zaczął poprawiać koce, tak żeby nie zmarzła, kiedy wyjdzie.

-Nie zostawiaj mnie – szepnęła ledwie słyszalnym poprzez huk fal głosem.

-Nie zostawiam cię. – Odsunął jej kosmyk z czoła. – Przyniosę ci tylko herbatę.

Zmarszczyła czoło, sięgając po jego rękę, ściskając ją lekko palcami.

– Nie zostawiaj mnie – powtórzyła, tym razem wolniej, jakby starała się, aby coś zrozumiał.
– Proszę.

Widział bladość jej szczupłych palców na własnej dłoni. Rękę miała małą i miękką jak aksamitny płatek kwiatu. Pamiętał dotyk tej dłoni, kiedy go pieściła, dotykała, aż myślał, że od tego oszaleje. Czuł się tak, jakby się w niej zatracił tamtej nocy, jakby oddał jakąś głęboko ukrytą, tajemną część samego siebie, której już nigdy nie odzyska, choćby nie wiadomo jak próbował. Usiłował to zrobić w ciągu następnych paru tygodni. Starał się jej unikać, skupił się wyłącznie na pracy, na przygotowaniach do podróży, a przez parę ostatnich dni po prostu na tym, żeby przeżyć koszmarną podróż morską.

Teraz jednak, kiedy trzymał jej dłoń, stwierdził, że zagubił się raz jeszcze. Nie zostawiaj mnie. Miała na myśli tylko tę chwilę, kiedy leżała chora, bezbronna, przerażona. Jednak te słowa w jakiś sposób przeniknęły w głąb jego duszy, przywiązując go do niej. Skradła jakąś jego część. Teraz to rozumiał. Nie chciała tego, ale to nie miało znaczenia. Zabrała kawałek jego serca i duszy, a kiedy on w końcu opuści Afrykę i wróci do domu, ona nadal zachowa tę część przy sobie.

Wiedział, że nigdy jej nie przekona, żeby wróciła z nim do Londynu. Miejsce Camellii było w Afryce – z jej skąpanymi w słońcu górami, dzikimi zwierzętami, tajemniczymi kawałkami kości i muszelek. Banalne życie u boku roztargnionego byłego złodzieja w ciasnym miejskim domu przy deszczowej, brudnej od sadzy ulicy w Londynie nie mogło się z tym równać.

A Simonowi, inaczej niż Elliottowi, na tyle zależało na Camellii, żeby nie namawiać jej do życia, w którym nigdy nie byłaby szczęśliwa.

–Nie opuszczę cię, Camelio – szepnął, siadając ponownie na krześle.

Ścisnęła lekko jego rękę, westchnęła i odwróciła głowę, zapadając wreszcie w sen.

A Simon siedział, patrząc na nią, trzymając ją za rękę, strzegąc ją przed ciemnym wiatrem, i czuł, jak serce mu pęka.

9

–**Bierzesz** zołądek, myjesz go z krwi, potem moczysz dziesięć godzin w zimnej, osolonej wodzie. Dzięki temu flaki robią się miękkie i słone.

Zareb się stropił.

– Flaki?

– Owce flaki – wyjaśnił Oliwier, wrzucając do wiadra z wodą surowy żołądek. – Serce, wątroba, płuca i tchawica.

Zareb spojrział z powątpiewaniem.

– Tchawica?

– Bardziej dla pikanterii niż smaku. – Oliwier płukał wesoło żołądek w krwawej wodzie, jakby prał parę pończoch. – Lubię haggis na ostro, z pieprzem i wszystkim.

– Po prostu wkładasz flaki i dodajesz przyprawy?

– Najpierw się je gotuje, aż zmiękną – tłumaczył Oliwier. – Potem się je drobno kroci, nie za drobno, rozumiesz, to nie pudding. Potem się je miesza z podpieczonymi płatkami owsianymi, filiżanką tłuszczu, poszatkowaną cebulą i przyprawami, wkłada się to wszystko do żołądka i zaszywa.

– A potem je się żołądek na surowo? – Zareb nie wydawał się zachwycony

– Gotuje się go – odparł Oliwier. – Trzy godziny we wrzącej wodzie na małym ogniu. Potem podaje na gorąco z mnóstwem whisky i tłuczonymi ziemniakami. – Wyciągnął lśniący żołądek z krwawej wody i wrzucił go do miski z zimną, słoną wodą. – Powiadam ci, nie ma to jak wielki talerz haggis, żeby ci się aż zjeżyły włosy na piersi!

Zareb otworzył szeroko oczy.

– Tishy wyrosną od tego włosy na piersi?

– To tylko takie wyrażenie – zapewnił Oliwier, wycierając ręce ścierką. – Żadna dziewczyna w Szkocji nie ma włosów na piersi, a jedzą haggis, odkąd są w stanie utrzymać łyżkę.

– Nie wierz mu, Zarebie – ostrzegł Simon, który siedział pochylony nad skrzynką, służącą mu za biurko. – To niemożliwe, żeby Oliwier widział piersi wszystkich dziewcząt w Szkocji.

– No, dosyć tego gadania – burknął Oliwier.

– Hotentoci jedzą owce mięso, kiedy zwierzę zostanie zabite zgodnie z rytuałem – zauważył Zareb, zupełnie nieprzekonany do zalet haggisu. – Trzymamy owce i krowy głównie dla mleka.

– No to jakie mięso jadacie? – zapytał ciekawie Oliwier.

– Wszystko, co upolujemy. Zebry, nosorożce, antylopy, bawoły. Jemy także niektóre owady. Musisz ich spróbować, są bardzo smaczne.

Oliwier zmarszczył brwi.

– Jakie owady?

– Rozmaite. Termity, szarańczę, suszone gąsienice z drzewa Mopani. Jest wiele bardzo smacznym. Dobrze robią na trawienie.

–Nie jestem pewien, czy mam dość odwagi, żeby ich spróbować! – zachichotał Oliwier, wylewając wodę z krwią za burtę.

–W obozie w Pumulani przygotuję z nich dla ciebie danie – powiedział Zareb. – Są dobre. Zobaczysz.

–Co takiego zobaczysz? – zapytała Camelia, wchodząc na pokład wraz z Oskarem.

–Zareb usiłuje przekonać Oliwiera, że powinien jeść robaki, kiedy będzie w Afryce – wyjaśnił Simon, podnosząc się od prowizorycznego biurka.

Minęły dwa tygodnie od tej okropnej nocy, kiedy zachorowała. Wolno dochodziła do siebie. Simon opiekował się nią jakieś cztery dni, podczas gdy Zareb, Oliwier i Elliott leżeli bezradni w swoich kajutach. Simon trwał przy niej, poił ją wodą, karmił herbatnikami, chlebem i podsuwał nocnik, kiedy jej ciało odrzucało tę odrobinę pożywienia, które przyjmowała.

Jack zapewniał, że Camelia nie choruje dłużej niż inni, ale Simon i tak bardzo się martwił. Kiedy zaglądał do Zareba, przynosząc mu wodę do picia i herbatniki, stary Afrykanin twierdził, że to klątwa sprowadziła chorobę na nich wszystkich i że musi zapalić więcej lampek w kabinie Camelii, żeby ją chronić. Simon przekonywał go, że klątwa nie ma nic do tego, ale bezskutecznie. Zareb pouczył Simona, żeby wysmarował brzuch Camelii *buchu*, wonną afrykańską rośliną, i był bardzo rozczerowany, kiedy Simon odmówił.

Po czterech dniach najgorsze minęło, ale choroba nie przeszła bez śladu. Podczas gdy mężczyźni wydawali się odzyskiwać siły w ciągu paru dni, Camelia pozostała znacznie osłabiona. Fioletowe półksiężycy pod jej oczami nie bladły a skóra straciła promienny blask. Ciągle marzła i owijała się szalem, nawet kiedy słońce świeciło jasno. Ubranie wisiało luźno na jej szczupłym ciele i chociaż ciągle mówiła o wykopaliskach i planach dotyczących tego, co zrobi po powrocie do Afryki, Simon bał się, że w obecnym stanie trudno jej będzie sprostać fizycznie pracom badawczym.

–Jak się czujesz, Tisho? – Zareb zmarszczył czoło, patrząc na nią z troską.

–Dobrze, Zarebie – zapewniła Camelia. – Dzisiaj czuję się dużo lepiej.

–Robię coś specjalnego dla ciebie, od czego nabierzesz trochę ciała i zjeżą ci się włosy na piersi. To tylko takie gadanie, oczywiście. – Oliwier rzucił Simonowi ostrzegawcze spojrzenie.

–Co takiego?

–Pyszne, korzenne haggis – oznajmił z dumą. – Właśnie namaczam żołądek. Wieczorem będzie wypchany, ugotowany i gotowy do jedzenia.

Camelia spojrzała niepewnie na podskakujący w misce z wodą żółtawy żołądek.

–Nie sądzę, żebym kiedyś jadła haggis.

–To tchawica i płuca. – Zareb ostrzegł ją wzrokiem. – Posiekane razem ze zwierzęcym tłuszczem.

–Brzmi gorzej, niż smakuje – powiedział Simon, bojąc się, że Camelia poczuje mdłości na widok żołądka. – Ale nie musisz tego jeść, jeśli nie chcesz.

– Dlaczego miałaby nie chcieć tego jeść? – zdumiał się Oliwier. – Żadna dziewczyna, która przywykła do jedzenia owadów i robali, nie przestraszy się odrobiny dobrego, szkockiego haggis.

– Otóż nigdy nie jadłam żadnych insektów – wyjaśniła Camelia. – A choć nie wątpię w doskonałość twojego haggis, nie jestem jeszcze dostatecznie głodna.

– Poczekaj, aż zobaczysz je na talerzu z kopą ugniecionych ziemniaków z masłem. Pomyślisz, że umarłaś i trafiłaś do nieba.

– Albo będziesz chciała, żeby tak było – odezwał się Simon.

Camelia spojrzała na pobłyskujący surowy żołądek i przełknęła ślinę, walcząc z mdłościami.

–Czy je się cały żołądek, czy tylko to, co w środku?

– Nie martw się, Camelio. Jeśli nie będziesz miała ochoty, to z pewnością Simon, Oliwier i ja szybko damy sobie z nim radę – powiedział Jack, dołączając do nich. – Jako dzieci uwielbialiśmy haggis, który robiła Eunice.

–Tak, a kiedy pani Genevieve ich wzięła, trudno było o większych chudzielców – dodał Oliwier. – Brudni, na pół zagłodzeni i tacy chudzi, że można by pomyśleć, że lada wiaterek ich porwie. Daliśmy im haggis, ziemniaki, hotchpotch i pudding, i proszę, jacy duzi i silni urosli!

–Choćby nie wiadomo, ile Doreen i Eunice położyły Simonowi na talerzu, on zawsze chciał więcej. – Jack zerknął z rozbawieniem na młodszego brata. – Dziesięć minut po śniadaniu domagał się lunchu, a zaraz po lunchu pytał Eunice, czy to nie pora na podwieczorek. A podczas podwieczorku zawsze usiłował wymienić coś z jednym z nas na herbatnika czy pączka.

–Ja i Eunice nie mogliśmy uwierzyć, że taki mały szkrab może tyle jeść, więc myśleliśmy, że chowa jedzenie w serwetkę na później – dodał Oliwier. – Jego siostry, Annabelle, Grace i Charlotte, robiły to, kiedy do nas przyszły, bo nie wierzyły, że za parę godzin pojawi się na stole kolejny posiłek. Ale za każdym razem, jak sprawdzaliśmy, Simon miał czystą serwetkę. Więc Doreen pomyślała, że może chowa jedzenie gdzieś w domu, ale nigdy nie znalazła nawet okrucha. Uznaliśmy w końcu, że chłopak ma żołądek bez dna i nie da się go zapełnić! – Oliwier klepnął się ze śmiechem w kolano.

Camelia widziała, jak Simon uśmiecha się, kiedy Oliwier i Jack opowiadali jego historię. Był ubrany, jak zwykle, w ciemne spodnie i pogniecioną białą koszulę, z rękawami zawiniętymi niedbale do łokci i guzikiem rozpiętym pod szyją. Ten strój wydawał się jak najbardziej odpowiedni na zalanym słońcem pokładzie statku, chociaż kłócił się z ogólnie przyjętym wyobrażeniem o tym, w jakim ubraniu dżentelmen powinien się pokazywać publicznie. Oceaniczna bryza rozwiewała jego złotorude włosy, które znacznie pojaśniały w trakcie podróży; cera nabrała także śniadego, zdrowego odcienia. Wydawał się czuć całkowicie swobodnie – z rysunkami na skrzyni, w otoczeniu morza, słońca, świeżego powietrza, przy bracie i starym przyjaciolem, którzy żartowali z jego młodości.

Bała się o niego przez pierwsze dni podróży, kiedy był zbyt chory, żeby wychodzić z kajuty. Jednak nie tylko doszedł do siebie, ale robił wrażenie dużo silniejszego i bardziej ożywionego niż przedtem.

W Londynie Simon spędzał dni głównie w czterech ścianach, zagrzebany pod stosami książek, papierów i wynalazków. Kiedy nad czymś pracował, tracił poczucie czasu, tak jak wtedy, gdy wkroczyła do jego pracowni. Dopóki nie zamieszkali z nim Eunice, Doreen i Oliwier, Camelia podejrzewała, że wielokrotnie zapominał o posiłkach. Teraz jednak wydawał się cudownie silny, przystojny i pełen spokojnego zadowolenia ze świata.

– Świeże powietrze ci służy – zauważyła, podchodząc bliżej.

–Teraz tak, kiedy morze się uspokoiło. – Simon podniósł rysunki ze skrzyni i wskazał na nią dłonią. – Usiądziesz?

–Dziękuję. – Owinęła się ciasniej szalem, siadając i wpatrując się w bezkres lśniących wód oceanu. – Jest pięknie, prawda?

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Tak.

– Sądzę, że dopływamy do wybrzeża – powiedziała Camelia, wystawiając twarz do słońca.

– Skąd wiesz?

–Czuję to. Wiem, że to niezbyt naukowe wyjaśnienie, ale jedyne, jakie mam.

–U początków wielu odkryć naukowych leży niewiele więcej niż przeczucie – zapewnił Simon. – Czasami ufać możemy tylko intuicji. Co czujesz, Camelio?

Zamknęła oczy, chłonąc kojące ciepło słońca, zapach morza, delikatne kołysanie statku, który wiozł ją coraz bliżej domu.

–Jest mi cieplej – zaczęła, ciesząc się gorącymi promieniami. – A powietrze jest słodsze, nie takie słone i rzeźkie jak na środku oceanu. Ale przede wszystkim moje serce uderza wolniej. Czuję spokój, jakiego doznaję tylko w Afryce. To tak, jakby w domu nie mogło mnie spotkać nic złego. – Otworzyła oczy, napotykać wzrok Simona.

–Ciemny wiatr wciąż wieje, Tisho – powiedział Zareb z powagą. – Wiem to.

–Wydaje się, że zawsze wieje ciemny wiatr. – Camelia jeszcze mocniej opatulila się szalem i zapatrzyła w horyzont. – Jeśli nadal będzie wiał, kiedy wrócimy do Pumulani, po prostu dam sobie z nim radę, Zarebie, tak jak zawsze.

– Obawiam się, że tym razem może być inaczej, Camelio – stwierdził Elliott, wkraczając na pokład.

W przeciwieństwie do Simona, Elliott postawił sobie za punkt honoru przestrzeganie wymogów mody w każdym momencie podróży. Tego ranka wybrał czarne, świetnie skrojone spodnie, kamizelkę w żółte i kremowe pasy oraz żakiet w kolorze grafitowym, uszyty przez

znakomitego krawca. Jak przystało na prawdziwego dżentelmena włożył także białe rękawiczki i czarny, okrągły, filcowy kapelusz.

–Po tych wszystkich wypadkach, do jakich doszło na terenie wykopalisk – ciągnął – kiedy przyjedziemy, może się okazać, że na miejscu nie ma już żadnego tubylca.

–Wielu ludzi zostało przy mnie, ponieważ kochali i szanowali mojego ojca, Elliotcie – powiedziała Camelia. – Nie sądzę, żeby było łatwo ich przestraszyć.

–Nie, łatwo nie. Ale jeśli wypadki będą się powtarzać...

–Jeśli wypadki będą się powtarzać i wszyscy odejdą, to będę kontynuować wykopaliska sama – oświadczyła z uporem. – Wiesz równie dobrze, jak ja, że mój ojciec uważał, że nie odkryje się niczego, jeśli nie włoży się w to serca, Elliotcie. Moje serce jest w Pumulani.

–Dzielne serce zawojuje cały świat – stwierdził Oliwier z przekonaniem. – Może i jestem stary, dziewczyno, ale zawsze mogę wziąć łopatę i kilof do ręki, jeśli tylko zechcesz.

–Dziękuję, Oliwierze. – Camelia uśmiechnęła się do niego ciepło. – Chociaż nie sądzę, żeby do tego doszło. Nie wszyscy robotnicy boją się klątwy.

–A może zrobisz dla każdego z robotników specjalny amulet? – zwrócił się Oliwier do Zareba. – Te, które zrobiłeś dla mnie i dla naszego chłopaka, wydają się dobrze działać.

–Nie działał tak, kiedy zachorowałem – zauważył Simon.

Oliwier zmarszczył czoło.

–Nie umarłeś, co?

–Nie.

–No to na co narzekasz?

–Wolałbym w ogóle nie chorować.

–No to powinieneś zostać w domu – stwierdził rozbawiony Jack. – Choroba morska ściśle wiąże się z podróżami statkiem, Simonie, przynajmniej dopóki się nie przyzwyczaisz.

–Nie wszyscy robotnicy są Hotentotami, pochodzą z różnych plemion – wyjaśnił Zareb. – Wszyscy mają swoje sposoby walki z ciemnymi mocami i wolą robić własne amulety.

Oliwier podrapał się w głowę.

–Cóż, to się trzyma kupy W Szkocji można spotkać z dziesięć sposobów na odegnanie złych czarów.

–Popatrzcie! – Camelia podbiegła do poręczy z sercem bijącym z podniecenia. – Ziemia!

–Jesteś pewna, dziewczyno? – Oliwier wyteżył wzrok, wpatrując się w horyzont. – Nic nie widzę.

–Tak, jestem pewna – upierała się Camelia. – Trudno ją zobaczyć, to tylko cienka szara kreska na skraju oceanu, ale to ziemia, na pewno! – Odwróciła się do Jacka niemal z błagalnym wyrazem twarzy – Prawda?

Jack się uśmiechnął.

– Tak jest. Zbliżyliśmy się do wybrzeża. Według moich obliczeń za parę godzin powinniśmy zawinąć do Cape Town, jeśli morze pozostanie spokojne i wiatr się nie zmieni.

Simon patrzył oczarowany, jak na twarzy Camelii zajaśniała czysta radość, niczym światło słońca. Skupiła ponownie wzrok na wąskim, ledwie widocznym paśmie lądu. Szal, którym otulała się ciasno przez ostatnie dwa tygodnie, zsunął jej się z pleców, kiedy pochyliła się ku szmaragdowemu wybrzeżu. Ogarnęło go nagle pragnienie, żeby stanąć obok niej, objąć ją ramionami i czuć, jak jej ciało wtula się w niego, kiedy stoją razem, patrząc, jak słońce oświetla tysiącami lśniących promieni ciepłe, turkusowe wody Afryki. Nagła, niespodziewana fala pożądania sprawiła, że mógł już myśleć tylko o Camelii, o zapachu słońca i kwiatów, kiedy trzymał ją mocno i brał w posiadanie.

Wciągnął powietrze, chcąc odzyskać panowanie nad rozbudzonymi zmysłami.

Co się, na Boga, z nim działo?

–Parę godzin? – Oliwier spojrzał z rozpaczą na Jacka. – A co z moim haggis?

–Nie martw się, Oliwierze. Kiedy znajdziemy się w Cape Town, załatwię dla nas bilety na pociąg do Kimberley a pociąg nie ruszy wcześniej niż jutro rano – powiedziała Camelia, widząc jego rozczarowanie. – Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby skończyć i zjeść swój haggis.

–No, to dobrze. – Najwyraźniej pocieszony, pacnął czule oślizgły żołądek, który moczył w wodzie i dodał wesoło: – To byłaby zbrodnia zmarnować doskonale owcze flaki.

–Boże, dlaczego po prostu mnie nie zabijesz i z tym nie skończysz? – jęknął Bert, przechylając się przez burtę „Morskiej Gwiazdy”.

–Kapitan mówi, że poczujesz się lepiej za dzień czy dwa – powiedział wesoło Stanley.

–Za godzinę będę nieżywy jak śledź – odparł Bert, trzymając się poręczy. – Wolałbym, żeby Bóg zabił mnie od razu i żeby tak zostało.

–Nie powinieneś tak mówić, Bert. – Stanley odgryzł potężny kęs marynowanego ozora, który trzymał w ręku, po czym dodał: – Nie sądzę, żeby to się podobało Bogu.

– A kogo, do diabła, obchodzi, co się Bogu podoba, a co nie? – zauważył Bert, krzywiąc się. – Jeśli chcesz mnie wykończyć, zrób to teraz, stary draniu, słyszysz? – wrzasnął w stronę nieba.

–Mówisz tak, bo brzuch cię boli – rzekł współczująco Stanley.

–Umieram – upierał się Bert. – Nie dotrwam do Afryki. Będziesz musiał wyrzucić mnie za burtę i zostawić przeklętym rybom.

–Może jak coś zjesz, poczujesz się lepiej. Chcesz kawałek ozora? –Wyciągnął do niego szary plaster mięsa.

–Zabieraj to ode mnie, cholerny głupcze! – parsknął Bert, odsuwając rękę Stanleya. – Chcesz mnie zabić?

–Przepraszam, Bert. – Skruszony Stanley spuścił wzrok na swoje rozpaczliwie zniszczone buty. – Nie chciałem, żebyś się na mnie gniewał.

Poczucie winy jeszcze bardziej pogłębiło Berta. Nie znosił, kiedy Stanley stał taki skulony, z brodą wbitą w pierś. To nie jego wina, że Bogu spodobało się dać olbrzymowi umysł dziecka. Gdyby Bert kopnął w kalendarz i trafił do nieba, zamieniłby z Panem Bogiem słówko na ten temat. Co za pożytek z tej całej mocy, jeśli Bóg nie potrafił dać Stanleyowi takiego mózgu, żeby ten przynajmniej był w stanie sam o siebie zadbać?

– Nie przejmuj się, Stanley – powiedział Bert. – Trochę mi odbija, bo jestem chory i tyle.

Stanley ostrożnie podniósł głowę.

–Nie jesteś na mnie zły?

–Nie, nie jestem. – Westchnął. – Jestem tylko bardzo zmęczony.

–W Afryce zaraz poczujesz się lepiej. Musisz mieć po prostu grunt pod nogami.

–Nie dopłyniemy do Afryki jeszcze co najmniej przez tydzień – zauważył przygnębiony Bert. – A jak już tam będziemy, trzeba dotrzeć do tego miejsca, gdzie nam kazała ta stara ropucha, do Pomolani. To pewnie w środku jakiejś paskudnej dżungli, gdzie muchy są wielkie jak nietoperze, a dzikie bestie siedzą za każdym drzewem. Jeśli Bóg chce mnie zachować przy życiu tylko po to, żeby mnie pożarł jakiś cholerny tygrys, to równie dobrze może ze mną skończyć teraz.

Stanley zbladł.

–Muchy są wielkie jak nietoperze?

–Pewnie nie wszystkie – zapewnił Bert.

Nie należało straszyć Stanleya. Już samo nakłonienie przyjaciela, żeby wszedł na pokład statku, kosztowało go wiele trudu. Wydawało się niesprawiedliwe, że po wszystkich tych prośbach i groźbach Stanley czuł się świetnie w podróży, podczas gdy Bert cierpiał okropnie. Kolejny dowcip Pana Boga, myślał z goryczą. Jak całe jego życie.

–Nie może być tak źle, bo inaczej lady Camelia tam by nie jechała – dodał. – Ostatecznie, to tylko kobieta.

–Myślę, że masz rację, Bert. – Stanley odgryzł kawał ozora. – Chociaż nie wydaje się taka jak inne damy.

–A skąd miałbyś wiedzieć, skoro jedyne damy, które znasz, to dziewczyny z tawerny?

–Widziałem damy – upierał się Stanley. – Czasem chodzę do Mayfair i patrzę, jak spacerują ze swoimi dżentelmenami albo jeżdżą w pięknych powozach. Są jak śliczne lalczki, jakby się miały połamać, gdyby je za mocno ścisnąć. Ale żadna nie jest jak lady Camelia. To zuch dziewczyna i do tego mądra.

–Jakby była mądra, toby została w Londynie, tak jak miało być, zamiast kazać się ścigać przez ten cały przeklęty ocean – burknął Bert. – Do tej pory moglibyśmy się urządzić, zamieszkać w małym mieszkanku w Cheapside, jeść codziennie befsztyk i pudding z nerek, pić dżin i spać w czystym, ładnym łóżku.

–Będziemy to mieli, Bert. Zobaczysz. To tylko trochę dłużej potrwa.

–Gdyby ten pierwszy kapitan zgodził się nas zabrać, już byśmy prawie byli na miejscu. Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej skończymy tę robotę i wrócimy do domu.

–To prawda, Bert. Stary mówił, że nieważne, jeśli dotrzemy tam parę dni po niej. Powiedział, że jak ona tam dojedzie, to już nigdzie się nie ruszy.

–Stary łajdak powinien nam zapłacić za to, co dotąd zrobiliśmy, zamiast zmuszać nas, żebyśmy płynęli do przeklętej Afryki – odparł Bert, krzywiąc się ze złością. – Zrobiliśmy wszystko, jak kazał, a ona i tak nie dała się przestraszyć. Skąd mieliśmy wiedzieć, że jej nie ruszy, jak rozwaliliśmy wszystko w domu?

–O to mi właśnie chodziło, jak powiedziałem, że nie jest taka jak inne damy. – Stanley się uśmiechnął. – To zuch.

–Jak tylko dotrzemy do tego tam Pumulani, sprawimy, że pożałuje, że nie została w Londynie. – Twarz Berta stała się ponura, kiedy dokończył: – Nie będzie już takim zuchem, jak z nią skończymy, tyle ci mogę obiecać.

III

Blask ognisk

Simon wysiadł z pociągu z zachwyconym Oskarem na ramieniu i rozejrzył się, pełen zdumienia.

–Jak mogą mieć elektryczność na tym bezludziu – zapytał, wskazując przewody między latarniami i domami – skoro nie mają jej nawet w Cape Town?

–Kimberley wyrosło dzięki kopalniom diamentów – wyjaśniła Camelia, stawiając klatkę z Harriet na stosie waliz. – Piętnaście lat temu był tu tylko piach i parę nędznych bud. Z dnia na dzień zaczęły powstawać wielkie fortuny i ci, którzy mieli pieniądze, chcieli prawdziwych domów i sklepów ze światłem elektrycznym.

–To jedna z dobrych stron kopalnictwa diamentów – zauważył Elliott. – Dzięki niemu kawałek zapomnianego przez Boga, niezamieszkanego lądu zamienił się w nowoczesne, tętniące życiem miasto.

–Ta ziemia była zamieszкана, Elliotcie.

–Przez parę burskich rodzin i koczownicze, głodujące plemiona. Gdyby nie odkryto diamentów, nikt nigdy nie dbałby o tę część Afryki, z wyjątkiem, rzecz jasna, twego ojca – dodał pospiesznie, widząc w oczach Camelii znajomy błysk gniewu.

–I tubylców, którzy tu mieszkali.

Elliott westchnął. Kiedy to się stało, że on i Camelia wiecznie się ze sobą sprzecali? Wydawało się, że stale prowadzili wojnę, choć starał się ze wszystkich sił okazać jej wsparcie i pomoc. Zawsze była niezależna w myśleniu i nie unikała dyskusji. Ta pasja, która w niej tkwiła, kiedyś wydawała mu się w niej pociągająca. Ostatnio jednak stwierdził, że wolałby, aby zmieniła swój punkt widzenia.

Jego życie byłoby dużo prostsze, gdyby rozczarowała się do Pumulani w tym samym momencie, co on.

–W końcu to diamenty uczynią Afrykę Południową bogatą krainą – powiedział, pewien, że się z nim nie zgodzi.

–Uczynią bogatymi białych ludzi, którzy posyłają innych pod ziemię – sprostował Zareb. – Dla Afrykanów, którzy czołgają się w ciemności, żeby znaleźć diamenty, zostanie niewiele.

–Ale to niesprawiedliwe – zauważył Oliwier, który niósł koszyk z Rupertem. – Dlaczego tubylecy sami nie zaczną szukać diamentów na własnej ziemi?

–Nie wolno im – powiedziała Camelia. – Początkowo było paru tubylców, właścicieli ziemi oraz grupa *Griquas*, czyli „Kolorowych z Cape”, ludzi mieszanej rasy, którzy szukali diamentów.

Ale to się nie podobało Europejczykom. W ciągu paru lat uchwalono prawo zabraniające udzielania tubylcom i mieszkańcom pozwolenia na wydobycie.

–A więc rdzennym mieszkańcom wolno jedynie pracować dla białych właścicieli, bez możliwości czerpania korzyści z drogich kamieni, które znajdują na własnej ziemi. – Simon pokręcił głową, przejęty krzywdzącymi Afrykanów prawami.

–Dostają zapłatę za swoją pracę – powiedział Elliott. – Większość pochodzi z plemion, które głodują, a więc praca w kopalni jest dla nich cudownym zrządzeniem losu. Dzięki temu mogą wrócić do siebie z pieniędzmi na zakup broni, amunicji, pługów, a także na dary dla rodziny przyszłej żony. Kopalnie dały im szansę na niezależność ekonomiczną. Teraz mają pieniądze, żeby kupować dobra, podczas gdy przedtem mieli tylko skóry zwierząt i parę sztuk prymitywnej broni na wymianę.

–Skóra zwierzęcia może zapewnić ciepło albo ochronić przed słońcem, a broń może uratować komuś życie – stwierdził spokojnie Zareb. – To są rzeczy pożyteczne dla każdego. Monety nie mają wartości, póki się ich nie wymieni na coś innego. A Afrykanie zarabiają bardzo mało.

–Musisz być zmęczona, Camelio – powiedział Elliott, zmieniając temat. – Powinniśmy pójść do hotelu i wynająć pokoje na noc.

Camelia pokręciła głową.

– Nie chcę zostawać tutaj na noc. Jeśli wszyscy się zgadzają, chciałabym wyruszyć jak najszybciej do Pumulani.

Elliott spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Już jest po siódmej, a cały dzień od rana spędziliśmy w dusznym, rozgrzanym pociągu. Z pewnością wszyscy padają ze zmęczenia. Powinniśmy zostać tu na noc i jechać dalej rano.

Elliott miał rację. Ale Camelia nie mogła znieść myśli, że podróż do Pumulani się odwlecze. Nienawidziła Kimberley. W oczach Simona i Oliwiera było to zapewne kwitnące miasto ze światłem elektrycznym i przyzwoitym hotelem – atrakcyjne po trzech tygodniach na statku i dwunastu godzinach w pociągu. Ale Kimberley zbudowano krwią i potem tubylców, których zapędzono do niewolniczej pracy w kopalniach. Dla Camelii było kolejnym ogniwem łańcucha, którym spętano ludy Afryki. Ponadto kilku białych inwestorów popękało tu ostatnio samobójstwo, ponieważ nastąpił gwałtowny spadek cen na rynku diamentów i nowo powstałe fortuny przepadły. Powietrze było ciężkie od rozpacz i chciwości.

Nie mogła znieść tego miasta ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

Simon przyglądał się Camelii uważnie. Na jej twarzy odbijało się zmęczenie, ale widział, że zdecydowanie nie chce spędzić nocy w Kimberley. Chociaż perspektywa gorącej kąpieli i nocy w prawdziwym łóżku wydawała się niezmiernie pociągająca, nie chciał zostać, skoro miałoby to sprawić przykrość Camelii.

–Jak długo jedzie się do Pumulani?

Spojrzała na niego z nadzieją.

–Tylko około dwóch godzin.

– Albo mniej – dodał Zareb. – Wieczorem powietrze jest chłodniejsze. Konie będą szybciej biegły i nie potrzebujemy wielu postojów.

Elliott pokręcił głową.

–To nierozsądne podróżować po ciemku.

–Będzie jasno jeszcze przez jakąś godzinę – zauważył Zareb.

–A co potem?

– Znam drogę, lordzie Wickham – oznajmił spokojnie. – Nie potrzebuję światła, żeby znaleźć Pumulani. Gwiazdy mnie poprowadzą. Jeśli lady Camelia chce ruszyć dzisiaj, spełnię jej życzenie. Pan może zabrać pana Kenta i Oliwiera jutro rano.

Simon wzruszył ramionami.

– Chętnie pojedę dzisiaj. A ty, Oliwierze?

–Jestem rześki jak zwykle – odparł wesoło Oliwier, zacierając dłonie. – To pewnie to ciepłe, afrykańskie powietrze.

–Dobrze. A więc pojedziemy z Camelią, a ty, Wickham, dołączysz do nas jutro, kiedy będziesz chciał, po dobrze zasłużonym i oczekiwanym wypoczynku, w porządku?

– Jeśli nalegacie, żeby wyruszyć natychmiast, pojedę z wami. – Elliott nie mógł pozwolić, żeby Kent okazał się bardziej wytrzymały od niego. – Będziecie mnie potrzebowali do ochrony, tak czy inaczej, a ty, Kent, wiesz, jak się obchodzić z bronią? – Uniósł pytająco brwi.

– Otóż, nie, Wickham, nie mogę powiedzieć, żebym kiedyś miał strzelbę w ręku – przyznał Simon ze swobodą. – Ale jestem pewien, że dam sobie z nią radę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na tyle, na ile się orientuję, należy wymierzyć w kierunku tego, do czego chcemy strzelać, a następnie pociągnąć za cyngiel, czyż nie tak?

–Obawiam się, że to nieco bardziej skomplikowane...

–Nauczę cię – zaproponowała Camelia.

Elliott skrzywił się. Podsuwanie Camelii pomysłu, żeby spędzała czas z Kentem, ucząc go strzelać, nie leżało w jego intencjach.

Oliwier ściągnął siwe brwi.

– Jak to jest, że taka ładna, mała dziewczyna potrafi strzelać z takiej dużej broni?

– Umiejętność posługiwania się bronią to w Afryce konieczność – oznajmiła Camelia. – Ojciec nauczył mnie strzelać, kiedy miałam piętnaście lat.

Oliwier, zdumiony, podrapał się w głowę.

– Przed czym musimy się bronić?

– Na terenach, przez które będziemy podróżować, jest pełno dzikich zwierząt – wyjaśnił Elliott. – A one zawsze są głodne.

– I tyle? – parsknął Oliwier. – No, to o mnie nie musicie się martwić. Potrafię rzucać nożem tak szybko, jak wy strzelać.

–A ty, Kent? Potrafisz rzucać nożem?

Simon podrapał główkę Oskara.

–Dam radę, jeśli będzie trzeba.

–Chłopak trafi w drzewo z dwudziestu kroków – oznajmił z dumą Oliwier. – Nauczyłem go, jak był całkiem mały, i tak mu się to spodobało, jak wszom psie futro!

–To się z pewnością przyda, jeśli zagrozi nam jakieś drzewo – stwierdził sucho Elliott.

–No, to ustalone. – Skoro decyzja została podjęta, Camelia chciała wyruszyć jak najszybciej. – Zarebie, czy mógłbyś sprowadzić nasz wóz i broń z przechowalni i zapakować wszystko, podczas gdy ja pójdę do sklepu po zapasy?

–Oczywiście, Tisho – Zareb skłonił głowę. – Zajmę się tym.

–Pójdę z tobą, Camelio – zaproponował Simon.

–A Rupert, Harriet i ja zostaniemy tutaj i będziemy pilnować rzeczy, póki Zareb nie wróci z wozem. – Oliwier usiadł ostrożnie na ogromnej walizie przed górą kufrów i owiniętą w płótno pompą parową, które wyładowano z pociągu na peron. – Oskara też możecie tu z nami zostawić, jeśli chcecie.

Oskar potrząsnął łebkiem i mocno objął Simona łapkami za szyję.

–Myślę, że Oskar chce zostać ze mną – zauważył Simon, próbując rozewrzeć nieco małpie łapki. – Co ty zrobisz, Wickham?

–Postaram się kupić dla siebie konia – odparł Elliott. – Wóz będzie wypełniony po brzegi, a ja wolę mieć własny transport.

–Dobry pomysł. – Camelia wiedziała, że Elliott nie lubi podróżować wozem. Tak czy inaczej, lepiej, żeby jechał konno, wzięwszy pod uwagę, ile miejsca zajmą bagaż, zapasy żywności i cenna pompa.

– Spotkamy się tutaj za godzinę. Wtedy załadujemy wszystko na wóz i ruszymy do Pumulani.

Wszystko będzie dobrze.

Na tej myśli skupiła się, opierając plecy o twarde worek mielonej kukurydzy, który służył jej za siedzisko. Wóz miał tylko jedną ławkę – dla woźnicy i pasażera – którą zajmowali Zareb i Oliwier. Elliott kupił dla siebie pięknego czarnego konia. Niestety, zwierzę okazało się równie nerwowe, jak silne i nieszczęsny Elliott sporą część podróży spędził, gnając raz w jedną, raz w drugą stronę, usiłując opanować krnąbrnego wierzchowca. Camelia wątpiła, czy starczy mu czasu, żeby dojść do porozumienia ze zwierzęciem, zanim stwierdzi, że ma dość Pumulani, i zdecyduje się wyjechać.

Pomimo jego uporu, żeby towarzyszyć jej w drodze do Afryki, Camelia wiedziała, że Elliott wcale nie chciał tu być. Przyjechał wyłącznie dla niej. Głęboko wzruszyło ją, że zechciał poświęcić swoje londyńskie sprawy, by wrócić z nią do Pumulani. Od lat Elliott traktował ją jak starszy brat, dając jej drobne prezenty, starając się wywołać uśmiech na jej twarzy, słuchając jej, kiedy chciała porozmawiać z kimś innym niż ojcem czy Zarebem. Camelia z czasem pokochała Elliotta za jego poważną, cierpliwą, praktyczną naturę, może dlatego, że tak bardzo różniła się od jej własnej. Kiedy po śmierci ojca powiedział jej, że zamierza porzucić archeologię i założyć przedsiębiorstwo eksportowe w Anglii, była rozczarowana, ale nie całkiem zaskoczona. Elliott był inteligentny i ambitny. Miał prawo próbować swoich sił w dziedzinach, które jego zdaniem zapowiadały większy sukces. Dopiero wówczas, gdy z takim zapałem usiłował ją przekonać, żeby sprzedała ziemię ojca i pojechała z nim do Anglii, uświadomiła sobie, jak mało ją rozumiał. Jej ojciec spędził życie, marząc o odnalezieniu legendarnego „Grobowca Królów”.

Camelia postanowiła urzeczywistnić to marzenie, nie tylko z miłości do ojca, ale z miłości do Afryki i jej ludów. Badając przeszłość, Camelia miała nadzieję pomóc światu zrozumieć bogactwo afrykańskiej historii i kultury. Może wtedy jej ludowi zostanie przywrócona godność, której inni tak usilnie starali się go pozbawić.

–Czuję to.

Spojrzała na Simona zmieszana. Siedział na tyle wozu, opierając się o wielki kosz słodkich ziemniaków, ze stopami na worku ryżu i ramionami skrzyżowanymi na piersi. Zachowywał się zupełnie swobodnie, chociaż wóz trząsał niemiłosiernie, a kosz wbijał mu się w plecy. Simon wykazywał, jak uznała, wyjątkową zdolność do przystosowywania się do każdych, nawet najmniej sprzyjających warunków.

Camelia zastanawiała się, czy miał już tę zdolność, kiedy zamknięto go w więzieniu, czy też właśnie tam ją zdobył.

–Co takiego czujesz?

–To, co próbowałaś mi opisać tamtej nocy w moim gabinecie. – Niebieskie oczy wpatrywały się w nią uważnie, kiedy dodał cichym, lekko kpiącym głosem: – Pamiętasz tę noc, Camelio, prawda?

Poczuła nagłą falę gorąca. Oczywiście, że pamiętała. Pamiętała każdy szczegół, jakby to się zdarzyło przed chwilą, choć spędziła niezliczone bezsenne noce, rozpaczliwie próbując wymazać ją z pamięci. Chwila szaleństwa, jak to nazwała, sądząc, że jeśli tak będzie na to patrzeć, więcej się nie powtórzy. Ale jej ciało wydawało się nie rozumieć, co postanowił umysł, zwłaszcza teraz,

kiedy doszła do siebie po chorobie morskiej. Simon nie spuszczał z niej wzroku, powodując, że krew się w niej burzyła.

–Pamiętam. – Zająła się wygładzaniem beznadziejnie pogniecionych spódnic. – Próbowałam opisać ci Afrykę Południową.

–Zgadza się. – Kąciki jego ust uniosły się lekko. Simonowi pochlebiło wrażenie, jakie na Camelii wywarło samo wspomnienie owej nocy. – Opowiadałaś o dotyku wiatru na skórze, o potężnych czarnych górach i lśniącej perle księżyca. Sądziłem wtedy, że to czuję, słuchając twojego opisu, ale myliłem się. – Patrzył, jak koralowy rumieniec na jej policzkach i szyi przesuwają się niżej, w stronę obojczyków, kiedy dokończył cicho: – To rzeczywiście jedno z najspokojniejszych miejsc na ziemi.

Kula karabinowa przecięła powietrze tuż nad jego głową.

– Kłąć się! – krzyknął, przykrywając ją własnym ciałem.

Kolejny strzał rozdarł ciemności, potem jeszcze jeden. Oskar zaskrzeczał, zeskoczył z ramienia Zareba i schował się pod płótnem pokrywającym pompę Simona.

–Puść mnie, Simonie! – zawołała Camelia, wierząc się pod nim. – Muszę się dostać do broni!

–No, a to co znowu? – odezwał się Oliwier złym głosem, wyciągając nóż zza cholewy. – Dlaczego, na świętą Columbę, ktoś do nas strzela?

–Na dół, wszyscy! – Elliott wstrzymał konia obok wozu, celując w ciemność.

–Nie strzelaj, lordzie Wickham. – Zareb nie ruszył się z miejsca.

–Te kule nie są przeznaczone dla nas.

–Co to, do diabła, znaczy, że nie są przeznaczone dla nas? To dla kogo mają być?

–Nie są dla nas – powtórzył uparcie Zareb. – Ale jeśli zabijesz kogoś z nich, będą dla nas.

–Jeśli myślisz, że będę tak po prostu siedział i czekał, aż mnie zastrzelą...

–Posłuchajcie. – Oliwier zmarszczył brwi, przekrzywiając głowę na bok. – Przeszli strzelać.

Zareb skinął głową.

–Tak. Ostrzegli nas, że są tutaj. To dobrze.

–Nie musisz mnie już osłaniać, Simonie. – Camelia usiłowała się uwolnić, zmieszana reakcją swojego ciała. – Zareb mówi, że wszystko jest w porządku.

–Wybacz, jeśli pomyliłem się w ocenie sytuacji, kiedy nas omal nie zabito – mruknął Simon cierpkim tonem, nie ruszając się. – Skąd Zareb może wiedzieć, czy po prostu nie podchodzą bliżej, żeby mieć lepszy cel?

–Zareb wie. Jeśli Zareb mówi, że jest dobrze, to tak jest.

–Skąd ta pewność?

–Zareb zawsze jest przesadnie ostrożny, jeśli o mnie chodzi – wyjaśniła Camelia. – Jeśli twierdzi, że jesteśmy bezpieczni, wierzę mu.

Simon nie wydawał się przekonany.

– Jestem Zareb, syn Waitimu – oświadczył Zareb uroczyście, podnosząc się z ławki. – Wracam do Pumulani z przyjaciółmi. Zapewniam was, że wracamy w pokoju.

Nastąpiła chwila niezmaconej ciszy.

– Witaj, Zarebie! – rozległ się nagle radosny głos. – Długo czekaliśmy na twój powrót!

Simon zerknął ponad krawędź wozu i ujrzał dwóch tubylców, którzy wyłonili się z mroku, stając w świetle księżyca. Okrywały ich tylko skóry lamparta i antylopy, wspaniałe pióropusze z żurawich i strusich piór powiewały u ich ramion i w pasie. Na ich ciemnych silnych ramionach pobłyskiwały blade obręcze z kości słoniowej, a na piersi lśniły ciężkie sznury paciorków, zrobionych z kości i muszelek. Obaj mieli groźne sztylety przymocowane do łydek i potężne strzelby w dłoniach.

–Badrani, Senwe, cieszę, że was znowu widzę. – Zareb uśmiechnął się, schodząc z wozu. – Sprowadziłem z powrotem lady Camelię, tak jak obiecałem. – Zerknął na Camelię, która wciąż usiłowała się uwolnić z opiekuńczego uścisku Simona. – Możesz ją puścić, panie Kent. Nie ma niebezpieczeństwa.

–Dziękuję, że tak dobrze strzeżecie Pumulani, Badrani i Senwe – powiedziała Camelia, prostując się na wozie. – Miło mi was widzieć.

–Witaj w domu, lady Camelio. – Badrani skłonił głowę z szacunkiem. Był to przystojny młody człowiek około trzydziestki, wysoki, dobrze umięśniony, z mocno zarysowaną, świadczącą o zdecydowaniu, szczęką. – I ty także, lordzie Wickham – dodał, poznając Elliotta.

–Cieszymy się, że znowu jesteś z nami, lady Camelio. – Senwe był młodszy i niższy niż Badrani, ale umięśniony zarys jego piersi i ramion wskazywał, że niewiele słabszy. – Baliśmy się, że nie wrócisz.

–Nic nie mogło mnie powstrzymać przed powrotem do Pumulani – zapewniła Camelia. – Przywiozłam ze sobą potężnego nauczyciela, który może nam pomóc poradzić sobie z kłopotami. Przedstawiam wam pana Kenta. – Wskazała Simona, który podnosił się właśnie z Oskarem przyczepionym do ramienia.

Badrani i Senwe patrzyli na Simona zaokrąglonymi ze zdumienia oczami.

–Miło mi was poznać. – Simon zastanawiał się, co ich tak zaskoczyło. Uznał, że to może użyte przez Camelię określenie: „potężny nauczyciel”.

–Jego włosy są jak ogień! – Poruszony Badrani zwrócił się do Zareba. – Czy ma specjalną moc?

-Tak. – Zareb uroczyście pokiwał głową. – Dobrą moc.

-Ależ nie. – Simon nie chciał, żeby tubylcy uważali, że jest obdarzony szczególną mocą tylko dlatego, że jego włosy są rude.

Twarz Senwe natychmiast stwardniała.

-Twoja moc nie jest dobra? – Wycelował broń w Simona.

-Nie, to jest, tak, to znaczy przyjechałem, żeby wam pomóc, ale nie mam jakiejś specjalnej mocy – pospiesznie wyjaśnił Simon. Spłoszony Oskar przeskoczył z jego ramienia na ramię Zareba. – Jestem wynalazcą.

Tubylcy patrzyli, nie rozumiejąc.

-Pan Kent przybył, żeby zwalczyć klątwę – wyjaśnił Zareb. – Sprowadzi szczęście do Pumulani.

-Postaram się – powiedział Simon, nie chcąc zawieść ich oczekiwań.

-Skoro Zareb tak mówi, musi tak być. – Senwe wciąż wpatrywał się z niedowierzaniem we włosy Simona.

-A to jest Oliwier – ciągnął Zareb. – Pochodzi z dalekiej krainy zwanej Szkocją i jest przyjacielem.

-Miło mi, chłopcy. – Zadowolony, że dwaj dziwnie wyglądający tubylcy nie zamierzają ostatecznie zastrzelić Simona, Oliwier opuścił nóż. – Czy któryś z was słyszał kiedyś o Szkocji?

Senwe i Badrani pokręcili głowami.

-To wspaniała kraina, chociaż nie taka ciepła jak wasza, w Afryce. Będziecie musieli kiedyś wpaść tam z wizytą.

-Dziękujemy. – Badrani uroczyście skłonił głowę, przyjmując zaproszenie. – Zabierzemy was teraz do Pumulani. Ludzie się ucieszą, że lady Camelia jest z powrotem. Bali się, że ciemny wiatr nie pozwoli jej już nigdy wrócić.

-Jak daleko jest do Pumulani? – zapytał Simon.

-Pumulani leży u stóp tamtej góry. – Badrani wskazał poszarpany czarny szczyt, do którego zbliżali się powoli, odkąd wyjechali z Kimberley. – Jeśli popatrzyacie uważnie, zobaczycie blask ognisk. Płomienie odstraszą złe duchy.

Camelia spojrzała na ciepły, pomarańczowy blask u podnóża góry.

- Już prawie jesteśmy. – Ta świadomość sprawiła, że poczuła się lepiej niż w ciągu ostatnich paru miesięcy.

Była prawie w domu.

–Wskażemy drogę, lady Camelio – powiedział Senwe. – Ale musisz uważać. Duchy były złe, odkąd wyjechałaś. Czy nie masz broni przy sobie?

–Mam. – Schyliła się i podniosła strzelbę z dna wozu. – Teraz wszystko będzie dobrze, Senwe. – Nic nie mogło przyćmić jej radości. – Zobaczysz.

–I tak musisz uważać – nalegał Badrani. – Wszyscy musimy.

Skinęła głową, doceniając jego troskę.

–Dziękuję. Tak będzie.

Usiadła ponownie na worku, wpatrując się w błądy krąg złotawego światła u stóp góry. Czowała, jak przybywa jej siła, podczas gdy zbliżała się do jasnych ognisk Pumulani.

11

– **Lady** Camelia wróciła! – zawołał radośnie Senwe, kiedy wkraczali do cichego obozu.

Rozległy się wesołe okrzyki. Tubylcy wysypali się z ustawionych w okrąg namiotów, śmiejąc się i machając rękami na powitanie. Większość miała na sobie skóry zwierząt, pióra i paciorki, ale, jak zauważył Simon, paru paradowało w znoszonych spodniach, wystrzępionym kubraku czy kamizelce. Otoczyli wóz, krzycząc z podniecenia. Simon podniósł się i wyciągnął rękę do Camelii, żeby pomóc jej wysiąść.

Zdumieni tubylcy umilkli.

–To jest pan Kent, potężny nauczyciel, który przebył do was całą drogę z Anglii – oznajmiła Camelia, wskazując Simona. – Pomoże zwalczyć moce, które tak utrudniają nam pracę w Pumulani.

–Czy musisz używać słowa „potężny” – szepnął Simon, uśmiechając się z wahaniem. – Nie jestem pewien, czy to pomaga.

– Muszą ci ufać, a twoje włosy sprawiają, że się ciebie boją.

–On ma włosy jak ogień! – krzyknął jeden z tubylców, wskazując ze strachem na Simona.

–Rozumiesz, co mam na myśli? – Camelia uśmiechnęła się, biorąc Simona za rękę, chcąc pokazać, że nie jest niebezpieczny – Nigdy nie widzieli czegoś takiego.

–Cudownie. Gdybyś mnie ostrzegła, coś bym z tym zrobił.

–Na przykład co?

–Zgoliłbym.

–Nie sędzę, żeby chodzenie w afrykańskim słońcu z łysą głową było praktyczne. Poza tym nadal miałbyś rude włosy na ramionach, nogach i piersi...

–Pochlebia mi, że pamiętasz.

–...a wątpię, żebyś chciał ogolić całe ciało – dokończyła sztywno Camelia, tłumiąc chęć natychmiastowego zabrania swojej dłoni. – Kiedy włosy odrastają, skóra zwykle mocno swędzi.

–Wzrusza mnie twoja troska.

–Włosy pana Kenta są oznaką jego wielkiej mocy – oznajmił z powagą Zareb, prostując się na całą wysokość. – Jest w nim ogień, który płonie jasno i wygoni złe duchy z Pumulani z powrotem tam, skąd przyszły!

–Och, na Boga, to tylko włosy! – Elliott zeskoczył z nieposłusznego konia, zmęczony i zły z powodu uwagi, jaką przyciągał Simon.

– Gdzie, do diabła, jest Trafford?

–Tutaj, lordzie Wickham! – Krępy, mocno zbudowany mężczyzna wybiegł spośród namiotów, usiłując pozapinać guziki przy mocno poplamionym surducie, podczas gdy przedzierał się przez tłum robotników. – Witaj z powrotem, lady Camelio. – Przeciągnął pospiesznie palcami po gęstych, siwiejących, splątanych włosach. Simon uznał, że może mieć jakieś czterdzieści pięć lat; jego brązowa od słońca skóra i silnie pobrużdżona twarz świadczyły o trudnym, pełnym przygód życiu. – Cieszę się, że wreszcie wróciłaś. Nam wszystkim, włącznie ze mną, ogromnie cię brakowało.

–Dziękuję, panie Trafford. – Camelia uśmiechnęła się do niego serdecznie, schodząc z wozu. – Simonie, to jest pan Lloyd Trafford, zarządca Pumulani. Panie Trafford, to pan Simon Kent, znany wynalazca oraz jego bliski przyjaciel i współpracownik, Oliwier. Pan Kent zbudował dla nas pompę parową, dzięki której usuniemy w końcu wodę z terenu wykopalisk, a Oliwier nam przy tym pomoże.

–Miło mi was poznać. – Lloyd uścisnął dłonie Simona i Oliwiera. – Czekaliśmy niecierpliwie na wasz przyjazd.

–Czy tak? No cóż, nie możemy zatem was rozczarować. – Widać było, że Oliwierowi bardzo odpowiada to, że znalazł się w centrum uwagi.

– Musicie być zmęczeni po długiej podróży – ciągnął Lloyd. – Pozwólcie, że was zaprowadzę do namiotów, warunki nie są nadzwyczajne, ale jest dosyć czysto. Jeśli chcielibyście coś zjeść, przygotujemy szybko posiłek, choć obawiam się, że mamy głównie mięso antylopy i zebry.

– Przywieźliśmy kasze i świeże warzywa – powiedziała Camelia.

– Ludzie z pewnością ucieszą się z nowej dostawy.

–No, to rozładujmy wóz. – Lloyd dał znak tubylcom, którzy natychmiast zaczęli zdejmować ciężkie worki, kosze i pudła z cenną żywnością i innymi zapasami.

–Badrani i Senwe, czy moglibyście zabrać klatkę Harriet i ten kosz do mojego namiotu? – powiedziała Camelia. – W koszu jest Rupert.

–Ostrożnie z tym! – krzyknął Simon, kiedy paru ludzi zaczęło niezdarnie podnosić pompę.

Mężczyźni jęknęli i zamarli, o mało nie upuszczając jej na ziemię.

–Nie sądziłem, że możesz na nich krzyżeć, chłopcze – powiedział Oliwier. – Już tymi twoimi rudymi włosami nieźle ich nastraszyłeś.

-Chciałem powiedzieć, żebyście uważali – poprawił się Simon, starając się mówić spokojnym tonem. – To nie jest niebezpieczne, trzeba tylko ostrożnie to przenieść.

Mężczyźni łypnęli na niego z przestachem i skinęli głowami. Poprawiwszy uchwyt, ruszyli ponownie.

– Zanieście pompę do namiotu pana Kenta – poleciła Camelia.

–Może stać na zewnątrz – powiedział Simon. – Wątpię, żebym dzisiaj w nocy robił coś poza tym, że położę się spać.

–Pompa będzie bezpieczniejsza przy tobie – stwierdziła Camelia. – Może pójdziemy wszyscy do jadalni i napijemy się czegoś, podczas gdy opowie mi pan, co się działo, panie Trafford? Chciałabym dowiedzieć się wszystkiego.

–Doskonale, lady Camelio.

Poprowadził całą grupę poprzez labirynt ciężkich, płóciennych namiotów, aż do miejsca, gdzie jadano posiłki. Wewnątrz stał porządnym stół i krzesła, służące do jedzenia i pracy.

–Obawiam się, że nie zrobiliśmy dużych postępów, odkąd wyjechała pani do Anglii – powiedział Lloyd, podczas gdy Senwe i Badrani postawili na stole suszone mięso antylopy, twarde kukurydziane herbatniki, ugotowane na parze banany i wodę. – Próbowaliśmy usunąć wodę ręcznie, ale niestety, na tak dużym obszarze nie jest to metoda skuteczna. W porze deszczowej nzbierało się tyle wody, że teren wykopalisk zamienił się praktycznie w małe jezioro. Potem zaczęły się wypadki i część ludzi odeszła, nie mieliśmy więc dość rąk do pracy, żeby podolać zadaniu.

–Ilu ludzi zostało? – zapytała Camelia.

–Trzydziestu ośmiu podczas ostatniego liczenia, to jest wczoraj przy kolacji – odparł Lloyd. – Ale każdego ranka stwierdzam, że jeden czy dwóch spakowało się i odeszło.

–A ilu potrzebujemy? – zainteresował się Oliwier.

–Kiedy lord Stamford podjął po raz pierwszy pracę na tym terenie, mieliśmy dobrze ponad dwustu ludzi – powiedział Lloyd. – To było akurat tylu, żeby prowadzić wykopaliska w stałym tempie. Trzydziestu ośmiu to stanowczo za mało.

Elliott się skrzywił.

–Tubylcy zawarli kontrakt. Jak mogłeś, Trafford, tak po prostu pozwolić im odejść?

–Jak miałem ich zatrzymać, wasza lordowska mość? – odparł Lloyd. – To wykopaliska archeologiczne, nie więzienie. Jeśli ktoś decyduje się odejść, traci płacę. To jedyne, co może ich skłonić do pozostania. Niestety, wobec tylu wypadków, do których doszło ostatnio, tubylcy uważają, że ten teren jest przeklęty. Dla wielu pieniądze nie są dostateczną zachętą do tego, żeby nadal tu pracować. Wierzą nawet, że deszcze zostały zesłane przez złe duchy, żeby powstrzymać nas od kopania.

–To śmieszne – zawołała Camelia. – Tutaj zawsze mocno pada w czasie pory deszczowej, przecież o tym wiedzą.

–To nie ma znaczenia, Tisho cicho stwierdził Zareb. – Ludzie pod wpływem strachu widzą wszystko inaczej. Dla nich deszcz to sprawa kłętwy. Żadne pieniądze nie przekonają tych, którzy się boją, żeby zostali.

–Jeśli chcesz nadal prowadzić prace, Camelio, nie możesz sobie pozwolić na stratę kolejnych robotników. – Elliott przybrał ponury wyraz twarzy. – Musisz wprowadzić skuteczniejszy system kontroli.

–Mój ojciec nie uznawał zamykania tubylców w koszarach i ja także na to nie pozwolę – oznajmiła Camelia twardym tonem. – Ludzie, którzy dla mnie pracują, są robotnikami, nie więźniami.

Simon spojrzał na nią niepewnie.

– O co chodzi z tymi koszarami?

– To system, który parę lat temu rozwinęły kompanie górnicze, żeby przeciwdziałać kradzieżom i dezercji – wyjaśnił Elliott. – Polega na tym, że tubylcy na czas trwania kontraktu mieszkają w obozie otoczonym murami; zwykle trwa to trzy miesiące. W obozie są chaty, w których śpią i jedzą; stamtąd przechodzą do kopalni. Dzięki temu żaden tubylec nie może ukraść diamentów i uciec ani też odejść przed końcem kontraktu.

Oliwier zmarszczył czoło.

– Dlaczego nie mieliby schować diamentów do wygaśnięcia kontraktu, a potem spokojnie ich zabrać?

– Są przeszukiwani.

– W najbardziej upokarzający sposób, jaki możesz sobie wyobrazić – dodała Camelia napiętym tonem.

Elliott westchnął.

– To, niestety, nie do uniknięcia.

– Straszna to rzecz, pozbawiać człowieka wolności – zauważył Oliwier. – Wiem. Ale jeszcze gorzej odebrać mu wolność, kiedy nie zrobił nic złego.

– Ludzie, którzy zostali, są wierni lady Camelii – stwierdził Zareb. – Nie trzeba ich zamykać jak zwierzęta i traktować jak niewolników.

– Kiedy tylko zobaczą, jak działa pompa Simona, zrozumieją, że woda nie jest sprawą kłętą – dodała Camelia. – Pompa wykona pracę za pięćdziesięciu ludzi albo więcej, co oznacza, że będziemy mogli szybko posuwać się naprzód mimo niewielkiej liczby robotników. – Posłała Simonowi spojrzenie pełne nadziei.

–To, czy pompa się sprawdzi, dopiero się okaże. – Chociaż wzruszała go wiara Camelii w jego umiejętności, Simon nie chciał rozbudzać w niej za dużych nadziei. – Nie mogę niczego obiecać, dopóki nie zacznę jej używać i nie przekonam się, jakich wymaga poprawek.

–A zatem wszyscy powinniśmy iść spać – zasugerowała Camelia, podnosząc się z krzesła. – Jutro zaczniemy wcześniej rano.

Oliwier stłumił jęk i przeciągnął się.

–Chwilka odpoczynku i będę gotów do roboty jak nowy.

–Boję się, że łóżko nie będzie takie wygodne jak to, do którego przywykłeś, Oliwierze. Mam nadzieję, że zdołasz zasnąć.

–Jestem w stanie spać prawie wszędzie, dziewczyno, i nasz chłopak także. Kiedy człowiek mieszkał na ulicy i siedział w więzieniu, potrafi się obywać czymkolwiek.

Badrani otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

–Byłeś w więzieniu?

Oliwier wzruszył ramionami.

–Raz czy dwa.

–Za co? – Senwe także spojrział na Oliwiera z zaciekawieniem.

–Strzyżenie.

Mężczyźni wyraźnie się zmieszali.

–Kradzież – wyjaśnił Oliwier. – Byłem jednym z najlepszych złodziei w hrabstwie Argyll i mógłbym być nadal, gdybym chciał. Te stare ręce potrafią świsnąć zegarek szybciej niż trzaśnięcie bicia i założę się, że w Londynie nie ma zamka, którego bym nie otworzył.

–Naprawdę? – Badrani był pod wrażeniem. Uniósł przed Oliwierem płachtę namiotu, żeby wyjść na zewnątrz. – W jaki sposób to robisz, panie Oliwierze?

–Cóż, są na to różne sposoby – zaczął Oliwier, zadowolony z tak żywego zainteresowania ze strony słuchaczy – W wypadku większości zamków wszystko, czego trzeba, to kawałek dobrego, prostego drutu i trochę ciepłości...

–Zaprowadzę cię do namiotu, Simonie – powiedziała Camelia. – Stoi po drugiej stronie obozu.

–Ja mogę zaprowadzić Kenta do namiotu – szybko wtrącił Elliott.

Simon się uśmiechnął.

–To bardzo uprzejme z twojej strony, Wickham, ale nie śmiem cię fatygować po tak długiej podróży, zwłaszcza po jeździe na tym kłopotliwym koniu, którego kupiłeś.

–Dobrej nocy, Elliotcie – dodała Camelia. – Zobaczymy się rano.

Elliott zdobył się na cień uśmiechu, zły, że Kent zostanie sam na sam z Camelią, podczas gdy jemu się to nie udało.

– Dobrze zatem. Dobranoc.

Powietrze było słodkie i chłodne, kiedy Camelia wyszła z namiotu. Unosił się zapach afrykańskiej ziemi i młodej roślinności, przemieszany z piżmową wonią dzikich zwierząt, zamieszkujących teren tuż poza obrębem obozu. Pomimo ponurego sprawozdania pana Trafforda na temat robotników, którzy ją opuścili, czuła się dużo szczęśliwsza niż przedtem. Wróciła do Pumulani i przywiozła ze sobą Simona i pompę. Jej nadzieje znowu ożyły, czuła się podniecona i pełna zapału do pracy.

Gdyby nie to, że był środek nocy i wszyscy padali ze zmęczenia, poprosiłaby Simona, żeby rozpakował pompę i natychmiast przystąpił do pracy.

– To twój namiot – powiedziała, podnosząc ciężką płócienną płachtę namiotu rozbitego na skraju obozowiska. – Obawiam się, że warunki są skromne, mam jednak nadzieję, że to ci wystarczy.

Weszła do środka i zmarszczyła brwi na widok wąskiej drewnianej pryczy, małego stolika ze zniszczoną metalową miską, dzbanem i lampą oliwną oraz jednego starego krzesła. Owinięta w płótno pompa zajmowała prawie połowę miejsca, pozostawiając Simonowi wąską ścieżkę do łóżka – po drodze musiał jeszcze przejść po swoim bagażu.

–Może powinieneś przenieść się do mojego namiotu. – Nagle zrobiło jej się przykro, że jego namiot jest tak mały i do tego zastawiony. – Mój jest większy, a tobie będzie potrzeba więcej przestrzeni...

–Wszystko w porządku, Camelio – zapewnił Simon. – Z pewnością będzie mi wygodnie. Mogę spać prawie wszędzie, jak wiesz.

Skinęła głową bez przekonania. Żałowała, że nie kazała wstawić rzeczy Simona do swojego namiotu, podczas gdy ona zamieszkałaby w mniejszym. Zapomniała, jakie spartańskie warunki panowały w Pumulani. Może nigdy, aż dotąd, nie zwróciła uwagi na niewygody i ciasnotę.

–No cóż, skoro nic ci nie potrzeba, to życzę ci dobrej nocy.

–Dobranoc, Camelio.

Ruszyła w stronę wyjścia, ale przystanęła.

– Tak? – zapytał Simon.

Spojrzała na niego niepewnie.

– Jak to było, siedzieć w więzieniu? – zapytała w końcu nieśmiało.

Simon zeszywniał. Sądził, że taka ciekawość jest uzasadniona. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, zapewniła go, że interesują ją tylko jego zdolności naukowca i wynalazcy. Ale od tego czasu wiele się między nimi zdarzyło. Połączyła ich niezwykła namiętność, ale poza tym rosło w nim coś dużo głębszego niż tylko pożądanie. Dlatego trudno mu było odpowiedzieć na to pytanie.

Z jakiegoś powodu, którego do końca nie rozumiał, chciał, żeby Camelia myślała o nim tylko dobrze – na tyle, na ile było to możliwe, zważywszy jego ponurą przeszłość, obsesyjną pracę i ekscentryczne zachowanie. Tak więc wahał się, jakby nie dotarło do niego, o co pyta, podczas gdy wiedział doskonale, czego pragnie się dowiedzieć.

– Wiem, że to musiało być straszne. – Camelia nie chciała, żeby uważał ją za cieplarnianą roślinkę, która nie ma pojęcia o okrucieństwach tego świata. – Nie pytam, jakie tam były warunki. Chciałabym tylko zrozumieć, jak udało ci się z tego wyjść? Byłeś tylko chłopcem, a jednak przetrwałeś parę lat na ulicy i pobyt w więzieniu, i tylko spójrz na siebie.

– Nie jestem pewien, co we mnie widzisz – mówił lekko kpiącym tonem, chcąc skierować jej myśli na inne tory.

– Wszystko. Jesteś zdyscyplinowany i genialny...

– Nie jestem genialny, Camelio – zaprotestował. – Po prostu patrzę na rzeczy inaczej niż większość ludzi.

– Jesteś genialny – powtórzyła uparcie. – Wystarczy wspomnieć o twoich sukcesach akademickich i wspaniałych dziełach, jakie napisałeś.

– Wielu ludzi kończy uniwersytety i pisze rozmaite dzieła i zapewniam cię, że większość z nich to idioci. Znam ludzi, obdarzonych niezwykłym rozumem, którzy nigdy nie byli w szkole.

– Twoja genialność przejawia się w tym, że widzisz możliwości tam, gdzie inni rezygnują – powiedziała Camelia. – Patrzysz na coś i nie myślisz: Co za wspaniała rzecz, jak większość z nas. Myślisz: To niezłe, jak mógłbym to poprawić? I nie ma znaczenia, co to jest, czy dobry zmywak do podłogi, którego używamy od stu lat, czy najnowsze silniki parowe, jesteś w stanie wynaleźć sposoby na ulepszenie wszystkiego.

– Wszystkiego nie. – I dorzucił z nieodgadnionym wyrazem twarzy: – Nie to, co już jest doskonałe.

– Nic nie jest doskonałe.

– Ty jesteś.

Przyglądał się jej, kiedy tak stała przed nim ze zmarszczonym czołem, usiłując przeniknąć przez ochronny mur, który wznosił wokół siebie przez lata. Jej włosy koloru szampana uwolniły się już prawie całkiem ze szpilek, spadając złotą falą na ramiona, a twarz oświetlało brzoskwińskie światło lampy. Szary, jedwabny strój podróżny pogniótł się i pobrudził, a aksamitną doskonałość policzka przecinała smuga brudu.

Nigdy nie wydawała mu się piękniejsza.

Coś się z nią stało, odkąd stanęła na afrykańskiej ziemi, a cokolwiek to było, wzmogło się stukrotnie z chwilą ich przybycia do Pumulani. Wydawała się silniejsza i bardziej pewna siebie, jak zwierzę długo zamknięte w klatce, które wróciło do swojego naturalnego środowiska. Zdumiewało go, że Camelia rozkwitała w tak trudnych warunkach, ale z drugiej strony, ta dziewczyna nie przypominała żadnej kobiety, którą znał. Właśnie ta świadomość zaczęła, odkąd pocałował ją w Londynie tak dawno temu, podkopywać mur, który zbudował wokół siebie. To i jej wspaniałe zielone oczy, delikatny cytrusowy zapach, który jej wszędzie towarzyszył, a nawet ta smuga brudu na jej lekko pociemniałym od słońca policzku.

Wciągnął powietrze, mając wrażenie, że wchodzi w miejsce, którego się obawia, ale nie potrafi się powstrzymać.

–Być w więzieniu to znaleźć się w piekle – powiedział cicho.

Patrzyła na niego poważnie, bez litości, ale ze współczuciem i zrozumieniem. To mu dodało odrobinę otuchy, o ile w ogóle to możliwe w sytuacji, kiedy odsłania się długo skrywane rany. Nikt dotąd nie zadawał mu pytań wprost o przeszłość. Nawet Genevieve i Haydon, którzy uważali, że ich dzieci powinny zdjąć bandaż ze starych ran, tylko jeśli same tak postanowią. Ale w Simonie coś się zmieniało. Camelia przebiła się przez jego pancerz, ponieważ chciała zrozumieć, co sprawiło, że był taki, jaki był.

A on po raz pierwszy w życiu chciał otworzyć drzwi piekła, z którego tak bardzo pragnął uciec – choćby na krótko.

– Miałem wtedy ledwie dziewięć lat – ciągnął cicho – ale byłem już wyszkolony w sztuce przeżycia. A jednak więzienie okazało się czymś dużo bardziej przerażającym niż wszystko, co znałem. Po raz pierwszy w życiu nie ode mnie zależało to, co się miało ze mną stać. A kiedy uświadomiłem sobie, że to ma trwać pięć lat, chciałem umrzeć.

Przerwał.

–Przykro mi, Simonie – powiedziała cicho Camelia. – Nie chciałam przywołać tak bolesnych wspomnień. Nie miałam prawa pytać.

–Masz prawo pytać, Camelio. – Podeszedł do niej i odsunął zblakany kosmyk włosów z jej policzka. – Chcę, żebyś wiedziała.

Patrzyła na niego, urzeczona ciepłem dotyku, płonącym spojrzeniem błękitnych oczu, łagodnym głosem. Chciała go objąć i mocno przytulić, wchłonąć ból wspomnień wywołanych jej pytaniem.

A jednak jakiś głos wewnętrzny mówił jej, żeby tego nie robiła, że postępując w ten sposób, zapoczątkowałyby coś, nad czym nie mogłyby zapanować, co by ją rozproszyło, podczas gdy rozpaczliwie pragnęła zachować jasną głowę i osiągnąć wytyczony cel. Dlatego nie poruszyła się, przyjmując w milczeniu delikatną pieszczotę jego palców na swojej twarzy.

–A potem zjawiała się lady Redmond i zabrała cię – powiedziała cicho, usiłując nie zwracać uwagi na to, jak pod jego palcami płonie jej skóra. – Uratowała mnie. – Teraz jego palce przesuwają się niżej, wzdłuż szczupłej szyi i jedwabistego zagłębienia u podstawy. – Ale minęły lata, zanim naprawdę uwierzyłem, że nikt nie przyjdzie i nie wyciągnie mnie z domu i że nic się nagle nie zmieni i nie znajdę się z dnia na dzień na ulicy. Kiedy raz się straciło kontrolę nad życiem, robi się wszystko, żeby się zabezpieczyć, żeby to się nie powtórzyło. Człowiek boi się zaufać komukolwiek. Boi się uwierzyć. Na całym życiu cieniem kładzie się przekonanie, że nie ma niczego naprawdę dobrego, pięknego i czystego. – Otoczył ją ramieniem i przyciągnął mocno, wciąż gładząc jej policzek i szyję. – Ale było coś, o czym wtedy nie wiedziałem, Camelio.

–O czym? – szepnęła z gwałtownie bijącym sercem.

Schylił głowę, aż jego wargi niemal otarły się o jej usta.

–O tym, że istniejesz.

Zamknął jej usta pocałunkiem, chcąc, żeby zrozumiała. Jeden raz, powiedział sobie z rozpaczą i na tym koniec. Jeden zwykły pocałunek, żeby złagodzić ogień, jaki czuł w sobie od owej pamiętnej nocy w Londynie. Potrafi nad sobą zapanować, przekonywał sam siebie, nawet kiedy z jej gardła wydobył się cichy jęk i otworzyła usta, zapraszając go do słodkiego, ciemnego wnętrza. Wsunął język do środka, chcąc ponownie zbadać tajemnice, które już raz z nim dzieliła.

To tylko pocałunek, powtarzał sobie gorączkowo, podczas gdy jego ręce zaczęły wędrować po bujnych okrągłościach jej biustu i dołu pleców. Naprawdę nic więcej, myślał, przyciągając ją mocniej. Zwykły, namięty pocałunek, mówił sobie, nie rozumiejąc, jak to się dzieje, że jego palce rozpinają guziki jej stroju. Zdjął z niej żakiet, potem bluzkę, wciąż przekonując się, że to nic takiego. Jej spódnica zsunęła się na podłogę, tworząc plamę szarego jedwabiu, w ślad za nią poszły kremowe halki.

Wciąż wmawiał sobie, że to tylko pocałunek, że z łatwością przestanie, jeśli tylko ona wyrazi takie życzenie.

Uniósł ją w ramionach i położył na wąskiej pryczy, chcąc całować jeszcze przez chwilę, a potem przestać. Ale jej ręce ściągały już z niego koszulę i spodnie, odsłaniając jego ciało przed ciepłym, afrykańskim powietrzem i jej gorącym dotykiem. Całował ją coraz niżej, rozpinając pospiesznie haftki gorsetu i obnażając piersi o koralowych sutkach i kremowy brzuch. Zsunął z niej pantalony i pończochy, aż w końcu leżała przed nim cudownie naga.

Zasypał czułymi pocałunkami jej uda. Otworzyła się dla niego, przeczesując palcami jego włosy. Przyjmowała przyjemność, jaką jej dawał, oczekując więcej. Jej ciało nagle zeszywniało, krzyknęła, dając wyraz takiej rozkoszy, że niemal pozbawiła go resztek panowania nad sobą. Rozciągnął się nad nią i zanurzył w ciepłym wnętrzu.

Zaczął się poruszać, podczas gdy ona objęła go ramionami, całując namiętnie.

Pragnął, żeby to trwało, żeby zrozumiała, co się dzieje między nimi, chociaż sam ledwie to pojmował. Ale jego ciało okazało się zdradzieckie. Oczekując tak długo cudu zjednoczenia z Camelią, stwierdził, że nie może poruszać się wolno, tak jak nie potrafi powstrzymać nocy, żeby nie przeszła w poranek.

Pragnął jej rozpaczliwie, bardziej niż czegokolwiek w życiu. Cierpiał, ponieważ w głębi duszy wiedział, że nigdy nie będzie do niego należeć. Miejsce Camelii było w Afryce, wśród cudownie pięknej, dzikiej przyrody, gdzie prowadziła życie zupełnie mu obce, w którym nie mógłby się odnaleźć.

Nagle porwał go świetlisty wir. Krzyknął – z zachwytu i rozpacz, ponieważ zdawał sobie sprawę, że teraz znowu go opuści. Objął ją i pocałował namiętnie, zaborczo, chcąc, żeby zrozumiała, że należy do niego bardziej niż do Afryki. Czuł jednak, jak zaczyna się odsuwać, czuł też, że jego serce bije wolniej. Wtulił twarz w jej szyję, trzymając ją mocno.

Zostań ze mną, błagał w milczeniu, wiedząc, że nie ma nadziei. Delikatnie odsunął złoty kosmyk z jej czoła, potem powiódł palcami po słodkim zarysie policzka, nosa i brody, starając się zapamiętać każdy cudowny szczegół jej ciała.

Camelia leżała z sercem bijącym przy jego twardej piersi. Czuła się krucha i przestraszona. Nie chciała tego, powtarzała sobie, ale myśląc tak, wiedziała, że kłamie. Od tygodni nawiedzało ją wspomnienie pieszczot Simona, aksamitnego dotyku jego warg na ustach, palącego ciepła jego rąk na swoim ciele. To było, oczywiście, złe. Rozumiała to doskonale. Nie należał do niej, tak samo jak ona nie należała do niego. Serce i życie oddała Afryce, on nie opuści Londynu, gdzie całymi tygodniami siedział zamknięty w dusznej, zagraconej pracowni i gdzie nikt nie zawracał mu głowy takimi przyziemnymi sprawami, jak posiłki, rozmowa, dotrzymanie komuś towarzystwa. W jego życiu nie było miejsca dla żony i dzieci, podobnie jak w jej życiu. Uświadamiała sobie to wszystko z bolesną jasnością.

Wciąż się nie poruszała.

– Powinnam pójść – odezwała się w końcu cicho, wcale nie chcąc odejść, ale sądząc, że należy to powiedzieć.

Simon podniósł głowę i spojrzał na nią. W jej oczach lśniły łzy, w spojrzeniu widział żal.

– To nie gwiazdy, Camelio – powiedział cichym, chrapliwym głosem. – Nie tym razem.

Patrzyła na niego, urzeczona łagodnym brzmieniem jego głosu, czułością dotyku, cudownym uczuciem bliskości jego ciała.

– A zatem co?

Wyciągnął rękę i starł srebrną łzę, spływającą po jej policzku.

– Nie jestem pewien.

Zamknęła oczy. Zatracała w nim jakąś część siebie i nie mogła tego znieść.

– Nie mogę opuścić Afryki, Simonie – powiedziała urywanym szeptem. – Nie mogę.

Łzy zaczęły teraz płynąć szybciej – po brązowym od słońca policzku i we włosy koloru miodu. Wiele ją kosztowało, żeby mu to powiedzieć, zdawał sobie z tego sprawę. Starła się być z nim uczciwa.

Ale czy powiedziała to czy nie, nie miało znaczenia. Wiedział już o jej przywiązaniu do tej obcej, dzikiej krainy.

Jeśli sądziła, że mógłby ją od niej oderwać, próbując związać silniej ze sobą, myliła się.

– Nigdy bym cię nie poprosił, żebyś wyjechała, Camelio – powiedział, delikatnie gładząc jej włosy. – Ale musisz także zrozumieć, że ja nie mogę tutaj zostać. Mam swoją pracę, rodzinę i życie, jakie stworzyłem sobie w Anglii i Szkocji. Nie mogę porzucić tego wszystkiego, żeby zamieszkać w afrykańskiej dżicy. To twój świat i twoje życie, nie moje.

Przełknęła ślinę, tuląc się do niego.

– Rozumiem.

Spojrzał na nią bez przekonania.

–Czy tak?

Skinęła głową.

–Muszę iść – szepnęła.

– Zostań ze mną, Camelio – powiedział czule. Nie chciał, żeby odeszła. Nie teraz. Nigdy. – Jeszcze tylko trochę.

Pokręciła głową. Nie mogła zostać z nim ani chwili dłużej. Serce jej krwawiło i nie była w stanie tego znieść.

–Pozwól mi odejść, Simonie. – Nie poruszył się. – Proszę.

Nie miał wyboru. Zsunął się z niej i podniósł spodnie, stojąc do niej tyłem i dając jej chwilę, aby się ubrała.

Camelia walczyła z haftkami gorsetu i wstążkami halek, usiłując ubrać się jak najszybciej. Kiedy w końcu była gotowa, ruszyła w stronę wyjścia z namiotu.

Simon odwrócił się, żeby życzyć jej dobrej nocy.

Ale jej już nie było, tylko płachta namiotu kołysała się lekko, a w chłodnym nocnym powietrzu unosił się delikatny zapach cytrusów i łąk.

To nie tak miało być.

Zareb zmarszczył się, patrząc, jak Camelia wybiega z namiotu Simona z włosami spływającymi na plecy, z żakietem na niedopiętej bluzce. Chociaż w ciemności nie widział jej twarzy, czuł nieomylnie rozpacz, jaka ją przepelniała.

Niedobrze.

Starzał się, pomyślał rozgniewany i zniechęcony. Tylko tak można było wyjaśnić, że nie przewidział bólu, jaki pan Kent zada jego ukochanej Tishy. Nie spodziewał się, że jego moc osłabnie z wiekiem, ale nigdy jej do końca nie rozumiał. Matka ostrzegła, że moc może się nasilać lub słabnąć w różnych momentach życia, w zależności od tego, co się z nim dzieło. Między innymi z tego powodu postanowił nigdy się nie żenić. Tysięczne obowiązki wobec żony i dzieci podkopywałyby jego siłę i osłabiłyby zdolność jasnowidzenia. A chociaż czasami odczuwanie gry sił wokół niego okazywało się przekleństwem, kiedy indziej sprawiało mu nieopisaną przyjemność. Tak, jakby łączyła go ściślejsza więź z siłami nieba i ziemi niż największych szamanów, którzy żyli przed nim.

Na co mu jednak takie zdolności, myślał gniewnie, skoro nie potrafił zapobiec cierpieniu tej, na której najbardziej mu zależało?

–Idź do niej – powiedział do Oskara, który siedział mu na ramieniu, zajadając herbatnika. – Ona cię potrzebuje.

Oskar zeskoczył na ziemię i pobiegł do namiotu Camelii.

Zareb przyglądał się ciemnemu zarysowi postaci Simona, widocznemu na tle płóciennej ściany namiotu. Czyżby mylił się, sądząc, że ten dziwny biały człowiek o płomiennych włosach, w pognicionym ubraniu, będzie tym właśnie, który pomoże zwalczyć ciemny wiatr w Pumulani? A nawet jeśli Kent miałby pokonać siły, które nierozważnie obudził lord Stamford, kopiąc ziemię w tym miejscu, w jaki sposób zapłaci za to Tisha?

Zareb patrzył, jak Simon zdejmuje płócienny pokrowiec z pompy, podnosi jakieś narzędzie i zaczyna coś poprawiać w urządzeniu. Wydawało się przynajmniej, że zależy mu, aby pomóc Camelii w osuszeniu terenu wykopalisk.

To było dobre.

Pokręcił głową, zmieszany walką dobrych i złych mocy, które kłębiły się wokół niego. Nie zawsze potrafił je pojąć. Być może, pomyślał niechętnie, jego podeszły wiek także się do tego przyczyniał.

Wycofał się w ciemność własnego namiotu. Czuł się zmęczony i zdezorientowany.

I zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że nie był jedynym człowiekiem przyczajonym w mroku, który widział, jak Camelia, na pół ubrana, biegnie przez obozowisko.

–Są dobre wieści i gorsze wieści – oznajmił poważnym głosem Oliwier.

Simon zacisnął szczęki i jeszcze raz przekręcił śrubę, którą właśnie wkręcał, niszcząc ją zupełnie.

–Na Boga – mruknął – to piąta przeklęta śruba, którą zniszczyłem, próbując to złożyć do kupy! – Usiadł, uderzając niechcący głową o pompę. – Jezu!

Oliwier zmarszczył brwi.

–Dosyć przywoływania Pańskiego imienia po próżnicy, chłopcze, albo wymyję ci język kawałkiem dobrego mydła od Eunice!

–Nie może smakować gorzej niż to zylaste, suche mięso, jakie jedliśmy na śniadanie – powiedział Simon ze złością, rozcierając głowę.

–To był biltong – wyjaśnił urażony Zareb. – Przyprawione i wysuszone na wietrze mięso antylopy. Dodaje siły

–Samo trawienie go odbiera mi wszystkie siły – mruknął Simon. – Czuję się tak, jakbym zjadł stary trzewik. Jakie są te dobre wieści?

Twarz Oliwiera się rozjaśniła.

–Dobre wieści są takie, że pytałem wszystkich dookoła i twierdzą, że pora deszczowa już się skończyła. Do następnego października czekają nas tylko suche dni.

–Cudownie – stwierdził przeciągle Simon. – Nie musimy się przynajmniej martwić o to, że więcej wody zaleje tę błotnistą dziurę. – Pogrzebał niecierpliwie w pudle z narzędziami, szukając następnej śruby. – Jaka jest zła wiadomość?

–Cóż, chłopcze, obawiam się, że mamy drobny kłopot, jeśli chodzi o drewno na opał, o jakie prosiłeś.

–Jaki kłopot?

–Tu nie ma żadnego drewna.

Simon podniósł głowę zaskoczony.

–Jak to nie ma żadnego?

–Rozejrzyj się, chłopcze. – Oliwier zatoczył koło chudymi ramionami. – Jest tu trochę trawy i mnóstwo krzaków, ale nie ma drzew, chyba że liczyć te parę patyków, które da się ściąć najwcześniej za parę lat.

Zdumiony Simon uświadomił sobie, że Oliwier ma rację. Poza paroma młodziutkimi drzewkami i krzakami o witkowatych gałęziach, w polu widzenia nie było żadnych drzew. Zmieszany spojrzął na Zareba.

–Gdzie są drzewa, Zarebie?

–Były drzewa kiedyś, dawno temu – odparł służący. – Ale plemiona, które tu mieszkały, ścięły je, żeby zbudować chaty i palić ogień.

–Potem przyszli Burowie – dodał Senwe – i ścięli jeszcze więcej drzew, tak żeby ziemia nadawała się pod uprawę.

–Potem przyszli górnicy – ciągnął Badrani – żeby szukać diamentów wzdłuż rzek Vaal i Pomarańczowej i pościnali drzewa na swoje chaty i ogniska.

Zareb skinął głową.

–Potem przyszli handlarze drewnem i pościnali drzewa, jakie się jeszcze uchowały, żeby je zabrać do kopalń i sprzedać górnikom...

–Potem nastaly deszcze – zaczął Senwe – i...

–Rozumiem, nie zostały żadne drzewa. – Simon pocierał skronie, próbując pozbyć się rwącego bólu pod czaszką, który prześladował go od rana. – No to co takiego palono zeszłej nocy w ogniskach?

–Suche łajno.

Podniósł zdumiony wzrok na Badraniego.

–Łajno? Odchody zwierzęce?

Senwe skinął głową.

–Tak jest.

–I tego właśnie powinienem użyć, żeby pompa działała?

–Nie możemy powiedzieć, czego powinienes użyć – powiedział Zareb. – Możemy tylko powiedzieć, że nie mamy drewna. Mamy suszone łajno wołów.

–A jak się pali łajno wołów?

–Ogień jest niski i powoduje dużo dymu – przyznał Badrani.

–No i jeśli łajno nie jest dobrze wysuszone, zapach bywa nieprzyjemny – dodał Senwe.

Wspaniale, pomyślał ponuro Simon. Nie może już być lepiej.

–Dobrze zatem. Oliwierze, Senwe i Badrani, przynieście mi, proszę, tyle wolego nawozu, ile zdołacie i rozpalmy ogień. Niech inni pomogą wam je nosić, jeśli trzeba. Ogień musi być naprawdę gorący, żeby należycie podgrzać boiler. Osuszenie wykopalisk zajmie zapewne parę dni, więc będziemy tego potrzebowali bardzo dużo.

–Tak, panie Kent. – Senwe się skłonił.

–Nie martw się, chłopcze – powiedział Oliwier na widok smętej miny Simona. – Przyniesiemy ci najlepsze łąjno, jakie znajdziemy.

–Nie martwię się – zapewnił Simon. – Chcę tylko uruchomić wreszcie pompę.

–No cóż, wobec tego nie traćmy czasu na gadanie – zawołał Oliwier. – Bierzmy się do pracy.

Simon patrzył, jak stary Szkot, w doskonałym humorze, oddał się w towarzystwie nowych afrykańskich przyjaciół. Suszone łąjno. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Potem stał perlący się na czole pot brudnym rękawem i ukucnął ponownie, wracając do poprzedniego zajęcia.

Nie mógł zasnąć po odejściu Camelii, tak więc resztę nocy spędził, próbując złożyć pompę. Niestety, zadanie okazało się dużo trudniejsze, niż się spodziewał. Trzy tygodnie na morzu, w wilgotnym, słonym powietrzu spowodowały korozję niektórych części i kilka zębów w trybach nieco się wyszczerbiło. Simon przypuszczał, że musiało do tego dojść w trakcie podróży. Naprawa szkód zajęła mu parę godzin i nie był wcale pewien, czy udało mu się dokonać tego w takim stopniu, żeby pompa rzeczywiście działała bez przeszkód.

Jeszcze jedna rzecz, żeby psuć mu humor.

– Wszystko w porządku, Kent?

Simon zmrużył oczy w słońcu, podnosząc wzrok na stojącego nad nim Elliotta. Elliott miał na sobie doskonale uszyty garnitur z kremowymi spodniami, zadziwiająco świeżą, wyprasowaną koszulę z nienagannie zawiązanym krawatem i marynarkę w kratę w kolorze kości słoniowej i szarym. Modny słomkowy kapelusz z szerokim rondem dopełniał całości. Wyglądał, jakby miał wziąć udział w pikniku czy jakimś przyjęciu w ogrodzie, a nie pracować na błotnistym terenie wykopalisk w sercu Afryki Południowej.

–Dzień dobry, Wickham – powiedział uprzejmie Simon. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś w nocy?

–W porządku. A ty?

–Jak niemowlę – skłamał Simon.

–Jak tam twoja pompa? – zapytał Elliott, przyglądając się urządzeniu, które Simon składał. – Wydaje się, że długo nad nią pracowałeś. – Uniósł pytająco brew. – Czy wszystko idzie dobrze?

–Idzie świetnie. Za parę godzin powinna działać.

–Miło mi to słyszeć. Wiem, że Camelia chce jak najszybciej przystąpić do dalszych prac. Im szybciej pozbędziemy się wody, tym szybciej zabierzemy się do kopania.

–Ten zapal to u ciebie chyba coś niezwykłego, Wickham. Zawsze odnosiłem wrażenie, że nie popierasz planów Camelii co do dalszego prowadzenia wykopalisk.

–Nie popieram tego, żeby Camelia rujnowała sobie życie, goniąc za marzeniami ojca – odparł Elliott. – Im szybciej osuszymy teren, tak żeby tubylcy mogli kopać, tym szybciej Camelia zda sobie sprawę, że tu nie ma niczego godnego uwagi.

Simon zerknął na niego ciekawie.

–Skąd ta pewność, że tu nic nie ma?

–Poświęciłem tym wykopaliskom piętnaście lat życia. Camelia była dzieckiem, kiedy przyjechałem, żeby pomagać jej ojcu. Przez lata głęboko wierzyłem w istnienie „Grobowca Królów”, głównie dlatego, że lord Stamford namiętnie o tym zapewniał. Ale mijały lata, a my niczego nie znajdowaliśmy i zacząłem podawać w wątpliwość, czy grobowiec w ogóle istniał. W momencie śmierci Stamforda podjąłem decyzję, że nie będę więcej tracić życia na poszukiwanie czegoś, co jest zapewne jedynie bajką opowiadaną przez Kafrów.

–Większość bajek ma w sobie ziarenko prawdy – zauważył Simon. – Częściowo dlatego właśnie tak długo trwają.

–Mówisz o ludziach, którzy mają opowieść na każdą okoliczność, włącznie z tym, jak słońce i księżyc zaczęły rządzić niebem. To tylko dziecinne mity, nic więcej.

Simon wzruszył ramionami.

–Nie jest czymś dziwnym sądzić, że plemię grzebie swoich królów w jakimś specjalnym miejscu.

–Jeśli tak jest, nie znajdziemy więcej niż parę rozkładających się kości i połamanych muszelek. Niezależnie od tego, jak jest to fascynujące dla Camelii, nie wystarczy, żeby uzyskać fundusze na wypłaty dla tubylców i dalsze prace. Powinna sprzedać ziemię na tyle korzystnie, na ile się da, i wracać do domu.

–Camelia uważa, że tutaj jest jej dom.

–Ten kawałek zapomnianej przez Boga ziemi na pustkowiu nie jest jej domem – sprzeciwił się Elliott. – To szaleństwo, podobnie jak w wypadku jej ojca.

–Skoro jesteś taki pewien, że ten grunt jest bezwartościowy, to co tutaj robisz?

–Camelia mnie potrzebuje, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie. Jestem jedynym człowiekiem, który może pomóc jej pogodzić się z faktem, że tutaj niczego już nie da się znaleźć. Musi to zrozumieć, zanim doprowadzi się do ruiny, całkowicie przepuszczając skromne środki, jakie zostawił jej ojciec.

–A czego się po niej spodziewasz, kiedy już pomożesz jej to sobie uświadomić?

–Jest mnóstwo rzeczy, którymi mogłaby się zająć – oznajmił Elliott. – W Londynie jest wiele kobiecych komitetów, które zbierają pieniądze na różne cele dobroczynne, muzea, sztukę. Kobieta o inteligencji i zdecydowaniu Camelii bez trudu znajdzie sposób, żeby wypełnić sobie czas.

–Ale ona nie lubi Londynu, Wickham. Z pewnością musisz zdawać sobie z tego sprawę.

– Ona nie zna Londynu – stwierdził Elliott. – Pojechała tam tylko po to, żeby zdobyć pompę i zebrać fundusze na wykopaliska, nie po to, żeby poznać ludzi i cieszyć się życiem

miasta. Kiedy się pobierzemy, nauczy się je lubić. A jeśli miasto będzie ją przytłaczać, zawsze może pobyć w wiejskiej rezydencji.

– Widzę, że wszystko przemyślałeś.

– Tak. – Elliott spojrział przenikliwie na Simona. – Przemyślałem.

Strącił drobinę kurzu z nieskalanej czystej marynarki i poprawił kapelusz.

– Zostawiam cię z pompą, Kent. Im szybciej ją uruchomisz, tym szybciej Camelia przekona się, że tu nic nie ma. Wtedy wszyscy przestaniemy marnować czas i wrócimy do domu.

Simon popatrzył w ślad za nim, po czym podniósł klucz francuski i zaczął dokręcać śruby. Wickham, jak sobie uświadomił, naprawdę zupełnie jej nie rozumiał.

Nie mogę opuścić Afryki, powiedziała Camelia zeszłej nocy. A Simon, spoglądając w jej pełne cierpienia oczy nie miał wątpliwości, że mówi prawdę. Mogła się mylić co do „Grobowca Królów”, ale to nie grobowiec ją tutaj trzymał. Miała w sobie żar i surowe piękno Afryki. Stąd czerpała energię życiową i poczucie sensu. A знаła siebie na tyle, żeby wiedzieć, że nigdzie indziej nie będzie szczęśliwa.

Elliott był głupcem, jeśli tego nie dostrzegł.

Ale Simon był jeszcze większym głupcem, oddając duszę kobiecie, która nigdy nie odda mu serca tak, jak oddała swej ukochanej krainie.

IV

Namiętnym szeptem

Camelia siedziała na ziemi, przyglądając się wielkiemu kamieniowi, który leżał tuż za oznaczonym palikami **terenem** wykopalisk

Był to imponujący kawałek skały, o wysokości niemal dwóch metrów i szerokości ponad półtora metra w najszerszym miejscu. Jego krawędzie wygładziły się w ciągu tysięcy lat silnych wiatrów i deszczów, które nawiedzały Pumulani w porze deszczowej, a pomalowane wyżłobienia na jego powierzchni wytarły się i wyblakły. Pod wieloma względami ta skała nie różniła się od setek innych malowideł naskalnych, które jej ojciec zgromadził i opisał w ciągu wielu lat.

Lord Stamford jednak, od chwili znalezienia owego kamienia, powziął przekonanie, że malowidło zawiera sekret położenia „Grobowca Królów”.

– Nie mam więcej orzechów – zwróciła się stanowczo do Oskara, kiedy małopka wsunęła łapkę do kieszeni jej pomiętego, płóciennego zakietu. – Zjadłeś wszystkie.

Oskar usiadł na tylnych łapkach i wskazał oskarżycielsko Harriet i Ruperta.

– Harriet zjadła parę, a ja najwyżej pięć – powiedziała Camelia, przyglądając się uważnie rysunkom kamienia zachowanym w dzienniku ojca. – A Rupert nie lubi orzechów. To znaczy, że to ty musiałeś zjeść resztę, Oskarze. Będziesz miał szczęście, jeśli nie rozboli cię brzuch.

Oskar podskoczył i zaczął się kręcić w kółko, pokazując, jak bardzo jest sprawny i zdrowy.

–No dobrze. Ale nie namawiam cię, żebyś jadł więcej, chyba że chcesz, żeby Zareb zabrał cię do swojego namiotu i rozpałił wokół ciebie ogniska i zaczął ci dawać swoje paskudne lekarstwa.

–Moje leki nie są paskudne – sprzeciwił się Zareb, podchodząc do nich.

Oskar podbiegi do Camelii i wspiał się na jej ramię, chcąc uniknąć ewentualnego napojenia eliksirem Zareba.

–Jak się miewa pompa? – zapytała Camelia, podnosząc oczy znad książki.

–Tak samo, jak w zeszłym tygodniu. Działa przez parę minut, czasami na tyle długo, żeby wydobyć kilkanaście wiader wody. Potem coś się dzieje i przestaje pracować.

–Czy Simon wie, dlaczego?

–Nie jest pewien. Woda jest ciężka od błota, więc pompa musi mieć większą moc, żeby ją wyciągnąć. A chociaż w jego przekonaniu pompa jest teraz silniejsza, to ogień jest słaby, bo pali się w nim suchy nawóz. To ma wpływ na wytwarzanie pary, a to z kolei wpływa na moc mechanizmu pompującego.

Zagłębiła się ponownie w dzienniku ojca, usiłując ukryć rozczarowanie.

– Rozumiem.

Zareb usiadł na ziemi obok niej, poprawiając szaty, aż rozlały się wokół niego lśniąca kałuża szkarłatu i szafiru. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, zauważając ściągnięte brwi i zaciśnięte w niemej determinacji zęby. Zmieniła się, odkąd udali się do Londynu, pomyślał Zareb, zarazem dumny i zmartwiony. Był w niej smutek, oczywiście, kiedy wyjechali. Była pustka i poczucie straty po śmierci ojca, a także niepokój, jaki się odczuwa, oddalając od ukochanego domu. Jednak Zareb widział, że ten smutek, który nosiła w sobie teraz, różnił się od tamtego smutku.

–Czy przemawia już do ciebie, Tisho? – zapytał cicho. Spojrzała zmieszana.

–Czy co do mnie przemawia?

–Kamień. Czy zdradził ci już swoją tajemnicę?

Camelia zdołała roześmiać się lekko.

– Gdyby tak było, nie siedziałabym przed nim dzień po dniu, jak mój ojciec, próbując odgadnąć znaczenie tych postaci.

– Zatem zacznijmy od postaci. Jak myślisz, co one ci mówią?

Przez chwilę wpatrywała się w skałę.

– To wygląda jak zwykła scena polowania, ze stadem antylop otoczonym przez łowców. Ale gwiazdy na górze wskazują, że jest noc, zatem scena ma jakieś mityczne znaczenie. Lew stojący przodem do stada może oznaczać niebezpieczeństwo dla antylop albo myśliwych, albo jednych i drugich. Albo sam lew może być w niebezpieczeństwie, stratowany przez antylopy czy zastrzelony przez łowców – Pokręciła głową. – Ojciec był przekonany, że ten kamień zawiera wskazówkę, gdzie znajduje się „Grobowiec Królów”, ale nigdy nie zdołał jej rozszyfrować. Czasami przychodzi mi do głowy, że może nie kopujemy we właściwym miejscu.

– To zależy od tego, czego szukasz.

–Wiesz, Zarebie, czego szukam. Chcę znaleźć grobowiec, którego mój ojciec poszukiwał całe życie.

–Twój ojciec szukał wielu rzeczy, Tisho. „Grobowiec Królów” był tylko jedną z nich.

–Ale najważniejszą. Oddałby wszystko, żeby go odnaleźć przed śmiercią.

Zareb przeniósł wzrok na skałę i nie odpowiedział.

– Tęsknię za nim – powiedziała cichym głosem Camelia, przesuwając palcami po wyblakłych kartkach ojcowskiego dziennika. – Żałuję, że go tu nie ma i nie może mi powiedzieć, co powinnam zrobić.

–Ojciec nigdy ci nie mówił, co powinnaś zrobić, Tisho. Kochał cię i pozwolił, żebyś sama zdecydowała, czego chcesz.

–Chciałam zostać archeologiem, tak jak on. Spędzić życie, wydobywając spod ziemi tajemnice Afryki.

–Niektóre tajemnice należy zostawić w spokoju. One albo się same ujawnią, albo pozostaną w ukryciu. To nie ty dokonujesz wyboru.

Popatrzyła na niego zmieszana.

–Czy chcesz powiedzieć, że nie jest mi dane odnaleźć grobowca?

– „Grobowiec Królów” albo pozwoli się odnaleźć, albo nie. Ty możesz tylko zdecydować, ile z siebie dasz podczas tych poszukiwań.

– Poświęcę się cała. Jak mój ojciec.

–Twój ojciec miał jeszcze inne rzeczy w życiu, Tisho. Poszukiwania grobowca stanowiły tylko małą część wszystkiego.

–Dokonał innych odkryć w trakcie swojej kariery, ale żadne nie zostało uznane za znaczące w światku archeologów, głównie dlatego, że dotyczyły Afryki.

– Nie mówię o jego pracy, Tisho. Mówię o jego życiu.

– Praca była jego życiem.

Zareb pokręcił głową.

–Kiedy poznałem lorda Stamforda, był człowiekiem o rozdartej duszy. Tubylcy nazywali go Talib, czyli „Ten, który szuka”.

–To sensowne, zważywszy, że był archeologiem.

–Oni nie mieli pojęcia, co oznacza być archeologiem. Nie byli w stanie zrozumieć, po co biały człowiek wykopuje z ziemi coś, co pozostawili ci, którzy odeszli. Nazywali go Talibem, ponieważ czuli, że jest nieszczęśliwy. Wierzyli, że przybył do Afryki, aby odnaleźć to, czego mu brakowało.

–Niczego mu nie brakowało z wyjątkiem uznania w środowisku archeologów.

–Patrzysz na niego swoimi oczami. Widzisz jego miłość do ciebie. Zanim z nim zamieszkałaś, był innym człowiekiem. Przepelniała go straszliwa pustka. Nawet miłość do Afryki nie mogła jej wypełnić.

–Ależ miał wszystko – sprzeciwiła się Camelia. – Tytuł, pracę, żonę i dziecko...

–Żonę i córkę, które mieszkały za oceanem.

–Przypuszczam, że tęsknił za nami – przyznała Camelia. – Ale praca była dla niego bardzo ważna. Spełniał się w niej.

– A jednak gotów był ją porzucić dla ciebie.

Spojrzała zaskoczona.

– Nigdy mi tego nie powiedział.

Zareb utkwił wzrok w kamieniu, nic nie mówiąc.

Bardzo przypominała ojca – ta kochana dziewczyna, którą tyle lat wcześniej powierzono jego opiece. Obdarzona silną wolą. Inteligentna. Zdecydowana. Może odrobinę samolubna – w taki sposób, w jaki muszą być samolubni ludzie przeznaczeni do wielkich rzeczy – gotowa bronić swojego czasu, swojej pracy, swego serca. Ale stawała się coraz bardziej nieszczęśliwa, Zareb dostrzegał to wyraźnie w ciągu tygodnia, odkąd zobaczył, jak wybiega w noc z namiotu Simona. Czuł, że biały wynalazca także popada w rozpacz.

Między nimi szalał ogień i ani czas, ani ściana, jaką między sobą wzniesli, nie zdoła osłabić płomieni.

– Zanim umarła twoja matka – zaczął cicho – lord Stamford zdawał sobie sprawę, że płacisz za jego pracę ogromną cenę. I nadszedł czas, kiedy nie chciał, żebyś ją dłużej płaciła. Po śmierci matki sprowadził cię tutaj, nie dlatego, że zamierzał wychować cię w Afryce, ale dlatego, że pragnął porzucić wykopaliska i wrócić z tobą do domu, do Anglii.

Camelia zmarszczyła brwi.

–Jeśli miał porzucić wykopaliska, dlaczego mnie tu przywiózł? Dlaczego po prostu nie zostawił mnie w Anglii do swojego powrotu?

–Byłaś tylko małą dziewczynką, Tisho, i właśnie straciłaś matkę. Byłaś samotna i przerażona. Ojciec rozumiał, że go potrzebujesz. Byli tacy, którzy twierdzili, że trzeba cię wysłać do szkoły. Ciotka twojej matki chciała cię wziąć do siebie, zapewniając jego lordowską mość, że wychowa cię na prawdziwą młodą damę, podczas gdy on poświęci się nadal swojej pracy. Ojciec nie chciał się na to zgodzić. Kochał cię i chciał sam się tobą opiekować, nawet jeśli to by oznaczało przerwanie pracy.

–Dlaczego więc tego nie zrobił?

–Bo kiedy się tu zjawiałaś, przekonał się, że Afryka przemawia do ciebie, Tisho. Tak jak do niego.

–To chyba oczywiste – stwierdziła Camelia. – Z chwilą, kiedy się tu znalazłam, poczułam, że wróciłam do domu.

–Wtedy także twój ojciec poczuł się w domu, kiedy zobaczył, że jesteś szczęśliwa. Ale to nie miejsce było jego domem, Tisho, tylko ty.

–Przypuszczam, że mogłam być częścią tego – zgodziła się Camelia. –Ale tu było jego miejsce. Nigdy nie zaznałby szczęścia, gdyby wrócił do Anglii.

–Pragnął być z tobą, Tisho, bez względu na miejsce. Ty byłaś jego domem.

Camelia się zmieszała.

–Dlaczego mi to mówisz, Zarebie?

–Coś się w tobie zmieniło, Tisho – powiedział z poważną twarzą. –Jest w tobie smutek, jakiego przedtem nie było, i to mi sprawia ból.

–Tęsknię za ojcem.

–I będzie tak przez resztę życia. Ale smutek, jaki w tobie czuję, nie bierze się z tęsknoty córki za ojcem.

Odwróciła wzrok, zawstydzona i niepewna.

–Moje życie jest tutaj, Zarebie – powtórzyła cicho. – Nic nie może tego zmienić.

–To tylko część twojego życia – odparł Zareb. – To ta część, która wytworzyła potężną więź między tobą a ojcem i to jest dobre. Ale to nie jest twoje całe życie. Wiele się jeszcze zdarzy. To jest to, na co możesz wpływać.

Podniósł się, otrzepał szaty z kurzu, potem wznosił oczy ku niebu.

–Wiatr zaczyna się przesuwac – powiedział, obserwując, jak delikatne chmurki owijają się cienkim welonem wokół poszarpanych szczytów górskich.

–Czy to znaczy, że ciemny wiatr wreszcie przestanie wiać? – Camelia starała się mówić lekkim tonem. – Myślę, że przydałaby się nam odrobina szczęścia.

Zareb patrzył na niebo w milczeniu, starając się wyczuć siły kłębiące się wokół. Coś się zbliżało, to było równie wyczuwalne i pewne, jak stały rytm uderzeń jego serca.

Coś potężnego.

Zamknął oczy i wyteżył zmysły, otwierając się na oślepiającą jasność słońca, pieszczotę wiatru rozwiewającego jego szaty, ostry zapach ogniska z krowiego nawozu.

Strzeżcie się, szepnął wiatr tak cicho, że Zareb nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

Strzeżcie się.

Pot zaczął mu spływać po czole, kiedy usiłował usłyszeć i zrozumieć.

Strzec się czego? Tego miejsca? Człowieka? Ducha? Grobowca? Powiedz mi, błagał, rozkładając szeroko ramiona. Powiedz mi...

– Co to jest? – zapytała nagle Camelia głosem pełnym niepokoju. – Co słyszysz?

Wiatr umilkł.

Zareb otworzył oczy. Camelia patrzyła na niego z przestachem. Widocznie ona sama też coś usłyszała.

–Musimy być ostrożni, Tisho. – Jego głos nie zdradzał niepokoju. – Ciemny wiatr wciąż wieje.

–Co usłyszałeś, Zarebie?

–Tylko ostrzeżenie – odparł Zareb zgodnie z prawdą. – Duchy chronią to miejsce. Musimy uważać, żeby im się nie narazić.

Popatrzyła na malowidło na kamieniu, rozważając słowa Zareba.

–Jeśli „Grobowiec Królów” naprawdę nie chce, abym go odnalazła, już dawno by mnie stąd przegoniono.

–Są tacy, którzy powiedzieliby, że spowodował śmierć kilku twoich ludzi i wielu zniechęcił do pracy tutaj. Zesłał miesiące suszy i miesiące ulewnych deszczów. Korytarze, które robiono tygodniami, zawaliły się, maszyna została zniszczona albo nie działa, a pieniądze, których potrzebujesz na dalsze prace, zostały wydane. Napadnięto cię w Londynie, zrujnowano dom twojego ojca, a podczas podróży tutaj byłeś tak chora, że obawiałem się o twoje życie. – Dokończył niemal z błagalnym wyrazem twarzy: – Czy nie sądzisz, Tisho, że to wszystko miało cię zniechęcić do pozostania tutaj?

–Może – odparła Camelia, wciąż wpatrując się w malowidło. Obrysowała palcami postać lwa. – Albo może to kolejne wyzwania, rodzaj próby, której jestem poddawana, żeby sprawdzić, czy zasługuję na to, aby odkryć „Grobowiec Królów”.

Zareb przyglądał się jej w milczeniu. Oczywiście, że wyjaśniła to sobie po swojemu. Krew lorda Stamforda płynęła w żyłach dziewczyny, a jej ojciec nie należał do ludzi, którzy cofają się przed wyzwaniami.

Nawet jeśli to wyzwanie stanowiła samotna, krucha dziesięcioletnia dziewczynka, która błagała ojca, żeby nie odsyłał jej do Anglii,

– Co to za hałas? – zapytała Camelia, spoglądając w kierunku wykopalisk.

– Brzmi jak wiwaty – stwierdził Zareb.

Camelia wstała z ziemi, osłaniając oczy przed słońcem.

– Czy to Oliwier tam tańczy?

– Tak, z Senwe i Badranim. – Zareb uśmiechnął się. –Przypuszczam, że cieszą się, bo pompa pana Kenta wreszcie zaczęła działać Posłuchaj, jak pracuje.

Camelia przechyliła głowę, słuchając rytmicznego sapania pompy

– Udało mu się! – zawołała radośnie. – Wiedziałam, że mu się uda!

– Pójdziemy zobaczyć?

Przebiegła parę kroków, po czym zatrzymała się nagle.

–Idź, Zarebie. Ja muszę tu jeszcze coś zrobić.

–Jesteś pewna, Tisho?

Usiadła z powrotem na ziemi przed kamieniem, otwierając dziennik ojca.

– Jestem pewna. Później mi powiesz, jak się sprawuje pompa.

Zareb walczył z instynktem, który kazał mu nad nią czuwać, zdając sobie sprawę, że w tej chwili potrzebna jej samotność.

– Dobrze. Zostań z Tishą – poinstruował Oskara, który zsunął się z ramienia Camelii, zamierzając wspiąć się na Zareba. – Przybiegnij po mnie szybko, jeśli będzie chciała.

Oskar usadowił się posłusznie na pobliskim kamieniu.

Zareb odwrócił się i ruszył w stronę terenu wykopalisk, gdzie Oliwier, jak się wydawało, uczył Badraniego i Senwe kroków **jaki**egoś szkockiego tańca. Dwaj Hotentoci zwijali się ze śmiechu, naśladując dziwne, gwałtowne ruchy Oliwiera – ku uciesze pozostałych tubylców.

Zareb postanowił sprawdzić, jak działa pompa. Potem zamierzał wrócić i odprowadzić Camelię do obozowiska. Ostrzeżenie, jakie przyniósł wiatr, było jasne.

Zbliżało się niebezpieczeństwo.

14

–Oskarze, spójrz tylko, jaki robisz bałagan – powiedziała Camelia. Czy musisz jeść te owsiane ciasteczka na moim biurku?

Oskar wpakował sobie resztę ciasteczek do pyszczka, powodując, że deszcz okruszków spłynął na książki i papiery.

– A poza tym, to skąd je wzięłeś? – mruknęła, strzepując na ziemię okruszki z dziennika ojca. – Nie pamiętam, żebym pakowała owsiane ciasteczka.

Oskar podniósł pióro Harriet, które wypadło jej z ogona i przyłożył je sobie do czoła.

– Jeśli dostajesz je od Oliwiera, to będę wdzięczna, jeśli zjesz w jego namiocie – powiedziała Camelia surowo. – Chodź, Harriet, **może** mogłabyś posprzątać trochę tych okruszków.

Wyciągnęła w stronę ptaka kawałek herbatnika, zachęcając, żeby porzuciła miejsce na oparciu krzesła i sfrunęła na biurko po okruszki.

–Od tej chwili w moim namiocie obowiązuje ścisły zakaz jedzenia. Nie mogę dopuścić, żebyś tak bałaganił, kiedy ja usiłuję pracować.

Oskar popatrzył na nią ponurym wzrokiem.

–Rupert nigdy nie je w moim namiocie. – Camelia spojrzała **na** zwiniętego na środku jej pryczy węża. – Wychodzi na zewnątrz **lapie** małą jaszczurkę albo tłustą myszkę, potem wraca, zwiija się w kłębek i trawi. Nigdy nie robi wokół siebie bałaganu.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że węże są takie czyste – odezwał się cichy, lekko kpiący głos.

Camelia wciągnęła gwałtownie powietrze i odwróciła się – u wejścia do namiotu stał Simon.

–Muszę o tym powiedzieć mojemu młodszemu bratu, Byronowi – stwierdził. – Mógłby to dodać do listy powodów, dla których węże są znakomite jako zwierzęta domowe, żeby przekonać o tym rodziców. – Uniósł pytająco brew. – Czy mogę wejść, Camelio, czy postanowiłaś konsekwentnie mnie unikać?

–Nie unikam cię, Simonie – odparła niewinnym tonem, porządkując książki i papiery na biurku. – Byłam po prostu bardzo zajęta.

–Tak też zapewniał Zareb. Jeśli nawet, to sądziłem, że mogłabyś poświęcić parę chwil swojego cennego czasu, żeby zobaczyć, jak działa pompa. Pracowałem nad nią przez tydzień w dzień i w nocy. Przez moment bałem się nawet, że nie będzie się nadawała do usuwania wody z błotem.

W jego głosie zabrzmiało znużenie. Przestała porządkować biurko i podniosła głowę.

Miał ciemne kręgi pod oczami, a na czole więcej bruzd niż poprzednio. Jego włosy stanowiły dziką rudozłotą płataninę, która musiała nieustannie przyciągać uwagę tubylców, jako że teraz, pod wpływem słońca, jeszcze bardziej przypominały barwę ogień niż w noc, kiedy przyjechali. Afrykańskie słońce opaliło jego skórę na brązowo, ale czerwone plamy na nosie i policzkach wskazywały, że zbyt długo wystawiał się na jego palące promienie. Szczękę porastał mu kilkudniowy zarost; nieco zapadłe policzki świadczyły o tym, że nie zwracał sobie zbyt głębi głowy ani goleniem, ani jedzeniem. Miał na sobie zwykłą białą, pogniecioną koszulę z podwiniętymi rękawami; na lewym przedramieniu widniał bandaż. Spodnie, mocno wygniecione, ale czyste, wskazywały, że umył się i przebrał, zanim przyszedł się z nią zobaczyć.

– Przykro mi – powiedziała, ogarnięta poczuciem winy. – Kiedy usłyszałam, jak pompa w końcu działa i wszyscy wiwatują, chciałam przybiec i zobaczyć to na własne oczy. Czułam taką ulgę, byłam podniecona i szczęśliwa, też chciałam krzyczeć z radości. Pewnie gdybym tam była, sama spróbowałabym tego śmiesznego tańca, którego Oliwier uczył Badraniego i Senwe.

–No to dlaczego nie przyszałaś? – zdziwił się Simon.

Odwróciła głowę.

–Chyba dlatego, że nie wiedziałam, jak się wobec ciebie zachować.

–Myślę, że mogłaś zachować się dokładnie tak samo, jak po tamtej nocy w moim gabinecie w Londynie. Nie wydaje się, żeby wtedy był to dla ciebie jakiś kłopot.

–W Londynie to ty mnie unikałeś – zauważyła Camelia. – Zamknąłeś się w jadalni i nie wychodziłeś przez tydzień.

Zdziwiony uniósł brwi.

–Tak myślisz? Że cię unikałem?

–A tak nie było?

–Pracowałem nad pompą. Kiedy pracuję nad wynalazkiem, pogrążam się w tym całkowicie, wykluczając wszystko inne, włącznie ze snem, jedzeniem i kontaktami z resztą ludzkości. To jedna z rzeczy, co do których moja rodzina usiłuje mnie przekonać, że nie są normalne. – Pokręcił markotnie głową. – Przypuszczam, że to rzeczywiście nie jest normalne, jest normalne tylko dla mnie. Tak jak mieszkanie w namiocie na środku afrykańskiej równiny i poszukiwanie mitycznego, starożytnego grobowca jest normalne dla ciebie.

Camelia spojrzała niepewnie.

– Nie możemy zmienić tego, co zaszło między nami, Camelio. – Mówił cicho, z rezygnacją. – A nawet gdybyśmy mogli, choćby to się wydawało niewłaściwe dla dżentelmena, nie zrobiłbym tego. Jediną rzeczą, nad którą mamy kontrolę, są nasze odczucia. Ja, ze swej strony, nie zamierzam pozwolić tej – przerwał, szukając odpowiedniego słowa – sile, która wydaje się istnieć między nami, zaszkodzić twoim badaniom. Powiedziałem, że zbuduję pompę i wyszkolę ludzi, żeby ją obsługiwali. Zamierzam wypełnić to zobowiązanie, niezależnie od tego, czy będziesz mnie unikać przez resztę pobytu, czy nie. Tyle ci chciałem powiedzieć. – Podniósł płachtę namiotu, żeby wyjść.

– Poczekaj.

Zatrzymał się, patrząc wyczekująco.

–Co się stało z twoją ręką?

–Przeciąłem ją na jednej z łopatek pompy – odparł, wzruszając ramionami. – To nic takiego.

–Czy pokazałeś to Zarebowi?

–Zareb bardzo uprzejmie zaoferował, że wysmaruje ranę łajnem i sadłem antylopy. Nie przyjąłem jego oferty.

–A Oliwier?

–Oliwier uznał, że trzeba mi upuścić krwi. Kiedy kazałem mu odłożyć nóż, zapytał Zareba, czy wie, gdzie można znaleźć dobre, głodne pijawki. Zareb powiedział, że znajdzie larwy, które, jak to ujął, wyssa z mnie krew równie dobrze, jak zrobiłyby to angielskie pijawki. Wtedy wyszedłem, żeby obandażować ranę.

–Pozwól mi spojrzeć.

–To tylko zadrapanie, Camelio.

–Tutaj nawet zadrapanie może okazać się śmiertelnie niebezpieczne, jeśli się go właściwie nie opatrzy. Usiądź i pozwól mi obejrzeć ranę.

Simon westchnął i niechętnie usiadł na krześle

–Umyłeś to przynajmniej? – zapytała, ostrożnie rozwijając pas płótna.

–Tak.

–Trudno byłoby się domyślić. – Zmarszczyła brwi, przyglądając się odkrytej ranie. – Wydaje się brudna.

–Spieszyłem się.

–Trzeba to przemyć jeszcze raz; sądzę też, że przydałoby się założyć parę szwów, żeby zamknąć ranę – uznała. – Inaczej stale będzie się otwierać i możesz dostać zakażenia.

–Nie pozwolę Zarebowi ani Oliwierowi do siebie podejść: Oliwier pociąłby mi drugą rękę, a Zareb obłoży mnie larwami. Wolę zaryzykować zakażeniem.

–Ja to zrobię.

Spojrzał z niedowierzaniem.

– Wiesz, jak zaszyć ranę?

–Tak. Dziwi cię to?

–Nie bardziej niż wszystko inne, czego się o tobie dowiedziałem – odparł, wzruszając ramionami.

–Ojciec nalegał, żebym się nauczyła opatrywać rany, kiedy miałam piętnaście lat. Był podobny do ciebie, trochę przeczulony.

–Nie jestem przeczulony – zaprotestował urażony Simon.

–Cóż, nie ufał metodom tubylców na leczenie różnych dolegliwości – sprostowała Camelia, nalewając wody z metalowego dzbana do miski. – Tak więc kiedyś, kiedy mieszkaliśmy w domu w Cape Town, sprowadził doktora, żeby udzielił mi lekcji opatrywania ran, zwichnięć, oparzeń i tym podobnych. – Zanurzyła ściereczkę w misce i wyjęła mydło. – Uznał, że takie umiejętności będą przydatne podczas wykopalisk. – Podeszła do obszernego kufra koło pryczy i zaczęła szukać torby z medykamentami.

–Co za niezwykle pragmatyczne podejście.

–Mój ojciec bywał bardzo pragmatyczny, kiedy mu to odpowiadało. – Otworzyła torbę i wydobyła igłę, nici, kilka pasków czystego płótna i słoik maści. – Chyba że chodziło o pracę. Wtedy nie przejmował się żadnymi przeszkodami, nawet jeśli inni uważali, że powinien się wycofać.

–Czasami łatwiej jest się nie wycofywać.

–Co masz na myśli? – zapytała zaskoczona.

–Poddanie się oznacza, że musisz przeznaczyć swój czas i energię na co innego. Jeśli rezygnujesz z czegoś niewielkiego, to nie jest trudne. Kiedy jednak wycofujesz się z czegoś, co stanowiło treść twojego życia, dużo trudniej jest pogodzić się z porażką i pójść dalej.

–Mój ojciec nie popełnił błędu, poświęcając kawał życia na poszukiwanie „Grobowca Królów”. Niektóre najważniejsze odkrycia na świecie dokonywały się w wyniku wielu lat ciężkiej pracy i niezachwianej wiary w powodzenie. Wiesz o tym.

–Było też mnóstwo ludzi, którzy poszukiwali czegoś całe życie, nie znajdując niczego.

– „Grobowiec Królów” istnieje, Simonie. Jestem tego pewna.

–Nie twierdzą, że go nie ma.

–I nie przestanę go szukać, póki go nie znajdę.

–Wiem – powiedział spokojnie.

Odwróciła się, nie mogąc nagle znieść jego spojrzenia.

–Powinieneś chyba położyć się na pryczy, podczas gdy ja zajmę się raną – rzekła, kładąc wszystkie przybory na stoliku przy łóżku.

–Dobrze mi na krześle. Obiecuję, że nie zemdleję.

–Myślałam o sobie.

–Jeśli miałabyś zemdleć, lepiej, żebyś ty usiadła na pryczy – podsunął uprzejmie.

–Zapewniam cię, że nie zemdleję – odparła Camelia, przenosząc Ruperta na stos miękkich ubrań w kufrze. – Zaszycie rany zajmie parę minut i łatwiej będzie mi to zrobić, jeśli usiądę na krześle, a ty położysz się na łóżku.

Westchnął.

W porządku. – Rozciągnął się na pryczy, która zaskrzypiała pod jego ciężarem.

–Paskudnie się skaleczyłeś – zauważyła Camelia, przemywając delikatnie ranę gąbką. – Będziemy musieli uważać, żeby się nie zabrudziła i często zmieniać opatrunki.

Simon uniósł się na łokciu, żeby spojrzeć na ranę.

–Nie wydaje mi się, żeby było tak źle, Camelio. Nie sądzę, żebyś musiała to zaszywać. Po prostu owiń to czystym bandażem i pójdę sobie.

–Jeśli dostaniesz gorączki, Zareb zamknie cię w namiocie i rozpali ogień wokół ciebie – ostrzegła Camelia surowym tonem. – A potem ani się spostrzeżesz, jak wypełni ranę larwami.

–Skoro mam wybierać między twoją igłą a chmurą wygłodniałych larw, to już lepiej zaszyj. – Położył się z powrotem, zamykając oczy z rezygnacją.

–Nie powinieneś tak lekceważyć larw – powiedziała Camelia, nawlekając igłę. – Od wieków wiadomo o ich dobroczynnym działaniu. Ranni żołnierze, u których larwy zagnieździły się w ranach, mieli większe szanse na przeżycie. Zjadając martwą tkankę, larwy pomagały oczyszczać ranę.

Simon się skrzywił.

–Czy to ma być przyjemna pogawędka dla odwrócenia uwagi, podczas gdy mnie kłujesz?

–Jeszcze cię nie dotknęłam igłą.

–Jeśli nadal będziesz opowiadać o larwach, w ogóle ci się to nie uda.

–Świetnie. Myślałam, że cię to zainteresuje. W końcu jesteś naukowcem.

–Wiele rzeczy mnie interesuje. Larwy zjadające martwą tkankę z ropiejących ran do nich nie należą.

–A widzisz? – zawołała z triumfem. – Miałam rację, jesteś przeczulony.

–Proszę tylko, żebyśmy porozmawiali o czymś weselszym, podczas gdy będziesz mnie zaszywać – oznajmił Simon. – Czy to takie trudne?

–Wcale nie. A teraz, proszę, połóż się, zanim przeforsujesz rękę i znowu zaczniesz krwawić.

Simon opadł niechętnie z powrotem na materac i zamknął oczy.

Camelia przyglądała się ranie w milczeniu, zastanawiając się, jak najlepiej ją zszyć. Cięcie było głębokie, ale proste, co dobrze wróżyło. Uznała, że powinna zszyć ranę w kilku miejscach, zostawiając przerwy, żeby krew mogła się dalej sączyć...

–Na co czekasz? – zapytał zniecierpliwiony, siadając.

–Zastanawiam się, jak zamknąć ranę.

–Nie domagam się niczego nadzwyczajnego. To nie narzuta na tapczan.

–Nigdy nie szyłam narzuty na tapczan, więc nie znam wymyślnych ściągów – odparła wyniośle. – Rana musi zostać odpowiednio zamknięta, inaczej nie będzie się dobrze goić. Nie chcesz mieć chyba brzydkiej blizny?

–Jest mi obojętne, jak to będzie wyglądać. Chciałbym tylko, żebyś skończyła, zanim mnie pogrzebią.

–Gdybyś nie przerywał mi co dwie minuty, już dawno bym skończyła.

– I tak nie potrzeba tego zaszywać – stwierdził Simon. – Teraz, kiedy już ją oczyściłaś, wystarczy, jeśli zabandażujesz rękę i będę mógł sobie pójść. – Zaczął podnosić się z pryczy.

Camelia wstała z krzesła, zastępując mu drogę.

– Jeśli natychmiast nie położysz się z powrotem, Simonie Kent, będę musiała cię do tego zmusić.

Spojrzał na nią z góry z oczami błyszczącymi rozbawieniem.

–To straszliwa groźba z ust kobiety, która ledwie sięga mi do piersi. W jaki sposób, dokładnie, zamierzasz mnie do tego zmusić?

–Niech ci się nie wydaje, że nie mogę tego zrobić tylko dlatego, że jestem kobietą – ostrzegła Camelia.

–To, że jesteś kobietą, nie ma z tym nic wspólnego – zapewnił Simon. – To raczej kwestia różnicy w rozmiarach ciała.

–To niezbyt naukowe podejście. Ostatecznie, nawet ogromny słoń pada od maleńkiej kuli.

–Zamierzasz do mnie strzelać?

–Nie, wtedy musiałabym opatrzyć dwie rany zamiast jednej.

–To logiczne.

–Połóż się, Simonie.

–Doprawdy, Camelio, choć twoja propozycja jest niezwykle kusząca, jestem szczerze przekonany, że moja ręka po umyciu wygląda dużo lepiej. Obandażuj ją szybko, a z pewnością pięknie się zagoi.

–Nie zabandażuję jej, dopóki nie zszyję rany.

–Dobrze więc, sam to zrobię. – Zaczął ją wymijać.

–Bardzo mi przykro, Simonie. – Chwyliła mały palec jego prawej dłoni i mocno szarpnęła do góry.

–Słodki Jezu... – zaklął, zataczając się w tył i przewracając na pryczę.

Puściła jego palec, przyglądając mu się spokojnie.

–Teraz jesteś gotowy, żeby się poddać szyciu?

Posłał jej wściekłe spojrzenie.

–Gdzie nauczyłaś się tej paskudnej sztuczki?

– Od Zareba – powiedziała, płucząc ściereczkę. – Uznał, że powinnam nauczyć się bronić na wypadek, gdybym znalazła się w niebezpiecznej sytuacji.

–Sądząc po biegłości, z jaką to zrobiłaś, musiałaś mieć już kilka okazji, żeby to przećwiczyć.

–Otóż, to był mój pierwszy raz. – Zaczęła jeszcze raz, delikatnie, obmywać ranę. – Dotąd ćwiczyłam to tylko na Zarebie, więc oczywiście nigdy nie mogłam zrobić tego bardzo mocno. –

Wrzuciła ściereczkę do miski i uśmiechnęła się. – Ucieszy się, kiedy usłyszysz, jak dobrze mi się udało.

–Sądę, że wolałbym, aby to zostało między nami. Myślę, że moja męska duma dość już ucierpiała i nie ma potrzeby rozgłaszania tego po całym obozie.

–Jak sobie życzysz. – Wzięła do ręki igłę i nici. – Czy chciałbyś czegoś, zanim zacznę? – zapytała słodkim głosem. – Może kieliszek whisky albo kulę do zagryzienia?

–Otóż jest coś.

–Tak?

Chwycił ją, kładąc na sobie i miażdżąc jej wargi ustami.

Camelia sapnęła, usiłując się uwolnić, ale Simon trzymał ją mocno i całował namiętnie, przesuwając dłońmi po jej plecach, podczas gdy ich nogi splatały się ze sobą.

Chciał tylko zaspokoić swoją męską dumę i wyrównać rachunki. Może to było dziecinne, ale jego zdaniem, zrozumiałe. Ale dotyk Camelii w ramionach obudził szaloną namiętność, którą usiłował utopić w pracy i w ciągu wielu bezsennych nocy. Tulił ją mocno i całował czule, chcąc dać jej w ten sposób do zrozumienia to, czego nie potrafił wyrazić słowami.

Camelia trwała chwilę w bezruchu, czując, jak znikają resztki jej rezerwy.

A potem jęknęła i wtuliła się w Simona, dopasowując do jego twardego, tak cudownie znajomego i podniecającego ciała. Wsunęła palce w gęstwinę jego ozłoconych słońcem włosów, spragniona jego dotyku, pocałunków, spełnienia. Jeśli ogień, który ich ogarniał, był czymś złym, to całe jej życie było złe. Myślała tylko o tym, odrywając wargi od jego ust, żeby okryć pocałunkami jego twarz, rozpinając jednocześnie guziki jego pogniecionej, lnianej koszuli.

Pragnęła go z całej duszy, bardziej niż czegokolwiek w życiu. Skupiła się wyłącznie na dotyku jego potężnego ciała, jego męskim zapachu, słono-słodkim smaku pięknej opalanej skóry.

Pragnę cię, wyznawała w milczeniu, chociaż i tak nie musiałaby mówić tego głośno. Rozsunęła jego koszulę, całując twarde mięśnie jego piersi.

Potrzebuję cię, dodała, zaskoczona siłą swego pożądania. Całowała go wciąż niżej i niżej wzdłuż płaskiego brzucha. Trzymał ją teraz delikatniej, z czułością.

Czymkolwiek była siła, która ich połączyła, nie potrafiła jej się oprzeć. Przy niej słabła nawet jej potrzeba niezależności. Bardziej tajemnicza niż sekret „Grobowca Królów”. Bardziej przerażająca niż ciemny wiatr, który towarzyszył jej od śmierci ojca. Nie była w stanie z nią walczyć. W pewnym sensie wcale nie chciała z nią walczyć.

Wciągnęła powietrze, kładąc policzek na brzuchu Simona, starając się wymyślić jakiś sposób, żeby mu to powiedzieć.

W namiocie rozległo się nagle głośne chrapanie.

Zmieszana podniosła wzrok. Simon wyglądał niemal chłopięco, z twarzą wtuloną w jej poduszkę, całkowicie nieświadomy zarówno jej uczuciowych rozterek, jak i namiętnych pocałunków. Musiał być wyczerpany. Z pewnością nie przesadzał, twierdząc, że pracował nad pompą dzień i noc.

Poruszając się ostrożnie, żeby go nie obudzić, zsunęła się z pryczy, delikatnie okryła go kocem, a potem szybko zaszyła i zabandażowała ranę.

Później usiadła przy biurku i oczyma pełnymi łez zapatrzyła się w dziennik ojca, zastanawiając się, jak zdoła znieść rozłąkę z Simonem.

15

–**Obudź** się, chłopcze – powiedział nagłaco Oliwier.

Simon jęknął, wtulając głowę głębiej w poduszkę

–Nie chcę żadnych larw, Oliwierze. Łajna też nie. Odejdź.

–Musimy z tobą porozmawiać – nalegał Zareb.

–Porozmawiamy, jak się obudzę. – Simon naciągnął koc na głowę, przekręcając się na bok.

–Wiem, że jesteś zmęczony, chłopcze – przyznał poważnie Oliwier – ale naprawdę myślę, że chciałbyś to usłyszeć.

–Po sposobie, w jaki to mówisz, wnoszę, że wcale nie chcę tego słuchać. O co chodzi? Łajno się skończyło?

–Obawiam się, że to coś gorszego.

–Cudownie. Co się stało?

–Twoja pompa, niestety, miała drobny wypadek.

Simon ściągnął koc z głowy, patrząc na Oliwiera z niedowierzaniem.

– Co masz na myśli, mówiąc „wypadek”?

– Przewróciła się – wyjaśnił Zareb. – I trochę uszkodziła...

Simon zeskoczył z łóżka Camellii i wybiegł z namiotu w jasne światło poranka, nie czekając, aż Zareb dokończy.

Robotnicy, z poważnymi minami, stali wokół błotnistego brzegu pola wykopalisk. Simon zauważył, podchodząc bliżej, że przyglądają się Camelii, Badraniemu, Senwe, Lloydowi i Elliottowi, którzy brodzili w błocie, czegoś szukając. Spojrzał na ziemię obok.

Ujrzał przemieszane szczątki pompy.

Patrzył, nie rozumiejąc. Zbliżył się powoli. Z pewnością śnił. Wyciągnął rękę, ostrożnie kładąc dłoń na metalu. Poczuł ciepłą stal. A więc to nie był sen.

Ogarnęła go wściekłość, która na chwilę odebrała mu zdolność mowy.

– Czy możesz ją naprawić?

Spojrzał na Camelię. Jej splątane, złote włosy opadały na ramiona; suknia, policzki i czoło były umazane błotem.

– Proszę. – Otworzyła ociekające wodą dłonie, pokazując garść śrub, nakrętek i innych drobnych części. – Znalazłam je w błocie. Inni też trochę znaleźli. – W jej głosie brzmiało napięcie. – Będziemy dalej szukać, jak zaczniesz naprawę.

Simon milczał, ogarnięty poczuciem bezradności. Jej piękna twarz pobladła pod smugami brudu, strach wyżłobił bruzdy na czole. Jednak w jej zielonych oczach czytał niezachwianą determinację i niezwykłą wiarę, jaką wydawała się go darzyć. Patrząc w te oczy, nie mógł się nadziwić jej wiary w jego możliwości naprawienia szkód, mając przy tym całkowitą pewność, że nie zdoła tego zrobić.

–Camelio – zaczął cicho – nie mogę tego naprawić.

–Przyrzekam, że znajdziemy wszystkie brakujące części – zapewniła gorączkowo. – Będziemy szukać w dzień i w nocy, jeśli będzie trzeba. Kiedy dostaniesz wszystko, będziesz mógł ją złożyć z powrotem.

Simon pokręcił głową.

–Nawet jeśli znajdziemy wszystkie brakujące części, nie zdołam tego zrobić. Zawory są uszkodzone. Bojler pęknięty. Łopatkę mocno wyszczerbioną, trzon złamany. Nie mogę tego naprawić.

–Możemy zamówić potrzebne części w Cape Town. – Wcisnęła mu w dłoń swoją kolekcję śrub i nakrętek, nie chcąc przyjąć do wiadomości jego słów. – Zrób listę, a Zareb i ja pojedziemy rano do Kimberley i zobaczymy, co się da kupić. Potem zamówimy wszystko w Cape Town.

–To nie takie proste, Camelio. Większość tych części wykonano w Londynie według mojego projektu. Są unikalne.

–Więc wyślemy list do Londynu i zamówimy więcej części.

–To będzie trwało miesiącami, Camelio.

Spojrzała mu spokojnie w oczy, usiłując sprawiać wrażenie silnej i zdecydowanej. Ale dolna warga jej drżała. Była równie zdruzgotana, jak Simon. Robotnicy przyglądali jej się w ponurym

milczeniu, chcąc się dowiedzieć, jak poradzi sobie z tą ostatnią klęską. To powstrzymywało ją przed całkowitym załamaniem. Była wojowniczką, ale także przywódczynią. Nie mogła dopuścić, żeby strach i rozczarowanie wzięły górę, albo tych niewielu robotników, jacy jej jeszcze zostali, uzna, że została pokonana.

I opuszczają ją.

–Przykro mi, panie Kent. – Badrani, z głową zwieszoną ze wstydu, zbliżył się wolno do Simona i Camellii. – To moja wina. Stałem na straży zeszłej nocy. – Ukląkł przed Camelią. – Ukarz mnie, jak chcesz, pani.

–Nie zamierzam cię karać, Badrani – odparła Camelia. – Wstań, proszę. Chcę tylko wiedzieć, co się stało.

–To złe duchy – oznajmił Badrani, podnosząc się na nogi. – Przyszły późno, kiedy wszyscy spali. Rzuciły na mnie czar, żebym też zasnął. Podczas kiedy spałem, zniszczyły pompę i wrzuciły ją do wody.

Oliwier popatrzył z niedowierzaniem.

–Chcesz powiedzieć, że zasnąłeś na warcie?

–To były złe duchy – oświadczył Senwe, wspierając przyjaciela. – Rzuciły na niego czar.

–Chyba raczej to, co wypił, go zaczarowało – mruknął Oliwier, marszcząc się gniewnie. – Co piłeś, zanim poszedłeś na wartę?

–Tylko mleko z miodem – odrzekł Badrani.

–No, chłopcze, nie myślisz chyba, że uwierzę, żeby taki osiłek, jak ty, popijał tylko mleko na noc.

–My, Hotentoci, pijemy mleko od urodzenia – wtrącił Zareb. – Wzmacnia nas.

– Jeśli mi nie wierzysz, zajrzyj do mojej manierki, jeszcze jej nie wypłukałem. – Badrani zdjął z szyi pojemnik ze strusiego jaja i wręczył Oliwierowi. – Teraz nie nadaje się do picia, ale zeszłej nocy było świeże.

Oliwier wziął manierkę bez przekonania i zajrzał do środka. Przyglądając się białemu płynowi wewnątrz, poczuł w nozdrzach delikatny zapach. Marszcząc brwi, podsunął manierkę pod nos i powąchał jeszcze raz.

–Co to jest? – zapytał Simon.

Oliwier spojrzał na niego ponuro.

–Laudanum.

–Jesteś pewien?.

–Tak.

Badrani ściągnął czarne brwi.

–Co to jest laudanum?

–Coś, co powoduje, że chce ci się spać, chłopcze. Ktoś dolał ci laudanum do mleka, żeby cię uśpić.

–Miód zapewne złagodził gorycz – dodał Simon. – Dlatego nic nie zauważyłeś.

–Czy sam napełniłeś manierkę, Badrani? – zapytał Lloyd, który wygrzebał się z błota, żeby do nich podejść.

Badrani skinął głową.

–Ale potem zostawiłem ją w namiocie, żeby mleko się schłodziło, zanim pójde na wartę.

–Nie było pewnie trudno wejść komuś do namiotu i dolać parę kropli laudanum – stwierdziła Camelia.

–Więc to nie były złe duchy?

– Nie – zapewniła Camelia. – Nie złe duchy.

Na przystojnej twarzy wojownika odbiła się ulga.

–Czy przypiszemy winę złym duchom, czy nie, mamy poważny kłopot – zauważył smętnie Simon. – Pompa uległa zniszczeniu, a wykopaliska wciąż są pod wodą.

–Myślę, że kłopot jest jeszcze większy – dodał Oliwier. – Jakiś drań kręci się tutaj, usiłując nas stąd wykurzyć.

–Oliwier ma rację. – Elliott, ubłocony i ociekający wodą, wyszedł z dołu, wręczając Simonowi kolejną garść śrub i drobnych części. – Pompy, które Camelia poprzednio wynajmowała, także ulegały zniszczeniu, ale nigdy do takiego stopnia. Ktokolwiek to zrobił, chciał to zrobić skutecznie. – Przesunął wzrokiem po pozostałych robotnikach. – Czy któryś z was widział, żeby ktoś wchodził do namiotu Badraniego, zanim ten poszedł na wartę?

Afrykanie popatrzyli na siebie z przestraszonym, energicznie kręcąc głowami.

– Nie wierzę, żeby to był któryś z moich ludzi, Elliotcie – oburzyła się Camelia. – To są wszystko dobrzy, ciężko pracujący ludzie, którzy szanowali mojego ojca. Żaden z nich nie zrobiłby czegoś podobnego.

–Nikt nie ukrywał swojego przekonania, że to miejsce jest przeklęte – odparł Elliott. – Jeśli wierzą w istnienie „Grobowca Królów”, z pewnością nie chcą, żebyś go odnalazła. Marnują twój czas, wyciągając od ciebie pieniądze, podczas gdy po cichu sabotują twoją pracę.

–Kiedy my, Afrykanie, walczymy, robimy to otwarcie, lordzie Wickham. – Głos Zareba brzmiał niebezpiecznie łagodnie. – Nie należymy do takich, którzy kłamią i oszukują, jak sądzisz.

–Wybacz, Zarebie, ale prawda polega na tym, że nie wszyscy tubylcy są tacy jak ty – odparł spokojnie Elliott. – Ktoś to niewątpliwie zrobił i nie były to żadne przeklęte złe duchy. To był ktoś, kto nie chce, żeby nadal prowadzono wykopaliska.

–Czy ten łajdak jest wśród nas, czy czai się gdzieś i nas śledzi, nie spocznie, póki nie postawi na swoim – zauważył Oliwier. – To chyba dosyć jasne.

–I dlatego musimy go schwytąć – oznajmił Elliott.

–Mogę zwiększyć liczbę ludzi, którzy pilnują obozu w nocy, ale tylko nieznacznie – powiedział Lloyd. – Wszyscy pracują od świtu do zmroku i są zbyt zmęczeni, żeby nie spać i stać na straży.

–Niech zatem sześciu ludzi śpi po południu na zmianę, tak żeby byli w stanie czuwać w nocy w ciągu trzech różnych zmian – powiedziała Camelia. – Jeśli będą na warcie parami, jeden zawsze może wszcząć alarm, kiedy drugiemu coś się stanie.

–To dobry pomysł. – Elliott zwrócił się teraz do Simona: – A więc, co o tym sądzisz, Kent? Potrafisz naprawić tę swoją pompę? Jeśli tak, wleżę z powrotem do wody i poszukam jeszcze innych części.

Simon się zdziwił. Podejrzewał raczej, że Wickham zniszczenie pompy przyjmie z zadowoleniem. Kolejna porażka Camelii stanowiła jeszcze jeden argument za porzuceniem wykopalisk. Elliott jednak patrzył Simonowi w oczy zdecydowanie, najwyraźniej gotów zrobić wszystko, co w jego mocy. Simonowi przyszło do głowy, że może popisać się przed Camelią, chcąc okazać się pomocny. Ostatecznie, miał większe szanse na zdobycie jej uczuć, jeśli pomoże wprowadzać w życie jej marzenie. Albo może Elliott potajemnie żywił nadzieję, że uda jej się znaleźć „Grobowiec Królów”. Pomimo zapewnień, że nie wierzy w jego istnienie, możliwe, że w głębi duszy dopuszczał możliwość, że jest inaczej. Bez względu na powód, zamiast namawiać Camelię do kapitulacji, próbował jej pomóc w chwili, gdy potrzebowała wszelkiego wsparcia.

Dlatego Simon wybaczył mu na chwilę, że jest takim nadętym głupcem.

– Być może zdołam ją naprawić. – Nie chciał zbyt rozbudzać jej nadziei tylko po to, żeby narazić ją na rozczarowanie. – Nie będę tego wiedział, dopóki dokładnie jej nie obejrzę i nie stwierdzę, do jakiego stopnia została uszkodzona. Ale nawet jeśli miałoby mi się udać, to zajmie tygodnie, Camelio, albo nawet miesiące. Musisz to zrozumieć.

Camelia skinęła głową. Tygodnie. Miesiące. Podczas których musi płacić robotnikom, wydając resztę cennych zasobów. Lord Cadwell z wahaniem zainwestował trochę pieniędzy w wykopaliska. Zdołała także przekonać wierzycieli w Londynie, żeby dali jej jeszcze nieco czasu, zapewniając, że wkrótce zacznie spłacać rosnące długi. Miała nadzieję, że z pomocą Simona szybko osuszy teren wykopalisk i znajdzie „Grobowiec Królów”.

Zniszczenie pompy było straszliwym ciosem.

–Rozumiem. – Zdołała zachować zewnętrzny spokój, chociaż naprawdę miała ochotę krzyczeć. – Jeśli dasz mi listę potrzebnych rzeczy, Simonie, pojedziemy z Zarebem rano do

Kimberley i zamówimy wszystko. Cały czas będziemy też usuwać wodę wiadrami, tak jak przedtem.

–W porządku. Przynieście tu z powrotem wszystkie wiadra i naczynia z obozu – zawołał Lloyd. – Jak poziom wody się obniży, będziemy dalej szukać części. Patrzcie uważnie, połowa dnia już zleciała!

–Odejdź i wytrzym się, Camelio – powiedział łagodnym głosem Elliott. – Ja będę dalej szukał.

–Nie ma potrzeby przebierać się, zanim nie nadejdzie pora, żeby jechać do Kimberley, Elliotcie – powiedziała Camelia. – Do tego czasu zostanę i będę szukać.

Simon patrzył, jak wchodzi do dołu i zaczyna grzebać w błocie. Elliott ruszył za nią, wzdychając.

–Dziewczyna ma dzielne serce – powiedział Oliwier. – Myślę, że musi mieć w sobie trochę szkockiej krwi.

–Tisha ma afrykańskiego ducha – oznajmił Zareb. – Dlatego nadałem jej to imię. Oznacza „obdarzona silną wolą”. Wiedziałem o tym, z chwilą gdy ją zobaczyłem.

–Czy lordowi Stamfordowi spodobało się, że nazwałeś jego córkę w ten sposób? – zapytał ciekawie Simon.

–Jego lordowska mość był uszczęśliwiony, słysząc, że moim zdaniem ona ma w sobie taką siłę – odparł Zareb. – Bardzo się o nią bał, kiedy przyjechała do Afryki. Była mała, blada i zagubiona, jak delikatny kwiat. Obawiał się, że nie zdoła żyć tak daleko od świata, w którym się urodziła. Zamierzał zabrać ją z powrotem do kraju, który znała, do Anglii.

– Dlaczego więc tego nie zrobił? – zapytał Oliwier.

–Bo szybko zrozumiał, że Afryka płonie w sercu Tishy. Afryka, miłość do ojca i pragnienie odnalezienia „Grobowca Królów”. Przez wiele lat nie istniało nic innego. Ale serce może się odmienić – stwierdził z powagą. – To, co wypełnia je jednego dnia, następnego może ustąpić czemu innemu.

–Camelia nigdy nie opuści Afryki, Zarebie – powiedział Simon z głębokim przekonaniem. – Jej miejsce jest tutaj i ona o tym wie.

– Nie mówiłem o Tishy. – Zareb spojrzał na niego znacząco.

Simon, nagle zmieszany, odwrócił wzrok.

– Jeśli mam sporządzić tę listę dla was, lepiej, żebym się do tego zabrał. – Rzucił ostatnie spojrzenie na Camelię, która, zgięta w pół, nie ustawała w poszukiwaniach części pompy w mętnej wodzie. – Wybaczcie.

Camelia wciągnęła głęboko powietrze i zanurzyła się w chłodne objęcia rzeki, zmywając z siebie pokłady błota, brudu, rozpaczy. Zamknęła oczy, przecinając miękką, chłodną czerń szybkimi ruchami, sięgając rękami wciąż dalej i dalej, podczas gdy nogi nadawały jej pędu, tak że ślizgała się po usianej gwiazdami hebanowej płaszczyźnie. Starła się nie myśleć o niczym poza wodą wokół i wrażeniem, jakie wywoływało zetknięcie z nią jej ciała. Odpływała coraz dalej, zostawiając z tyłu brzeg z ręcznikiem i nocną koszulą, a także skałę, na której siedzieli z małą lampką, strzegąc jej, Zareb, Harriet, Oskar i Rupert.

Zostawiała za sobą wykopaliska i zrujnowaną pompę Simona oraz przestraszone spojrzenia Afrykanów, którzy bali się, że wkrótce oni także padną ofiarą klątwy, jaka ciążyła na Pumulani. Odpływała daleko od rozgniewanego Elliotta i zmartwionego Simona, chociaż Simon starał się, jak mógł, ukryć przed nią swoje uczucia. Daleko od Oliwiera i Zareba, którzy starali się ją pocieszyć i złagodzić poczucie klęski, które groziło jej załamaniem od chwili, gdy ujrzała pompę na dnie błotnistego wykopu.

Daleko od wspomnienia o ukochanym ojcu, który zmarł, nie wiedząc, czy trud jego życia zaowocuje wspaniałym odkryciem, czy też okaże się zwykłym, niepotrzebnym szaleństwem.

Wyłynęła na powierzchnię, aby zaczerpnąć tchu. Dźwięk, który wydała, bardziej przypominał szloch niż oddech. Natychmiast wciągnęła powietrze jeszcze parę razy, starając się oddychać rytmicznie i głośno, nie chcąc, żeby Zareb usłyszał, jak płacze, i pomyślał, że dzieje się z nią coś złego.

–Wszystko dobrze, Tisho? – zawołał Zareb z niepokojem w głosie.

–W porządku. – Widziała, jak stoi na brzegu rzeki z Harriet na jednym i z Oskarem na drugim ramieniu, wpatrując się w ciemność. – Straciłam na chwilę oddech i to wszystko.

–Nie powinnaś wypływać tak daleko. Wracaj już.

–Zaraz. Chcę jeszcze trochę popływać.

–Powietrze jest zimne, Tisho. Nie możesz się przechłodzić, bo będziesz chora.

–Nigdy nie choruję.

–Chorowałaś podczas podróży tutaj.

–Nie nabawię się choroby morskiej, pływając w nocy w rzece.

–Możesz się zaziębić i dostać gorączki. – Podniósł ręcznik i wyciągnął w jej stronę. – Chodź, Tisho. Już późno.

– Będę za minutę.

Położyła się na plecach, pozwalając, aby jej włosy utworzyły jedwabny welon wokół niej, i nie słysząc, co mówił Zareb. Nie chciała robić mu na złość, ale nie miała jeszcze ochoty wychodzić z rzeki. Jej uszu nie dobiegał żaden dźwięk poza szumem wody, który brzmiał jak śpiew muszli, tęskniącej za oceanem. Westchnęła i zamknęła oczy.

Spójrz w górę.

Zmarszczyła brwi i otworzyła oczy.

Ponad nią rozciągała się jedwabista czarna kopuła, upstrzona gdzieniegdzie lśnięcymi, srebrnymi gwiazdami. Księżyc schował się za pienne chmurki, które złagodziły jego perłowy blask. Dzięki temu gwiazdy lśniły jeszcze mocniej jak maleńkie klejnociki na aksamitnym, nocnym, afrykańskim niebie.

Gwiazdy cię poprowadzą.

Poruszyła się nagle i rozejrzała. Zareb siedział na skale, karmiąc Oskara orzechami.

–Czy coś mówiłeś, Zarebie?

–Mówiłem, że powinnaś wrócić, Tisho. Woda jest zimna.

–Czy mówiłeś coś o gwiazdach?

–Nie. Ale są dzisiaj wyjątkowo jasne. Jeśli chcesz na nie popatrzeć, powinnaś wrócić.

–Wrócę za chwilę. – Ostrożnie ułożyła się z powrotem na wodzie.

Rzeka otoczyła ją raz jeszcze. Nie poruszała się, wytężając zmysły, starając się wszystko słyszeć.

Gwiazdy cię poprowadzą.

–Słyszałeś to? – zapytała, patrząc w stronę Zareba.

–Czy co słyszałem?

–Ten głos.

– Nic nie słyszałem, Tisho. – Zareb rozejrzał się. – Nie ma tu nikogo więcej. Może słyszysz, jak ludzie śpiewają w obozie.

–To nie był śpiew.

–Może jakieś zwierzę?

–Nie.

Zareb milczał długą chwilę.

– Co ci mówił ten głos? – zapytał cicho.

Zmieszała się. Prawdopodobnie to tylko jej wyobraźnia. Może spędziła dzisiaj za dużo czasu na słońcu.

– **Nic.**

Spodziewała się, że Zareb zapyta ją o coś jeszcze, ale tego nie zrobił.

Położyła się z powrotem. Za parę minut wyjdzie. Potem pójdzie prosto do łóżka. Widocznie potrzebowała snu.

Pozwól gwiazdom się prowadzić.

Tym razem się nie poruszyła. Unosiła się na wodzie, zastanawiając, czy nie oszalała. Nie sądziła, żeby tak było, ponieważ wszystko inne wokół wydawało się najzupełniej normalne. Pozwól gwiazdom się prowadzić. Zareb zawsze ufał gwiazdom. To był jeden z powodów, dla których nie znosił Londynu. Zaslona dymu, sadzy i chmur nad miastem nie tylko przyćmiewała światło słońca, ale też ukrywała gwiazdy. To, że miasto było rozplanowane wzdłuż ulic, parków i placów, miało lampy gazowe i znaki, było bez znaczenia.

Bez gwiazd Zareb czuł się zagubiony.

Camelia leżała chwilę, ledwie oddychając. Woda pluskała cicho. Wyteżała słuch, ale głos już się nie odzywał. Pełna niepokoju zaczęła płynąć w stronę Zareba.

Wtedy usłyszała ryk lwa.

–Co się dzieje, Tisho? – Twarz Zareba wyrażała zmartwienie, kiedy Camelia w mokrej bieliźnie wyszła z rzeki i wzięła od niego ręcznik. – Czy coś cię przestraszyło?

–Muszę zobaczyć kamień. – Owinęła się pospiesznie ręcznikiem i wciągnęła trzewiki.

–Jest późno, Tisho – sprzeciwił się Zareb. – Zobaczysz kamień rano. Nie przeniesie się w inne miejsce.

– Muszę go zobaczyć teraz, Zarebie.

– Wytrzymaj się przynajmniej i włóż ciepłe ubranie. Nie pójdę, dopóki tego nie zrobisz. – Odwrócił się, żeby jej nie krępować.

A potem pokręcił głową ze zdumienia, kiedy Oskar i Harriet podnieśli zgielk, dając mu znać, że odeszła, nie czekając na niego.

16

–**Obudź się, Simonie!**

Simon otworzył z trudem zaspane oko i skrzywił się.

–Dlaczego wszyscy czują się w obowiązku mnie budzić?

–Kopiemy w złym miejscu – oznajmiła Camelia.

–Cudownie. Opowiesz mi o tym jutro. – Zamknął oczy, zanurzając się ponownie w poduszkę.

–Kopiemy w złym miejscu, Simonie! Czy to cię nie obchodzi?

–Jedyna rzecz, która mnie w tej chwili obchodzi, to jeszcze parę godzin snu.

–Masz resztę życia na spanie, Simonie. – Złapała go za ramiona, potrząsając brutalnie. – Obudź się!

Przeturlał się na plecy, łypiąc na nią gniewnie.

–Jeśli w ten sposób zamierzasz mnie budzić, Camelio, to przewiduję, że czekają nas raczej trudne poranki.

–Musisz mnie wysłuchać.

–Świetnie. Słucham.

–Czy jesteś dostatecznie przytomny, żeby zrozumieć, co mówię?

–Jestem dostatecznie przytomny, żeby zrozumieć, że jeśli nie poświęcę ci uwagi, to będziesz nadal mną potrząsać. To musi wystarczyć.

–Kopaliśmy dotąd w złym miejscu, Simonie.

–To już mówiłaś. A zatem, przyjmuję, nadal wierzysz w istnienie grobowca?

–Oczywiście, że wierzę!

–Tylko się upewniałem. Masz jakiś pomysł, gdzie on jest?

–Nie jestem pewna. Miałam nadzieję, że ty pomożesz mi rozwiązać tę zagadkę. Jesteś w tym dobry.

–W czym?

–No, wiesz, w dziwnym myśleniu.

–Próbujesz mnie obrazić, żeby mnie zmusić do pomocy?

–Nie próbuję cię obrazić – zapewniła Camelia. – Już ci kiedyś powiedziałam, że nie patrzysz na rzeczy tak, jak większość ludzi. Gdzie większość ludzi dostrzega granice, ty widzisz możliwości. To czyni cię genialnym.

–Gdybym był genialny, skonstruowałbym pompę, która przetrwałaby wrzucenie do błotnistego dołu – zauważył Simon z goryczą. – Albo przynajmniej miałbym w zanadru jakiś sensowny plan na wypadek, gdyby uległa uszkodzeniu nie do naprawienia. Tak by postąpił genialny strateg, którym w sposób oczywisty nie jestem.

–Trudno wymagać, abyś był w stanie przewidzieć każdy drobny wypadek.

–Nazwałbym rozwalenie pompy parowej na kawałki i wrzucenie jej do dołu raczej poważnym wypadkiem.

–Zapomnij o pompie parowej, Simonie! – Zrozpaczona, ruszyła w stronę wyjścia z namiotu.
– Idziesz czy nie?

–To zależy. Naprawdę uważasz, że jestem genialny?

–Tak. Niewiarygodnie. Chodźże już! – Podniosła klapę namiotu, znikając w ciemności.

Simon z westchnieniem wygrzebał się z łóżka i zaczął niechętnie wciągać buty.

– ...a jak popatrzysz na tego lwa, to też można go różnie interpretować – ciągnęła Camelia z zapalem, wskazując figurkę lwa na skale, widoczną w świetle lampy, którą trzymał Zareb. – Lew może szykować się do skoku na antylopę albo na któregoś z wojowników, co oznacza, że symbolizuje niebezpieczeństwo. Ale jest też możliwe, że to lew jest w niebezpieczeństwie, ponieważ antylopy mogą go stratować, a wojownicy zastrzelić. Albo może to w ogóle nie jest lew, tylko szaman, który przybrał postać lwa. To by oznaczało, że nie można go zabić, a więc nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, ponieważ uważa się, że szamani potrafią opuścić zwierzęce kształty, które czasami przybierają. Ale skoro tak, to co on w ogóle tutaj robi?

Simon ziewnął.

Camelia rzuciła mu zrozpaczone spojrzenie.

–Słuchałeś mnie?

–Zdumiewające, ale owszem. I to pomimo tego, że wyciągnięto mnie z łóżka w środku nocy po tym, jak pracowałem szesnaście godzin, żeby naprawić twoją pompę parową. Sądzę, że z tej racji należy mi się odrobina wyrozumiałości, jeśli chodzi o ziewanie.

–Co to, twoim zdaniem, znaczy?

–Że potrzebuję więcej snu.

– Nie to, obraz!

Simon westchnął.

–Doprawdy nie wiem, Camelio. Archeologia to twoja domena, nie moja. Czego nie rozumiem, to tego, dlaczego ściągnęłaś mnie tutaj, żebyśmy zastanawiali się nad znaczeniem tego malowidła po ciemku? Czy to nie mogło poczekać do rana?

–Nie.

–Dlaczego?

–Ponieważ na tym malowidle są gwiazdy. – Wskazała na wyblakłe żółte gwiazdy nad stadem antylop i wojownikami. – Latami patrzyłam na nie i myślałam, jak mój ojciec: że gwiazdy

symbolizują element mityczny na obrazie. Teraz jednak myślę, że ojciec się mylił. Nie sądzę, żeby gwiazdy miały oznaczać duchowość zwierząt czy szamana. Sądzę, że gwiazdy mają służyć jako rodzaj przewodnika, może nawet mapy, ukazującej położenie grobowca.

–W jaki sposób?

–Nie wiem – przyznała. – Dlatego chciałam, żebyś na to spojrział. Zareb i ja przyglądaliśmy się temu malowidłu godzinę, zanim w końcu poszłam cię obudzić, nie mogliśmy dojść, co oznaczają gwiazdy.

–Mogą niczego nie oznaczać, Camelio.

–Owszem, tak – nalegała. – Są przewodnikiem. Jestem tego pewna.

–Skąd ta nagła pewność?

Zawahała się. Jakoś nie wydawało jej się, żeby to była właściwa pora, aby zaczęła opowiadać Simonowi o dziwnych głosach, które szeptały do niej w rzece.

– To przecucie podobne jak to, kiedy zbliżaliśmy się do wybrzeży Afryki. Sam mówiłeś, że intuicja to czasami jedyna rzecz, której możemy zaufać.

Simon zwrócił się do Zareba.

– Co o tym sądzisz, Zarebie?

–Myślę, że Pumulani przemówiło dzisiaj do Tishy – odparł poważnie. – Być może „Grobowiec Królów” pozwala w końcu, aby go odnaleziono.

–To dlaczego nie daje jakiejś jaśniejszej wskazówki, zamiast tych mętnych spekulacji na temat gwiazd, lwów i szamanów?

–Pumulani miało własne powody, żeby pozostać w ukryciu. Jeśli w końcu odkrywa swoje tajemnice, nie czyni tego bez powodu. Nie spodziewajmy się tego wszystkiego zrozumieć.

Simon westchnął. Jako że było dostatecznie jasne, że Camelia nie da mu wrócić z powrotem do łóżka, uznał, że może lepiej będzie, jeśli spróbuje zrozumieć, o czym mówią ona i Zareb.

– A zatem dobrze – zaczął, skupiając uwagę na ogromnym głazie. – Tutaj mamy lwa, tutaj antylopy, tutaj tych wojowników, którzy, jak na mój gust, są trochę wychudzeni. Jak spojrzymy w górę, widzimy gwiazdy. Niech policzę, zobaczymy... cztery, pięć, sześć.

–Pięć – sprostowała Camelia.

–Widzę sześć.

– Jest tylko pięć – powtórzyła z uporem Camelia. – Spójrz, widzisz? Tyle narysował ojciec w dzienniku. – Otworzyła książkę, chcąc mu pokazać.

– Mógł narysować pięć, ale to nie zmienia faktu, że widzę sześć – odparł Simon. – Zarebie, czy mógłbyś przysunąć bliżej lampę?

Zareb podszedł bliżej, aż zniszczona powierzchnia starożytnego kamienia została zalana złotym światłem.

– No widzisz? Sześć gwiazd – stwierdził Simon, pokazując każdą z nich.

– Ten ostatni znak, który wskazałeś, nie jest gwiazdą – sprzeciwiła się Camelia. – To tylko miejsce, w którym powierzchnia kamienia trochę wyblakła, może na skutek zadrapania.

– Zadrapał ją człowiek, który malował gwiazdę – nie ustępował Simon. – Świeżymi oczami widzi się inaczej. Proszę, przesun tutaj palcem, przekonasz się, że to zdecydowanie gwiazda.

– Być może – zgodziła się Camelia, leciutko muskając kamień palcami. – Ale nawet jeśli tak jest, co to znaczy?

– Nie jestem pewien, czy to znaczy cokolwiek. Mówię tylko, że widzę sześć gwiazd, nie pięć.

– No, dobrze. Sześć gwiazd. Co jeszcze widzisz?

Ściągnął brwi, wpatrując się w prostą scenę.

– Nie sądzę, żeby rozmieszczenie gwiazd odpowiadało jakiegokolwiek znanej konstelacji, trudno więc stwierdzić, czy artysta chciał zaznaczyć na niebie coś szczególnego.

– Ktokolwiek to malował, nic nie wiedział o znanych konstelacjach – zauważył Zareb. – Nie mieli teleskopów, żeby sięgnąć dalej, niż widziały oczy.

– A więc może to być przypadkowe zgrupowanie gwiazd, żeby dać nam do zrozumienia, że polowanie odbywa się w nocy.

– Ale myśliwi nie polują w nocy – oznajmiła Camelia. – Polują w dzień, kiedy zwierzęta się pasą i jest dobre światło. A więc to, że malarz umieścił na obrazie gwiazdy, jest istotne. Te gwiazdy coś znaczą. Próbowałam sobie wyobrazić jakieś linie, które je łączą, ale nie wpadłam na nic sensownego.

– Wydaje się, że układają się w kształt latawca – powiedział Simon. – Wątpię jednak, żeby starożytne plemiona miały latawce.

– Gdzie widzisz latawiec? – zapytała Camelia. – Jeśli połączyć gwiazdy po kolei, tworzą trójkąt.

– Włączam tę ostatnią gwiazdę, którą uznałaś za zadrapanie na skale. Jeśli poprowadzić linię od gwiazdy do gwiazdy, to ta właśnie tworzy górny róg latawca. – Simon poprowadził palcem linię, żeby jej to pokazać. – Widzisz? Latawiec.

Camelia otworzyła szeroko oczy.

– To tarcza – szepnęła.

Simon wzruszył ramionami.

– Jak wolisz. Osobiście sądzę, że bardziej przypomina latawca niż tarczę.

Rozpromieniła się.

– Oczywiście! Dlaczego przedtem tego nie zauważyłam? To tarcza unosząca się na niebie między antylopami a lwem!

– Cudownie. A co to znaczy?

– Tarcza oznacza ochronę czegoś, czegoś albo kogoś – wyjaśniła podniecona Camelia. – Skierowana jest ku lwu, a zatem to lew jest chroniony.

– Od kiedy to lew potrzebuje tarczy?

– Lew jest symbolem – powiedział Zareb. – Przedstawia potężnego ducha.

– Patrzy w stronę wojowników i martwej antylopy – ciągnęła Camelia – i nie zamierza uciekać, ponieważ czegoś strzeże, strzeże „Grobowca Królów”!

Simon uniósł brwi, zaintrygowany.

– Więc jeśli strzeże „Grobowca Królów”, to gdzie on jest?

Zagryzła wargę. Z wahaniem wyciągnęła rękę i przesunęła palcami od gwiazdy do gwiazdy na kamieniu. Poczowała ciepło w dłoni przy ostatniej gwiazdzie, tej na szczycie tarczy. Nie była pewna, co dalej.

A potem jej palec powoli, jakby niezależnie od niej, zaczął sunąć w dół, zatrzymując się na lwie.

– Jest za lwem – powiedziała cicho Camelia.

Simon spojrzał na rozciągające się wokół bezkresne ciemności.

– To znaczy, gdzie? Na nieszczęście obraz nie zawiera żadnych wskazówek, a jeśli były, to uległy zatarciu.

Pozwól prowadzić się gwiazdom.

Camelia odchyliła głowę, żeby spojrzeć na niebo.

– Popatrz – szepnęła.

Simon podniósł głowę. Sześć gwiazd układających się w kształt tarczy lśniło na atramentowo czarnym morzu ciemności.

– To dziwne – powiedział zaskoczony. – Nie pamiętam, żebym przedtem widział tę konstelację gwiazd.

Zareb spojrzał na gwiazdy i się uśmiechnął.

– Pokazują się tylko we właściwym momencie.

–Jeśli weźmiemy gwiazdę na szczycie i wyobrazimy sobie linię schodzącą w dół, jak ta, którą poprowadziłaś na skale, Camelio, to lew powinien być gdzieś tam. – Simon wskazał na kępę krzewów i kamienie u podnóża góry.

–Chodźmy! – zawołała, biegnąc w stronę krzewów.

–Czy nie możemy tego zrobić rano? – odezwał się błagalnym tonem Simon. – Jeśli mamy tam kopać, wolę to robić przy lepszym świetle i kiedy się dobrze wyśpię.

–Musimy to zrobić teraz – odparła Camelia stanowczo, przyglądając się krzewom i skałom wokół. – Gwiazdy wskazują dobry kierunek.

–Skoro znamy już ten kierunek, możemy zostawić tu jakiś znak – powiedział Simon, zbliżając się do niej. – Dużo łatwiej będzie szukać w świetle dziennym.

– Być może Pumulani nie miało zostać odnalezione za dnia. – Zareb podszedł do nich z Oskarem i Harriet usadowionymi dumnie na jego ramionach. – Musimy uszanować znaki, jakie nam dano właśnie dzisiaj w nocy.

– Jeśli teraz nie poszukamy wejścia do grobowca, być może stracimy tę okazję na dobre. – Camelia ruszyła między krzewy, rozglądając się za jakąś wskazówką, co robić dalej. – Popatrzcie dookoła, dotykajcie wszystkiego, co się da. Ale ostrożnie, nie chcemy uszkodzić żadnych artefaktów.

– Skoro już tutaj jesteś, to też możesz się rozejrzeć, Oskarze. – Simon ściągnął małpkę z ramienia Zareba i postawił ją na ziemi. – Jeśli coś znajdziesz, możesz zarobić ciasteczko owsiane.

Oskar posłusznie podbiegł do wielkiego kamienia i zaczął widowisko, udając, że usiłuje go przesunąć.

– To dziwne. – Camelia zmarszczyła brwi, patrząc na gęstą kępę krzaków przed skałą. – W tym miejscu krzaki wydają się rosnąć gęściej niż gdzie indziej.

Weszła w nie, sprawdzając, czy czegoś nie ukrywają. Uznawszy, że zrobił dość, Oskar wdrapał się na skałę, wyciągając łapkę po nagrodę.

– Nie pracowałeś zbyt długo – zauważył Simon.

Oskar spojrzał na niego niewinnym wzrokiem, dalej wyciągając łapkę.

–Cóż, przypuszczam, że zasługujesz na coś za to, że przynajmniej próbowałeś. – Simon oparł się o skałę, sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciasteczko, które następnie przełamał na pół. – Pół dla ciebie – powiedział, podając Oskarowi – i dla Harriet, która już dawno powinna spać. – Odszedł od skały, żeby podać Harriet jej kawałek herbatnika.

–Lew – szepnęła Camelia.

Simon, zmieszany, popatrzył na skałę za sobą.

Miała nieco zatarty, ale nieulegający wątpliwości, kontur lwej głowy. Ukrywały ją nawarstwiające się latami pokłady ziemi, która częściowo odpadła, kiedy Simon się o nią oparł.

Camelia podbiegła, szybko zgarniając resztę ziemi.

–Popatrzcie, jest tutaj, lew, tak jak na malowidle!

–Wojownicy zapewne przykryli rysunek ziemią i zasadzili krzewy, żeby go ukryć – powiedział w zamyśleniu Zareb.

–Musimy poruszyć tę skałę. – Camelia objęła kamień ramionami i zaczęła pchać. – Chodźcie, złapmy razem!

–Camelio, poczekaj, w ten sposób nigdy jej nie przesuniesz. – Simon przyglądał się przez chwilę ciężkiemu kamieniowi. – Musimy mieć coś, żeby go podważyć, jakąś dźwignię.

–Tutaj nie mamy nic takiego.

–Możemy użyć mniejszych kamieni jako narzędzi – zdecydował Simon. – Wykopiemy trochę ziemi spod skały, żeby była mniej stabilna. Potem we trójkę powinniśmy zdołać ją poruszyć i odepchnąć na bok.

Zareb skinął głową z uznaniem.

– Czasami najprostsze narzędzia działają najskuteczniej.

Cała trójka opadła na kolana i zaczęła kopać pod skałą za pomocą małych kamieni. Po pewnym czasie Simon uznał, że usunęli dosyć ziemi.

– Dobrze, złapcie za skałę – poinstruował Simon. – Kiedy doliczę do trzech, niech każdy pcha całym ciężarem, dopóki skała się nie przewróci. Gotowi?

Zareb i Camelia pokiwali głowami.

–Dobrze zatem. Raz... dwa... trzy!

Skała poruszyła się lekko.

–Pchamy! – zawołał Simon. – Dalej, pchamy!

Szorstka powierzchnia skały wbijała się boleśnie w dłonie Camelii, jej ciało zadrżało pod przygniatającym ciężarem. Zamknęła oczy i zacisnęła szczęki.

Pchaj, powtarzała w duchu jak mantrę, napierając całym ciałem na skałę. Pchaj, pchaj, pchaj...

Skała poruszyła się trochę mocniej.

A potem nagle odskoczyła z ogłuszającym hałasem.

Camelia patrzyła w wąski otwór wycięty u podnóża góry. Wskoczył z niego czarny strumień wielkich pajaków, które rozbiegły się na wszystkie strony, niczym mała armia w czasie ataku.

Oskar pisnął i wskoczył na ramię Simona.

– Nie sędzę, żebyś chciała poczekać do rana, aż przyniesiemy jakieś przyzwoite lampy? – powiedział Simon, krzywiąc się, kiedy Oskar pociągnął go za włosy.

Camelia pokręciła głową.

–Muszę tam wejść teraz, Simonie. Ale nie sędzę, żeby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. Duchy nie pokazałyby mi drogi, gdyby nie chciały, żebym weszła.

–To nie duchów się obawiam. Boję się małych stworzonek, które pełzają, biegają, gryzą i kęsają.

–Dobrze. Poczekaj tutaj. – Chwyciła lampę i zniknęła w otworze.

Simon westchnął.

–Bałem się, że to powie. W porządku, Oskar, idziesz?

Oskar objął Simona mocno łapkami za szyję, zanurzając pyszczek w jego włosach.

– Uznaję to za „tak”. A ty, Zarebie? Masz ochotę włązić do małej, czarnej dziury, pełnej pajaków i Bóg wie czego, w środku nocy?

–Pójdę tam, gdzie Tisha – oświadczył Zareb uroczyście. – To moje przeznaczenie.

–Świetnie. Myślę, że z naszą trójką będzie tam znacznie weselej.

Simon opadł na kolana i wcisnął się przez wąski otwór, podążając za słabym światłem lampy, którą niosła Camelia.

– Spójrz na to! – powiedziała podniecona, wskazując rysunki na ścianach wąskiego korytarza, do którego weszli.

Słaby szelest kazał Simonowi spojrzeć w górę.

–Co to za paskudztwa, które tam wiszą? – zapytał niepewnie.

–Nietoperze – odparła Camelia obojętnie. – Popatrz na rysunki, Simonie, pokazują wojowników niosących ciała, podczas gdy ci za nimi niosą dary i bogactwa.

Nie spuszczać oczu z nietoperzy, Simon zmarszczył nos w stęchłym powietrzu.

–Miejmy nadzieję, że przynieśli coś więcej niż parę ubitych zwierząt, jaskinia śmierdzi rozkładającymi się skórą i kośćmi.

–Nawet skóry i kości pomogą nam zrozumieć starożytny lud – zapewniła Camelia.

– Ci wojownicy musieli być bardzo chudzi – poskarżył się Zareb, przepychając się za nimi.
– Harriet i Rupert nie przywykli do takiej ciasnoty.

Otworzył przewieszoną przez ramię skórzaną torbę i wyjął Harriet, która przefrunęła mu na ramię z szumem szarych skrzydeł. Rupert wystawił głowę na zewnątrz, ostrożnie wysunął język, badając chłodną ciemność jaskini, po czym pozwolił Zarebowi położyć się na ziemi.

– Do diabła! – zaklął Simon, o mało się nie przewracając na leżącym na ziemi szkielecie z dzidą obok. – Czy to jeden z Królów?

Camelia podeszła, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

–Nie, to prawdopodobnie strażnik. Zostawiono go, żeby pilnował grobu.

–Nie było mu pewnie wesoło, kiedy zastawili wyjście kamieniem – powiedział Simon. – Jeśli to grobowiec, to gdzie są ciała i skarby?

–To tylko przejście. Musimy iść dalej. – Trzymając lampę przed sobą, Camelia ruszyła w głąb jaskini.

–Przestań machać ogonem, Oskarze, łaskoczesz mnie w plecy – poskarżył się Simon, posuwając się za Camelią.

Oskar spojrział w dół i zapiszczał, po czym wdrapał się Simonowi na głowę, zakrywając mu oczy łapkami.

–Przestań, Oskarze, dość tych wygłupów!

–Nie ruszaj się – polecił Zareb, szybko przesuwając Simonowi rękami po plecach.

Simon oderwał łapki Oskara od twarzy w samą porę, żeby zobaczyć wodospad ogromnych czarnych żuków, które spadały z jego pleców i rozbiegały się po ziemi.

–Dlaczego w mojej pracowni nie zjawiała się zwykła, miła kobieta? – powiedział, usiłując nie deptać po brzydkich owadach, które łąziły mu po butach. – Taka, która za najlepszą rozrywkę uważałaby przejażdżkę powozem po parku w słoneczne popołudnie?

–To nie było twoje przeznaczenie – odparł Zareb.

–Sądziysz, że moim przeznaczeniem jest czołgać się w tej ciemnej, śmierdzącej jaskini z przerażoną małpką na głowie i paskudnymi, małymi stworzonkami czającymi się w mroku dookoła?

–Nie musiałeś wchodzić. To był twój wybór.

–Nie chciałem się pozbawiać takiej rozrywki – mruknął Simon, odsuwając na bok lepką pajęczynę.

–Simon! Zareb! Chodźcie szybko!

Simon pobiegł korytarzem, starając się nie zwracać uwagi na nietoperze nad głową i owady pod stopami.

Skręcił za róg i znalazł Camelię w obszernej pieczarze, oświetlonej tylko złotym blaskiem lampy.

– Słodki Jezu – szepnął oszołomiony.

Na ziemi leżało kołem osiem szkieletów okrytych rozkładającymi się skórami lamparta, zebry i lwa. Ramiona szkieletów zdobiły ciężkie bransolety z kości słoniowej i złota, na ich piersi widniały paciorki z przedziurawionych kamyków i muszelek. Wokół każdego ciała ułożono starannie wspinałe tarcze, włócznie, sztylety i maski.

Ściany pieczary ozdobiono malowidłami przedstawiającymi życie plemienia, w tym wojowników podczas bitwy, kobiety przygotowujące posiłki i opiekujące się dziećmi, a także zwierzęta na równinach Afryki.

Simon przeniósł wzrok na gliniane dzbany umieszczone przy głowie każdego ze zmarłych Królów.

–Co jest w tych dzbanach?

– Prawdopodobnie kawałki kwarcu i innych skał, które w oczach plemienia uchodziły za ładne – powiedziała Camelia, spoglądając na stosy kamieni. – Spójrz na te malowidła, Simonie, są niezwykle!

Simon podniósł jeden mleczny kamyk i przyjrzał mu się w świetle lampy, którą Camelia postawiła na podłodze. Przesunął nim po szybcie.

Na zadymionym szkle ukazała się głęboka rysa. Simon patrzył na nią z niedowierzaniem.

–To diament.

Zareb uniósł brwi.

–Jesteś pewien?

– Niezupełnie. – Rozejrzawszy się, znalazł kawałek zwykłej skały na ziemi. Podniósł go i potarł mocno o trzymany w ręku kamień, próbując go zadrapać. Podniósł powoli głowę. – Teraz jestem pewien.

Camelia odwróciła się w jego stronę.

– Jak możesz być pewien? – zapytała sceptycznym tonem.

–Diament może zarysować każdy inny minerał, ale żaden inny minerał nie zarysuje diamentu – wyjaśnił Simon. – A ponieważ wszystkie te kamyki w dzbanach są do siebie podobne, jestem gotów się założyć, że wszystkie napelniono surowymi diamentami. – Czuł, jak ogarnia go podniecenie. – Czy wiesz, co to znaczy, Camelio?

–To znaczy, że w końcu będę nadziany – powiedział przeciągle Bert, wchodząc do pieczary z pistoletem w dłoni.

Simon natychmiast stanął przed Camelia, zasłaniając ją swoim ciałem.

–Witaj, Bert – powiedział uprzejmie, ściskając diament w dłoni. – Zawędrowałeś raczej daleko od Londynu, nieprawdaż?

–Trzymaj ręce nieruchomo, tak żebym je widział – rozkazał Bert. – Ja i Stanley jesteśmy w stanie was wszystkich zastrzelić, nie miejcie złudzeń.

Zareb zmarszczył brwi.

– Kto to jest Stanley?

Bert obejrzał się ostrożnie przez ramię i się skrzywił.

–Stanley! Wprowadź tutaj swoją wielką dupę, ty bezmózgi ośle, nie widzisz, że mamy robotę?

–Przepraszam, Bert. – Stanley wysunął się z korytarza, trzymając w ręce niedojedzony kartofel, a drugą ręką pocierając głowę. – Ta jaskinia jest całkiem mała, Bert, ciągle walę się w łeb.

–Mówiłem ci, żebyś się nie prostował, ty głupia tyko – warknął Bert.

–Ale musiałem się wyprostować, Bert, inaczej jakbym chodził?

–Na Boga, trzeba chodzić ze zgarbionymi plecami, jak ta małpka na ramieniu wynalazcy, potrafisz tak?

–Pewnie, Bert – powiedział Stanley potulnie. – Spróbuję.

–Dobrze. – Zmarszczył czoło. – Na czym to stanąłem?

–Sądzę, że rozważałeś właśnie, w jaki sposób te wszystkie diamenty uczynią cię bogatym – przypomniał mu Simon, nadal z diamentem w garści. Był przekonany, że gdyby cisnął go w głowę Berta, mały drań zwałiby się na ziemię.

Na nieszczęście wciąż miałby do czynienia ze Stanleyem.

–Zgadza się – stwierdził Bert, kiwając głową. – Myślę, że jest tego dość, żeby kupić dla nas ładne, małe mieszkanie...

–W Cheapside, prawda, Bert? – przerwał Stanley z zapalem.

–Cheapside nie jest już dla nas dość dobre, Stanley – burknął Bert. – Z tymi wszystkimi diamentami będziemy tacy bogaci, że będziemy mogli mieszkać, gdzie nam się spodoba, nawet przy placu St. James, jeśli nam przyjdzie ochota.

–Chcę mieszkać w Cheapside – upierał się Stanley. – Tam jest sklepik z pysznymi pasztetami.

– Nie będziemy zaglądać do brudnych paszteciami, Stanley, będziemy jeść duszoną baraninę i gotowaną wołowinę z kurczakiem w sosie śmietanowym trzy razy dziennie!

Stanley zgarbił się, rozczarowany

– Lubię pasztet.

Bert przewrócił oczami.

– Dobrze, pasztet też możesz mieć. Teraz weź sznur i powiąż tę całą trójkę – rozkazał, wskazując Camelię, Simona i Zareba. – Nie chcę, żeby sprawiali nam kłopoty, kiedy będziemy wynosić te wszystkie diamenty.

Stanley ruszył w stronę Camelii.

–Przepraszam, jaśnie pani. Postaram się nie wiązać cię zbyt mocno.

–To bardzo uprzejme z twojej strony, Stanley. – Camelia uśmiechnęła się słodko, sięgając po ukryty w trzewiku sztylet. – Wezmę to pod uwagę, kiedy go wbiję w twoje cielsko.

Stanley zatrzymał się nagle, zakłopotany.

–A potem, jak wyniesiemy diamenty, rozwiążemy ich, prawda, Bert?

–Jasne, że nie, ty ptasi mózdzku! Inaczej mielibyśmy ich zaraz na karku!

–Ale jeśli ich nie rozwiążemy, jak stąd wyjdą? Związani wszyscy razem nie przeleżą przez tę małą dziurę.

–Zgadza się, nie przeleżą – stwierdził Bert, siląc się na cierpliwość.

–Taki jest plan, Stanley. Bierzemy diamenty i wracamy do Londynu, a jaśnie pani zostaje tutaj ze swoimi szkieleciami i śmieciami na zawsze. – Wykrzywił usta w złym uśmiechu. – I wszyscy są zadowoleni.

Stanley pokręcił głową.

–To nie w porządku, Bert. Stara ropucha, która nas wynajęła w Londynie, nic nie mówiła, żeby ich związać i zostawić w jaskini. Mówiła tylko, że mamy jechać za nimi do Afryki i tak im dokuczyć, żeby jaśnie pani sama chciała wrócić do Londynu.

–Nic nie mówiła o tym, że nie mamy zostawić jej związanej w jaskini – zauważył rozsądnie Bert.

–Ale jak ich zostawimy w jaskini, to skąd wezmą jedzenie i wodę, Bert? Będą głodni.

–Na miłość... oczywiście, że będą głodni, ty wielki głupcze! Na tym to polega, nie kapujesz? Zostaną tutaj i nie będą mogli nam bruździć, bo wykitują!

Stanley, zaszokowany, otworzył szeroko oczy.

–Nie możemy tego zrobić, Bert! To nie w porządku! Poza tym, co by pomyślała stara ropucha?

–Nic się nie dowie. Stary truposz nigdy by nam nie zapłacił tyle, ile tu jest. Najwyraźniej przyjechaliśmy do samej Afryki na rachunek jaśnie pani, która nie miała dość rozumu, żeby siedzieć w Londynie. – Spojrzał z wściekłością na Camelię. – O mało się nie przekręciłem w drodze tutaj i nienawidziłem każdego dnia w tym przeklętym Polamuni. Teraz, jak znalazłem diamenty, nie wyjadę bez nich.

–Otóż sądzę, że to lady Camelia znalazła diamenty – zauważył Simon.

Bert uśmiechnął się szyderczo.

–Cóż, tutaj nie będą jej potrzebne.

–Masz rację. – Camelia starała się mówić z rezygnacją, lekko zmieniając pozycję.

Straciła jakoś ochotę, żeby atakować sztyletem Stanleya. Poza tym prawdziwą groźbę stanowił Bert, bo to on miał pistolet. Jak tylko Stanley usunie jej się z drogi, wyciągnie sztylet i rzuci w Berta.

Najpierw jednak chciała się dowiedzieć nazwiska ich mocodawcy.

–Kim jest „stara ropucha”, o której ciągle wspominasz, Stanley? – zapytała swobodnym tonem, starając się odwrócić jego uwagę i ustawić w lepszej pozycji, żeby zaatakować Berta.

–To staruch, który nas wynajął, żebyśmy cię śledzili – wyjaśnił Stanley. – Chciał znać każde miejsce, gdzie byłaś.

–Czy to lord Bagley, archeolog? – Mówiła cicho, z przekonaniem. – Nic się nie stanie, jeśli nam powiesz.

–Nigdy nie mówił, jak się nazywa. Zobaczył nas kiedyś z Bertem pod Cętkowaną Kiełbaską i powiedział, że jest dama, którą trzeba śledzić. A potem zawsze, jak składaliśmy raport, dawał nam kolejną robotę, żeby cię nastraszyć, jak wtedy, w tej uliczce, albo żeby podpalić dom wynalazcy.

– Tak postępują ludzie bez honoru – stwierdził z pogardą Zareb. – Duchy osądzą was jako tchórzy.

–No, no, tchórzem to ja nie jestem – odparł urażony Bert. – Próbujemy tylko zarobić na życie, jak wszyscy inni.

–Jak para wrednych zbirów – odezwał się cichy, drżący głos – które zaraz zarobią kulę w dupsko, jak nie upuścisz natychmiast tego pistoletu!

–Oliwier! – krzyknęła Camelia, uśmiechając się. – Jak zdołałeś nas znaleźć?

–Cóż, dziewczyno, mogę być stary, ale kłopoty wyczuwam na kilometr – zapewnił skromnie Oliwier, wchodząc do słabo oświetlonej komnaty pogrzebowej. – Tak się robi, jak się wychowało

tego chłopaka i wszystkich jego braci i siostry. – Zachichotał. – Pamiętam, jak raz postanowili obrobić mały sklepik...

–Camelia z pewnością chętnie wysłucha tej opowieści innym razem – przerwał mu Simon, zręcznie odbierając Bertowi pistolet. – A teraz, Stanley, mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby użyć tego sznura do związania ciebie i Berta?

– Nie mam – odparł Stanley wesoło, wręczając Simonowi linę. – Tylko nie zwiąż Berta za mocno, złości się, jak mu jest niewygodnie.

– Nie możecie nas po prostu zostawić w tej jaskini, żebyśmy umarli! – zaprotestował Bert, kiedy Simon wiązał mu ręce. – To morderstwo!

–Nie zamierzam was tu zostawić – zapewniła Camelia.

Bert spojrzał na nią zdumiony.

–**Nie?**

– Oczywiście, że nie. Ten grobowiec to niezwykle cenne znalezisko i zbadanie go oraz zabezpieczenie artefaktów zajmie mi całe lata. Wy dwaj nie możecie tu siedzieć i jęczeć, i przeszkadzać mi w pracy.

–Nie narzekałbym, jaśnie pani – obiecał Stanley. – Jakbyś chciała, mógłbym ci pomóc – dodał nieśmiało. – Jestem dobry w podnoszeniu różnych rzeczy. Zepchnąłem tę waszą pompę, a była okropnie ciężka.

–Dziękuję, Stanley. To bardzo miło z twojej strony, że to proponujesz.

– Co zamierzacie z nami zrobić? – zapytał Bert.

–Powinien was osądzić wódz Hotentotów – warknął gniewnie Zareb. – Powinien wysłać was na pustynię bez jedzenia i wody i zakazać wam wracać, póki nie znajdziecie mądrości!

–To się wydaje nieco brutalne, Zarebie – powiedziała Camelia. – Myślę, że zadowolę się przekazaniem ich policji w Cape Town.

–Camelio! – Do pieczary wpadł nagle zadyszany Elliott z twarzą zaczerwienioną z podniecenia. – Co tu się, na wszystkie świętości, dzieje?

– Znaleźliśmy „Grobowiec Królów”, Elliotcie!

Camelia, głęboko przejęta, podbiegła do niego, zarzucając mu ramiona na szyję. Wreszcie spełniło się marzenie jej ojca. Cieszyła się, że Elliott dzieli z nią podniecenie i radość tej chwili, chociaż jednocześnie ogarnęło ją również dojmujące uczucie straty. Ojciec powinien tu z nimi teraz być. Położyła głowę na ciepłej piersi Elliotta i zamknęła oczy. Gdzieś tam, ponad sześciora błyszczącymi gwiazdami, z ciemnego nieba nad jaskinią, ojciec z pewnością patrzył na nich, uśmiechając się.

–Czy to nie cudowne? – szepnęła, mówiąc zarówno do ojca, jak i do Elliotta. – Jest tak, jak myśleliśmy.

–Mój Boże, Camelio, tak, to cudowne, ale tylko ty mnie obchodzisz! – Objął ją mocno. – Nic ci nie jest?

–Zupełnie nic. – Otarła łzy, uśmiechając się do niego. – To Stanley i Bert – ciągnęła, wskazując na parę złoczyńców, którzy zostali już związani. Zdając sobie sprawę, że Elliott zapewne potrzebuje nieco więcej informacji na temat ostatnich wydarzeń, dodała: – To ci, którzy mnie prześladowali zarówno tutaj, jak i w Londynie. Wydaje się, że przyjechali za nami aż tutaj, próbując przeszkodzić nam w pracy i niszczyć pompę.

Elliott posłał obu mężczyznom gniewne spojrzenie.

– A więc to są te dranie, które zrujnowały twój dom i przybiły sztyletem do poduszki ten paskudny list?

Camelia zmieszana się. Wsunęła się powoli z objęć Elliotta, patrząc na niego niepewnie.

–Co powiedziałaś?

–Ten list, o którym mi mówiłaś, wbity w twoją poduszkę ulubionym sztyletem twojego ojca. Czy to ci dwaj zrobili?

Poczuła ucisk w gardle. Nie. To niemożliwe. Zapewniając siebie samą, że musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie, rzekła spokojnie:

–Nie powiedziałam ci, że przybito go do mojej poduszki, Elliotcie.

–Oczywiście, że tak – powiedział zdecydowanie. – Mówiłaś mi o wszystkim, co zaszło.

–Nie, nieprawda. Nie chciałam, żebyś wiedział, że użyto sztyletu mojego ojca, ponieważ bałam się twojej reakcji. Wiedziałeś o jego rzekomej mocy i wiedziałeś, jak ojciec go lubił. Myślałam, że jeśli powiem ci, że został wykorzystany, żeby mi grozić, zrobiłbyś wszystko, żeby mnie powstrzymać od powrotu do Pumulani.

–Cóż, ktoś musiał mi powiedzieć – odparł Elliott wymijająco. – Może Kent.

Simon pokręcił głową.

–Przykro mi, Wickham. Nigdy nie rozmawiałem z tobą o tej nocy.

–A zatem pewnie usłyszałem o tym od Zareba.

–Z nikim nie rozprawiam o sprawach Tishy – oznajmił Zareb z zaciętą twarzą. – Nawet z tobą, lordzie Wickham.

Elliott spojrzał na nich ze zniecierpliwieniem, jakby jego zdaniem zawracali mu głowę czymś zupełnie błahym.

–No, dobrze. Więc pewnie dowiedziałem się od Oliwiera.

–Jestem pewien, że ja też nigdy ci tego nie powiedziałem, chłopcze. – Oliwier ściągnął białe brwi. – Wiem, że lepiej trzymać język za zębami, bo nigdy nie wiadomo, z której strony można oberwać.

Elliott powoli zwrócił wzrok na Camelię.

Patrzyła na niego zielonymi oczami, w których czaiła się słaba nadzieja. Widział, że stara się zachować spokój, nie tracić wiary, że jest jakieś wiarygodne wyjaśnienie faktu, że wiedział o sztylcie. W tej chwili czuł się przytłoczony własnymi uczuciami – tym, że tak bardzo pragnęła zachować wiarę w niego – wiarę, którą żywiła, odkąd była małą dziewczynką – i bolesną świadomością, że zawiódł ją całkowicie. Nie chciał tego, ale to nie miało znaczenia. To, co wynikało ze szczerzego pragnienia zapewnienia jej ochrony i stworzenia jej życia u swojego boku, w jakiś niezrozumiały sposób doprowadziło do tej strasznej chwili. Ogarnęły go wstyd i bezradny gniew.

Gdzie się podziała ta piękna młoda dziewczyna, która patrzyła na niego z takim podziwem i zachwytem? Kiedy zaczęła się od niego odsuwać, coraz dalej i dalej, aż w końcu wszystko, co mówił, myślał, czy zrobił, budziło w niej tylko zniecierpliwienie albo chęć sprzeciwu? Przez krótki czas po śmierci ojca Camelia zwracała się do niego, szukając pociechy. Wtedy czuł jej miłość. Sądził, że rozumiała jego uczucia względem niej. Z pewnością rozumiała, jak bardzo ją kochał, po pocałunku w ogrodzie lorda Bagleya.

To jej nie wystarczyło, jak sobie uświadomił, czując, że coś w nim pęka. Ofiarował jej wszystko, co miał, włącznie z nazwiskiem, domem, sercem.

A to ciągle było za mało.

–Przykro mi, Camelio – wykrztusił wreszcie głosem pełnym żalu. – Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. – W tym, przynajmniej, była jakaś prawda. Kiedy jednak spojrział na nią i zobaczył, jak traci resztę wiary w niego, rozumiał, że to nieistotne. Wyciągnął pistolet i wycelował w nią, starając się opanować drżenie dłoni. – Obawiam się, że muszę cię poprosić, abys oddała mi sztylet, który masz w bucie.

Patrzył, jak schyla się, wyjmując sztylet i rzuca go na ziemię u jego stóp.

Odchrząknął.

–Jeśli pozwolisz, Kent, chciałbym, abyście obaj z Oliwierem położyli tu swoje pistolety, a potem rozwiązali moich przyjaciół, Stanleya i Berta.

–Nie jestem twoim przyjacielem – sprzeciwił się zaskoczony Stanley. – Nawet cię nie znam.

–Stul pysk, Stanley, nie widzisz, że jego lordowska mość chce nam pomóc? – warknął Bert.

–Dlaczego chce nam pomóc, skoro nas nie zna? – zapytał Stanley.

–Bo was znam, bezmózga paro głupców – oznajmił Elliott cierpko. – Ja jestem starą ropuchą, o której ciągle wspominacie, choć zdaję sobie sprawę, że bez przebrania, kiedy się nie

garbię, jak stary pijak w brudnym kącie Cętkowanej Kiełbaski, raczej nie przypominam starucha, który was zatrudnił.

-Ty jesteś starą ropuchą? – zdumiał się Bert.

-Tak i muszę stwierdzić, że bardzo jestem rozczerowany, słysząc, jak planowałeś mnie okraść z tych diamentów, zwłaszcza że to ja opłaciłem waszą podróż tutaj.

-Ja tylko żartowałem, wasza lordowska mość – pospiesznie zapewnił Bert, podczas gdy Simon uwolnił go z więzów. – Mam nadzieję, że nie sądziłeś, że mówię poważnie!

-Dla mnie to brzmiało poważnie – zauważył Stanley.

-Zamknij swoją buziuchnę, Stanley, i ugryź się w język!

-Och, teraz rozumiem, mówiłeś z ironią. Tak jest wtedy, gdy Bert mówi coś, czego nie ma na myśli, tylko mówi, jakby tak myślał – wyjaśnił Stanley Oliwierowi, który rozwiązywał go powoli. Zmarszczył brwi. – To trochę mylące, nie ma co.

-Dlaczego, Elliott? – Camelia przełknęła z trudem ślinę, starając się powstrzymać łzy – Tyle lat pracowałeś z moim ojcem. Kochał cię jak syna. Nauczył wszystkiego, co potrafił. Jak mogłeś zdradzić go w ten sposób?

-Nie chciałem, żeby tak to się skończyło, Camelio – zapewnił Elliott. – Musisz w to uwierzyć. Przez lata żywiłem równie namiętą, jak twój ojciec, wierę, że „Grobowiec Królów” istnieje. Ale przez piętnaście lat nie zbliżyliśmy się ani o krok do odkrycia. Robotnicy odchodzili. Pieniądze się kończyły. A potem umarł twój ojciec, zostawiając po sobie ogromne długi. A ja nagle musiałem utrzymywać matkę i trzy niezamężne siostry, do tego parę domów i służbę, której trzeba było płacić, a także miałem rachunki, które nie mogły czekać, bez pewnego źródła dochodów, żeby temu wszystkiemu sprostać.

-Twardy orzech, bez dwóch zdań – stwierdził kpiąco Oliwier.

-Twój ojciec umarł na rok przed moim, Elliotcie – zauważyła Camelia. – Mogłeś natychmiast wyjechać, wrócić do Anglii i zająć się interesami. Nie musiałeś tutaj zostawać.

-Wiem. Tak planowałem. Ale w noc, kiedy poszedłem oznajmić twojemu ojcu, że wyjeżdżam, zastałem go w namiocie oglądającego parę diamentów, które znalazł.

-Mylisz się – powiedziała zdumiona Camelia. – Mój ojciec nigdy nie znalazł żadnych diamentów w Pumulani.

-Owszem, tak, Camelio. Nie chciał jednak, aby się o tym dowiedziano, nawet ty. Bał się, że jeśli to się rozniesie, rzucą się na niego chętni, żeby odkupić albo ukraść mu działkę ziemi. I wiedział także, że przekopywanie Pumulani w poszukiwaniu diamentów zniszczyłoby wszystko o jakiegokolwiek wartości archeologicznej.

Pokręciła głową, nie chcąc przyjąć tego, co mówił.

– Jeśli tak było, to co się stało z tymi diamentami w jego namiocie? Nie znalazłam ich w jego rzeczach, kiedy umarł.

– Zabrałem je, żeby je zabezpieczyć.

Oliwier parsknął z oburzeniem.

–Tak to nazywasz? Za moich czasów nazywaliśmy to obrabianiem kogoś.

–Po prostu potrzebowałem więcej czasu, Camelio – ciągnął Elliott, próbując jej to wytłumaczyć. – Wiedziałem, że diamenty należą do ciebie, ale wiedziałem także, że podzielasz zdanie swojego ojca. Potrzebowałem czasu, żeby pomóc ci uświadomić sobie korzyści z właściwie prowadzonych prac górniczych, w przeciwieństwie do niekończącego się przekopywania ziemi metr po metrze za pomocą szczoteczek i łopatek żeby nigdy nie znaleźć niczego wartościowego.

–Nigdy nie zgodziłabym się na oddanie ziemi górnikom, Elliotcie. Zawsze wierzyłam w istnienie „Grobowca Królów”. Nie zrobiłabym nic, żeby narazić go na uszkodzenie.

–On o tym wie, Camelio. – Simon patrzył na Elliotta z napiętą uwagą, zastanawiając się, czy cisnąć w niego diamentem od razu, czy też poczekać, aż Zareb i Oliwier ustawią się tak, żeby móc odebrać Stanleyowi i Bertowi pistolety. – Dlatego nigdy nie pokazał ci diamentów. Nie chciał cię przekonywać, żebyś sprzedała ziemię De Beers ze względu na jej potencjalną wartość jako złoża diamentów. Wiedział, że jesteś zbyt podobna do swojego ojca, żeby zgodzić się na coś takiego. Chciał się ciebie pozbyć stąd strachem, wmawiając jednocześnie, że ziemia jest zupełnie bezwartościowa.

–Ale dlaczego? – Camelia patrzyła na Elliotta błagalnie. – Gdybym nawet w końcu zgodziła się sprzedać ziemię, jaką miałbyś z tego korzyść?

–Początkowo nie chciałem się ciebie stąd pozbywać. – Jego głos złagodniał. – Wiesz, że zależało mi na tobie, Camelio. Miałem nadzieję, że mnie poślubisz, a potem chciałem ci powiedzieć o diamentach. Sądziłem, że zdołam cię przekonać, że lepiej będzie dla nas obojga sprzedać ziemię i wieść wspólne życie w Anglii. – Jego wzrok spochmurniał. – Jednak odrzuciłaś moje starania. Wtedy zrozumiałem, że muszę podjąć bardziej stanowcze kroki, żeby skłonić cię do porzucenia Pumulani i powrotu do mnie. Jednakże, ile bym wypadków zaaranżował tutaj i ile bym zapłacił tym dwóm ptasim mózdzkom, żeby cię przestraszyli, nie chciałaś zrezygnować z marzeń ojca.

–Hej, a kogo to nazywasz ptasim mózdzkiem? – odezwał się Bert.

–Dziewczyna ma waleczne serce – zauważył Oliwier, patrząc na Camelię z czułością. – Nie kurczy się, strzepuje wodę.

–Tisha jest Afrykanką – powiedział Zareb. – Wojowniczką.

–To cię musiało mocno gnębić, Wickham – powiedział Simon. – Domyślam się, że w tym momencie nawiązałaś już kontakty z De Beers i dałaś im znać o diamentach.

–Przedstawiłem im pewne propozycje – przyznał Elliott. A po tym, jak zobaczyli diamenty, byli, naturalnie, bardzo zainteresowani kupnem ziemi. Obiecałem skłonić Camelię do sprzedaży po bardzo korzystnej cenie, za co miałem otrzymywać hojne wynagrodzenie za usługi.

–Zdumiewa mnie, że nie wynegocjowałeś także procentu z kopalni.

–Wystąpili z taką ofertą, ale przy niższym wynagrodzeniu. A ponieważ nie było sposobu sprawdzić, czy ziemia kryje w sobie więcej diamentów poza tymi, które znalazł lord Stamford, wolałem dostać pieniądze od razu.

–Bardzo rozsądnie. Widzę, że nie lubisz podejmować ryzyka.

–Większość życia spędziłem, podejmując ryzyko, Kent – oznajmił cierpko Elliott. – Mój ojciec przysiągł, że mnie wydziedziczy, kiedy mu powiedziałem, że chcę zostać archeologiem. Nazwał mnie idiotą i zapewnił, że już nigdy nie dostanę od niego ani grosza. Zanim wyjechałem do Afryki, wyrzucił mnie z domu i pozbawił pensji, w przekonaniu, że nie odważę się ruszyć do Afryki bez jego pomocy finansowej.

Camelia szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

–Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Elliotcie.

–Nigdy nie mówiłem nikomu, poza twoim ojcem. Musiałem mu powiedzieć. Lord Stamford zgodził się mnie szkolić, ale ja nagle znalazłem się bez pieniędzy na wyjazd do Afryki. Zapytałem twojego ojca, czy może mi coś pożyczyć na podróż. Zamiast tego dał mi bilet w prezencie i zaofiarował skromną pensję. Pozwolił mi stawić czoło ojcu i pójść za swoimi marzeniami. Za to pozostanę na zawsze jego dłużnikiem.

–A jednak zdradzasz go, niwecząc wykopaliska i krzywdząc jego córkę. – W głosie Zareba brzmiała wściekłość. – Duchy nie będą zadowolone.

–Odpląciłem mu, pozostając z nim przez lata, wierząc mu, kiedy powtarzał, że jesteśmy u progu wiekopomnego odkrycia – odparł Elliott. – A przyniosło mi to jedynie długi i szyderczą wzgardę Brytyjskiego Towarzystwa Archeologicznego. Uważali, że jestem głupcem, marnując tyle czasu na wykopaliska z lordem Stamfordem. – Jego usta zacisnęły się w wąską linię, kiedy spojrzał na Simona. – Ale dopiero kiedy pojawił się Kent, zrozumiałem, jakim byłem głupcem.

Sens jego słów nie pozostawiał wątpliwości

–Uważaj, co mówisz, Wickham – ostrzegł Simon, zaciskając pięści.

–Czy naprawdę myślisz, że nic wiem, w co się bawiliście w nocy w twoim namiocie?

–No – powiedział Oliwier, krzywiąc się – nie będziemy tego słuchać!

–Radzę trzymać język na wodzy, lordzie Wickham – dodał Zareb z ledwie hamowaną wściekłością – albo będę zmuszony ci go przywiązać.

–Och, tak, wierny Kafr rusza z pomocą lady Camelii, mimo że dwaj ludzie mierzą do niego z pistoletów – wycedził kwaśno Elliott. – Ty też przyczyniłeś się do tego, że to się tak kończy.

– Poświęciłem życie, żeby bronić jej przed ciemnymi mocami – powiedział Zareb z wymuszonym spokojem. – I przed tobą.

–Nie musiałeś jej przede mną bronić, ty stary głupcze. Chciałem się nią opiekować!

–Opieka nad nią nigdy nie należała do ciebie, wasza lordowska mość – odparował Zareb. – Nie zasługiwałeś na ten przywilej.

Elliott przeniósł wzrok na Camelię.

–Był taki czas, Camelio, że szczerze wierzyłem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. – Wyciągnął rękę i przesunął wolno palcami po jej umorusanym policzku. – Teraz jednak, kiedy wiem, jakie pospolite, obrzydliwe typy cię pociągają, uważam się za szczęśliwca, że odrzuciłaś moje oświadczenia.

–Czy on mówi, że ja jestem dla jaśnie pani pociągający? – zapytał zaszokowany Stanley.

–Otóż, Stanley, sądzę, że jego lordowska mość mówi o mnie – odparł Simon.

– Ale ty nie jesteś pospolity. Jesteś mądry, jak nie wiem co, z tymi twoimi wynalazkami i w ogóle.

– Dziękuję.

– Zamknij się, Stanley! – warknął Bert. – Nie widzisz, że mamy robotę?

Stanley spojrzał na niego przestraszony.

– Przepraszam, Bert. Co mam teraz zrobić?

Bert spojrzał pytająco na Elliotta.

–Zwiążcie ich – rozkazał Elliott – i zaczniacie wynosić dzbany z diamentami. Pospieszcie się, do diabła! Chcę, żeby ta jaskinia była pusta i dobrze zamknięta, zanim ktoś inny ją znajdzie.

–A więc to tak? – Głos Camelii brzmiał lodowato, podczas gdy Stanley i Bert zabrali się niechętnie do wypełniania rozkazu. – Po prostu nas tutaj zamkniesz i zostawisz?

–Przykro mi, Camelio, ale w tej chwili nie widzę innej możliwości. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że rzeczywiście możesz znaleźć grobowiec. Teraz, kiedy ci się to udało, przyznasz, że to całkiem na miejscu, żebyś ty i twoi przyjaciele tutaj zostali. Całe życie poświęciłaś szukaniu grobowca. Teraz zostaniesz w nim na wieczność.

–Ale już mówiłem Bertowi, że to nie w porządku – sprzeciwił się Stanley, przestając na chwilę wiązać nadgarstki Oliwiera. – Nie zostawię ich, żeby tu umarli, tutaj są pająki!

–Zrobisz, co każę, ty skretyniały matole, albo was obu też tu zostawię – zagroził Elliott z wściekłością. – Rozumiesz, czy też twój mały przyjaciel musi ci to wyjaśnić?

Stanley spojrzał błagalnie na Berta.

–To nie jest w porządku, Bert.

–Zamknij jadaczkę i rób, co każą, Stanley – powiedział Bert, zerkając niespokojnie na pistolet Elliotta.

–Mądra rada – stwierdził Elliott sucho.

Camelia stała jak skamieniała, z rękami zaciśniętymi w pięści po bokach. Owiewał ją lodowaty podmuch wiatru, uświadamiając jej gwałtowne bicie serca, ukłucia zimna na skórze, szum krwi w żyłach. Znalazła „Grobowiec Królów”. Przy okazji odkryła także, że jej drogi Elliott, którego ojciec traktował jak syna, gotów był przekreślić lata przyjaźni i poświęcenia dla paru garnków z diamentami.

Nic nie było takie, jakie się wydawało, pomyślała z bólem.

Pozwól gwiazdom się prowadzić.

– Nadszedł czas, Tisho – powiedział cicho Zareb.

Camelia popatrzyła na niego niepewnie. Odwzajemnił spojrzenie z niezwykłym spokojem; w jego ciemnych oczach wyczytała miłość i zdecydowanie.

– Duchy przemówiły, Tisho – szepnął cicho. – Nadszedł czas.

–Nigdy nie dasz sobie z tym spokoju, co, Zareb? – mruknął Elliott. – Z całą tą idiotyczną paplaniną o złych duchach, ciemnych siłach i klątwach. Doprawdy zdumiewa mnie, dlaczego Stamford wybrał starego, ciemnego Kafra, żeby opiekował się jego córką. – Kończąc, spojrzał z gniewem na Camelię. – Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby ojciec zostawił cię w Anglii pod opieką dobrej angielskiej guwernantki.

–Masz rację, Elliott – zgodziła się cicho Camelia. – Wszystko byłoby inaczej. Ale jest coś, czego, jak sądzę, angielska guwernantka nie potrafiłaby mnie nauczyć.

– Cóż takiego?

– To. – Chwyliła mały palec jego lewej dłoni i wygięła go z całej siły, wrywając ze stawu.

Elliott zawył z bólu i zatoczył się do tyłu, przypadkowo naciskając spust pistoletu.

Oskar zaskrzeczał i wskoczył mu na głowę, na chwilę go oślepiając. Podczas gdy Elliott usiłował zerwać z siebie wściekłą małpkę, z pomocą Oskarowi przybyła Harriet, dziobiąc Elliotta bezlitośnie w twarz i głowę. Z ziemi zerwała się pomarańczowo–czarna błyskawica – Rupert zatopił zęby w nodze Elliotta.

– Pomocy! Zdejmijcie je ze mnie! Pomocy!! – wrzeszczał Elliott, depcząc po szkieletach zmarłych Królów i przewracając naczynia z diamentami. – Pomocy!

Nagle nietoperze wiszące pod sufitem zapiszczały i wyfrunęły z jaskini, wywołując zimny wiatr.

– Chyba nie spodobał im się wystrzał – stwierdził Oliwier, drapiąc się w głowę.

Potężny huk wstrząsnął jaskinią. Posypały się na nich odłamki skalne i tumany kurzu.

–Zapada się! – krzyknął Simon, podbiegając do Camelii i chwytając ją za rękę. – Wszyscy na zewnątrz!

–Chodź, Stanley, galopem! – wrzasnął Bert, biegnąc w stronę korytarza tak szybko, jak mogły go unieść krótkie nogi.

–Biegnę za tobą, Bert – zawołał Stanley, pospiesznie rozwiązując Oliwiera i Zareba.

–Oskar, Harriet, dość tego! – Camelia podniosła z ziemi sunącego ku niej Ruperta, zawieszając go sobie na szyi. – Musimy się stąd natychmiast wydostać!

Harriet dziobnęła Elliotta po raz ostatni, po czym sfrunęła na ramię Zareba. Oskar palnął go gniewnie łapką po głowie, potem zeskoczył z niego i wdrapał się na Simona.

– Nic ci się nie stało, Elliotcie? – zapytała Camelia nagle. – Jesteś w stanie biec?

Elliott patrzył na nią nieprzytomnie, podczas gdy kurz i kamienie sypały się wokół niego.

–Moje diamenty! – Upadł na ziemię i zaczął przesuwając dłońmi po dnie pieczary próbując zebrać rozsypane kamienie i wpakować je sobie do kieszeni.

–Na Boga, Wickham, zostaw je! – krzyknął Simon.

–Są moje! – Elliott, na czworakach, gorączkowo grzebał w piachu.

–Elliotcie, proszę – powiedziała Camelia – musimy natychmiast stąd wyjść!

–Jeszcze tylko chwilę!

Na jednej ze ścian pojawiła się złowróżbna rysa, tworząc przedział na obrazie pomiędzy grupą wojowników a lwem, na którego polowali.

– Chodź, Tisho – powiedział Zareb. – Pora, żebyś opuściła to miejsce.

–Elliotcie, błagam cię, zostaw je! – zawołała Camelia urywanym głosem.

–Jeszcze tylko parę – odparł Elliott, nie podnosząc się z ziemi.

–To jego wybór, Camelio – Simon ujął ją za ramię. – Chodźmy!

–Nie mogę go tutaj zostawić!

–Jeśli zostaniesz, umrzesz – stwierdził Simon szorstkim głosem. – A chociaż takie rozwiązanie może być dla ciebie odpowiednie, zapewniam cię, że dla mnie jest nie do przyjęcia.

Zarzucił ją sobie na ramię, biegnąc w stronę korytarza; za nim podążyli natychmiast Oliwier i Zareb.

–No, dalej, Stanley, rusz się! – polecił Simon, kiedy zastali go zaklinowanego w wejściu do jaskini.

–Nie mogę, utknąłem!

–To doprawdy niezwykła noc – mruknął Simon, stawiając Camelię na ziemi. – Bert, jesteś tam?

–Jestem! – zawołał Bert. – Ale on się zakorkował jak mysz w pułapce i nie mogę go ruszyć!

–W porządku, my go trochę popchniemy, a ty spróbuj go tak ustawić, żeby go było łatwiej wypchnąć. Oliwierze, Zarebie, złapcie go za nogi. Ja i Camelia podtrzymamy tułów. Gotowi? Pchamy!

–Dobra jest! – krzyknął Bert. – Rusza się!

–W porządku, Stanley, chcę, żebyś skręcił prawe ramię w dół, a lewe trochę przesunął do góry, tak żebyś był bardziej bokiem, rozumiesz?

–Chyba tak – sapnął Stanley. – Chyba mi się lżej oddycha.

–Świetnie. Teraz wciągnij brzuch i zrób się taki mały, jak tylko możesz. Kiedy powiem „trzy”, ciągnij z całej siły, Bert, a my będziemy pchać. Gotowi? Jeden... dwa... trzy!

Rozległ się chór jęków i pochrząkiwań, kiedy wszyscy usiłowali wyzwolić Stanleya ze skalnego uścisku.

– To jak próbować przepchnąć słonia przez dziurkę od klucza! –jęknął Oliwier, któremu ramiona drżały z wysiłku.

Spadło na nich więcej kamieni i ziemi. Dosięło ich morze robaków i węży, które usiłowały uciec z szybko zapadającej się pieczary.

–Dalej, Stanley – wysapał Simon – zrób się maty!

–Rusza się! – krzyknęła Camelia.

Stanley przesunął się o centymetr. A potem o następny. Wreszcie wyskoczył z dziury jak ogromny korek, lądując ciężko na Bercie.

–Idź! – rozkazał Simon Camelii, wypchnąwszy na zewnątrz Oskara i Harriet.

–Ale Zareb i Oliwier...

–Pójdą zaraz za tobą – zapewnił, bezceremonialnie wypychając ją i Ruperta przez otwór. – W porządku, Oliwierze, jesteś następny!

–Spokojna głowa, chłopcze. Nie zamierzam sam się męczyć w podróży do Anglii! – Stary Szkot wygramolił się niezgrabnie z jaskini.

–Teraz ty, Zarebie.

Zareb *popatrzył na niego z powagą.*

–Duchy przemówiły.

–Tak jest, powiedziały, żebyśmy się stąd zabierali do wszystkich diabłów, więc ruszaj się!

Zareb spojrział na niego, po czym z powagą skłonił głowę.

– Ona teraz należy do ciebie. Strzeż jej dobrze.

Z ciemnymi oczami, błyszczącymi od łez, odwrócił się w stronę zapadającego się korytarza.

– Na miłość boską...

Simon złapał go za ramiona i odwrócił ku sobie.

–Czy naprawdę myślisz, Zarebie, że wyjdę stąd bez ciebie?

–Musisz. Tisha cię potrzebuje.

–Pochlebia mi, że tak myślisz. Ciebie też potrzebuje.

Zareb pokręcił głową.

–Czas mojej opieki nad nią dobiegł końca. Teraz twoja kolej.

– Czy to jakieś zwariowany afrykański przesąd? Bo Oliwierowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że powinien skończyć się mną opiekować. Wciąż czuwa nad moją matką, a ona ma męża i dziewięcioro dzieci, na Boga! On uważa, że z każdym rokiem spoczywa na nim coraz większa odpowiedzialność!

Oczy Zareba zaokrągliły się.

– Naprawdę?

– Chętnie pogadałbym o tym z tobą dłużej – powiedział Simon, uchylając się, gdy potężny odłamek skały upadł tuż obok niego – ale wolałbym, doprawdy, zrobić to na zewnątrz jaskini. Idziesz?

Zareb wpatrywał się ze zdumieniem w wyciągniętą rękę Simona. A potem położył na niej swoją.

– Oczywiście – odparł z uśmiechem. – Tisha czeka.

– Nie ma to jak zwlekać do ostatniej chwili – mruknął Simon, pomagając Zarebowi precyzyjnie się przez wąski otwór.

Kaskada kamieni posypała się, gdy sam zanurkował na zewnątrz, opadając ciężko na ziemię.

Potem chwycił Camelię i przetoczył się wraz z nią, osłaniając dziewczynę własnym ciałem, podczas gdy „Grobowiec Królów” zapadł się z jękiem, raz jeszcze grzebiąc swoje tajemnice.

–**Nie** mam dla ciebie nic więcej do jedzenia – powiedziała Camelia, kiedy Oskar trącił ją w ramię pyszczkiem.

Siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z cennym dziennikiem ojca otwartym na kolanach, przyglądając się z powagą lwu i wojownikom.

– Jeśli jesteś wciąż głodny, idź i poszukaj Oliwiera. Może da ci ciasteczko, zanim wyjadą z Simonem.

Oskar pociągnął ją za ramię. Camelia podniosła go z westchnieniem. Ciemne oczka patrzyły na nią niespokojnie.

– Wszystko dobrze, Oskarze. – Poglądziła go delikatnie po głowie, starając się usilnie, aby jej głos brzmiał pocieszająco. – Wszystko będzie dobrze.

– Zareb powiedział, że cię tu znajdę.

Odwróciła się gwałtownie; za nią stał Simon. Miał na sobie swój zwykły strój złożony z luźnej płóciennej koszuli i pogniecionych spodni. Wokół jego szyi owinał się niedbale Rupert, podczas gdy Harriet zasiadała dumnie na jego ramieniu.

– Wydaje się, że Rupert i Harriet zagustowali w moich rzeczach – powiedział Simon, ostrożnie zdejmując węża z ramion i kładąc go na ziemi. – Harriet wyciąga różne przedmioty z moich kufrów i rozrzuca je po namiocie, podczas gdy Rupert wślizguje się w nie i zakopuje w moich ubraniach. Nieźle mnie przestraszył, kiedy akurat opuszczałem wieko.

Camelia patrzyła, jak Rupert zwija się w pętlę przy buciu Simona, cierpliwie wysuwając język i czekając, aż Simon znowu się ruszy. Harriet zamachała skrzydłami w proteście, kiedy Simon usiłował ją zerwać z ramienia. Na jakimś prymitywnym poziomie wydawali się rozumieć, że Simon wyjeżdża.

Camelia zagryzła wargę i ponownie zapatrzyła się w malowidło naskalne.

– Co teraz zrobisz, Camelio? – Porzuciwszy próby pozbycia się Harriet, Simon usadowił się na ziemi, nie na tyle blisko, żeby dotykać Camelii, ale dość blisko, aby sprawić, że była boleśnie świadoma jego cielesności.

Delikatnie głaskała główkę Oskara.

–Nie jestem pewna.

–Mogłabyś spróbować odkopać „Grobowiec Królów”. To zabierze trochę czasu, ale przynajmniej wiesz dokładnie, gdzie się znajduje.

Pokręciła głową.

– Nie chcę go ponownie ruszać.

Simon patrzył na nią w milczeniu. W jej zielonych oczach widniał smutek, a fioletowe półksiężycy pod oczami zdradzały, że nie spała od czasu zapadnięcia się jaskini poprzedniej nocy.

–To, co stało się z Elliottem, jest straszne – zaczął łagodnie – ale taki był jego wybór, Camelio. Mógł opuścić pieczarę z nami. Wolał w niej zostać, aż było za późno.

–Nie sądzę, żeby świadomie dokonał wyboru, Simonie. W grobowcu były inne siły, siły, których ani ty, ani ja nie rozumiemy.

– Nie mów mi, że wierzysz w to gadanie Zareba o ciemnym wietrze i klątwach. To nie jest zbyt naukowe podejście ze strony takiego doświadczonego archeologa jak ty

– Są moce, które kpią z naukowej wiedzy – stwierdziła Camelia. – Zareb zawsze mówił, że pewnych rzeczy się nie dowiemy, ponieważ nie są nam przeznaczone, przynajmniej dopóki nie nadejdzie właściwa pora. Zeszłej nocy „Grobowiec Królów” odkrył się przede mną. Dzięki temu również odkrył się Elliott. Te dwa wydarzenia są ze sobą ściśle powiązane. Nie sądzę, żeby duchy pozwoliły Elliottowi opuścić jaskinię, nawet gdyby próbował. Dlatego ją zasypały.

– Duchy nie zasypały jaskini, Camelio – sprzeciwił się Simon – Elliott to zrobił. Wystrzelił z pistoletu i jaskinia się zapadła, może dlatego, że naruszył coś w sklepieniu, a może dlatego, że rezonans wywołał drgania w skale. Każdej akcji odpowiada reakcja, a w tym szczególnym wypadku fizyczną reakcją było zapadnięcie się pieczary.

–Złamałam Elliottowi palec i dlatego wystrzelił – zauważyła Camelia. –Jeśli wszystko jest tylko akcją i reakcją, to ja odpowiadam za zniszczenie jaskini.

–Jeśli nie złamałabyś Elliottowi palca w tamtej chwili, Zareb, Oliwier i ja zrobilibyśmy wszystko, żeby go obezwładnić, co pewnie też by sprawiło, że pistolet by wystrzelił. Sądzę, że nawet Stanley i Bert w końcu by nam pomogli. Stanley łąził za mną całe rano, pytając, czy może coś zrobić, żeby mi się odwdzięczyć za to, że pomogłem mu się wydostać z dziury. A Bert zaofiarował Oliwierowi pomoc przy kufrach, chociaż przypuszczam, że pewnie miał na myśli to, że Stanley je poniesie. Nie musisz więc zadręczać się poczuciem winy za zapadnięcie się jaskini i śmierć Elliotta, Camelio. Cieszę się, że Zareb nauczył cię tej małej sztuczki z palcem, lecz muszę przyznać – dodał z uśmiechem – że myślałem inaczej, kiedy wypróbowałaś ją na mnie.

– Elliott nigdy by nas nie skrzywdził, gdybyśmy nie odkryli pieczary z tymi wszystkimi diamentami, a my nigdy nie dotarlibyśmy do niej, gdybym nie usłyszała tego głosu, który szeptał do mnie w rzece.

Simon zmarszczył brwi.

–Jaki głos?

–Nieważne. – Camelia zamknęła dziennik ojca i odłożyła go na bok, usiłując dojść do ładu z własnymi emocjami. – Chcę tylko powiedzieć, że są pewne rzeczy, Simonie, które może lepiej zostawić w spokoju. Wydobycie tych zabytków oznaczałoby długie lata przekopywania ziemi, i po co? Żeby wyrwać je z miejsca, gdzie powinny spoczywać, przewieźć za ocean i umieścić w muzeum w Anglii? Gdzie wsadzono by je do szklanych gablot i wystawiono przed oczy gawiedzi, która nie byłaby w stanie docenić ich doniosłości?

–To niepodobne do ciebie, Camelio. Zawsze wierzyłaś w konieczność dzielenia się wiedzą z resztą świata.

–Ciał i artefaktów nie składano w jaskini z myślą o tym, że zostaną stamtąd zabrane i wystawione na widok publiczny. To komora grzebalna, Simonie. Te zabytki należą do Afryki i ludów Afryki, wywodzących się od wodzów, których tam pochowano, a nawet do duchów, które ich strzegą. Byłoby niewłaściwe, gdybym je próbowała zabrać.

–A co z marzeniem twojego ojca?

–Ojciec marzył o odnalezieniu „Grobowca Królów”. Zrobiliśmy to.

–Jeśli nie dostarczysz archeologicznemu światkowi dowodów, nigdy ci nie uwierzą. Uznają to za historyjkę, albo grubo przesadzoną, albo zmyśloną.

–Wiem. I boli mnie myśl, że praca ojca nigdy nie zostanie doceniona, podczas gdy całe życie walczył o szacunek ze strony innych badaczy. Mój ojciec kochał archeologię, Simonie, ale jeszcze bardziej kochał Afrykę. Ostatecznie zrobiłby to, co najlepsze dla Afryki, a nie dla siebie.

Simon, wzruszony i onieśmielony spokojem i dojrzałością Camellii, uświadomił sobie, że dziewczyna się zmieniła. Poszukiwania, które zajmowały niepodzielnie jej myśli od chwili, gdy ujrzał ją na podłodze pracowni w chmurze mokrych halek, właśnie dobiegły kresu. A chociaż widział smutek w jej oczach, czuł, że ta decyzja nie budzi w niej niepokoju.

– Zawsze możesz zacząć szukać tutaj diamentów – powiedział. – Z daleka od grobowca, rzecz jasna.

Pokręciła głową.

–Nie będę niszczyć ziemi w poszukiwaniu kilku bezużytecznych białych kamyków. Diamenty mnie nie interesują, nie mają trwałej wartości.

–Otóż, jako jedna z najtwardszych substancji na ziemi, mają, moim zdaniem, pewną wartość, przynajmniej z naukowego punktu widzenia – odparł Simon. – Mogą się okazać niezwykle przydatne w nauce i technologii. Nawet jeśli ja cię o tym nie przekonam, powinnaś pomyśleć jeszcze o czymś innym. Elliott zabrał diamenty, które znalazł twój ojciec, do De Beers, które nie rozgłaszało tego, mając nadzieję na zakup twojej ziemi. To tylko kwestia czasu, a wieść o diamentach w Pumulani się rozniesie. Kiedy tak się stanie jak powstrzymasz ludzi przed kopaniem tutaj?

–Pumulani należy do mnie. Nikomu nie pozwolę tu kopać.

–To godne podziwu, może uda ci się temu zapobiec, póki będziesz w stanie trzymać tu strażników. Ale skąd weźmiesz pieniądze, żeby ich opłacać? I co się stanie z Pumulani, kiedy umrzesz?

–Zabezpieczę je jakoś.

–Nawet jeśli ci się to uda przez następnych sto lat, w końcu ktoś się tu zjawi i zacznie kopać. Pozostaje pytanie, na ile będą uważać, żeby nie wyrządzić trwałych szkód, na ile dobrze będą traktować robotników i na co przeznaczą zyski?

– Nie wiem. Panuję tylko nad tym, jak sama postępuję z ziemią i jak traktuję ludzi, którzy dla mnie pracują. Nie jestem w stanie panować nad tym, co robią inni.

– Dlatego właśnie powinnaś zastanowić się nad otwarciem tutaj kopalni. Pomyśl o tym, Camelio. Po pierwsze, możesz to robić tak ostrożnie, jak uznasz za stosowne, trzymając się z daleka od grobowca i zachowując wszelkie artefakty, jakie znajdziesz po drodze. Po drugie, możesz dopilnować, żeby tubylcy byli dobrze traktowani i uczciwie opłacani, kiedy już dasz im pracę, której tak bardzo potrzebują. Po trzecie, możesz wydać część zarobionych pieniędzy na rzecz Afrykańczyków.

To mocny argument, przyznała w duchu Camelia. Zawsze nienawidziła kompanii górniczych, ponieważ niszczyły ziemię i źle traktowały tubylców – żeby tylko zbić majątek. Gdyby jednak ona zabrała się do kopania ziemi, wszystko wyglądałoby inaczej. Mogła dopilnować, żeby kopano ostrożnie, zapewniając ochronę wszelkim śladom przeszłości. Robotników traktowałaby uczciwie i z szacunkiem. A zyski zużyłaby na pomoc okolicznym plemionom w okresach, kiedy brakowało żywności oraz na przygotowanie ich na kontakt z nowym światem, który zbliżał się do nich nieubłagane. Mogłaby zbudować szkołę. Może nawet powstałby mały szpital, przydatny w sytuacji, gdy nie wystarczała moc szamanów i palonych ziół. Wydobywanie diamentów w Pumulani nie było konieczną zdradą wszystkiego, w co wierzyła. Nie, jeśli oznaczałoby poprawę jakości życia choćby garstki rdzennych Afrykanów.

A jednak czuła w sobie dziwny brak entuzjazmu wobec tych projektów.

– Nie wiem. Nie jestem pewna, czy tu zostanę – dokończyła bezbarwnym głosem.

Simon zmieszał się.

– Nie musisz mieszkać tutaj, na terenie wykopalisk, jeśli nie chcesz. Możesz zatrudnić dobrych robotników i odpowiedzialnego nadzorcę, i kierować wszystkim z domu w Cape Town.

– Myślałam o tym, żeby udać się jeszcze dalej.

Simon uniósł brwi.

– A dokąd to zamierzasz się udać?

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Do Londynu.

– Dlaczego? – zapytał Simon, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Ponieważ nie jestem w stanie żyć bez ciebie, pomyślała, przestraszona własnymi uczuciami. Ponieważ nic, co kiedykolwiek zrobię, zobaczę, odczuję czy dotknę, nie będzie takie samo, jeśli ciebie ze mną nie będzie. Ponieważ jeśli ty wyjedziesz, a ja zostanę, przeżyję resztę życia, czując, że serce mi pękło na dwoje.

– Po prostu chcę tam jechać. – Miała nadzieję, że ucieszy go myśl, że ona pojedzie z nim do Londynu. Zamiast tego wydawał się głęboko zdumiony. – Czy to takie dziwne?

Wzruszył ramionami.

– W wypadku większości kobiet, prawdopodobnie nie. Dla ciebie, która nienawidzisz Londynu i kochasz Afrykę całym sercem, tak.

– Może nauczę się lubić Londyn.

–Wątpię. Ale nawet jeśli tak było, dlaczego miałabyś tego chcieć, skoro wszystko, co się dla ciebie liczy, jest tutaj?

–Ponieważ wszystkiego, co się dla mnie liczy, tutaj nie ma. Coś niezmiernie dla mnie ważnego jest w Londynie.

–Co?

Spojrzała mu prosto w oczy. Zbierając się na odwagę, szepnęła uroczyście:

– Ty.

Patrzył na nią zaskoczony.

A potem, ku jej głębokiej irytacji, parsknął śmiechem, skłaniając Harriet do opuszczenia jego podskakującego ramienia.

–Nie wybieram się do Londynu, Camelio – wykrztusił wreszcie.

–Nie?

–Cóż, sądzę, że jeśli ty byś się tam wybierała, będę musiał, ale sugerowałbym, aby to była krótka wizyta. Wiem, że moja rodzina bardzo chce cię poznać, zwłaszcza po opowieściach, jakie usłyszeli od Doreen, Eunice i Jacka. Musisz jednak obiecać, że zabierzemy ze sobą Ruperta, mój młodszy brat Byron nigdy mi nie wybaczy, jeśli tego nie zrobimy. Od dawna usiłuje przekonać Genevieve, że wąż to cudowne zwierzę domowe.

–Ale ja zamierzałam jechać do Londynu tylko dla ciebie – sprzeciwiła się Camelia. – Badrani powiedział, że się pakujesz. Mówił, że razem z Senwe zabierają ciebie i Oliwiera do Kimberley, żebyście po południu złapali pociąg do Cape Town.

–Tak, a jak wy tu oboje będziecie siedzieć i paplać, to dzień minie, a ja się spóźnię na pociąg – dodał surowo Oliwier, zbliżając się do nich.

–Lepiej by było, gdybyś wyjechał jutro – powiedział Zareb, idąc wolno za nim. – Nie przygotowałem jeszcze dla ciebie gąsienic Mo– pani.

–To doskonały powód, żeby przełożyć podróż, Oliwierze – zażartował Simon, rozbawiony grymasem obrzydzenia na twarzy starego Szkota.

Wyciągnął rękę do Camelii, żeby pomóc jej wstać.

Oliwier podrapał się po brodzie, udając, że się zastanawia.

– Obawiam się, że moja nieobecność już trwa za długo – powiedział w końcu z westchnieniem. – Chociaż te mopany brzmią dobrze, Zarebie, będą musiały poczekać, aż tu wrócę. Może zdołam przekonać rodzinę chłopaka, żeby spróbowali obyć się beze mnie przez parę miesięcy następnego lata.

Zareb skłonił z powagą głowę.

–Zrobię wszystko, żeby znaleźć dla ciebie najlepsze gąsienice, kiedy znowu przyjedziesz.

–Oliwier wyjeżdża – wyjaśnił Simon, zwracając się do Camelii. – Uznał w końcu, że można mi na tyle zaufać, żeby mnie zostawić bez opieki na jakiś czas. Myślę, że po wypadkach ostatniej nocy jest gotów do powrotu do Szkocji, gdzie nikt nie będzie go ciągnąć do jaskiń pełnych nietoperzy ani grozić nagłą i gwałtowną śmiercią.

–To nic takiego – mruknął Oliwier. – Bywałem w gorszych opalach z twoimi braćmi i siostrami i wciąż żyję, żeby o tym opowiadać.

–Ale Badrani mówił, że obaj się pakujecie i jedziecie do Kimberley – odparła Camelia, wciąż zaniepokojona.

–Pomagałem Oliwierowi przy pakowaniu i będę mu towarzyszyć do Kimberley, żeby mieć pewność, że wsiadł do właściwego pociągu – powiedział Simon. – A potem wrócę.

–Dlaczego?

–Ponieważ choć uważam się za osobę tolerancyjną, nie jestem aż tak liberalny w poglądach, żeby pozwolić, aby moja żona mieszkała na innym kontynencie niż ja. – Przechylił głowę na bok, patrząc na nią z kpiącą powagą. – Obawiam się, że w tej kwestii nie ustąpię ani na krok, Camelio.

–Czy prosisz mnie o rękę, Simonie?

Uśmiechnął się.

–Według ceremoniału, jaki ci odpowiada, w dowolnym miejscu.

–Odprawię uroczystość natychmiast przed tym starożytnym kamieniem – powiedział Zareb, występując naprzód. – Duchy, które was ze sobą zetknęły, patrzą na was. Wasz związek zostanie uświęcony.

–No, to może być dobre, jeśli chodzi o duchy, ale dziewczyna i chłopak muszą mieć porządny ślub w kościele, z księdzem – zauważył Oliwier. – Nie powiem Eunice, Doreen, że się pożenili pod skałą z małpą, ptakiem i wężem w charakterze świadków. Eunice udałaby się najbliższym statkiem do Afryki, ciągnąc ze sobą szkockiego duchownego.

–Ale twoje życie jest w Londynie – powiedziała z naciskiem Camelia, zastanawiając się, czy Simon w pełni rozumie, co traci.

–Nie, Camelio. – Simon spojrzał na nią z czułością. – Moje życie jest przy tobie. Widziałem cię w Londynie, kochana, i byłaś bardzo nieszczęśliwa. Należysz do Afryki, z całym jej słonecznym pięknem, otwartą przestrzenią i możliwościami zrobienia czegoś, co jest naprawdę

ważne. Poza tym jesteś nie tylko ty, jest jeszcze Oskar, Harriet i Rupert. – Skierował na całą trójkę wzrok pełen cierpienia. – Nie wiem, czy miałbym ochotę jeszcze raz zamieszkać z nimi w małym londyńskim domu.

–A co z twoją pracą?

–W pracy wynalazcy cudowne jest to, że można pracować praktycznie wszędzie – odparł, wzruszając ramionami. – Choć musisz mi obiecać, że będziemy odwiedzać moją rodzinę przez parę miesięcy w roku. Dzięki temu będziesz miała okazję ich poznać, a ja będę na bieżąco, jeśli chodzi o najnowsze technologie w Europie, no i będę mógł zaopatrzyć się w nowy sprzęt, tak żeby tutaj mieć co robić. Moja rodzina pewnie będzie chciała opatentować wszystko, co wynajdę poza krajem. Są przekonani, że pewnego dnia skonstruuję coś istotnego.

–Co prawda, to prawda. – Pomarszczona twarz Oliwiera rozpromieniła się z dumy. – To urządzenie do zgniatania ziemniaków, jakie zrobiłeś dla Eunice, to objaw geniuszu.

–Simon jest genialny – powiedziała cicho Camelia. – Zawsze o tym wiedziałam.

–Może powinniśmy załadować wóz, Oliwierze – zaproponował taktownie Zareb, widząc, jak Camelia i Simon patrzą na siebie.

–Szybciej będzie, jak chłopak nam pomoże – odparł Oliwier.

–Zaraz przyjdę, Oliwierze – powiedział Simon.

–To samo mówiłeś ponad pół godziny temu...

–Chodź, przyjacielu... – powiedział Zareb, zwracając się do Oliwiera. – Przypomnij mi jeszcze raz, jak się robi ten pyszny haggis, na wypadek, gdyby Simon miał na niego ochotę, podczas gdy ciebie nie będzie.

–Cóż, oczywiście – odparł Oliwier, zadowolony, że Zareb pamięta. – Najważniejsze to zacząć od dobrych, mięsistych owczych wnętrzności. Dobrze je wypłucz, żeby usunąć całą krew, potem namocz je przez dziesięć godzin w zimnej słonej wodzie...

Simon poczekał cierpliwie, aż dwaj starsi mężczyźni znikną pomiędzy pasem miedzianej ziemi a szafirowym niebem. Wreszcie zostali sami z Camelią.

–Jest coś, co chciałem ci powiedzieć – przerwał, nagle ogarnięty niepewnością.

–Tak?

Odgarnął jedwabisty lok z jej czoła.

– Kocham cię, Camelio – powiedział chrapliwie. – Myślę, że kochałem cię od chwili, gdy zobaczyłem cię na podłodze w pracowni, w tym śmiesznym kapeluszu. Nie obchodzi mnie, czy będziemy mieszkać w Londynie, Cape Town czy nawet w namiocie w Pumulani. Ważne tylko, żebym był z tobą. Chociaż – dodał, biorąc ją w ramiona – jeśli chciałabyś tu mieszkać w porze deszczowej, mam nadzieję, że rozważysz przynajmniej możliwość zbudowania domu i zgodzisz

się na to, żebym sprowadził tu trochę drewna. Nie jestem pewien, czy chcę spędzić resztę życia, jedząc żywność ugotowaną na suchym nawozie.

Camelia objęła go za szyję, uśmiechając się promiennie.

– Nie dałeś nawozowi dostatecznej szansy – powiedziała żartobliwie. – Po pewnym czasie mógłbyś polubić jego wyjątkowy zapach.

–Świetnie. Będę jadł ugotowany na nawozie biltong, jeśli ty zjesz haggis, jaki Zareb chce przygotować dla mnie. – Schylił głowę i zaczął pocierać jej policzek.

–Otóż myślę, że powinniśmy zamieszkać w Cape Town – odparła szybko Camelia, wsuwając palce w jego złotorude włosy. – Mam tam dom ze ślicznym piecem na drewno i o ile mi wiadomo, Zareb nigdy nie próbował palić w nim nawozu.

–Zdrowy kompromis – stwierdził Simon, obsypując leniwymi pocałunkami jej szyję. – Wyjdź za mnie, Camelio, a resztę życia poświęcę na to, żeby uczynić cię szczęśliwą.

Ogarnęła ją radość, która dała jej poczucie siły i pewności siebie.

–Tak – szepnęła gorączkowo. – O ile coś mi obiecasz. – Wtuliła się w niego mocno.

–Wszystko, co zechcesz – szepnął Simon, usiłując zapanować nad chęcią położenia jej na ciepłej afrykańskiej ziemi i zanurzenia się w jej miękkim ciele. – Czego pragniesz, kochana?

–Przrzeknij, że nigdy nie przestaniesz kochać mnie w ten sposób. – Pocałowała go namiętnie.

–Zabierz swoje rzeczy – zdołał w końcu wykrztusić. – Jedziesz ze mną do Kimberley.

Camelia się zmieszała.

–Dlaczego?

–Bo tam jest kościół – wyjaśnił. – I, miejmy nadzieję, duchowny, który zadowoli Oliwiera.

–Chcesz się ożenić dzisiaj?

–Chcę się ożenić w tej chwili. Ale skoro Oliwier sprzeciwia się, żeby Zareb odprawił ceremonię, wydaje się, że nie ma wyjścia, jak poczekać, aż dojedziemy do Kimberley – Spojrzał na nią niepewnie. – Czy wolałabyś poczekać i urządzić bardziej uroczysty ślub?

Camelia roześmiała się.

– Nie miałam nic przeciwko temu, żeby to Zareb udzielił nam ślubu. – Schyliła się, żeby podnieść dziennik ojca. – Chodźmy.

Simon zerknął na Oskara, Harriet i Ruperta, którzy przyglądali im się uważnie. Westchnął.

– Dobrze. Wy też możecie pójść.

Piszcząc radośnie, Oskar podskoczył i wdrapał się Simonowi na głowę, podczas gdy Harriet usadowiła się na ramieniu Camelii, a Rupert okręcił na nodze, dzięki czemu mogła go podnieść i owinać sobie wokół szyi.

– *Wspaniale* – powiedział Simon, nie mogąc się powstrzymać przed szybkim pocałunkiem w nos Camelii. – Jestem chyba jedynym panem młodym na świecie, którego oblubienica będzie nosiła węża i ptaka na ślubie.

– Zdejmę ich przed uroczystością – zapewniła Camelia.

– Dopóki biedny ksiądz nie zemdleje, jest mi wszystko jedno – powiedział Simon, podając jej ramię. – Idziemy?

Oczy Camelii zabłyśły rozbawieniem.

–Czy to znaczy, że nie obchodzi cię także, co będę miała na sobie dziś wieczorem?

–Jesteś nieprzyzwoita, dziewczyno. Chcę tylko, żeby dzisiaj w nocy nie było w naszym namiocie zwierzaków. Nie chcę się rozpraszać.

Camelia roześmiała się, przyciągnęła go do siebie i całowała długo i gorąco, dając jasno do zrozumienia, że zamierza skupiać na sobie jego uwagę tej nocy i przez wszystkie następne lata.